

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/514-8/515 1990



ADOL

• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

L. UNGER: **ZIEMIA NICZYJA ?**

J. PROKOP: **CZEMU JEST TAK ŹLE, SKORO
JEST TAK DOBRZE ?**

K. ORŁOŚ: **MARTWE JEZIORO**

R. GRUPIŃSKI: **STAROŚĆ WALLENRODA**

**SPRAWOZDANIE BIURA BRUKSELSKIEGO
I INNE**

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	3
Jan Prokop:	<i>Czemu jest tak źle, skoro jest tak dobrze?</i>	15
Kazimierz Orłoś:	<i>Małtwe jezioro</i>	24

WIERSZE

Łukasz Bierezin:	<i>Język gestów</i>	65
Maciej Cisło:	<i>Źła tkwi w istnieniu; ***: Ale mówmy o czym innym</i>	66

ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli</i>	69
Robert Kaczmarek:	<i>Za czy przeciw energii nuklearnej? Rozmowa z Jean Tassart</i>	85

WYWIADY KULTURY

Małgorzata Dobrowolska, Jarosław Twardowski:	<i>Od demokracji do racji stanu. Rozmowa z prof. Andrzejem Wiszniewskim</i> ...	98
Roman Lewandowski:	<i>Życie i obowiązki na obczyźnie. Rozmowa ze Stefanem Nędzyńskim</i> ...	108

UKRAINA

Monika Agopsowicz:	<i>Początek końca pierestrojki? Rozmowa z Tarasem Kuzia</i>	121
Agata Mamoń:	<i>„...Obowiązani są opuścić teren...”</i> ...	131
—	<i>Ukraińska Fundacja w Krakowie</i>	137

KRAJ

Rafał Grupański:	<i>Starość Wallenroda</i>	139
Leszek Sosnowski:	<i>Nowy ustrój: fiskalizm</i>	145
J. Mondry:	<i>Fiasko Daihatsu w Polsce</i>	150

SPRAWY I TROSKI

—	<i>Sprawozdanie Biura Koordynacyjnego NSZZ Solidarność za Granicą</i>	153
Bogdan Lis:	<i>List do Jerzego Milewskiego</i>	162
—	<i>Rozliczenia</i>	164

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	165
Grzegorz Ziętkiewicz:	<i>Kronika niemiecka</i>	170
—	<i>Apel Towarzystwa Polsko-Litewskiego w Wielkiej Brytanii</i>	174

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Marek Zieliński:	<i>Praga warta mszy</i>	175
------------------	-------------------------------	-----

(Ciąg dalszy na stronie 224)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec/Sierpień - Juillet/Août 1990

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dla uczczenia pamięci Ireny z Kisielnickich Łukomskiej, zmarłej 22 kwietnia 1990 r. w Chicago — Marian Kurowski z córką Marią i synem Wojciechem — Dol. US 100,00	F. 560,00
Jan Jaworski, Turyn (Włochy)	F. 750,00
Dr Stanisław Nałęcz-Korzeniowski, River Forest, IL (USA), po raz 32-gi — Dol. US 58,00	F. 325,00
Kaz i Zofia Logayowie, Sarasota, FL (USA) — zamiast kwiatów na grób przyjaciela, Kazimierza Zielonki, zmarłego w Sarasota, FL 15. maja 1990 r. — Dol. US 25,00	F. 140,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 51-szy — Dol. US 100,00	F. 562,00
Edward L. Salamoński, St. Petersburg, FL (USA), po raz 19-ty — Dol. US 20,00	F. 112,00
Julitta K. Szylar, Warszawa-Nowy Jork — Dol. US 100,00	F. 562,00
Franciszek Socha, Milwaukee, WI (USA), po raz 4-ty — Dol. US 200,00	F. 1.124,00
M. Wiąckiewicz, Philadelphia, (PA) (USA) — Dol. US 25,00	F. 140,00
Jan Woźniak, Warszawa, ł. st. 100,00	F. 960,00
Janusz Zambruski, Anglet (Francja), po raz 53-ci	F. 500,00

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY NA INTERNAT LICEUM UKRAIŃSKIEGO W LEGNICY

T.B. Janik, Tokai (Afryka Południowa) — na apel Andrzeja Vincenza oraz wezwanie poety Tarasa Szewczenki aby „podać rękę Kozakowi i serce swe do niego przychylić” — Dol. US 100,00	F. 562,00
Feliks i Zofia Vincenzowie ze Słobody	F. 700,00
•	
Józef Lewandowski, Uppsala (Szwecja) — honorarium za artykuł przekazuje na Fundusz im. Jana Strzeleckiego, do dyspozycji PEN-Club	F. 400,00

Informujemy, że Instytut Literacki posiada
Telefax nr 33 1 39-62-57-52

Dziennik pisany nocą

Neapol, 10 kwietnia 1990

Kundera zauważa słusznie w *Nieśmiertelności*, że powieść opowiedziana lub streszczona traci cały smak, wiotczeje jak przekłuty balon. I świadomie robi wszystko, by nie można było *Nieśmiertelności* ani opowiedzieć ani streścić. Skupiony na tej operacji, zdaje się zapominać o naturalnych potrzebach i urokach narracji. Nie można więc ostatniej powieści Kundery ani opowiedzieć ani streścić, ale tylko dlatego, że podobna jest do skonstruowanej bardzo chytrze maszynki, która wiruje w próżni, nie produkując prawie niczego, co warte byłoby opowiedzenia lub streszczenia. Ponieważ autor znakomitego *Zartu* ma upodobanie do erotyzmu na pograniczu „nieprzystojności”, *Nieśmiertelność* staje się nieprzyzwoicie długim i nieprzyzwoicie nudnym seansem literackiej masturbacji, zwanej przez polskich purystów językowych „samotrzc”. Masturbacja, jak wiadomo, wymaga paliwa płodnej imaginacji. Niestety, w niekończącym się tarle Kundery imaginacja autora (i czytelników) przestaje szybko działać, wyjąwszy dość zagadkową (a zatem dość ciekawą) postać kobietą imieniem Agnes. Reszta jest zawrotnie zręczną pisaniną o niczym, której nie „unieśmiertelniają” nawet wplecione wątki Goethe — Bettina von Arnim i supersamiec dwudziestowiecznej literatury czyli (jak twierdzi Kundera) impotent Hemingway. Kundera raz jeszcze pokazał, że umie pisać ze „szwungiem”. Po rewelacji *Zartu* nie uporał się jednak z dość istotnym problemem, o czym ma być to jego dalsze pisanie. Stąd tak często ociera się o banały i komunały, stąd tak rzadko bywa oryginalny, jednego tylko nie gubiąc po drodze nigdy: galopu pióra.

Kundera jest dzielnym obrońcą powieści jako gatunku, nie tylko nie wierzy w jej obwieszczaną niekiedy rychłą śmierć, ale uważa ją za jeden z głównych, żywych składników kultury euro-

pejskiej. Czy nie zdaje sobie sprawy, że sławetny „kryzys” powieści bierze się z ciągłej redukcji materii powieściowej (pożeranej zachłannie przez prasę i telewizję)? Czy nie daje mu do myślenia fakt, że udane powieści ostatnich dziesięcioleci (Pasternak, Garcia Marquez, Tomasi di Lampedusa) są w dużej mierze historyczne? W *Nieśmiertelności* widać czasem wzorowanie się na technice *Kubusia Fatalisty*, uwielbianego przez Kunderę. Droga od *Kubusia* do *Nieśmiertelności* jest drogą od cudownej powiastki filozoficznej do rozpuźnionej i pustawej powieści felietonowej.

23 kwietnia

Krzysztof Kąkolewski, rodem z Suchedniowa, przysłał mi znalezioną w papierach rodzinnych fotografię naszego stawu, naszego Ciemnego Stawu, z roku 1918. Od tygodnia oglądam ją codziennie rano i wieczorem. Staw już dziś nie istnieje, po ostatniej wojnie wysuszono go i zaorano, podczas wojny Niemcy kazali wyrąbać olchową groblę, ale nie tylko to nadaje starej fotografii, niezmiernie „poetycznej” w konwencji epoki, posmak mitologiczny. W dzieciństwie i wczesnej młodości Ciemny Staw był dla mnie czymś w rodzaju zwykłego w tym wieku „zauroczenia”, „zaczarowania”. Właściwie pozostał taki i później, do niedawna, jako jedyny wyraźny punkt w coraz mglistszej nostalgii. Tęskni się za źródłem pierwszych wzruszeń, olśnień i wtajemniczeń, za sceną pierwszej miłości, choćby wiadomo było, że i źródło i scena są od wielu lat zasypane i zdeptane. Po pewnym czasie tęsknota staje się niesprawdzanym już nawykiem, jednym z wielu. Czyli powszednie, wyblakła i błada z wykrwawienia; nabiera cech rośliny w zielniku lub motyla przyszpilonego do sukna w gablotce. Trwa i kruszeje, czas zużywa ją i zarazem w dziwny sposób ochrania. Głos wewnętrzny podszeptuje: „Masz coś własnego, resztkę korzeni”. Aż nadchodzi moment konfrontacji. Jak ta fotografia, która jest obrazem nie z żywej wciąż przeszłości, lecz z umarłej nieodwołalnie przeszłości. Szczerze mówiąc dopiero teraz, dzięki fotografii przysłanej mi przez K.K., pochowałem Ciemny Staw.

Rzym, 25 kwietnia

Pod adresem i ku rozwadze premiera Tadeusza Mazowieckiego (w rzymskiej rozmowie z przyjezdnym z warszawskich „kół rządowych”):

1. Powinien kandydować w planowanych wcześniej wybo-

rach prezydenckich. Mam nadzieję, że zostanie wybrany. Tyle wystarczy jako glossa do Drugiego Zjazdu Gdańskiego.

2. Nie powinien być dopuścić, by sowieckie przyznanie się do zbrodni katyńskiej Gorbaczow złożył na ręce Jaruzelskiego, wysokiego przedstawiciela ex-władzy, która systematycznie fałszowała prawdę o Katyniu i ścigała jej głosicieli. Oczywiście nie trudno się domyślić, dlaczego Gorbaczow zarezerwował *nostra culpa* (bicie się w piersi Stalina i Berii) dla Jaruzelskiego, mimo że Mazowiecki był niedawno w Moskwie i z pewnością domagał się przecięcia zaropiałego wrzodu katyńskiego. Nietrudno się domyślić, ale trudno przełknąć cyniczną formułę „wielkoduszności” w stylu „między nami starymi towarzyszami”.

3. Powinien, jak Czechosłowacja i Węgry, postulować wycofanie oddziałów sowieckich z Polski. Cokolwiek się sądzi o niebezpieczeństwach ze strony zjednoczonych Niemiec, nie grozi przecież zbrojna inwazja niemiecka.

4. Powinien, za przykładem i na wzór Havla, powołać komitet polskich konsultantów za granicą. Mają często bogate doświadczenie, za to nie mają na ogół ambicji politycznych: zjawisko dosyć rzadkie w kraju, gdzie panuje raczej układ odwrotny.

5. Powinien był natychmiast uznać akt niepodległości Litwy (nie zrobił tego, wbrew zapewnieniom Geremka w liście do redaktora *Kultury*) i akredytować posła przy rządzie litewskim. Jeżeli bał się reakcji Moskwy, to widocznie nie zdaje sobie w pełni sprawy, jaka jest obecnie sytuacja Gorbaczowa. Litwini nie zapomnieliby tego dowodu solidarności, a Polska odcięłaby się chlubnie od głupawej i dość podławej meskinerii Zachodu.

Neapol, 2 maja

Jeszcze raz Cioran. Zastanawiam się, czy moja niechęć do jego skrajnego „czarnowidztwa” („pokusa nieistnienia”) nie jest podyktowana alergią, jaką wywołują we mnie aforyzmy. Ba, więcej niż zwykłą czytelniczną alergią — odruchową podejrziwością. Aforyzmy, nawet błyskotliwie pomyślane i misternie sformułowane (a nikt nie odmówi tego Cioranowi), są dla mnie sztukmistrzostwem, które samoograniczenie doprowadza zazwyczaj do samookaleczenia; i niewiele ma wspólnego z prawdziwą sztuką zwięzłości i pisarskiej celności. O ileż bogatszy i hojniejszy w pokazie swej inteligencji jest Cioran jako eseista! O ileż uboższy byłby, powiedzmy, Montaigne jako aforysta!

Ukazały się ostatnio wczesne, rumuńskie teksty Ciorana: „aforyzmy mistyczne” *Łzy i święci* (1937) oraz *Na szczytach rozpacz* (1934). W „aforyzmach mistycznych” młody Cioran

robi wrażenie nihilisty grającego w szachy z Bogiem, jest suchy, zaczepny, prawie wyzuty z poezji (jakkolwiek wzdycha do „intelektualnej ekstazy”), właściwie jałowy i młodzieńczo niezdolny (dla mnie). Drugiej książeczki jeszcze nie znam, ale sam jej tytuł — retoryczny i pompacyjny — nasuwa mi myśl, że początkujący Cioran chciał zostać nie tyle pisarzem, co dramatyczną Postacią. Został nią bez wątpienia, od pół wieku zadziwia świat pochwałą samobójstwa, uważa swoje pisarstwo za bezużyteczne, co jakiś czas zapowiada zerwanie z nim, lecz ani nie odbiera sobie życia, ani nie przestaje pisać. Na szczęście, na szczęście, choć przy całej sympatii do rumuńsko-paryskiego odludka i szamana pesymizmu, przy podziwieniu dla pogardzanego przezeń (i bardzo sprawnego) pióra, ogarnia niekiedy uczucie lekkiej irytacji.

5 maja

We wrześniu 1849 Flaubert zaprosił do Croisset dwóch przyjaciół: Maxime Du Camp i Louis Bouilhet mieli się pierwsi zapoznać, jako słuchacze, z ukończonym właśnie *Kuszeniem Świętego Antoniego*. Flaubert zbierał materiały do *Kuszenia* trzy lata, pisał je osiemnaście miesięcy; napisał pięćset stron z uczuciem odprężenia, lekkości i łatwości. Coś podobnego zdarzyło mu się pierwszy (i ostatni) raz w życiu, nic zatem dziwnego, że był w euforii. Posadził zaproszonych w fotelach ze słowami: „Jeśli po lekturze nie wybuchniecie entuzjazmem, nic nie jest w stanie was poruszyć”. Jedyńm lektorem był sam Flaubert. Czytał głośno cztery dni po osiem godzin dziennie, modulując po aktorsku głos, nie unikając śpiewnych intonacji. Du Camp i Bouilhet słuchali w milczeniu. Czwartego dnia wieczorem Flaubert przeczytał końcowe zdania manuskryptu, zamknął go z trzaskiem i zachrypnięty powiedział: „Teraz kolej na was. Powiedzcie mi szczerze, co o *Kuszeniu* myślicie”. Odezwał się Bouilhet w imieniu obu: „Myślimy, że powinieneś manuskrypt wrzucić do pieca i nigdy więcej o nim nie mówić”. Flaubert szarpnął się jak ranione zwierzę. Rozmowa o *Kuszeniu* trwała całą noc, Flaubert bronił książki, przyjaciele krytykowali ją z rosnącą surowością. Wreszcie skapitulował: „Może macie rację. Temat tak mnie pochłonął, że straciłem jasność widzenia. Zgadza się, że książka ma wytknięte przez was wady, ale są to wady tkwiące w mojej naturze. Co mam robić?”. Odpowiedzieli, że powinien szukać tematów nad którymi potrafi rzeczywiście zapanować, wystrzegać się nadmiaru liryzmu, trzymać na uwężci ciągoty ornamentacyjne, tępić skłonności do ciągłych dygresji, do kunsztownych, koronkowych „frędzli”: wyzwa „

nich swoją potrzebę popisu, nudząc równocześnie czytelnika. Flaubert, *plutôt vaincu que convaincu*, mruknął: „Nie będzie to łatwe, ale spróbuję”. Nazajutrz po południu poszli w trójkę na spacer, byli wszyscy zakłopotani i nieskorzy do rozmowy. Naraz Bouilhet zwrócił się do Flauberta: „Słuchaj, czemu nie napisać powieści o historii pani Delamare?”. Flaubert krzyknął: „Co za znakomity pomysł!”. Znana w Rouen i okolicach historia pani Delamare była podobno zalążkiem *Pani Bovary*. Flaubert, o którym wiadomo jak walczył z redaktorami i wydawcami o każde słowo, wydał *Kuszenie* w roku 1874 skrócone o połowę. Uratował je, na tyle na ile można je było uratować, bo według badaczy pierwsze *Kuszenie* było istotnie poronione, żeby nie powiedzieć więcej.

Dzieje *Kuszenia* opowiedział pisarz peruwiański Mario Vargas Llosa w książce o roli *Pani Bovary* w twórczości Flauberta.

Louise Colet, pewnie z obowiązku kochanki pisarza, znalazła w *Kuszeniu* „perły”. Flaubert odpowiedział: „To nie perły tworzą naszyjnik; tworzy go nić. Ja sam byłem Świętym Antonim w *Kuszeniu* i zapomniałem o tym. Trzeba dopiero tę postać stworzyć... Wszystko zależy od planu, nie ma go w *Kuszeniu*”. Pogodziwszy się z wyrokiem przyjaciół, przygotowywał się już w myślach do *Pani Bovary* i *Kuszenie* potraktował jako model negatywny. Pisał do Louise Colet: „Jestem teraz w całkowicie odmiennym świecie, w świecie dokładnej obserwacji najnudniejszych szczegółów. Mój wzrok skupiony jest na najdrobniejszych poruszeniach duszy. Daleko do mitologicznych i teologicznych błysków w *Kuszeniu*. Nie chcę by moja nowa powieść zawierała jedną choćby reakcję, jedną choćby refleksję autora”. Plan, depersonalizacja, obserwacja, rygorystyczne omijanie subiektywizmu. A przecież krzyknął po ukończeniu nowej powieści: „Pani Bovary to ja!”. Tak, ale Pani Bovary była nim w zupełnie inny sposób, niż Święty Antoni. Na poziomie, który wyklucza osobowe „zachłysty” i metaforyczne hafty stylistyczne. W sposób obiektywny, chłodny, przemyślany i przeżyty w głębokich zakamarkach serca, w sposób stawiający „realizm” pisarza wysoko nad „rzeczywistością”.

Vargas Llosa nazwał swoją książkę *Bezustanna orgia*. Tytuł pochodzi z listu Flauberta z roku 1858: „Można nauczyć się znoszenia bytu, pogrążając się w pisarstwie jak w bezustannej orgii”. Słowo „orgia” jest pewną przesadą ze strony Flauberta, który był raczej galernikiem niż hedonistą pióra. Ale ważny, i mądry, jest sens tego zdania: „pisać” jako forma „być”.

8 maja

Moje opowiadanie *Oko Opatrzności*, ogłoszone w *Kulturze* dwa lata temu, ukazało się ostatnio po angielsku w *Partisan Review*, dzięki czemu mógł je przeczytać mój anglo-włoski przyjaciel. Ogromnie zdumiony nowelistycznym passusem o związkach mafii z masonerią i służą Kościoła w Trapani na Sycylii. Zdumiony dlatego (bąknął coś nawet o „proroctwie”), że w zeszłym roku rzeczywistość potwierdziła moje narracyjne zmyślenie: wykryto mianowicie w Trapani mafijno-klerykalno-masoński „rząd cieni”, który miasto trzymał za gardło (i kieszenie). Czy słowo „wykryto” jest ścisłe? — zaśmiał się mój przyjaciel. Powiedzmy raczej (dodał), że z jakichś przyczyn nie można było dłużej ukrywać znanego dobrze notabłom miejskim faktu. Mój przyjaciel przymrużył znacząco oko, jakby podejrzewał mnie o poufne źródło informacji w Trapani. „Nigdy tam nie byłem, nikt tam nie znam. Zmyśliłem rzecz potrzebną mi w opowiadaniu, a zmyślenie okazało się zgodne z prawdą z tego po prostu powodu, że od lat śledzę stały wzrost społecznego modelu mafijnego, nie jedynie we Włoszech zresztą; i podkreślam: modelu społecznego czy społeczno-politycznego, a nie organizacji kryminalnej. Mafija zastępuje stopniowo to, co niegdyś nazywaliśmy ideologią”. Mój przyjaciel spojrział na mnie spodełba i zienił temat. Uznał pewnie, że jestem na drodze do nieszkodliwej manii.

Niejednokrotnie w przeszłości wskazywałem mafijne cechy ustroju sowieckiego (czy w ogóle komunistycznego), z nieufnością odnosząc się do rozmaitych „naukowych” teorii i interpretacji „sowietologów”. Dziś nie należy do rzadkości taki sam pogląd w wypowiedziach chorążych *glasnosti*. Problem polega na tym, czy model mafijny jest czy nie jest zaraźliwy. We Włoszech moim zdaniem jest, we wszystkich dziedzinach życia publicznego. A na ziemiach „socjalizmu realnego”, w trakcie jego agonii bądź „przebudowy”? Czy mafijność starej władzy komunistycznej zaraża niedostrzegalnie nową demokratyczną władzę wyłonioną przez opozycję? Innymi słowy: po czterdziestu pięciu latach panowania mafii w PRL zaczęła się pełna jakkolwiek powolna rekonwalescencja w RP, czy też niebawem dadzą o sobie znać okresowe nawroty choroby (w postaci mafijności pluralistycznej, by zadość uczynić przykazaniom demokracji)?

11 maja

Wzruszenie i radość: w ostatnim numerze kwartalnika *Cahiers Simone Weil* przedrukowano w tłumaczeniu francuskim

mój szkic o *Wenecji Ocalonej* z roku 1964. Wzruszenie, bo wzrusza mnie obecność w piśmie, któremu patronuje duch Simone Weil. Radość, bo ten szkic nie tylko nie zestarzał się w ciągu ćwierćwiecza, ale wzmocnił swoją wymowę i zaktualizował swoje przesłanie.

Jakie przesłanie tkwiło, według mnie, w nieskończonej tragedii Simone Weil, opartej na historii spisku hiszpańskiego przeciw Wenecji w roku 1618? W paru słowach, upraszczając nieco, żeby się zanadto nie rozwodzić na temat *Wenecji Ocalonej*, do której wracałem już raz w ostatnich latach z okazji *Raportu z oblężonego miasta* Herberta. W paru słowach więc: bywa, i to częściej niż można przypuszczać, że tzw. „realiści” okazują się szaleńcami (i utopistami), a tzw. „utopiści” i „marzyciele” realistami w najgłębszym tego słowa znaczeniu. Ubiegły rok był tego dobrym dowodem. Przez lata, nie zważając na ironiczne uśmiechy i załamywanie rąk nad naszym „brakiem poczucia rzeczywistości”, pisaliśmy i mówili z uporem to, co w jakiejś przynajmniej mierze stało się ciałem w roku 1989. Gdzież są dziś ci krajowi „realiści”, którzy stukali się w czoła czytając prasę, pomyłonych i błędnych rycerzy emigracyjnych, niekiedy wręcz *bywszych ludzi*, którzy nie chcą bądź nie potrafią już pogodzić się z nową „twardą” rzeczywistością, śnią na jawie, żyją majakami, bredzą i zawracają w głowach poczciwym prostaczkom nad Wisłą? Są oczywiście dalej „realistami” (zasiadającymi niekiedy w rządzie lub w parlamencie), jakkolwiek przyznają półgębkiem, że „nieoczekiwanie” historia wystąpiła ze swego uregulowanego przez Jajtę łożyska, lecz nie należy „posuwać się za daleko”, należy zachować „polityczną trzeźwość”. W ogóle tak się dziś w Polsce zaroilo od „polityków” i „mądrych głów politycznych” że moglibyśmy stworzyć trzy rządy i podwoić lub potroić ilość posłów i senatorów. Lecz są to przeważnie „realistyczni” politycy, którym brak niestety jednej, najważniejszej może cechy politycznej: szczypty bodaj wyobraźni.

Przysłano mi wczoraj *Abecadło Kisiela*, który uchodzi w Polsce za czołowego „realistę (geo)politycznego”. Zajrzałem do hasła o mnie: „Tłumaczę mu (tzn. mnie), że zostaniemy w Związku Sowieckim do śmierci, więc żeby nie zawracał głowy; a on nie lubi takich”. Istotnie nie lubię. I może mam jednak trochę „nierealistycznej” racji dziś, w roku 1990? Pamiętam wywody Aleksandra Halla (obecnego ministra) przed kilku laty, że Polska musi dążyć do zdobycia „statusu specjalnego” w Bloku, czyli patrzeć prosto w stronę Moskwy, nie zawracając sobie głowy Litwinami, Ukraińcami, Białorusinami. Jak dziś, w roku 1990, wygląda ta filozofijka domowa „nowoczesnego Polaka”?

15 maja

W andegawieńskim *Castel Sant'Elmo* oglądałem przedwczoraj wystawę *All'ombra del Vesuvio*, trzysta obrazów malarzy europejskich od XV do XIX wieku, które powstały „w cieniu Wezuwiusza”. Nazwa wystawy dobra, choć trafniejsze może byłoby wypożyczenie tytułu powieści Malcolma Lowry *Pod Wulkanem*. Gdyż nie ma u nas „cienia”, nie żyjemy „w cieniu”, żyjemy „pod”. Pod panowaniem władcy, miłościwego albo względnie miłościwego od dłuższego czasu (ostatni, łagodny i raczej teatralny wybuch, który widziałem w marcu 1944, wyrządził mało szkód), nieobliczalnego i groźnego tyrana, gromowładnego pana pięćdziesięciu erupcji, w podświadomości mieszkańców Neapolu i w świadomości mniej czy więcej przelotnych podróżnych. *Sterminator Vesuvio*, mówi o nim Leopardi. Czytałem kiedyś uwagę znawcy miasta i psychologii jego ludności, że w podświadomości przeciętnego Neapolitańczyka błąka się wciąż jeszcze, po dwóch tysiącach lat, widmo „ostatnich dni Pompei”. *Osservatorio Vesuviano* na zboczu Wulkanu, wyposażone we wszystkie możliwe instrumenty pomiarowe, przyznaje otwarcie że bardzo niewiele potrafi przewidzieć. W wyobraźni ludowej Lawa jest zapewne Smokiem zaczajonym w nieprzeniknionym mroku. Niekiedy, jak w roku 1944, ogląda się błysk jego ślepi; codziennie czuje się przez ścianę snu jego obecność.

Wśród przybyszów z zewnątrz czuje się oczywiście jego obecność mocniej i jaskrawiej, niż wśród tubylców (atawizm działa uśmierzająco). Sam jestem tego przykładem. Ma chyba sporo racji Tomasz Burek w nocy o moim pisarstwie: „Bierze ochota twórczość tę nazwać, w sensie przenośnym i zarazem jak najbardziej ścisłym, Zapiskami Spod Wulkanu”.

Ale obok śmiercionośnej żyły Wulkanu biegnie w Neapolu życiodajna żyła „instynktownej, bałwochwalczej wprost radości istnienia”, „cizby ludzkiej, która potrafi być szczęśliwa po prostu tym tylko, że żyje”. Tak o Neapolu pisze Paweł Muratow w *Obrazach Włoch*. I dodaje: „Nikt poza Neapolitańczykiem nie kocha świata taką mocną, upartą, zwierzęcą miłością”. Muratow pisał swoje dwutomowe dzieło przed pierwszą wojną światową; i z pewnością nie poznałby dzisiejszego Neapolu, jak nie poznałoby go wielu dawnych podróżnych zwabionych tu w poszukiwaniu „ziemskiego raj”. A jednak, mimo wszystko, prawomocna jest także dzisiaj formuła „dwóch żył”. Cóż dopiero w odległej przeszłości, w stuleciach, które obejmuje wystawa *W cieniu Wezuwiusza!*

Otwierają ją Jan Breugel (Stary): *Chrystus podczas burzy na Morzu Galilejskim*. Skąd Morze Galilejskie do Zatoki Neapol-

tańskiej? Skąd Chrystus (z Apostołami) „w cieniu Wezuwiusza”? Stąd najwyraźniej, że Breugel miał przed oczami naszą Zatokę „pod Wulkanem”. Potraktował ją jako synonim burzy i grozy. Coś podobnego zrobił, malując na tle Zatoki i Wulkanu *Widok portu, odjazd Świętego Pawła z Cezarei*. Całkiem możliwe, że Neapol w XV i XVI wieku budził w cudzoziemskich malarzach uczucie dotykania ukrytych głęboko pokładów świata, na styku mitologii i natury.

Potem nastąpiła inflacja wizerunków Wulkanu, bez metaforycznych uwikłań. Długa jest lista portretów Wezuwiusza w pióropuszu gęstych kłębow dymu, w szalu dymu owijającym nie dbale szczyt, w nocnych oprawach ognia i rozżarzonej lawy, w lisiej czapie chmur, z cienką smużką dymu jak z pykanej fajki. Stopniowo na przeciwległym brzegu błagalne procesje ustępują miejsca scenom idyllicznym: jakby Neapolitańczycy „drugiej żyły” nie zauważali wybuchu, albo w porywie miłości do życia odwracali oczy od ognistej nawałnicy śmierci. Splątanie „dwóch żył” dominowało w XVII i XVIII wieku, ono przypuszczalnie skłoniło historyków sztuki do ukucia określenia „barok egzystencjalny”. Francuzi (Didier Barra, Vernet, ulubiony malarz Diderota), Hiszpanie, Holendrzy, Anglicy (sugestywna, trochę pastelowa *Zatoka Neapolitańska* Turnera), Niemcy, Włosi pławili się w dramatyczności sprzężonej z bukolicznym pejzażem.

Dla mnie najpiękniejszy jest mały obraz Corota *Wezuwiusz*, który od lat wisi w reprodukcji na ścianie mojego pokoju: wyraża to samo w sposób niezwykle czysty i dyskretny, zestawieniem czarnego i martwego Wulkanu z samotną białą żaglówką. W XIX wieku Wezuwiusz odsuwa się czy raczej jest powoli odsuwany w cień. Coraz go mniej, coraz bardziej wrasta w to, co nazwano *vedutismo*, „widokowością”, uspokojoną, wylizaną, często przesłodzoną. Neapolitańczycy lubią na to patrzeć. Ale wiedzą, że tymczasem patrzy na nich jak zawsze *Sterminator Vesuvio*.

20 maja

W czterdziestą szóstą rocznicę bitwy i w dniu moich siedemdziesiątych pierwszych urodzin postanowiłem jechać na Monte Cassino. Potrzeba silna, prawie nieodparta, której dobrze nie rozumiem. Mieszkam blisko pobojuwiska, na Monte Cassino wybierałem się dotąd rzadko, tylko przy wielkich okazjach. Czemu więc dzisiaj? Być może, jest to jakoś związane z moją chorobą, z nowym od zawału spojrzeniem czy odruchem, wzbogaconym o nutę pożegnalną.

Dzień był śliczny, słoneczny, żółty od krzaków żarnowca,

na drogę prowadzącą z miasta na szczyt Góry Ofiarnej (zdaje się, że Wańkowicz wymyślił tę nazwę) wjechaliśmy wczesnym ranem. Wyglądało na to, że będziemy dziś pierwszymi a może i jedynymi przybyszami (uroczystości rocznicowe odbyły się przedwczoraj). Ale nie, na cmentarzu czekała już ze sztandarami grupa marsylskich *Les Anciens Combattants du Corps Expéditionnaire* (czyli korpusu generała, później marszałka, Juin).

W drodze na cmentarz wpatrzyłem się w obelisk na 593. To „moje miejsce”. Tam leżałem z porucznikiem Janem Figlem dwadzieścia cztery godziny w końcowej fazie bitwy; stamtąd prowadziliśmy ogień trzech pułków artylerii na Opactwo. Bunkry niemieckie były tak blisko, że strzelcy wyborowi trafiali w koniuszek mojej anteny ilekroć odrywała się od ściany w załomie skalnym. Byłem radiooperatorem artylerii, „radiotą” w ówczesnej terminologii wojskowej. Niewiele brakowało, aby tam zamknęła się moja ziemská wędrówka.

Cmentarz. Groby mocno podniszczone, niektóre pokryte czarną pleśnią, z szerokimi rysami w trawertynie. Zawsze tu wspominam moją wycieczkę z Marią Dąbrowską. „To jest ostatni cmentarz Rzeczypospolitej”, powiedziałem. Dąbrowska aż podskoczyła. „Tak, tak, dobrze pan to określił, tutaj coś się bezpowrotnie kończy”. Kończy się to, że leżą obok siebie żołnierze czterech wyznań: katolicy, grekokatolicy, prawosławni, Żydzi. Za każdym razem w cmentarnej ciszy wisi ten urwany akord, jakby dyrygent nie potrafił opanować wzruszenia i wypuścił z ręki pałeczkę. Może kiedyś będą tu przyjeżdżać z Kraju nie sztywne delegacje pułkowe i poczty sztandarowe, lecz zwykłe wycieczki szkolne? Może w tym „narodowym mauzoleum” znajdują jednak odtrutkę na szowinistyczną truciznę Polski „oczyszczonej nareszcie z obcych elementów, etnicznie jednolitej”? „Przechodniu, powiedz Polsce...” zaczyna się cmentarny napis poety Bolesława Kобрzyńskiego. Znałem Kобрzyńskiego i wiem co chciałby na ucho naszeptać przechodniowi, oprócz retorycznych — i ładnych zresztą — słów wyrytych w kamieniu.

23 maja

Umknąwszy przed chińską kaźnią z witkiewiczowskiej wizji przyszłości w *Nienasyceniu*, Erazm Kocmołuchowicz zatoczył ogromny łuk w czasie i wylądował bez przeszkód, z potłuczonym nieco tyłkiem i nadszarpiętymi przez wiatr kosmiczny wąsami, w terażniejszości.

W tym jego nieoczekiwanym *retro* niewiele się zmieniło. Czekają nań miejsce szefa Syndykatu Narodowego Zbawienia. Czczyła go cała Polska i podziwiał go cały świat. Wielki Kocmo-

luch, jak go nazywano, rozkoszował się atmosferą rodzinną: panią Kocmołuchową i tuzinem Kocmołuszków. „Do mnie należy ostatnie słowo — zwykł się przechwalać — zarówno w domowej ojcowiznie jak w publicznej ojczyźnie”. I dorzucił: „Boi się mnie Premier, boi się mnie Generał, boją się mnie te wymoczeki w parlamencie; wszystkich ja stworzyłem, wszyscy są moimi kreaturami”. Zaczął się jednak szybko nudzić, już mu nie wystarczały wyskoki od wielkiego dzwonu do stolicy, oraz wyprawy na ryby i grzyby. Do nietykalnego obyczaju weszło, że pielgrzymowały do niego i pochylały się w hołdzie głowy obcych państw. Czuł się na tronie, ale bez korony i berła. Trzeba to skombinować, mówił do siebie w duchu (albo i nie w duchu). Nie wystarczała mu już łódka, z której łowił ryby. „Nadaję się do steru państwowej nawy”, mówił do siebie w duchu (albo i nie w duchu). Wprawiało go to w coraz gorszy humor. „Wielki Kocmołuch jestem, czy nie, do jasnej cholery!!!”. „Jesteś, jesteś”, zapewniała go żona pospołu z dziatkami, oraz przybochni Broniś, Adaś i Jacuś. „No, ale co z tego mam?”, patrzył spodełba. Zalegało milczenie. I ono właśnie najbardziej go wkurzało. Spodziewał się czegoś więcej po najbliższych, a tu nic, jak ryby; tylko sapia i patrzą. „Trzeba będzie — myślał — odstawić (zaiwanić) taki numer, że im oko zbieleje. Trzeba będzie specjalny haczyk przygotować na Grubą Rybę”. I uśmiechał się do siebie, bo tylko on wiedział co to za Gruba Ryba.

Nagle z Paryża przyjechał Genezyp Kapen, którego szef Syndykatu Narodowego Zbawienia natychmiast zrobił swoim adiutantem. Spodobał mu się ten Kapen, taki jakiś flegmatyczny i dobrze ułożony, a jednocześnie chytry, oj chytry, chitreńki, w wielkim świecie oblatany, w amerykańskim szwargocie biegły, do rozmaitych rzeczy zdolny. Wielki Kocmołuch odsunął od siebie Bronisia, Adasia i Jacusia, a Kapena nazwał familiarnie Zypcio (nie dopuszczał go wszelako do zbytnej poufalości, żeby mu się w filozoficznym mózdzku nie przewróciło). Kapenowi w to graj. Miał Plan, lubił w ogóle plany i programy. Plan zaśię jego taki oto był: Premiera won, bo święta niedojda i wstyd nam tylko przynosi; Generała za cywilne portki i do ministerstwa wojkowego; a Wielki Kocmołuch na tron, na prezydencki tron. Szef Syndykatu Narodowego Zbawienia spojrział na niego z uznaniem i z lekkim przestraczem: „Główkujesz i tołkujesz niby nieźle, Zypciu, widać że masz pomysłuńek statysty, ale jak rzecz przeprowadzić? A jeśli Generał wierzgnie jak kawalerski koń i od żłobu nie da się oderwać? A jeśli Premier, Święty Szymon Szupnik, płaczem, omdlewaniem i rozdzieraniem szat naród przeciągnie na swoją stronę?”. Kapen uśmiechnął się z intelektualną wyższością. „Bardzo to proste, szefie. Powiemy mu publicznie, koniecznie publicznie, że jeśli Planowi naszemu na przeszkodzie

stanie, klin wbije między robotników i inteligentów, przepaść między nimi utworzy. Tego nie wytrzyma. Ugnie się, bo on robotników strasznie kocha, a inteligentów mniej. I o los zdrzdy nawy państwowej". Łypnął na niego Wielki Kocmołuch, bardzo zadowolony: „A toś, Zyciu, dobrze wszystko obliczył. Głowę masz premierowską, o czym w przyszłości nie zapomnę". Kapen był rozanielony i, staroświeckim zwyczajem, ujął za ramiona wielkiego Kocmołucha. Ten zdrętwiał: „Tylko sobie zanadto nie pozwalaj i nie wyobrażaj, bo ja już wielu takich jak ty na zieloną trawkę posłałem. Ale Plan dobry i będziem go wykonywać”.

No i zabaczym co z tego dobrego albo i złego wyniknie, jak mawiał Witkacy. Tymczasem zaś niech wolno będzie, na użytek przyszłych autorów powieści politycznych w Polsce (które współcześni, przeszłością niezbyt daleką obrzydzeni, pisarze nasi w bezgranicznej mają pogardzie), z *Nienasycenia* co nieco dosłownie przytoczyć:

„Cała ta niby praca nad organizacją pracy była śmiesznością. Zamiast: Polska nierządem stoi, mówiono teraz, że stoi brakiem wielkich ludzi — inni twierdzili, że w ogóle nie stoi, że nikt nie stoi, że nikomu nie stoi, nawet że nikogo (!) nie stoi — oczywiście rusycyzmy. Inni twierdzili, iż nie jest wykluczone, że Kocmołuchowicz, przeniesiony w odmienne warunki, także byłby niczym czy nikim. Tu na tle szarej miazgi urósł do rozmiarów gwiazdy pierwszej wielkości, olbrzymiego brylantu na mdłym śmietniku osobowości. Milczał jak zdechła ryba i czekał — umiał czekać, psiakrew! W tym była połowa jego siły. Umiejętność zaś ukrywania swego zdania w najbardziej pozornie otwartych rozmowach była w nim doprowadzona do niebywalej doskonałości. Wytworzoną przez Syndykat Narodowego Zbawienia pseudoorganizację zużyć chciał w odpowiedniej chwili dla siebie i swoich tajemniczych dla niego samego celów”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Czemu jest tak źle, skoro jest tak dobrze?

Kupą, mościpanowie, nawoływał dobry psycholog Zagłoba. Często powtarzaną tezę o naszym nadmiernym indywidualizmie radziłbym jeszcze raz przemyśleć... Na oko wygląda, że raczej lubimy wszystko robić zbiorowo; upijać się, śpiewać „Czerwone maki”, klaskać... Trudności z demokracją zapewne wynikają z takich właśnie nawyków... Dlatego może scena polityczna zdominowana została na bardzo długo — zbyt długo jak na doraźny cel wyrwania Polski z komunizmu — przez masowy ruch, będący faktycznie zbiorem najróżniejszych tendencji, które jednak nie potrafią zdobyć się na określenie swoich odrębności. Widać indywidualście milej razem. Milej niż w pojedynkę nową partię zakładać i na własne ryzyko program wymyślać? Obalwszy zło wcielone czyli komunizm, na jego miejsce dobro wcielone językiem, piórem i uwielbieniem wspierać postanawiamy. Między złem wcielonym i dobrem wcielonym dla Polaka wybór jasny. Do niuansów cierpliwości nie ma, zresztą wątpi w ich potrzebę. Przy tym, urodziwszy się istotą gromadną, poszukuje łakomym okiem wodza, tęskni do niego, za to o gadulach parlamentarnych źle trzyma. Ale co do wodza Polak także bywa zmienny. Kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje. Waleśa w ostatnich miesiącach zaznaje żartowania.

Ekipa rządząca stanęła wobec dylematu: miękki jak wosk prezydent — wszystko podpisze, powie, wykona — Przewodniczącym, co doradców raz słucha, raz nie dosłyszysz... Gdyby prezydentem został, uchowaj Boże... Ekipa ma może pomysł na wyciągnięcie kraju z katastrofy, nie tęskni natomiast do w pełni wolnych wyborów parlamentarnych, które nasi sąsiedzi, choć później na drogę demokracji wkroczyli, już mają za sobą. *Salus rei publicae* leży jej na sercu, a nie marzenia destabilizatorów,

demagogów i populistycznych jurystów o suwerenie i ludowładztwie. Ale dla zbawienia Rzeczypospolitej istniejące narzędzia — sejm 35-procentowy i prezydent z Magdaleny — póki co najsprawniejsze! Wolno jednak zapytać, co tkwi u podłoża impasu. Bowiem — gdy wybory rozpiszemy, to zapewne... zaczniemy opłakiwać generała „z którym się tak dobrze pracowało” i staniemy wobec dwóch niewiadomych. Jedną niewiadomą będzie nowy prezydent, drugą nowy parlament. Mogą w nim dojść do głosu np. nurty chadeckie, dotąd marginesowe, w Magdalence mało reprezentowane. A więc nie „katolicy otwarci” z KIK-ów, *Więzi* i *Tygodnika Powszechnego*, z „lewicą laicką” od dawna serdecznie sprzymierzeni, wypowiadający się za szeroką koalicją sił reformatorskich — ale różni Łopuszańscy, rozwścieczeni na zesmutniałą i w rozlicznych posiadłościach pokutującą pezetpeerię. Ta cuchnąca „żądzą odwetu” nowa fala a nuż wytnie w pień w wolnych wyborach dotychczasowe elity OKP, w których dość ważną rolę odgrywają zarówno „katolicy otwarci”, w Magdalence oswojeni, jak i ludzie o bujnej nieraz młodości w szeregach partii zwycięskiego proletariatu? Trzeba przebaczyć, powiedzą być może nowi, ale czy koniecznie trzeba tak już całkiem zapomnieć? Wobec tylu dylematów bezpieczniej — każdy się zgodzi — odłożyć czysto formalną legitymizację rządu, aż się nowe struktury wzmocnią. Tak powiada Turowicz i legion. Któż by się oparł autorytetem? Wiadomo zresztą — podszeptują niektórzy — że sformalizowane obyczaje parlamentarne krajów zachodnich nie całkiem odpowiadają aktualnym potrzebom polskiego społeczeństwa. Grożą anarchią i destabilizacją, jak Urban z Rakowskim przestrzegali, i wprowadzają zamęt w zbiorowość miłującą wypróbowane autorytety, co ją prowadzą pewną ręką, mniej zatroskane o czysto przecież formalny sprawdzian wyborczej kartki...

Trzeciego maja, co sfotografowała *Rzeczpospolita*, w katedrze warszawskiej pod ołtarzem stał generał-prezydent z premierem u boku klęczącym... Za to, jak Tadeusz Fredro-Boniecki wypomniął w RWE, a Juliusz Żulawski w liście do *Gazety Wyborczej*, wierni, zwykli w ten dzień zbierać się tam na modlitwę, znaleźli drzwi zatrzaśnięte. Czy aby naszym władzom z ks. prymasem bez świadków różnie? A pamiętać trzeba, że to szczególne sanktuarium religijno-narodowej chwały i religijno-narodowego bólu zamknięto przed Polakami w najważniejszą polską rocznicę, której obchodzenia generał Jaruzelski w latach swoich rządów ze szczególną zaciekłością zakazywał, obstawiając kordonami ZOMO kościoły, gdzie odprawiano mszę 3-majową, by legitymować i zatrzymywać zmierzających tam ludzi. Nb. jak wielu innych w ten dzień, spotkało to i mnie nie tak dawno w

Krakowie, w pobliżu Wawelu. Myślę, że zakaz wstępu na uroczystość 3-majową do warszawskiej katedry to znamienny, symboliczny afront. Katedra bowiem nie jest gmachem opery, gdzie się wchodzi za zaproszeniami na galowe przedstawienia. Ani nie jest własnością prezydenta, rządu, czy nawet ks. prymasa... Arcypasterz warszawsko-gnieźnieńskiej diecezji powinien pamiętać, że w SWOJE święto ma prawo modlić się w niej KAŻDY Polak.

W wielu krajach o utrwalonym systemie parlamentarnym rządy sprawują przemiennie „liberałowie” i „socjaldemokraci”. Pierwsi pobudzają produkcję, rozkręcają przedsiębiorczość i indywidualne inicjatywy, drudzy natomiast przychodzą przystrzyc wypasionego przez liberałów baranka kapitalistycznej *prosperity*, aby dobrobyt stał się również udziałem tych, którym się gorzej powiodło. Taka przemiennność zapewnia równowagę społeczną, nie dopuszcza ani do skrajnej polaryzacji bogactwa i nędzy, ani do zdławienia rozwoju gospodarczego przez rozdające to, czego nie wyprodukowano, państwo opiekuńcze. Polacy jednak dzielą się nie na „liberałów” i „socjaldemokratów” (zapomnijmy na chwilę, że u nas dawni komuniści zrabowali niedawno tę nazwę przyzwoitej zachodnioeuropejskiej lewicy!), ale na dobrych Polaków wokół NASZEGO RZĄDU (tu przykleknąć) wraz z OKP — i destabilizujących zadymiarzy z KPN, czy międzynarodówki anarchistycznej, wreszcie podejrzanych o nacjonalistyczno-religianckie zakusy Łopuszańskich, Jurków¹ i innych uczniów Torquemady. Z tym, że „reformatorska część dawnego PZPR”, jak np. generał-prezydent, kilku ministrów i tysiące nomenklatury, sumiennie wypełnia zobowiązania okrągłego stołu, *ergo* „pracuje się nam z nimi znakomicie i oby tak trwało jak najdłużej bez pomysłów niechrześcijańskiego rozliczania byłych prominentów za wpędzenie kraju w katastrofę ekonomiczną, ekologiczną i jaką tam jeszcze”. Ale ubolewając słusznie nad tym, że Polacy nie chcą należeć do politycznych ugrupowań i że być może ich temperamentowi lepiej niż kłopotliwy pluralizm odpowiada bezpartyjny blok współpracy z rządem, czy coś w rodzaju hinduskiej partii kongresowej (tak to ktoś napisał), musimy zdać sobie sprawę, że rozwój stronnictw politycznych trwa latami, jeśli nie pokoleniami, i że nie wystarczy powołać ministra w tym celu, bo tutaj istotne są rozbudowane struktury organizacyjne, prasa i radio, którymi Solidarność i wyrosły z niej ruch obywatelski dysponują. Wolność słowa to jeszcze nie wszystko, trzeba poligrafii, dystrybucji, sieci kolportażu, renomy i reklamy. Celowo nie używam terminów „wiarygodność” i „autorytet”, bo stopień, w jakim zależą od udanej kampanii w

1. Jerzy Łopuszański i Marek Jurek — posłowie z OKP.

mass mediach, bywa niestety trudny do sprecyzowania. Oczywiście każdy z nas może założyć dzisiaj partię polityczną. Jest to równie prawdziwe jak powiedzieć, że każdy z nas może dzisiaj założyć międzynarodowy bank inwestycyjny z oddziałami we wszystkich stolicach świata... Nie da się ukryć, że na raczkujących konkurentów politycznych wielki kolos „rządowo-obywatelski” i jego *de facto* monopolistyczne mass media spoglądają ze wzgardliwą pobłażliwością. Tak General Motors chichocze widząc maniaka, który w prywatnym garażu produkuje prototyp nowego modelu samochodu. Ale ostra konkurencja wychodzi na zdrowie polityce równie jak gospodarce, i w polityce też powinny działać ustawy antymonopolowe. Rządy oparte na jedynie słusznych poglądach i jedynie słusznym ogólnonarodowym uzgodnieniu („konsensusie”) bywają najkruche. Już lepsze „potępięcze swary” niż gładka fasada, pod którą gipsem zamkane pęknięcia. W obawie przed „polskim piekłem” ucieknijmy w sarmackie „kochajmy się”, a więc w równie idiotyczną zgodę bezmyślności.

Przefarbowane na PSL-Odrodzenie, wczoraj „sojusznicze” Stronictwo Ludowe, na niedawnym kongresie odrzuciło większością głosów rezolucję popierającą niepodległość Litwy. To haniebne głosowanie oby nie położyło się cieniem na przyszłych stosunkach Polski z wolną Litwą. Przewodniczącym nowego stronnictwa, nb. występującego w aliansie z obłąkanymi narodowcami, został poseł Bartoszcze. Czy poważny odłam ruchu ludowego nie stanie się rezerwatem najdzikszych reliktyw polskiej ksenofobii i polskiego antysemityzmu? Jaki owoc wyda połączenie politycznej ciemnoty tłumu ze sprytem wyrobionych w wieloletnich rozgrywkach o posady intrygantów? A spodziewaliśmy się, że wieś będzie naturalnym zbiornikiem politycznych inicjatyw, tak jak w wielu wypadkach jest terenem interesujących inicjatyw gospodarczych. Czy jednak bardzo się mamy dziwić chłopom, gdy w kręgach decydentów sprawa Litwy traktowana jest jak „gorący kartofel”? Czy rząd nie mógłby podjąć przynajmniej inicjatyw gospodarczych na rzecz pomocy Litwie, jeśli już na myśl o uznaniu jej niepodległości pot występuje na czoło niektórym ministrom? Próba wysłania choćby nadwyżek naszego węgla? Czy w ogóle pomyślano o takiej pomocy? Teraz liczą się także symboliczne, spektakularne gesty. Skoro Jaruzelski w czasie wizyty w Moskwie wbrew oczekiwaniom wielu Polaków ust nie otworzył na temat naszego północnego sąsiada, to nie tylko dowód, że jest człowiekiem z epoki Breżniewa, niedolnym do reprezentowania polskich interesów wobec Rosji, ale i sygnał, że „kręgi rządowe” nie próbowały wywierać nacisku w tym kierunku. Za taką małoduszność, za taki brak politycznej wyobraźni możemy kiedyś sporo zapłacić. Rząd posuwa się być może we właściwym kierunku, ale jest to zbyt często wynikiem

szturchańców przychodzących z zewnątrz, a nie jego własnej inicjatywy. Pamiętam, z jakim przerażeniem (i milicyjnym palowaniem!) reagowano, gdy młodzież żądała usunięcia pomnika Lenina w Nowej Hucie. Niektórym wydawało się, że za zerwanego leninowskiego surduta wychyną zaraz sowieckie czołgi. Podobnie sprawa obcych wojsk w naszym kraju pojawiła się dopiero na skutek akcji WIP-owskich „zadymiarzy”.

Wezwanie do aktywnego udziału w wyborach samorządowych znajduje słuchaczy jeśli nie głuchych, to ospałych. Ta ospałość wynika z wielowarstwowej sowietyzacji, ale wynika także ze zmarnowania zeszłorocznej okazji, żeby poderwać społeczeństwo do aktywności. Gabinetowa dyplomacja architektów okrągłego stołu, którzy mimo triumfalnego zwycięstwa 4 czerwca, a co więcej mimo błyskawicznego rozpadania się komunizmu u naszych sąsiadów, pozostawili do dziś u władzy znaczące odłamy dawnej nomenklatury, staje oto wobec społeczeństwa znacznie bardziej zniechęconego niż przed rokiem, gdy świeża nadzieja odzyskania całkowitej niepodległości. Trudno przecież uznać za figury niepodległości wieloletnich lojalnych wykonawców sowieckiej dominacji w Polsce, których po zwycięstwie wyborczym odnaleźliśmy na tych samych stanowiskach, co przedtem. Ich publiczne dewocje drażnią świeżą jeszcze pamięć całkiem innych słów i zachowań. Trzebaż się więc dziwić, że dziś ludzi absorbują bardziej troski materialne niż dobro Rzeczypospolitej? Zresztą operacja Balcerowicza dokonywana jest w oparciu o stare układy (tylko nie destabilizować Balcerowicza, szepczą tłumy wtajemniczonych redaktorów naczelnych i telewizyjnych, przyjaciół i doradców, dworzan i trefnisiów), a znacznie mniej w oparciu o świadomą i wyrażoną formalnie w demokratycznych instytucjach wolę społeczeństwa. Reforma jest przyjmowana raczej jako mało zrozumiała „dopust Boży” niż proces, który współtworzymy. Tym samym powiększa rozmiar inercji tego ogromnego cielska, na którym jacyś mądrale dokonują niejasnych a bardzo bolesnych chirurgicznych zabiegów.

Z inicjatywy Jerzego Turowicza grono wybitnych intelektualistów wydało w początku maja oświadczenie rojące się od niewątpliwych i słusznych zdań ogólnych w celu wsparcia rządu i potępienia niejasnych sił coś knujących. O ile zrozumiałem, nie chodziło tu jednak o postkomunistyczną mafię. Jakże interesującą rzeczą — pomyślałem prostodusznie — dla rozwoju samoświadomości współczesnych Polaków byłoby, gdyby owych kilkudziesięciu intelektualistów napisało nieprzeliczoną mnogość samodzielnych tekstów roztrząsających przyczyny, dlaczego jest tak źle, skoro jest tak dobrze. Na szczęście zamiast tej zbijającej

z tropu i kłopotliwej wielości (pluralizmu) najróżnorodniejszych poglądów otrzymaliśmy pogląd jedynie słuszny, wzywający do rzeczy również ponad wszelką wątpliwość słusznych. Poczuliśmy się więc nie tylko spanikowani, ale zarazem i pocieszeni, że czuwa nad nami kolektywny umysł sygnatariuszy apelu. W kupie różnie, podsumowaliśmy słowami Zagłoby.

Drodzy intelektualiści, wierzę w waszą najlepszą wolę, ale redagowaniem odezw w normalnym kraju zajmują się profesjonalne sztaby wyborcze różnych partii politycznych. Na obszarach przez dziesiątki lat pozostających pod rządami azjatyckiego (kolektywistycznego) komunizmu przyjęło się wprawdzie, że w różnych przez władzę wyznaczanych okolicznościach członkowie literackich batalionów samorzutnie uchwalali zbiorowe rezolucje, np. na temat Korei, Wietnamu czy produkcji ziemniaków, a obyczaj ten następnie spodobał się dobrowolnie tysiącom postępowych intelektualistów Francji, Anglii i Zairu. Pisarz niezależny lubił bowiem zagrzemieć przeciw możliwym kapitalistycznym światu, zwłaszcza gdy czuł za plecami miłujący pokój naród sowiecki i jego zbrojne ramiona. W latach pohelskiego „odprężenia” pomysły zbiorowych listów przechwycili dysydenci, nie raz z powodzeniem. Ale wiarygodność tego rodzaju wystąpień wyrastała, co podkreślam, w znacznej mierze z represji, które spadały na sygnatariuszy-śmiałości. Za podpis można było stracić paszport, szansę wydania książki, dobrą posesję... zaś zbiorowa akcja uderzała w kolektywistyczny monopol władzy, która sobie tylko zezwalała na liczbę mnogą: my, niżej podpisani... Już sama forma gramatyczna stanowiła wyzwanie niepokornych rzucone monolitowi, oznaczała myśl niespętaną, początek społeczeństwa cywilnego. Dla tych wszystkich względów radziłbym tedy dzisiejszym polskim niespętanym intelektualistom, aby pisali najostrożniej, najdrapieżniej, najbardziej odkrywco, nawet śmiało pro-rządowo. Byle nie salwą...

Myślę, że powodem takich zbiorowych wystąpień obok szlachetnej intencji zajmowania (ale dlaczego nie w pojedynkę, każdy na własne ryzyko?) „słusznego stanowiska wobec zjawisk budzących niepokój” jest nieco staroświeckie przeświadczenie, że takie wystąpienia same w sobie wywierają znaczący efekt. Jednakże nie podobna przegłosować racji większością. *Plus ratio quam vis*, ale też owa *ratio* zupełnie dobrze może wypowiedzieć się jednym jedynym głosem. Kupą można skutecznie zająć Sopicę, nie zaś wymyśleć coś odkrywczego, a po to właśnie — aby takich odkryć dokonywali — społeczność potrzebuje owych wybitnych intelektualistów. Wreszcie zbiorowe akcje służą podtrzymywaniu dobrego samopoczucia samych sygnatariuszy, oto włączyli się, zajęli stanowisko, potępiłi. Nie jest to naganne, raczej stanowi alibi: zamiast robić swoje w swoim zawodzie dla

promowania wartości, w które wierzymy, znajdujemy satysfakcję w składaniu podpisów pod tekstami nieswoimi. Jest to w gruncie rzeczy działanie zastępcze. Tak gwiazdy sportu lansują sprzęt znanych producentów: buty narciarskie, rakiety tenisowe, wiatrówki, pozując z uśmiechem do reklamowych zdjęć. Intelktualista może ubiegać się o to, by być sumieniem zbiorowości. Zola swoim *Oskarżam* w obronie Dreyfusa, później Tomasz Mann przemówieniami ostrzegającymi Niemców przed falą hitleryzmu, Bernanos ciskający gromy na pétainowskich kolaborantów hańbiących dobre imię Francji, oto wielkie przykłady takiego rozumienia roli pisarza. Rzeczywiście jednostka o szczególnej wrażliwości etycznej może w pewnych sytuacjach, gdy naród daje się zwieść na błędne ścieżki nacjonalizmu lub na grząski teren zdrady własnej tożsamości, wystąpić z ostrzeżeniem i napomnieniem. Ale pisarzowi nie wolno zapominać, że jest „kościółem jednoosobowym”, że jest jako prorok wartości posłany i wezwany pojedynczo.

Czemu jednak tak hałasują z powodu trafnego potępienia tendencji „antysemickich i nacjonalistycznych”, potępienia, które podpisałby każdy rozsądny człowiek? Otóż dlatego, że grozi nam myślenie stadem — czego mentalność nacjonalistyczna bywa dość częstym przykładem. Tym gorzej, gdyby podobny styl myślenia zadomowił się i gdzie indziej, prowadząc nie całkiem wiadomo w jaką stronę i nie całkiem jasne przeciw komu...

W dziejach Polski niełatwo znaleźć chwile sprzyjające znormalnieniu stosunków polsko-rosyjskich, zaryzykowałbym nawet, ułożeniu ich na zasadzie sympatii. Przez wiele lat państwo sowieckie występowało wobec swoich sąsiadów w roli kolonizatora, zaś upokarzająca służalczość PRL-owskich rządów tę rolę utwierdzała. Znakiem upokorzenia stawały się niezliczone pomniki wdzięczności, muzea Lenina, obowiązkowe akademie ku czci Rewolucji Październikowej (nie wymigał się od akademii i nasz aktualny rząd). Nie był to klimat ułatwiający nawiązywanie rzeczywiście partnerskich kontaktów i ludzkich przyjaźni, mimo to rozkwitały one nadspodziewanie często. Każdy, kto z Rosjanami zetknął się nie jako z przedstawicielami „władzy sowieckiej”, ale z ludźmi, zapamiętał wiele ujmujących gestów, wiele znaków dobrej woli i mógł żywić nadzieję, że z takiego ludzkiego podłoża wyrośnie kiedyś korzystna dla obu stron współpraca. Dziś szansa na to wydaje się większa niż kiedykolwiek. Nie wiem, co Gorbaczow nosi w sercu, ale rozpuścił on procesy, które trudno będzie zahamować.

W tym nowym klimacie trzeba jednak zadbać o upowszechnienie wzajemnej znajomości, o umożliwienie spotkania między naszymi narodami nie w stylu akademii ku czci „przyjaź-

ni polsko-radzieckiej". Na pewno takim rzeczywistym spotkaniem jest... działalność handlowa (żeby nie powiedzieć brzydko przemysł). Ich i nasza. Pisał o tym kiedyś bez zgorznienia Wojciech Maziarski. Nie głoszę tu jednak pochwały kontrabandy, która wynika z życia, jeśli razi naszą wrażliwość estetyczną, uzdrówmy stosunki handlowe na wyższych piętach, by jednostkom nie opłacało się wchodzić w rolę firm przewozowych... Ale my z Rosjanami mamy sobie wiele do powiedzenia. Możemy spotkać się nie tylko na bazarze. Ostatnio w Polsce prowadzi się dialog polsko-ukraiński, polsko-żydowski, polsko-litewski czy polsko-niemiecki „w duchu zrozumienia i pojednania”. Bardzo niemądre byłoby z tej dobrej serii wykluczać Rosjan, i tych ze Związku Sowieckiego, i tych z emigracji. Witając radośnie dążenie do samodzielności zniewolonych dotąd narodów, jak Litwini czy Ormianie, nie zapominajmy o szczególnych ofiarach sowieckiego systemu — Rosjanach. Często znienawidzeni — nie bez racji — jako kolonizatorzy, płacili jednak jako naród najwyższe koszty za utrzymanie imperium. Inni z pewnością łatwiej dostrzegają w komunizmie obcy narzucony gorset i dlatego łatwiej będzie im go zrzucić. Dla wielu Rosjan gorset ów zrosł się z ciałem w nierozdzielną jedność, komunizm wydaje im się jedyną możliwą formą istnienia. Nie umięją od niego uciec choćby ku własnej, narodowej tradycji. Nawet jeśli własną tradycję pragną odrodzić, wydaje się ona ogniwem w imperialnej myśli prowadzącej ku realnemu socjalizmowi. Dla odrodzenia Rosji konieczny wydaje się tedy nie tylko powrót do narodowego dziedzictwa, gdy tymczasem dla innych uciskanych narodów sowieckich (Ukraińcy, Litwini, Łotysze, Estończycy i inni) ten właśnie krok stanowi bez wątpienia zasadniczy fundament desowietyzacji. Rosjanie tą drogą mogą tylko z powrotem trafić do polipa imperium, ich samych najbardziej wysysającego. Muszą zatem odbudowywać swoją narodową tożsamość przede wszystkim na fundamencie praw człowieka i społeczeństwa obywatelskiego. Rosjaninem, który głosił to z niezwykłą mocą ducha, był Andriej Sacharow. Czy jego śmierć zostanie uznana za ofiarę na ołtarzu demokratycznej odrodzonej Rosji?

Polska wspina się teraz stromą ścieżką. Wielu utrzymuje, że w obawie przed „lawiną” należy wyciszyć spory i oddzielić przeszłość „grubą kreską”. Wszelkie pomysłowe większych zmian politycznych w tych okolicznościach wiodłyby na manowce. Argumentacja ta pomija jednak sprawy, o których warto pamiętać.

A mianowicie, bardzo ważny jest sukces Mazowieckiego i Balcerowicza, ale u fundamentu nowej niekomunistycznej Polski musi położyć się szacunek dla państwa. Szacunek dla najwyższych urzędów Rzeczypospolitej, dla jej prawa i instytucji. Tak

Amerykianie czczą swoją konstytucję i wypływające z jej ducha urządzenie. Byłem w Stanach w momencie, gdy dwóch dziennikarzy wykryło sprawę Watergate, śmieszna drobnostkę dla nas, poddanych totalitarnego systemu policyjnego: ot, doradcy prezydenta podsłuchują konkurencyjnego kandydata... W rezultacie jednak Nixon składa rezygnację. Prezydent bowiem symbolizuje etos państwowy, nie może być osobnikiem posuwającym się do czynów niegodnych. Otóż wielu Polaków chciałoby się wreszcie doczekać prezydenta, którego mogliby szanować...

Michnik domaga się zrezygnowania z niechrześcijańskiej zemsty, woła o przebaczenie dla byłych komunistów. Jego słowa biją na alarm, apelują do sumień. Można by przypuścić, że w Polsce dzieją się rzeczy straszne, samosądy i pogromy, według znanego scenariusza, który komuniści przypisywali Solidarności w grudniu 81 roku. Miała ona, jak wiemy z ówczesnych środków przekazu, przygotowywać serię wyrafinowanych aktów przemocy na funkcjonariuszach partyjnych i ich rodzinach, a zwłaszcza dzieciach. Tymczasem faktycznie nic się nie dzieje, komuniści mają swojego prezydenta i swoich paru ministrów, w tym dwóch najważniejszych — wojska i policji, wzbogacili się na rabunku mienia społecznego w tysiącach nomenklaturowych spółek. O coż więc hałas i spór? O mienie zagarnięte przez byłą PZPR, o uprzywilejowane emerytury dla dawnych SBeków i działaczy, wreszcie o osobę prezydenta, przynajmniej „kontrowersyjną”! Nikomu dotąd, nawet faktycznym mordercom Włosa i Przemyska, włos z głowy nie spadł. Nie przywołujemy więc wielkich słów o przebaczeniu, gdy idzie o zwykle, zgodne z prawem rozliczenie ze sprawowanych po gangstersku rządów. Można wprowadzić założyc, że w Magdalence ustalono pewne koszty procesu wyzwiania kraju. Do kosztów należy utrzymanie przywilejów kastowych części nomenklatury, urząd prezydencki dla Jaruzelskiego itp. My nie pošemy czołgów, ale za to zachowamy wille i apanaże. Poddaliśmy się na określonych warunkach, żądamy, aby tych warunków dotrzymywać. Można argumentować, że wyszło taniej, niż gdyby wznosić barykady. Nie zatykam uszu na te argumenty. Ale w takim razie powiedzmy wprost, nie owijając rzeczy we frazesy o przebaczeniu i nie rozdzierając kołnierzyków na trybunie sejmowej, że mamy do czynienia z setkami tysięcy byłych właścicieli byłej PRL, których nie będziemy rozliczać, gdyż w zamian za złożenie broni, za wstrzymanie się od przelewu krwi przyrzekliśmy im w Magdalence w imieniu narodu (do czego nb. może nie mieliśmy prawa...) całkowitą bezkarność.

Jan PROKOP

Martwe jezioro

Zbudziło mnie muśnięcie na policzku. Jakby dotyk mokrych palców.

Była to jedna z wiosennych nocy w Zielonym Lasku. Przyjechałem po kilku zimowych miesiącach po raz pierwszy. Spałem w mniejszym pokoju, pod oknem. Ściany i podłoga pachniały wilgocią. Pamiętam, że jeszcze świecił księżyc. W stawie, na łące świadków Jehowy, odzywały się żaby. Na skraju lasu śpiewały ptaki. Dzwoniło w rynnach po deszczu.

Usiadłem na łóżku i zobaczyłem leżący na podłodze bukietik leśnych fiołków — błękitnooczek. Zerwałem się i wtedy usłyszałem pukanie we framugę. Maria stała za oknem, przyciskając nos do szyby. Musiała wspiąć się na palcach.

Na mokrej trawie leżał czerwony rower.

Kiedy myślę o Marii, widzę jej nos przyciśnięty do szyby tamtego ranka. Piuwe oczy (wtedy nie były kłujące), czarne włosy splecione w krótki warkocz. Była w białej kurteczce. Pamiętam, że nachuchała na szybę i narysowała serce.

Wyrzałem przez lufcik i zapytałem, co się stało?

— Nic. Dowiedziałam się, że jesteś.

Kiedy wchodziła przez okno, zdawało mi się, że wszystkie żaby, ptaki i księżyc razem z nią wchodzi do pokoju.

Krótki warkocz był mokry od deszczu.

Mąż tej kobiety — leśniczy z Lipowa — przyprowadził mnie tutaj po raz pierwszy. Przyjechaliśmy na rowerach — on na tej samej czerwonej damce.

— Niejaki Srebrowicz sprzedaje dom w Zielonym Lasku — powiedział. — Warto zobaczyć.

Zielony Lasek to wieś. Doliną Srebrowiczów nazwałem później przysiółek za rzeką, gdzie były tylko trzy domy — ten, który kupiłem, ostatni.

Przed kilku laty wynajmowałem pokój w leśniczówce Jerominków, ale wtedy mieszkałem już u starej Lotty w Lipowie. Był sierpień — pojechaliśmy drogą nad łąkami, obok cmentarza. Ze skraju lasu zobaczyłem mój przyszły dom — szary i biedny, kryty czerwoną holenderką. Z kominem okopconym u szczytu sadzą. Rowery położyliśmy na trawie — w tym samym miejscu, gdzie teraz położyła damkę Marysia Jerominkowa.

Srebrowicz wyszedł z przybudówki, podciągając spodnie na brzuchu. Później, stojąc pośrodku podwórza między domem a nędznymi komórkami z październowych płyt, rozmawialiśmy na temat transakcji. Dzieci Srebrowiczów biegały naokoło. Najmłodsze baraszkowało pod naszymi nogami. Nad domem z przeraźliwym krzykiem latały jerzyki, nurkując pod okap, gdzie miały gniazda.

Uzgodniliśmy cenę i terminy: w październiku gospodarze mieli opuścić dom. Znaleźli coś większego w Zamordejach, blisko fabryki, w której Srebrowicz pracował. Pamiętam moment dobicia targu — podaliśmy sobie ręce. Nad lasem zachodziło słońce. W brudnych sloikach na sztachetkach rozpadającego się płotu błysnęło czerwono. Najmłodsze dziecko płało się pod nogami. Dolina Srebrowiczów, na którą patrzyłem później siedząc w trzcinowym fotelu, jak na wielkie akwarium pełne krążących jerzyków, śpiewających skowronków, kwilących jastrzębi, z rudym lisem na śniegu — leżała przed nami zielona i cicha. Pamiętam brzozy na skraju lasu, buki i dęby, a dalej korony masztowych sosen. Zapach dymu.

Wszystkie moje przyjazdy do Lipowa, a potem do Zielonego Lasku, z latami coraz liczniejsze, zacierają się powoli w pamięci. Przynajmniej te pierwsze, z dzieciństwa, kiedy byłem dwunastoletnim chłopcem i rodzice wynajmowali w Lipowie pokoje na lato. Przyjeżdżaliśmy z końcem czerwca lub początkiem lipca, na małą stację wśród lasów i stamtąd — wozem zaprzężonym w krępego konika — jechaliśmy dwanaście kilometrów drogami, wzdłuż których rosły lipy i brzozy. Do dziś pamiętam tę nigdy już nie przeżywaną radość, kiedy siedziałem obok ojca lub matki na przykrytej derką desce, na kolebiącym i skrzypiącym wozie, wdychając zapach końskiego potu, siana — trawy, które ciepły wiatr przywiewał z pól i lasów: ziemi, zapachy, sosnowych igieł. Rodzice rozmawiali, czasem jechali z nami inni goście — letnicy, ale ja nie słuchałem rozmów. Odwrócony plecami do kierunku jazdy, patrzyłem na ciągnącą się za nami drogę, na dachy kryte czerwoną holenderką, małe cmentarzyki, żółty kolor piasku w koleinach.

Później przyjechałem tam po latach. Wsiadłem z pociągu o świecie, po nieprzespanej nocy, i poszedłem tą samą drogą i leśnym

traktem. Niewiele się zmieniło — może dachówki spłwiały przez te lata, jak czapki na głowach starych mężczyzn?

W Lipowie zamieszkałem u Wilhelma Stopczyka w drewnianym domu pośrodku wioski — z werandą otoczoną lipami, w których brzękały pszczoły. Kiedy wiał wiatr, lipy szumiały, jakby za domem było morze. Nad moim łóżkiem wisiała ślubna fotografia Stopczyków — stare zdjęcie pod szkłem pożółkło i zbrązowiło. Obok drzwi, na stolku, na którym stały miednica i dzbanek z wodą, wisiała makatka z wyhaftowanym napisem: *Halte Ordnung liebe sie.*

Wynajmowałem łódkę i całe dnie spędzałem na rzece lub jeziorze, łowiąc ryby — najczęściej płocie, okonie i płaskie krasnopory, które brały chętnie na płycznach wzdłuż brzegów. W ciemnej wodzie błyskały jak złote talerzyki. Często towarzyszył mi synek moich gospodarzy, mały Zoni w okularkach w drucianej oprawce (miał silnego zeza). Pomagał mi nieść nad rzekę wiosła i wędki, potem, pod korzeniami olch przy drewnianym moście, zbieraliśmy rosówki wrzucając je do blaszanych puszek, wyciągaliśmy z wody cegły, które zastępowały kotwice, otwieralem kłódkę i odwijalem owinięty wokół pnia łańcuch. Odbijaliśmy od brzegu i płynęliśmy pod mostem w górę rzeki — na pych.

Tej sztuki — pchania łódki pod prąd, przy pomocy żerdzi wbijanej w dno, ustawiania dziobem, utrzymywania kierunku, niezbędnej lekkości przy wszystkich momentach — nauczyłem się w dzieciństwie. Uczyłem się od chłopców z wioski, z którymi pływałem na raki i ryby. Pokazywali, jak trzymać żerdź, jak wbijać w piach, żeby potem, stawiając lewą nogę na ławeczce, całym ciężarem ciała oprzeć się na drągu i pchać łódkę dalej, pod prąd.

Kiedy wróciłem po raz trzeci, po latach, aby kupić dom od Srebrowiczów, nie było już rodziny Wilhelma Stopczyka ani jego chudej żony ani Zoniego w drucianych okularkach. Nie było moich znajomych z dzieciństwa — tych wszystkich Manfredów, Horstów, Willich. Stary most, koło którego stała nasza biało-zielona łódka, rozebrano stawiając na tym miejscu betonowy. To wtedy wynajmowałem pokój u Jerominków, w leśniczówce nad rzeką. Kilka tygodni spędziłem na poddaszu. Pamiętam zapach goździków w stołowym pokoju na dole, gdzie matka Jerominka dawała mi śniadania i kolacje (obiady jadałem w gospodzie). W kącie stała agawa w kwadratowej donicy.

Nie łowiłem już ryb. Usiłowałem pisać pierwszą powieść. Rankami i wieczorami napisałem kilka rozdziałów. Za oknem

miałem konary dębu, dalej siwe świerki. W nocy, kiedy kończyłem pisanie, śpiewały jeszcze słowiki nad rzeką. Skrzyptała stara podłoga.

Przyjechałem w maju lub na początku czerwca. Jerominkowej nie było wtedy w Lipowie — później dowiedziałem się, że była na Śląsku. Pamiętam swoje zaskoczenie, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Chyba wróciłem z „Gwiazdeczki” po obiedzie, otworzyłem drzwi i wszedłem z dworu do korytarza, skąd prowadziły schody na poddasze. Maria właśnie schodziła z góry. Miała na sobie zieloną spódnicę i białą bluzkę bez rękawów. Jej gładko zaczesane włosy wydały mi się kruczoczarne. Nie wiedziałem, że jest tak młoda i dziewczęca — wyobrażałem sobie kręłą kobietę w średnim wieku. Na chwilę zatrzymała się nade mną.

— Zdaje się, że pan u nas mieszka. Jestem żoną Janka.

Wyglądała raczej na córkę. Nie rozmawialiśmy długo. Zapamiętałem piwne oczy i dotyk zimnej ręki. Miała wąskie palce.

Nigdy później nie mieszkałem u Jerominków. Jesienią wynająłem pokój u starej Lotty i zamieszkałem tam, póki nie kupiłem domu w Zielonym Lasku.

Ostatniej nocy w leśniczówce nie mogłem spać. Wydawało mi się, że Jerominkowa idzie po schodach. Księżyc świecił nad lasem, nad rzeką odzywały się słowiki. Czasem szczełał pies.

Rano pośpiesznie zjadłem śniadanie podane przez matkę leśniczego. Maria jeszcze spała. Zabrałem plecak i wyjechałem z Lipowa zatłoczonym autobusem.

Z końcem sierpnia zamieszkałem u Lotty, w jej na wpół zburzonym domu. Wynająłem jedyny zdatny do zamieszkania pokój rudery — z białym piecem, czerwoną podłogą i oknami wychodzącymi na zdziczały ogród, resztki płotu i studnię pod daszkiem zielonym od kępek mchu. Lotta mieszkała po drugiej stronie, w kuchni, do której wchodziło się po kamiennych schodach. Obok były kurniki i parnik bez okienek, w którym przesiadywała gotując ziemniaki wymieszane ze śrutem. Trzymała kilka chudych świń. Pamiętam Lottę w tym parniku, przycupniętą na ławeczce obok pieca, do którego podrzucała brzożowe polana lub bryły węgla. Odwiedzałem ją czasem. Okopcony sagan, błyski ognia pod płytą. Kłęby pary, zapach dymu, gotujących się ziemniaków. Zawsze chodziła w czarnym płaszczu, chustce spadającej na oczy, w szerokich spodniach i starych filcogumniakach. Kiedy szła przez wieś, dzieci biegly za nią wołając: „baba jaga, czarownica”!

Od Jerominka dowiedziałem się, że miała męża i dwóch synów. Żaden nie wrócił z wojny. Może byli w Armii Paulusa

pod Stalingradem? Próbowałem zagadywać o to, ale Lotta jakby kamieniała wtedy. Zapadało milczenie. Raz tylko, kiedy wspomniałem Wilhelma Stopczyka i jego służbę w armii na Wschodzie, powiedziała, że to on widział męża i synów ostatni.

— One żyją — dodała — ja zim... Jednego dnia wrócą, panie.

Zrozumiałem, że czeka na ich powrót. Jakby jeszcze mogli wrócić — trzydzieści pięć lat od zakończenia wojny — w niemieckich mundurach, wychudzeni i postarzały, z całym dobytkiem w plecakach z zielonego brezentu o klapach obszytych kozią skórą: z aluminiową łyżką, dziurawymi skarpetkami i bochenkiem rosyjskiego chleba. Przejść wszystkie granice i rzeki.

Najchętniej opowiadała o dobrych czasach. Była jedynaczką z bogatej rodziny. Także jej mąż, Horst Cieślik, miał kilka hektarów po ojcu. Połączyli hektary i przed wojną mieli tu największą ziemię, stado bydła, owiec, kilkadziesiąt świń, pełne podwórko drobiu.

— Cieśliki najbogatsze były, panie. Teraz takich bogatych nie ma.

Pomyślałem, że jej dziwne zamięłowanie do trzymania wychudzonych zwierząt pozostało z tamtych lat dobrobytu. Te wszystkie nędzne zwierzęta, które Lotta trzymała w powoli chyłającej się ku ruinie oborze, kurnikach i klatkach — chude świnię, stado gęsi (razem z tą kulawą, która wieczorami nie miała siły wracać ze stawu i czasem pomagałem znaleźć ją wśród kęp tartaku i przynieść do obory na noc), kaczkę na wybiegu za drucianą siatką, płochliwe indyki, tak chude, że mogły latać i często siadały wysoko na gałęziach jabłonek w zapuszczonym sadzie, króle w klatkach, jałówek z wrośniętym w szyję łańcuchem, nawet stado gołębi, na wpół zdziczałych — wszystko trzymała po to, aby tamci trzej z frontu wschodniego mieli do czego wrócić. Jakby nie było wojny, Hitlera, Armii Czerwonej i Stalingradu.

Jerominek, który opiekował się starą, często radził, aby pozbyła się całej głodującej czeredy. Ale Lotta nie słuchała rad:

— Ja, panie, dobrze zim, co robię. Wy się o mnie nie martwicie. — I zgięta w pół, w czarnym płaszczu i spodniach przypominających spodnie clowna, odchodziła mamrocząc po niemiecku.

Pisałem powieść patrząc przez okno na studnię pod zielonym daszkiem. Chodziłem na spacer z rudym Fryckiem, żywym kundelkiem, zawsze uwiązany przy budzie z przeciekającym dachem (dach uszczelnilem kawałkami papy).

Lasy we wrześnieu poczerwieniały i pożółkły.

I tak, pewnego dnia — w sobotę lub w niedzielę — po raz drugi wróciła Jerominkowa, o czym dowiedziałem się od Lotty.

— Chora wróciła — powiedziała, kiedy szliśmy wieczorem nad staw. — On ma z nią kłopot. — „On” mówiła o Jerominku.

— Na co chora? — spytałem.

— Na głowę.

Zacząłem świecić latarką, wypatrując w kępach tataraku kulawej gęsi.

Pamiętam, że wsypałem do czajniczka dwie łyżeczki herbaty „Madras” i zalałem wrzątkiem z imbrykiem. Odstawiłem imbryk na elektryczną maszynkę z szamotową płytką. I chyba wtedy usłyszałem pukanie w okno.

Drzwi wejściowe do mego pokoju miały szybki przesłonięte kawałkiem firanki. Wychodziły na schodki nieistniejącego ganku. Trzymając czajniczek, ostrożnie zbliżyłem się do drzwi — obawiałem się Lotty, która czasem prosiła o pomoc przy karmieniu świń lub łapaniu gęsi. Za drzwiami stała Jerominkowa w białej wiatrówce i czerwonej apaszce na szyi. Wiatr wicherzył czarne włosy — wąskie pasemka spadały na czoło. Przytrzymała je palcami lewej ręki, patrząc jednocześnie na ciemną szybę w drzwiach mego pokoju. Kiedy zobaczyła, że uniosłem firankę, cofnęła się o krok.

Otworzyłem drzwi i machnąłem imbryczkiem: — Proszę, proszę! — Herbaciana esencja kapnęła na podłogę.

— Dowiedziałam się, że pan pisze — oświadczyła. — Chciałam o tym porozmawiać. — Pamiętam, że patrzyła na mnie bez uśmiechu, poważna i skupiona.

Posadziłem ją na jedynym krześle z ażurową plecionką w oparciu. Spytałem, czy napije się herbaty? Zgodziła się skwapliwie. Zacząłem myć szklanki nad miednicą, z szafki po oknem wyjąłem cukier i herbatniki. Postawiłem szklanki i talerzyk z herbatnikami na stole. Chyba trochę drżały mi ręce. Uśmiechnąłem się i coś mówiłem do niej, ale dopiero, gdy zaczęliśmy pić herbatę, drżenie rąk przeszło. Usiadłem na stołku pod piecem i chyba wtedy, po raz pierwszy, mogłem przyjrzeć się jej uważnie. Trzymała gorącą szklankę, przekładając z ręki do ręki i dmuchała na herbatę, pochylając głowę, a wtedy pasemka włosów spadały na czoło. Kiedy nasze spojrzenia krzyżowały się, miałem wrażenie, że patrzy przeze mnie lub nade mną, jakby interesowała ją piec.

Rozmawialiśmy o literaturze. Zadawała te wszystkie naiwne pytania: o której godzinie siadam do pisania, czy codziennie piszę po kilka stron, skąd biorę tematy? Przyznała się, że pisze wiersze.

— Proszę mi przynieść — powiedziałem. — Chętnie przeczytam.

Była to z mojej strony świadoma próba podtrzymania kontaktu. Myślałem wtedy o Marii, jak o tych licznych kobietach interesujących się literaturą powierzchownie i płytko. Nic trudnego zdobyć taką.

Umówiliśmy się na czytanie wierszy — zgodziła się przynieść. Zaproponowałem wspólny spacer do lasu: — Jeśli nie będzie padać.

Patrzyłem, jak odchodziła ścieżką między chwastami. Odwróciła się przy furtce. Przez chwilę widziałem białą kurteczkę i czerwoną apaszkę. Na tle żółtych liści klonu. Zniknęła za jabłnkami.

Był koniec września lub początek października. Wieczorami paliłem w piecu, później siedziałem przy lampie z jasnozielonym kloszem, nad stołem z zeszytami w niebieskich okładkach. Frycek szczekał za oknami. Czasem Lotta przechodziła ścieżką mamrocząc po niemiecku. Myślałem o Marii Jerominkowej.

Zaczęły się ukradkowe spotkania. Chodziliśmy do lasu drogą nad jezioro, wśród szpaleru brzoź, z których wiatr zwiwał liście. Pamiętam słoneczne dnie, tę drogę i osypujące się liście, nieustanny szelest pod nogami. Żłoto-żółte brzozy w słońcu. Wydawało się, że las płonie. Przychodziliśmy na pustą polanę nad jeziorem i szliśmy na pomost z siwych desek, do którego latem podpływają kajaki. W pomoście były dziury — trzeba było iść skacząc. Na końcu kładliśmy się nad wodą. Pnie podtrzymujące deski porośnięte były wodorostami, które falowały, jakby jezioro oddychało. Małe cierniki wypływały spod wodorostów i przewracając się na boki błyskały, jak srebrne blaszki. Pachniało mokrym drzewem. Czasem, kiedy przyplływała większa fala, przez pomost przechodziło drzenie.

Na tym pomoście pocałowałem Jerominkową pierwszy raz. Pamiętam odbicia naszych głów w wodzie — to jak zbliżały się do siebie, poczułem zapach jej włosów, potem ciepły oddech na policzku. Odwróciła głowę. Przez deski przebiegło drzenie.

Z tamtych pierwszych spotkań pamiętam jeszcze mały cmentarz za lasem, przy drodze do Garbowa. Poszliśmy w południe, z Fryckiem, którego spuściłem z łańcucha — ścieżką między rżyskami do drogi w lesie i tą drogą dalej, wśród żółtych kolein. Pies, rudy jak wiewiórka, biegł przed nami, czasem ginął wśród drzew.

Za lasem był cmentarz z żelaznym ogrodzeniem pełnym połamanych i wygiętych sztachet i furtką wiszącą na zawiasach. Pamiętam zgrzyt tej furty, to jak wyganialiśmy Frycka spomiędzy grobów. Było ich zaledwie kilka — obsypanych igłami świerków rosnących przy ogrodzeniu. Jerominkowa zaprowadziła mnie na grób dziadków — rodziców matki — Gertrudy i Adol-

fa Grodetzky, jak było wyryte na płycie. Oboje zmarli w latach pięćdziesiątych, być może wtedy, kiedy chodziłem tą drogą z młodszym o dwa lata Manfredem Rudnikiem, synem wdowy, u której wynajmowaliśmy pokoje na lato. Chodziliśmy wieczorami po mleko do Grabowa — tą samą drogą. Zapamiętałem wieczorne spacerzy i zapach lasu po upalnym dniu. Usiłowałem przekonać Manfreda, że jest Polakiem i opowiadałem o Powstaniu Warszawskim. O tym, jak patrzyłem na zasnętą dymami Warszawę z okien kamienicy przy ulicy Filtrowej w sierpniowe przedpołudnie. Niedługo potem pijani żołnierze z brygady Kamińskiego wyrzucili nas z domu i popędzili na Zieleniak ścieżkami Pola Mokotowskiego. Śpiewałem „Marsz Mokotowa”. Opowiadałem zmyślane historie o walkach na barykadach, o bohaterskich czynach powstańców, podczas gdy Mani patrzył na mnie wypukłymi oczami i milczał. W domu rozmawiał z matką po niemiecku, a kiedy zwróciłem mu uwagę, odpowiedział: — Ty w domu rozmawiasz po polsku, nie?

Nigdy tą drogą nikt nie jeździł: nie zapamiętałem żadnej furmanki, nawet rowerzysty. I teraz była pusta. Wypędziliśmy Frycka za ogrodzenie i stali nad grobem dziadków Jerominkowej, nad płytą z niemieckim napisem: „Tu spoczywają w Bogu Gertruda i Adolf Grodetzky”. Odczytałem daty — dziadek zmarł wcześniej, mógł być pochowany w dniu, kiedy wieczorem przechodziliśmy dzwoniąc kanką na mleko i ja nuciłem „Marsz Mokotowa”, ale nie pamiętam mogiły z tamtych lat. Nie pamiętam nawet, że był tu cmentarz. Maria uknęła i modliła się chwilę. Stałem obok i zdawało mi się, że modli się po niemiecku. Za ogrodzeniem skamlał Frycek.

Wolno wracaliśmy przez las.

Jerominek przyszedł około ósmej, po ciemku — usłyszałem mocne pukanie w okno. Przez cały dzień spodziewałem się odwiedzin jego żony — wyglądałem czasem zza firanki, póki było jasno. Później nasłuchiwałem tylko delikatnego pukania w szybę. To pukanie było mocne i obce. Otworzyłem, zdziwiony, i zobaczyłem Jerominka w okrągłej czapce leśniczego, w mundurze ze srebrnymi galonami na kołnierzu kurtki, patrzącego mi w oczy prosto, bez uśmiechu, jakby nagle postarzałego i obcego.

— Proszę — powiedziałem — proszę. I czułem chyba, jak zasycha mi w ustach. Spodziewałem się ostrej rozmowy, jego wyrzutów i gniewu, ale Jerominek usiadł w milczeniu na starym krześle, zdjął czapkę, przyglądał siwe włosy i powiedział: — Zaczął się u niej nawrót. Przyszedłem prosić o pomoc.

Z początku nie mogłem zrozumieć: — Co się stało? Jaki nawrót? U kogo? — Zadałem kilka chaotycznych pytań. A potem

przypomniałem sobie słowa Lotty i pomyślałem: „zachorowała na głowę”.

Powiedział, że wczoraj wieczorem to się stało — nie spodziewali się tak silnego nawrotu. Zaczęła od wymysłów na męża i od oświadczenia, że kocha innego. On — mówiła podobno o mnie — chętnie by się ze mną ożenił, ale ty na pewno nie dasz rozvodu!

Siedziałem przygnębiony. Jerominek powtarzał słowa swojej chorej żony cicho, patrząc w podłogę. Chwilę trwało milczenie. Potem poprosił, abym pomógł mu odwieźć Marię do szpitala w M. — tam gdzie zawsze przebywa — powiedział. — Ona chce, żeby pan był przy niej.

Włożyłem kurtkę, zgasilem lampę i wyszliśmy z pokoju na schodki przed nieistniejącym gankiem. Idąc za Jerominkiem w stronę furtki, słyszałem szelest suchych chwastów.

Szliśmy po ciemku przez wieś, potem przez most w stronę lasu. Pobrząkiwał dzwonek na kierownicy roweru. Z daleka zobaczyłem światło nad werandą, potem weszliśmy do sieni i pamiętam, że przestraszyłem się, kiedy zobaczyłem Marię na schodach. Wyszła pewno z pokoju, który kiedyś wynajmowałem. Była boso, w rozpiętej bluzce, włosy miała rozpuszczone. Najbardziej zmienione wydały mi się oczy. Jakby coś klującego miała w źrenicach.

— Jesteś! — powiedziała głośno. — Przyszedeł mój ukochany!

Wszystko później mówiła w ten obcesowy i poufaly sposób, w jaki nigdy przedtem nie odzywała się. Stałem obok jej męża, kiedy podbiegła do mnie i zarzuciła ręce na szyję: — Zabierz mnie od niego, zabierz! Ty! — krzyknęła odwracając się. — Ty, upiorze!

Czułem jej ciepłe piersi pod rozpiętą bluzką. Zapach włosów.

— Marysiu — powiedziałem i znów zaczęło mi zasychać w ustach — pojedziemy do szpitala. Wszystko będzie dobrze.

Staliśmy chwilę na progu kuchni, przytuleni, gładziłem ją po głowie. Jerominek wyszedł, żeby przygotować samochód do drogi. Jego matka w milczeniu pakowała torbę — ręcznik, mydło, nocną koszulę, pamiętam, że wkładała jabłka, chyba złote renety, które wyjmowała z koszyka na stole.

Maria zaczęła tańczyć na palcach bosych stóp. Obracała się w miejscu. Jej plisowana spódniczka uniosła się, jak spódniczka baletnicy. Zaspiewała nienaturalnie cienkim głosem: „Hej, przeleciał ptaszek, kalinowy lasek...”

Stałem w drzwiach, potem usiadłem na ławie pod ścianą wyłożoną kafelkami. Wtedy podbiegła i usiadła mi na kolanach. Oparłem się o białą ścianę i poczułem chłód kafli na plecach.

— Mój królewiczu! szepnęła. Pocałowała mnie w policzek. Zerwała się po chwili i znów zaczęła krążyć po kuchni. „Hej, przeleciał ptaszek...” Słyszałem szelest granatowej spódnicy.

Jerominek wrócił z podwórza. Skinął głową, stojąc w drzwiach. Domyśliłem się, że samochód gotowy do drogi. Wstałem, podszedłem do Marii i wziąłem za ręce: — Chodźmy.

Nie opierała się.

Jerominek zabrał przygotowaną torbę, jej płaszcz i pantofle. Wyszliśmy przed dom, na podwórze. W ciemności turkotał na jałowym biegu silnik syrenki. Położyłem rękę na ramieniu Marii i poprowadziłem w kierunku samochodu. Szła posłusznie, jakby nagle pogodzona z losem. Czułem lekkie drzenie jej ramion. Jerominek szedł za nami.

Usiedliśmy z tyłu. Światła wozu omiotły podwórze przed leśniczówką, stary dąb, świerki — wyjechaliśmy na drogę, w las. Kiedy na chwilę odwróciłem głowę, zobaczyłem teściową Marii na schodach przed werandą. Trzymała ręce przyciśnięte do policzków.

Jechaliśmy dwie godziny w milczeniu. Czasem Jerominek odwracał się i patrzył na nas z ukosa. Maria siedziała przytulona do mnie, głowę położyła na moim ramieniu. Wydawało się, że śpi, ale kiedy przejeżdżaliśmy przez miasteczka i w świetle latarni patrzyłem na nią, zawsze miała oczy otwarte. I zawsze patrzyła w jeden punkt przed maską wozu.

Pamiętam, jak krzyknęła nagle: — Stań, upiorze! Szczać mi się chce!

Jerominek zjechał na pobocze — było już niedaleko M. Wysiadła z Syrenki i pobiegła w światłach samochodu za rów, podkasując w biegu spódnicę. Chyba wtedy poczułem ucisk w gardle, który potem długo nie chciał ustąpić.

Kiedy dojechaliśmy do szpitala, zaczęło się długie dobijanie do drzwi (dzwonek był zepsuty). W końcu wpuścił nas zaspany portier, a potem przyszła ta opryskliwa pielęgniarka krzycząc: — Za dnia mało mieliście czasu, co?

— Ostrem tonem zwróciła się do Marii: — Nakładaj pantofle, szybko!

Zachnąłem się, pamiętam i powiedziałem, że mówi niewłaściwym tonem. — Cóż to za obyczaj w tym szpitalu? — spytałem, ale ona tylko głośniej rozkrzyczała się: — Co? Nawet butów nie potrafiliście chorej nałożyć!

I poszły korytarzem oświetlonym sinym światłem. Pielęgniarka niósł torbę i płaszcz. Pamiętam, że obcasy pantofli, które Maria pokornie włożyła, zastukały na szpitalnej posadzce. Na końcu długiego korytarza były drzwi, za którymi znikli.

Później wracaliśmy dwie godziny pustymi drogami, w milczeniu. Pamiętam zające w światłach, umykające spod kół.

Srebrowiczowie wynieśli się z Zielonej Doliny w listopadzie — kilka tyg. dni po wspólnym wyjeździe od notariusza. Srebrowiczowa pr. yniosła mi kluczyk na różowej tasiemce. Do kłódki, na którą zamknęli drzwi wejściowe. Pojechałem tam na rowerze, następnego dnia, omijając kałuże i chuchając na przemian w zmarznięte dłonie. Tą samą drogą, którą w sierpniu przyjechaliśmy z Jerominkiem. Tak samo stanąłem na skraju lasu, żeby popatrzeć na dom w zielonej dolinie — szary teraz, za szarym polem. Wnętrze pachniało biedą — na różowych ścianach wykwitły plamy wilgoci. Farba na drzwiach łuszczyła się. Patrzyłem przez okno na suche chwasty w ogródku, na te same brudne słoiki na sztachetach płotu. Kiedy wyszedłem przed dom i spojrziałem na dolinę, zobaczyłem lisa biegnącego łąką świadków Jehowy, za stawem. Leżało tam trochę pierwszego śniegu sprzed kilku dni i jego rude futro przypominało pełzający po śniegu płomyk. Biegł truchtem, z opuszczoną głową i zniknął za łożami.

Po kilku dniach wyjechałem do miasta. Zimą pewno tylko sikorki bogatki i gile siadały na łądach chwastów pod płotem.

Przed świętami Bożego Narodzenia wysłałem kartkę z życzeniami: „J. Jerominek, Lipowo”. W post-scriptum pytałem o żonę, ale odpowiedzi nie otrzymałem. Dopiero w kwietniu, kiedy przyjechałem do Zielonego Lasku, żeby zająć się remontem domu, dowiedziałem się, że jest w szpitalu. Przez kilka tygodni była w domu, później stan pogorszył się i mąż odwiózł ją do M. Dowiedziałem się wszystkiego od Lotty, do której zaszedłem po drodze do leśniczówki.

Siedziała na ławeczce w parniku, obok pieca, na którym dymił sagan z kartoflami i śrutem. Spojrzała na mnie, kiedy stanąłem w drzwiach i powiedziałem nie czekając na „dzień dobry” : — Dopsze, dopsze! Pomoże zanieść garnek świniom!

Kucnąłem na wysokim progu a potem, po kilku zdawkowych zdaniach, spytałem: — Co u Jerominków?

Lotta popatrzyła na mnie spod chustki na oczach i powiedziała: — O żonce chce wiedzieć, ja zim. Oddały do szpitala.

Zachnąłem się: — Tyle miesięcy minęło, to niemożliwe, pani Lotto!

Wtedy stara powiedziała: — Była tu zimą. Szukała. Pukała w okienko. — Zobaczyłem bezzębny uśmiech.

Tyś jeszcze chora, jo? — powiedziała Lotta wychodząc z parnika i mrużąc czerwone oczy przed słońcem. — Kogo tu szuka?

Wróciłem do Zielonego Lasku.

Remont zacząłem od wstawienia dwóch szyb wybitych przez dzieci Srebrowiczów. Później sprowadziłem studniarza, Gerarda Nalepę z Lipowa, którego polecił mi jesienią Jerominek (Srebrowicze nie mieli studni: wodę brali z rzeki lub od sąsiadów). Gerard Nalepa przyszedł z pomocnikiem, panem Kostkiem — barczystym trzydziestolatkiem, nieogolonym i milczącym.

Był słoneczny dzień — nad domem śpiewały skowronki. Studniarz z Lipowa — w splowiałej kurtce żołnierskiej, rogatywce bez orzełka, granatowych spodniach i półbutach na bosych nogach — chodził po podwórzu sprawdzając, w którym miejscu jest woda. Trzymał różdżkę w palcach za dwa cienkie pędy — koniec dotykał wypiętego brzucha. Kilkakrotnie różdżka obracała się w dół zataczając łuk w powietrzu, jakby ciężąc ku ziemi. Studniarz zatrzymywał się wtedy i patrzył na mnie, podczas gdy pan Kostek szedł, żeby wbić kołek. Tych kołków nabijał z dziesięć, ale wybrałem miejsce niedaleko komórek — trochę niżej, kilka kroków od przybudówki. Kopać Nalepa miał „do wody”, co oznaczało, że jeśli nie dokopie się w jednym miejscu, zacznie w drugim.

Pojechałem po cembrowiny do Kolna. Był tam podobno zakład, w którym można było dostać tak zwane setki lub osiemdziesiątki. Studniarz radził osiemdziesiątki: — Po co panu duże koła? Byłe woda była.

Wyjechałem rano, o piątej, pierwszym autobusem z Lipowa. W Kolnie chodziłem kilka razy między biurem spółdzielni a zakładem produkcyjnym na dwóch krańcach miasta, i w końcu opłaciłem rachunek, dostałem fakturę i znalazłem prywatną ciężarówkę z kierowcą, który zgodził się zawieźć cembrowiny. Piętnaście kręgów trzeba było wtoczyć po deskach na platformę z rampy, pod którą podjechalśmy. Pamiętam mgłę przed oczami i pot spływający po czole i karku. Był upał. Odetchnąłem, kiedy wyjechaliśmy z miasta. Do szoferki nawiał chłodnego powietrza przez otwarte okna.

To był stary studebacker lub ford, pamiętający czasy drugiej wojny — w szoferce pachniało towotem. Mały medalik z Matką Boską Ostrobramską wisiał na łańcuszku pod lusterkiem. Wozem, nadmiernie obciążonym, kołysało. Na zakrętach zdarzały się niebezpieczne przechyły, cembrowiny podskakiwały, przesuwały się na tył platformy, grożąc wyłamaniem klapy.

Kierowca, w wąskich spodniach w prążki i błękitnej koszuli, wydawał się typem wesołka zadowolonego z siebie. Przed wyjazdem z miasta zabraliśmy młodą kobietę z dwiema dziewczynkami. Mówił do kobiety „Dorotka”. Później przez pół godziny przekomarżali się, nie zwracając uwagi na mnie i dziew-

czynki. Młodsza, chyba trzyletnia, usiadła na moich kolanach, starsza na kolanach matki.

— No i jak, Dorotka, szczęśliwa? — pytał wesolek. — Męża zostawiła samego?

Kobieta wracała ze szkoły gminnej, do której chodziła starsza dziewczynka. Z okazji „Dnia Matki” urządzono uroczystość. Wiozły goździki przystrojone gałązkami asparagusa i wstążeczką.

— A Władek jaki jest? Ciągłe pije?

Dorotka śmiała się: — Czego taki ciekawy? Zazdrosny?

— Pewno, że zazdrosny. Kobieto, coś ty najlepszego zrobiła? Czego nie zaczekała na mnie?

— Nic straconego — mówiła Dorotka — jak mnie weźmiesz z dziećciakami, już lecę!

— No i dobrze. No i będzie święto podnoszenia dyszla! — śmiał się wesolek. Mrugał do mnie.

Kiedy matka z dziewczynkami wysiadła, powiedział: — Kiedyś z nią chodziłem, nie? Ale jak poszedłem od wojska, to starzy wydali za innego. Nie miałem hektarów. Teraz ma: dzieciaki, hektary i męża pijaka! — Zamyślił się i zamilkł na chwilę. Później zaczął opowiadać o innych kobietach: — W Kolnie każdą mogę mieć. Słowo honoru. Jest fach, warsztat, dwa wozy. Ale nie spieszę się do tej mitręgi. Zdązę! — zaśmiał się głośno.

Patrzyłem na medalik z Matką Boską, na drogę wijącą się przez lasy, mrużyłem oczy przed słońcem. Wjechaliśmy w pewnej chwili między łany kwitnącego rzepaku i zapach pola wypełnił kabinę szoferki.

Dojechaliśmy do Zielonego Lasku o pierwszej. Drewniany most zatrzeszczał pod ciężkim wozem. Wesolek wjechał na podwórze zahaczając o skrzydło drewnianej bramy. Ustawił studebeckera tyłem do sterty piasku, aby łatwiej było staczać cembrowiny po deskach.

Nim odjechał, poczęstowałem go szklanką herbaty i kanapkami z boczkim, który pokroiłem w cienkie plasterki i położyłem na chlebie.

Dnie były słoneczne. Budziły mnie o szóstej piski kołowrotu, który Nalepa ustawił nad studnią. Pan Kostek siedział na dnie, pod kręgami, i nabierał saperką piasek do wiaderka, które Nalepa spuszczał po linie. Potem wiadro pełne piasku wyciągał z dołu, kręcąc korbą kołowrotu. Przychodzili o piątej. Kiedy zaspany stawałem na progu, sarta piasku zawsze była większa. Na wierzchu lśniły wilgotne kamienie. Kręgów powoli ubywało — stawiane jeden na drugim osuwały się w głąb ziemi w miarę, jak pan Kostek kopał saperką i wrzucał do wiadra mokry piach.

W południe jeździłem załatwiać niecierpiące zwłoki sprawy:

szukałem rywniarza, rozmawiałem z dekarzem w Lipowie i cieślą w Rydze. Ten rywniarz przyjeżdżał później przez kilka dni. Zapach rozgrzanej lutownicy, którą lutował segmenty rur, mieszał się z zapachem ziemi i piachu. Jeździłem po deski na nową podłogę do tartaku w Grabowie, po cement na stemple betonowe pod domem. W okolicznych sklepach GS-u kupowałem narzędzia, których nie miałem: piły, młotki, heble, poziomicę. Żabkę do zrywania starych podłóg.

Nad domem śpiewały skowronki.

Nalepa opowiadał o wojnie. Dwa lata spędził w łagrze za Uralem. Potem szedł z kościuszkowcami od Lenino do Berlina. — Teraz, panie — mówił — tych zbowiedowców przybywa, a ja ich prezesem na ich terenie mógłbym zostać. Ale po co?

O dziesiątej siadaliśmy na deskach. Przynosiłem herbatę w fajansowych kubkach o poobtlukiwanych brzegach (kilka takich kubków znalazłem na strychu). Nalepa wyciągnął śniadanie z teczki zapinanej na postrzępione paski. Najczęściej zawinięte w gazetę pajdy chleba, ćwiartkę kielbasy zwyczajnej, obraną z łusek cebulę lub pęczek czerwonych rzodkiewek. Dla pana Kostka przynosiłem chleb z boczkiem lub z kawałkiem żółtego sera. Wiatr przynosił zapach kwitnącej nad rzeką czeremchy, zapach jabłoni lub gruszy-dziczki, kwitnącej na miedzy. Nalepa opowiadał o bitwie pod Lenino: — Do przodu szliśmy, w pierod! U Ruskich nikt nie pytał, czy możesz iść. Musisz! Jak przeżyjesz, to wygrasz, jak nie, to nawet imienia nikt nie zapamięta. — Śmiał się chrapliwie.

Herbata plujka wydawała się czarna na dnie fajansowych kubków. Parzyła w usta. Tors pana Kostka świecił od potu. Błyszczały mokre kamyki na stercie piasku przy studni.

Czasem przychodził Pietrek-czternastolatek, syn wdowy z pięciorgiem dzieci. Pomagał Nalepie przy wyciąganiu piachu. Kiedy studniarz o trzeciej znikał na godzinę — zostawiał chłopca przy kołowrocie. Kostek z początku protestował: — Spuści wiadro na głowę i po człowieku! Nie trzeba Lenino, panie Nalepa!

Ale Pietrek przystępował do pracy skupiony — trzymał korbę oburącz, chwycił wiadro w chwili, gdy pałak stukał o kołowrót. Jego ojciec-pilarz zginął w lesie przygnieciony sosną.

Częstowałem Kostka i Pietrka obiadem, jeśli udało mi się dostać poprzedniego dnia kawałek mięsa (najczęściej wołowinę z kością, na której gotowałem rosół). Otwierałem puszki z mielonkami, gotowałem ziemniaki. Talerze z parującym rosołem wносиłem przed dom i stawiałem na deskach. Po obiedzie czekaliśmy na powrót Nalepy.

Oni kopali tę studnię już dwa tygodnie — codziennie od rana do zmroku. Narzekali, że ciężko idzie, kamienie były coraz większe. — Głazy narzutowe — mówił Nalepa — jebut-twojuma! — Trzeba je było wyluskiwać z piachu, podważać kilofem.

O dziewiętej wieczorem pomocnik Kostek wychodził z dołu czepiając się sznura i wpierając nogami w betonowe kręgi. Na kędzierzawych włosach, na policzkach, lśnił mokry piach.

Zdarzały się przerwy, zwłaszcza w deszczowe dnie. Zamiast pisków kołowrotu budził mnie rano rechot żab lub monotony szum deszczu. Pobrząkiwanie rynien pozakładanych niedawno. Czekaliśmy z Pietrkiem na próżno, ponieważ Nalepa z Kostkiem najczęściej nie przychodzili. Później zorientowałem się, że spędzali przedpołudnie w „Gwiazdeczce”.

Było pusto i cicho. Drewniany szkielet z kołowrotem stał nieruchomo nad dołem. Zawieszona na linie wiadro kołysało się poskrzypując.

Pietrek opowiadał o śmierci ojca: zginął w czasie zimowych wyrębów. Był doświadczonym drwalem, pracował w lesie przez dwadzieścia lat. Kiedy o zmroku nie wrócił do domu, poszli z matką do lasu. Matka coś przeczynała, bardzo była niespokojna. Szli w kotłowanie gałęzi, brnąc po kolana w śniegu — doszli do kraju wyrębu. Pod drzewami paliły się ogniska. Obok zobaczyli drwali — kolegów ojca. Stali przy leżącej sośnie. Dalej były wozy i konie przykryte derkami. Pietrek zapamiętał ogniska, ich odbłask na pniach drzew, na derkach koni i ubraniach mężczyzn. Pachniało dymem i końskim nawozem. Kiedy poszli bliżej, zobaczyli, że pod pnem leży ojciec. Nogi w czarnych filcogumniakach miał po jednej stronie, głowę pod drugiej. Chyba już nie żył, chociaż niektórzy drwale mówili, że jeszcze szeptał przed chwilą.

Marka ukłękła przy nim, podłożyła pod głowę czapkę z nausznikami. Śnieg był zdeptany. Pietrek pamiętał niespokojne parskanie koni.

— Później biegał dwa kilometry po leśniczego — opowiadał. — Z leśniczówki dzwonił po lekarza. Przyjechał felczer karetką pogotowia. Narzekał, że musi iść przez tę kotłowaną gałąź. A kiedy doszliśmy, powiedział: „Jemu już aniołowie śpiewają”.

— Kiedy wszyscy odeszli, zostaliśmy z matką sami. Ogniska przygashały. Matka odmawiała „Wieczny odpoczynek”. Kończyła i zaczynała od początku, a ja klęczałem obok, aż mi spodnie przemokły na kolanach. Wracaliśmy po nocy — w domu płakały siostry. Ojca dopiero rano wyciągnęli spod drzewa. Przyjechali „Detem” do zrywania korzeni i odciągnęli pień.

Milczeliśmy siedząc na deskach. Latały jerzyki, szumił las.

Chyba wtedy przyjechał pijany Nalepa. Usłyszeliśmy brzęk za płotem. Śmiech i krzyk dzieci. Tupot uciekającej gromadki. Wyrzałem na drogę. Nalepa z opuchniętą twarzą, w tej splówiającej kurtce żołnierskiej i półbutach na bosych nogach, podnosił się z ziemi. Zaczął szukać rogatywki w trawie. Na ścieżce leżał czarny rower.

— Magistrze! — zawołał, kiedy mnie zobaczył — jutro będzie woda. Mur!

Ale następnego dnia Kostek wyrzał z dołu i powiedział, że dokopał się do kamienia tak wielkiego, jak dom Srebrowiczów. Stał na kamiennej podłodze o którą stuknęły kręgi. Odrzucił saperkę, podciągnął się na rękach, przełożył nogę przez ostatnią cembrowinę i wyszedł z dołu.

Nalepa kłął: — Jebut-twoja-ma! — Cisnął splówiałą rogatywką o piach. Wsiadł na rower i odjechał.

Później przez kilka dni wyciągali cembrowiny. Wzięli do pomocy Władka-kierowcę — zięcia sąsiadów. Ustawili rusztowanie nad dołem, spuścili stalowe liny na dno. Kostek zaczepił haki pod krawędzią ostatniego kręgu. We trzech zaczęli obracać kołowrót. Liny napięły się, rusztowanie zachwiało, wiązania trzeszczały. Wolno, centymetr po centymetrze, kręgi ruszyły w górę. Pierwszego dnia wyciągnęli dwa. Później poszło prędzej.

Najlepiej pamiętam wieczorne rozmowy na deskach. Kostek myje pod przechyloną konewką ręce i twarz, wyciera brudnym ręcznikiem tors. Nalepa siada obok Władka-kierowcy. Pałą. Czerwone punkciki papierosów widać z daleka. Półbuty Nalepy leżą w trawie. Sine stopy studniarza. Niosę na desce fajansowe kubki z parującą herbatą. Parzą palce. Nad nimi mrugają gwiazdy, zamiast jerzyków zaczynają krążyć nietoperze. Bezgłośnie przelatuje lelek. Nalepa opowiada, jak zdobywali Berlin. Słyszemy łoskot ognia w płonących domach, wałą się betonowe stropy, strzelają niemieckie haubice, grają ruskie katusze. Słychać chrapliwe „Hurrrraa!” Starszy strzelec Nalepa biegnie pod murem ściskając drewnianą kolbę ruskiej pepeszy.

Jednego z takich wieczorów widzieliśmy nad lasem niebieskiego posłańca, jak powiedział później pan Kostek żegnając się palcami złożonymi w szczyptę. Pamiętam, że Nalepa umilkł nagle i pokazał światło, które zapaliło się nad doliną. Była zasnutą mgłą, jak dymem: łozy i staw przykryte białym oparem. Rechot żab wydawał się przytłumiony. Krążyły nietoperze. Wiało od łąki wilgocią. Tylko deski pod nami — wygrzane słońcem — były suche i ciepłe. Pachniały lasem.

To światło pojawiło się nagle — przygasło i jaśniało, jakby

pulsowało otoczone ciemniejszą poświatą. Przypominało pomarańczowy księżyc w lisiej czapie. Patrzyliśmy w milczeniu, dopóki nie znikło: zgasło nagle rozplywając się nad lasem.

— Co to było? — zapytał pan Wladek i rozkaszał się głośno.

Wstaliśmy wszyscy, pamiętam, i podeszli bliżej płotu nad drogą, spodziewając się zapewne, że stamtąd lepiej będzie widać to zjawisko. Tę dziwną lampę — nie lampę. Po chwili zapaliła się znowu. Blisko teraz, wyraźnie widoczna. Była pomarańczową kulą zawieszoną nad lasem, jakby pulsującą w ciszy, która zapadła. Wydawało się, że światło płynie wolno nad drzewami. Wierzchołki sosen pojaśniały — widać było nawet pojedyncze gałęzie. Staliśmy wstrzymując oddechy, podczas gdy kula przysała i świeciła mocniej na przemian. Zmieniała położenie.

Spojrzałem na zegarek — było dwadzieścia po dziesiątej. W oknach świadków Jehowy zgasły światła. Umilkły żaby. To światło jeszcze dwukrotnie gasło i zapalało się znów. Wszystko trwało dziesięć minut, może kwadrans. Potem lampa zgasła po raz ostatni i więcej nie zaświeciła. Pietrek mówił, że widział odlot obłoku — ten szybki ruch w górę, na chwilę przed zniknięciem. Gdzieś do gwiazd, w przestrzeń. Zostały ciemne sosny po tamtej stronie doliny. Odezwały się żaby, zapaliły światła u świadków Jehowy. Wróciliśmy na deski.

— Posłaniec niebieski — powiedział szeptem pan Kostek. I przeżegnał palcami złożonymi w szczyptę.

Nalepa zaśmiał się krótko: — Tak jest, kosmiczna sonda od czerwonych! Mówię wam.

Kierowca kaszłał. — Jaka sonda? Czego by szukali u nas? Tu tylko las i las.

Nalepa zwrócił się do Pietrka: — Leć, chłopak, do świadków, spytaj, czy też widzieli?

Ale świadkowie nie widzieli nic: — Światło w domu zgasło, mówili. Myśleli, że awaria transformatora.

Kostek nie odezwał się więcej. Siedział w kukki, wsparty plecami o deski i palił w milczeniu. Tylko zięć Grabowskich zrywał się jeszcze dwa razy: — Jest! — wołał z nadzieją.

Ale nad lasem świeciły gwiazdy.

Czasem odwiedzał mnie Hans Jedwabniczek — sąsiad, świadek Jehowy. Zdejmował półbuty przed domem i wchodził do kuchni boso lub w skarpetkach. Był trochę onieśmielony, pochylał głowę w progu: — Można?

Przychodził z „dobrą nowiną”, jak mówił, aby przekonać mnie, że zbawienie i życie wieczne będzie udziałem tylko wybranych, którzy pójną za głosem Pana Boga przemawiającego ustami świadków Jehowy.

— Cała prawda jest w Piśmie Świętym — mówił. — Kto czyta Pismo Święte, zbliża się do prawdy, ale tylko nieliczni dostąpią zbawienia, ponieważ tylko nieliczni wiedzą jak czytać i tłumaczyć Pismo. Tylko my poznaliśmy tajemnicę Boga.

Próbowałem żartować: — Tylko wy miałibyście patent na prawdę i łaskę? Po cóż w takim razie Bóg dawał życie miliardom ludzi przed wami, teraz i po was: tylko po to, aby wszystkich skazać na potępienie?

Ale mój sąsiad nie lubił żartów na temat boskich intencji. Jeśli nie potrafił odpowiedzieć na podchwytliwe pytanie, mówił: „nie wiem tego, ale i tak wiem, że Bóg wybrał nielicznych, aby głosili prawdę i tylko tych wynagrodzi”.

— Cóż się stanie z miliardem Chińczyków? — pytałem, — Z milionami wyznawców innych religii, z których każda głosi, że tylko ona zapewnia wieczne zbawienie?

— Ci ludzie nie mają racji — odpowiadał Hans Jedwabniczek. — A my już jesteśmy wszędzie: w Azji i Afryce, w Ameryce i Australii. Zaznajemy prześladowań i wielu cierpień — mówił pijąc herbatę ze szklanki, którą stawiałem przed nim.

Siadywaliśmy zwykle w kuchni, pod obrazkiem przedstawiającym amerykańskich kosmonautów na księżycu. Tego obrazka Hans Jedwabniczek jakby nie dostrzegał. Opowiadał o świadkach Jehowy — poborowych, którzy odmawiali służby i szli do więzienia lub łagru.

— Nam nie wolno brać broni do ręki. Czy nie inaczej wyglądałby świat, gdyby wszyscy tak samo postępowali? „Nie zabijaj” — mówił. — Praw boskich nie wolno zmieniać. Nadchodzi sprawiedliwy koniec! Powiedzione jest w Piśmie Świętym: „Stanie się za życia jednego pokolenia”. Przyjdą wojny, głód, klęski. Będzie zagrożona przyroda. Ptaki spadną z nieba, wody będą zatrute — czy nie jest tak? Minie dziesięć, może dwadzieścia lat i Bóg wymierzy sprawiedliwość. Zniszczy królów ziemskich, odda ziemię dzieciom swoim.

Siedzieliśmy w milczeniu po tych słowach. Zrozumiałem, że ten Mazur, pamiętający czasy niemieckie, Hitlera, wojnę i nadejście Rosjan, czeka na koniec świata i na sprawiedliwość, którą wymierzy Bóg.

— Nie ma czasu — powtarzał mieszając cukier w szklance — tylko sprawiedliwi będą zbawieni. Ludzie zostali po to stworzeni, aby sławili imię pańskie.

— Tu, na ziemi — nie ustawałem w wyrażaniu wątpliwości — człowiek ciągle musi być posłuszny, w coś wierzyć, kogoś podziwiać. Czy nawet po śmierci nie zazna spokoju? Czego chcecie? Dlaczego mam kochać najwyższą istotę nie tylko przez krótkie życie doczesne, ale na zawsze, bez końca i bez nadziei na śmierć? Po co, panie Jedwabniczek?

Hans Jedwabniczek pocierał policzki porośnięte rudym zarostem i patrzył na mnie jasnyniebieskimi oczami. Muchy na szybach pobrzękiwały w ciszy.

— Tak trzeba — odpowiadał po chwili. — Tylko ci, którzy wierzą w Boga będą zbawieni.

Bardzo rzadko udawało mi się odwrócić uwagę gościa niespodziewanym pytaniem. Wtedy zmieniał się, porzucał biblijny ton i wracał z nieba na ziemię. To był prosty człowiek — w przepoconej koszuli, skarżący się na gościec, opowiadający o życiu w Dolinie Srebrowiczów w czasach niemieckich i podczas wojny. Człowiek, z którym można było porozmawiać o zaprawie murarskiej, o szamotowych ceglach, o papie i spróchniałych wietrznicach na dachu.

Zegnaliśmy się późno, odprowadzałem Jedwabniczka do furtki i patrzyłem odchylając gałęzie jaśminu, jak idzie przez łąkę w stronę domu pod jesionami. Jego gruba żona wołała coś po niemiecku, gęsi zanosily się gęganiem i trzepocząc skrzydłami biegly na spotkanie gospodarza.

Mijał tydzień i Hans Jedwabniczek znowu wchodził do mojej kuchni zostawiając półbuty za progiem, siadał pod obrazkiem przedstawiającym amerykańskich kosmonautów i zaczynał tonem kaznodziej: — Nie ma dużo czasu. Ci, którzy nie idą za głosem Boga, będą zgubieni. To tak jak tonącemu nie podać ręki. Proszę zrozumieć.

Parzyłem herbatę. Za oknem Kostek i Nalepa kopali drugą studnię. Kwitły jaśminy.

Tu, w dolinie Srebrowiczów, istotnie mógł mieszkać Bóg, myślałem czasem, siedząc w trzcinowym fotelu przed domem. Najczęściej siadałem pośrodku podwórza, obok młodej brzoźki, którą Srebrowicz ogrodził starymi oponami. Opony wyrzuciłem pierwszego dnia — zaraz po przyjeździe. Chętnie siadałem w cieniu drzewka. W pochmurne dni przysuwałem fotel blisko pnia i czułem, jak brzoźka drży w podmuchach wiatru.

Patrzyłem na dolinę. Na martwe koryto rzeki za łożami. Najczęściej myślałem o Bogu po rozmowach z Hansem Jedwabniczkim. Może upodobał sobie to miejsce? Może ta świecąca lampa sprzed kilku dni — UFO, niebieski posłaniec — to właśnie znak? Dowód, że istnieje świat, którego nie znamy? Przeczujemy tylko istnienie modląc się i składając ofiary od tysięcy lat? Zawsze patrząc na niebo, zawsze z nadzieją?

Odwiedzały mnie także dzieci. Była tu ich cała gromada — małych Jedwabniczków i wnuków drwala Grabowskiego, którego rodzina mieszkała obok. Za rzędem jesionów i lip posadzonych kiedyś na między między parcelami. Dalej, za lipami, stały na

wpół walące się szopy, obórka i kurniki kryte papą, a za nimi murowany dom, niewidoczny z mojego podwórza, w którym mieszkali starzy Grabowscy z córką i zięciem, panem Władkiem — kierowcą z nadleśnictwa. Jego dwóch małych synków odwiedzało mnie czasem: starszy Mariuszek i młodszy Krzyś w niebieskiej czapeczce z daszkiem spadającym na oczy. Z tego powodu musiał zadzierać głowę, aby widzieć cokolwiek. Próbowalem czapkę nałożyć inaczej — daszkiem do góry, ale starszy brat naciągnął mu z powrotem na oczy i malec znów patrzył spode łba. Siadali na deskach, naprzeciwno, i sześcioltni Mariusz w kamizelce z żółtej włóczki, bystry piwnooki chłopaczek, zaczynał opowiadać mrozące krew w żyłach historie, które wydarzyły się w okolicy. Wszystkie gdzieś w Zielonym Lasku, bądź w Lipowie, w lesie i na polach — historie wymyślone zapewne przez starego Grabowskiego. Młodszy, trzyletni Krzyś, ssał cukierki, którymi częstowałem gości i milczał. Wymawiał tylko niektóre wyrazy, śmiesznie przekręcając, a wtedy brat poprawiał go, wykpiwając i przedrzeźniając.

— Dziadek mówił — opowiadał Mariuszek — że na cmentarzu psy rozgrzebują groby. Kości umarłaków świecą w nocy. Coś wyje, to podobno złe dusze diabeł катуje.

— Widziałeś te kości? — pytałem.

— Nie, ale za to widziałem wściekłego psa. Latał po polu z podkulonym ogonem a z pyska kapała ślina.

Młodszy Krzyś zaczyna się śmiać, a wtedy Mariuszek obejmuje go nagle, zdejmując czapeczkę i odwraca głowę malca w moją stronę: — Proszę, jemu wszystkie zęby krzywo rosną, niech pan zobaczy!

Różowy landrynek wypada z buzi Krzysia. Mały zaczyna płakać.

— Mariusz! — słycać zza płotu głos babki Grabowskiej. — Co mu tam robisz, cholero?

— Do gęby zaglądam! — odkrzykuje Mariusz. — Patrę, czy mu się zęby wyprostowały!

Odchodzą po kwadransie — Mariusz pierwszy, Krzyś drepcze za bratem. Znikają pod lipami. „Trzymaj się sztachel, głupi!” — słycać strofowanie. Szczeka pies, gdaczą kury. I znów wraca cisza.

Lotta umarła w lipcu na terenie ośrodka wczasowego w Lipowie, gdzie pracowała jako sprzątaczką. Najczęściej sprzątała sanitariaty, jak nazywano pawilony z natryskami. Obok były ubikacje. W pomarańczowej bluzce, którą dostała od Marii, w szerokich spodniach i filcogumiakach, chodziła między pawilonami ze szczotką na drewnianym kiju, wiadrem i szmatami. Przeplatając słowa polskie niemieckimi, krzyczała na letników, którzy

zalewali podłogi lub nie spuszczały wody w klozetach. Łomotała do drzwi kabin wypędzając spod pryszniców lub ubikacji, jeśli zbyt długo były zajęte. Strofowała zwłaszcza dzieci, dlatego podobnie jak te ze wsi, biegly za nią wołając: „baba jaga” lub „klozetowa babka!” Lotta odwracała się — groziła szczotką.

Jadła podobno w kuchni ośrodku — o szóstej przychodziła na śniadanie, o pierwszej na obiad, o piątej na kolację. — Zawsze przed czasem — mówiły kucharki. Śmiały się i żartowały z Lotty. Straszyły, że obiadu nie będzie, zabrakło zupy lub drugiego. Staruszka denerwowała się, groziła, że pójdzie do kierowniczkii na skargę. W końcu kucharki litowały się i Lotta dostawała zupę w emaliowanej misce. Jadła siedząc na ławeczce pod oknami kuchni.

Umarła niespodziewanie — podobno przy czyszczeniu, ubikacji, pewno poczuła się słabo. Zostawiła szczotkę w muszli klozetowej i wyszła przed pawilon. Był słoneczny dzień. Sanitariaty stoją pod drzewami, nad rzeką, w cieniu starych lip. Lotta usiadła a potem położyła się w trawie, pod pnem najbliższego drzewa, niedaleko ścieżki. Letnicy, którzy tamtędy przechodzili, myśleli że śpi. A ona leżała tak do południa — w wysokiej trawie. Czasem tylko niebieska mucha plujka przeleciała blisko. Bzyknęła i znikła. Szczotka tkwiła w muszli, mokre szmaty leżały na betonowej podłodze. Nikt nie zwracał uwagi na śpiącą Lottę. Dopiero w południe kierowniczkka ośrodku przechodząc tamtędy zauważyła pomarańczową bluzkę. Poszła w stronę lipy brnąc w wysokiej trawie i pochylała się nad staruszką.

— Babciu — powiedziała — pani Lotto!

Pochowano Lottę Cieślik na cmentarzu w Lipowie — w dużej kwaterze, którą kupiła dla siebie i męża w latach pięćdziesiątych. Miała nadzieję, że oboje będą tu leżeć. Na pogrzebie byli Jerominkowie, kilka starych kobiet ze wsi i kierowniczkka Ośrodka Związku Spółdzielni Gminnych. Maria mówiła, że przywieźli Lottę z przyszpitalnej kostnicy w Barczewie. Tam przewieziono ciało, kiedy lekarz stwierdził zgon. Nie było księdza ani pastora. Lotta była wyznania ewangelickiego — ksiądz mówił, że to nie jego pochówek. Pastor zamordejski akurat wyjechał — zresztą, czy zgodziłby się przyjechać na pogrzeb starej kobiety, która do kaplicy w Grabowie nigdy nie zaglądała?

Poszli za trumną od bramy, pod cmentarnymi lipami. Grabarz z Zielonego Lasku, niejaki Sójka, przygotował wcześniej dół. Pośrodku wielkiej kwatery, niedaleko bramy. Spuścili z pomocnikiem trumnę do grobu. Sójka zaczął zasypywać dół. Żółty piach łomotał o wieko. Jerominkowie, kierowniczkka ośrodku i dwie stare kobiety stały w milczeniu.

Później Jerominek porozdawał zwierzęta: płochliwe indyki, gęsi (razem z tą kulawą), jałówkę z wrośniętym w szyję łańcuchem, stado kaczek, trzy chude świnie. Na wpół zdziczałe gołębie odleciały nia wiadomo dokąd i Frycek — rudy kundel — gdzieś się zapodział. Maria chodziła szukać Frycka — podobno nawoływała w polu i w lesie. Miała żal do męża, że spuścił Frycka z łańcucha jeszcze tego samego dnia, kiedy Lotta umarła.

— Gdzie mógł pobiec? — zastanawiała się. — Dokąd poleciały gołębie?

Przy drodze wśród młodniaków rosła samotna sosna pozostawiona przez drwali. Stała lekko pochylona pod naporem północno-zachodnich wiatrów. Chodziłem tam czasem i siadałem na mchu najeżonym szyszkami lub kładłem się na wznak. Patrzyłem na niebo i obłoki. Między ziemią a koroną sterczał uschnięty konar, jak wielkie ramię wskazujące na skraj wyrębu po drugiej stronie. Do złudzenia przypominał wyciągniętą rękę.

Najczęściej chodziłem tam na wiosnę, żeby słuchać śpiewu ptaków. W młodniakach naokoło miały gniazda makolągwy i sójki, dzierzby, dzwońce i wilgi. Drozdy i żyby. Słuchałem niemilkącego ani na chwilę chóru, jak orkiestry grającej na wszystkich instrumentach, z głośnymi akordami fortepianu — pogwizdywaniem wilgi na deszcz lub dalekiem nawoływaniem kukułki. Czasem przylatywał dzięcioł z czerwonym łebkiem. Opukiwał pień sosny a potem zaczynał stukać miarowo i głośno. Płatki kory sypały się z szelestem.

Szczególnie lubiłem patrzeć na jastrzębie. Zataczały koła prawie nie poruszając skrzydłami — czarne płamki na tle obłoków. Las naokoło milkł, jakby niewidzialny dyrygent uciszał orkiestrę. Słychać było cienkie kwilenie i szum młodniaków, jeśli wiał wiatr.

Kiedyś jeden z ptaków zgubił pióro. To pióro spadało powoli, jakby spływało po niewidzialnej spirali. Coraz niżej i niżej. Wydawało się, że spadnie obok sosny. Ale spadło kilkadziesiąt metrów dalej, na młode świerki. Wstałem i poszedłem w tamtą stronę, przedzierając się przez gałęzie. „Jeśli znajdę pióro, wszystko ułoży się dobrze. Jeśli nie znajdę — będzie źle”.

Pod wpływem tej niemądrej myśli zacząłem szukać gorączkowo — pełzałem wśród gęstych choin na kolanach, unosiłem gałęzie. Brodziłem w trawach, wśród klujących jałowców. Podrapałem twarz i ręce. Nigdzie pióra nie było, choć wydawało mi się, że dobrze wymierzyłem odległość od ścieżki. Dopiero kiedy chciałem odejść, zobaczyłem, że leży na gałęzi młodej sosny. Było szaro-czarne. Z rudą smugą po jednej stronie, lekko wygięte. Kiedy wziąłem je do ręki, wydało mi się ciepłe.

Tego wieczoru zastałem Nalepę z Kostkiem na schodkach przybudówki przed domem. Czekali siedząc w kucki, oparci plecami o drzwi. Poczulem dym papierosów przy furtce. Wydawali się spokojni i rozluźnieni.

— Koniec zabawy, panie magistrze — powiedział studniarz, kiedy mnie zobaczył. Wstał zaraz i boso podszedł do studni. Zdjął z krawędzi cembrowiny wiadro i wpuścił do otworu. Zaczął kręcić od siebie. Stałem przy nim i pochyliłem się nad studnią. Zobaczyłem połyskującą taflę wody na dnie — błysnęła odbijając niebo. Wiadro uderzyło o powierzchnię, która pociemniała. Kiedy nabrało wody, Nalepa zaczął kręcić do siebie.

Pamiętam, że pierwszy chwyciłem za pałąk i postawiłem wiadro na trawie pod nogami. Woda była mętna, jak z kałuży. Kucałem rozczarowany i zanurzyłem ręce. Była lodowata.

— Wyklaruje się — powiedział Nalepa. — Minie dzień i będziem pić jak ze źródła. Kościu — zwrócił się do pomocnika — żwiru trzeba przynieść.

Poszliśmy z Kostkiem nad rzekę. Pomocnik ciągnął wózek na rowerowych kółkach (pierwszego dnia na tym wózku studniarz przywiózł deski na rusztowanie, korbę i wiadra). Wymościiliśmy wózek starą plandeką, żeby żwir nie wyciekał przez szpary.

Pod mostem pan Kostek zdjął spodnie i w kalesonach wszedł do wody. Podwinąłem nogawki i wszedłem za nim. Woda była czysta i ciepła. Kostek czerpał żwir saperką i sypał do wiadra, które trzymałem przed nim. Nosiłem ciężkie wiadra na brzeg i rzucałem na plandekę. Stróżki wody ciurkały ze wszystkich szpar w deskach wózka. Znaczyły za nami ślad, kiedy wracaliśmy znad rzeki.

Wyjąłem przygotowaną butelkę żytniówki, pokrajałem ogórki i bułgarską paprykę. Boczek i kielbasę w cienkie plasterki. Razowy chleb. Układałem wszystko na talerzach, podczas gdy za oknem pan Kostek wrzucał do studni mokry żwir. Słyszałem chlupot i szuranie łopatek po deskach. Nalepa coś mówił, śmiał się. Znowu palili — pachniało gorzkim dymem. Po drugiej stronie domu zachodziło słońce. Na podłodze, w kuchni, leżały bladeoczerwone pasy, jakby podłoga tliła się pod nogami.

Siedzieliśmy do późna — na deskach przed domem, póki było jasno, potem w kuchni. Nalepa opowiadał o wojnie, śpiewał „Katuszę” i „Wołgę”. I walc o harmoniście, którego słuchają „bojcy” przy ognisku. Głos miał chrapliwy. Czasem zapominał słów a wtedy pomagał sobie rękami i buczał pod nosem, jakby dyrygował chórem żołnierzy. Kostek siedział w milczeniu. Ten pochmurny mężczyzna nie uśmiechał się nigdy.

— Drug mój — rozczulił się w pewnej chwili Nalepa. — Kostia, ja myślał, że my tej wody nikąd nie znajdziemy!

Kostek nie odpowiedział. Patrzyłem na jego przekrwione oczy, ciemny zarost, kędzierzawe włosy, niskie czoło. Miał wielkie ręce. Kiedy brał szklankę i chwilę, jakby z wahaniem, trzymał nad stołem, szklanka dygotała. Czasem zdawało mi się, że ma łzy w oczach. Ale to tylko żarówka, czterdziestka, migotała w oczach Kostka, na dnie szklanki, w butelce, w kryształkach cukru na stole.

Z radości, że jest woda, wypilem za dużo i później, nim poszli, obraz kuchni, Nalepę i Kostka — wszystko widziałem jak przez szklankę mętnej wody. Śmiałem się długo, kiedy studniarz zawołał rozkładając ręce: — Kostia, jebut-twoju-ma! Woda, woda, rozumiesz?

Chłapiąc na stół rozlewałem żytniówkę do szklanek. Nalepa śpiewał basem: „Pod etot walc, starinnyj walc...”

O Kostku opowiedziała mi stara Grabowska. Nie proszona — sama zaczęła opowiadać.

— Od tego czarnego odeszła żona, panie. Za dużo pił. Kiedyś pili z kolegami, po robocie. Pijani poszli do knajpy, a z knajpy tutaj, do Kostka. Pili do pierwszej w nocy. A był z nimi koleżka jego, niejaki Rak. Miał żonę i dwoje dzieci. Dobry człowiek, mówili, tylko jak oni wszyscy: pił i pił. I wtedy pili bez umiaru: przyszedł wieczór — pili, noc — pili. W końcu Rak spadł pod stół. A oni pili dalej, nikt nie zwrócił uwagi, myśleli, że śpi. Dopiero po północy zaczęli koleżkę budzić: „Wstawaj, Stasiu — mówią — dość spania”. A on nie odpowiada, błady. Kiedy go posadzili, znów poleciał pod stół. Podobno pięć razy go sadzali, a on za każdym razem: łubudu! Kostkowa zaczęła lamentować: „Nie żyje, umarł!”. Ale pijakom nie przetłumaczysz: „Gdzie tam umarł, żyje!”. Klepali po policzkach, poili herbatą. Wódkę leli do gardła.

Staliśmy koło studni — Grabowska przyszła „wody pokosztować”, jak mówiła.

— Źródłana — chwaliła pijąc z fajansowego kubka.

— Kostkowa przybiegła do nas po zięcia i męża. Od razu poznali, że człowiek nie oddyeha. Później żona Raka oskarżyła Kostka, że zapił męża na śmierć. Milicja, dochodzenie — pół roku trwało, nim dali spokój. Kostkowa zabrała córkę i wyjechała do matki. A on — sam pan widzi: nie uśmiechnie się, nie porozmawia. Tylko pije, jak pił.

Potakiwałem udając zainteresowanie. Nie myślałem wtedy o Kostku. Raczej o świerkowych deskach na podłogę i o czystej wodzie w studni. Pamiętam, że Grabowska oddając kubek westchnęła: — Wszystko w rękach Boga. Nawet, kiedy człowiek pod stołem umiera.

Kosiłem trawę w południe. Czulem na języku słony smak. Stróżki potu ciekły po policzkach. Łaskotało w kącikach warg.

Stąd, z góry, zobaczyłem nagle czerwony rower oparty o pień wierzy. Czerwoną płamę na burym tle. Maria wyszła z lasu i pomachała do mnie. Chwilę stałem bez ruchu a potem rzuciłem kosę i przeskoczyłem płot. Pobiegłem miedzą w dół, do drogi. Pokrzywy poparzyły mi ręce.

Weszliśmy w cień, między drzewa. Pamiętam brzoźkę, pod którą stanęliśmy. Smak potu na wargach, kiedy całowaliśmy się stojąc pod brzoźką. Na łące za drzewami ktoś ostrzył kosę. Może Hans Jedwabniczek kosił trawę? Pamiętam cienki brzęk kosy i słone wargi Marii. Grzbietem dłoni pogładziła mnie po twarzy. Dotyk jej ręki. Muśnięcie na policzku.

Widziałem ją pierwszy raz od tamtego wieczoru, kiedy opryskliwa pielęgniarka kazała jej włożyć pantofle i poszły długim korytarzem w kierunku drzwi na końcu. Zostawiłem kosę, dom z pootwieranymi oknami i pojechaliśmy nad jezioro na rowerach.

Wszystko wróciło, choć tyle razy, rozmyślając o mojej spóźnionej i nierozważnej fascynacji „tą kobietą”, jak w myślach Marię nazywałem, zdawało mi się, że już skończyło się, minęło. Wypaliło do końca.

Zaczęły się ukradkowe spotkania. Przed i po południu. Wyczekiwania na czerwony rower, na pukanie do okna. Pamiętam kąpiele w zimnym jeziorze, na cyplu, który odkryliśmy przypadkiem. Było to miejsce ocienione konarami olch, z wąskim pasem żółtego piasku. Mała plaża pod gałęziami. Można tu było wchodzić do wody bosą, bez obawy poranienia nóg o muszle i ostre kamienie, którymi usłane jest dno jeziora. Wchodziliśmy do wody, jak Pan Bóg stworzył, trzymając się za ręce. Dno opadało łagodnie, trochę dalej zaczynały się kępy falujących wodorostów. Ich łodygi wiły się po żółtym piasku. Małe okonie z nastrozonymi grzbietami zbliżały się do naszych nóg. Dotykały pyszczkami skóry na łydce lub kolanie i odpływały szybko, spłoszone. Płynęliśmy pod zachodzące słońce, w stronę wyspy.

W chłodnej wodzie brałem czasem Marię w ramiona. Pamiętam dotyk jej zimnych dłoni, piersi, brzucha. Tulila się do mnie. Kiedy zrywał się wiatr, z olch nad nami sypały się liście.

Kiedyś, po jednym ze spotkań i kąpiele, wracaliśmy przez las po ciemku, Maria zaczęła opowiadać o mężu. Była młodsza o dwadzieścia lat. Poznali się na weselu kuzynki i on, wdowiec, ojciec dorosłego syna, zakochał się bez pamięci. Tak powiedziała nie zwracając uwagi na mój śmiech: — Bez pamięci, rozumiesz?

Mówiła, że ona sama nie była zakochana — miała dziewięć-

naście lat. Była młodsza od jego syna. Po maturze wybierała się na studia, ale wtedy zachorowała nagle — przeszła dwa koszmarnie, jak mówiła, pobyty w szpitalach. Poddawano ją wstrząsom elektrycznym, co tylko pogłębiało chorobę. A tam Jerominiek czekał.

Przyjechał z centralnej Polski, gdzieś spod Sokółowa Podlaskiego, wystarał się o posadę, zamieszkał w leśniczówce, sprowadził matkę. Wiele razy przychodził do rodziców (mieszkali w Grabowie) prosząc o zgodę na ślub.

— Zebrał po prostu. — Wiedział, że choruję, rodzice ostrzegali, ale nie chciał słuchać.

Przez wiele miesięcy opierała się, aż w końcu ustąpiła. — Czy dziwisz się? — spytała. — Moje życie było czekaniem. On wie o nas — dodała.

— Nie dziwię się — powiedziałem szeptem. — Nie jest ślepy.

Chwilę szliśmy w milczeniu. Pamiętam, że uniósłem głowę i patrzyłem na gwiazdy nad drogą i koronami drzew.

— On godzi się — powiedziała Maria.

Podczas ostatniego spotkania mówiła o szpitalu. W sali, w której stało jej łóżko, leżała kobieta o semickich rysach twarzy. Trzymała się na uboczu, wydawała się nieobecna. Miała ciemne oczy, zawsze podkrążone. Chodziła w jedwabnym szlafroku w czarne i żółte kwiaty. Jerominkowa próbowała się do niej zbliżyć, porozmawiać — czasem zagadywała o coś. Ale tamta odpowiadała zdawkowo, jakby obawiała się kontaktu. Odchodziła szybko w kąt pod oknem.

Maria przysłała wtedy w południe, w czasie ulewnego deszczu. Śmiała się, zdejmując mokrą bluzkę. Miała mokre czoło i policzki, krople deszczu na brwiach i rzęsach. Pamiętam biały stanik Marii i rozpuszczone włosy na ramionach. Długo wycierała włosy ręcznikiem. Potem owinęła głowę. Została w pomarańczowym turbanie. Piliśmy herbatę w kuchni, podczas gdy deszcz bębnił o dach przybudówki i dzwonił w rynnach. Okna były pootwierane, zaciągnąłem tylko zasłony. Kiedy leżeliśmy w łóżku, pod oknem, słyszeliśmy szum deszczu i uderzenia kropel o blaszany parapet. Nadchodziła kolejna fala ciepłej ulewy. Przez szparę w zasłonach widać było las i mgłę nad drzewami. Pachniało deszczem.

Opowiedziałem, jak Lotta zwierzyła mi się, że czeka na synów i męża. Mówiłem o beznadziejnym czekaniu starej kobiety. Maria poruszyła się, dotykając zimną stopą mojej nogi. Znowu zaczęła opowiadać o Żydówce poznanej w szpitalu. W końcu nawet zaprzyjaźniły się. Ta kobieta czekała na odwiedziny matki. Codziennie spodziewała się, że matka przyjdzie —

parzyła herbatę z myślą o matce. Trzymała przygotowaną szklankę. Chodziła po wrzątek do pokoju pielęgniarek.

Miała fotografię matki schowaną w szufladce żelaznej szafki przy łóżku. Kiedyś pokazała Marii tę fotografię. Było to zdjęcie oderwane od legitymacji — stare i pożółkłe. Twarz kobiety była smutna — Maria zapamiętała duże oczy podobne do oczu kobiety w czarno-żółtym szlafroku. Tak samo podkrążone.

Doszło do tego, że obie wyczekiwały odwiedzin: chodziły przez park w stronę bramy, siadały na ławce. Nigdy jej matka nie przyszła, ale znajoma Marii zawsze miała usprawiedliwienie: — Ma tyle spraw na głowie. Dom, dzieci, męża.

— Chyba wnuki — powiedziałem myśląc o fotografii, ale ona wyjaśniła szybko: „To moje młodsze rodzeństwo”. Oczywiście nikt jej nie odwiedził.

Opowiedziała jeszcze o staruszce, którą salowe ciągnęły za ręce. Jerominkowa poszła za nimi. Stara kobieta opierała się i płakała, ale salowe nie zwracały uwagi. Dociągnęły do łazienki i tam, podkasując flanelową koszulę, wymyły oblewając strumieniem z gumowego węża. To była jedna z otępiałych starych kobiet załatwiających się pod siebie. Kiedy wchodziło się do sali, w której leżały, zapach moczu odrzucał od drzwi. Salowe często traciły cierpliwość i podmywały te kobiety gumowym wężem, na kamiennej posadzce szpitalnej łazienki. Maria zobaczyła żółte nogi w rozkroku, strumień spienionej wody, białe bryzgi. Salowe rozmawiały głośno. Narzekały na trzecią, która nie przyszła na dyżur. Mrugały jarzeniowe światła. Stara płakała. Słychać było buczenie w łazience, a potem na korytarzu. Póki wszystkie trzy nie zniknęły za drzwiami sali, w której pachniało moczem.

Zapamiętałem Marię w pomarańczowym turbanie z ręcznika. Deszczowy dzień w czerwcu. Dudnienie ulewy na dachu przybudówki, opary nad lasem. Brzęczenie w rynnach. Odprowadziłem ją po ciemku, drogą koło cmentrza, aż do płotu wokół leśniczówki. Poczulem muśnięcie palców na policzku. I zniknęła. I nie pokazała się więcej. Czekałem codziennie, wyglądając, czy nie ma czerwonej damki pod wierzbą. Nasłuchiwałem kroków na drodze, pukania w okno. Ale nie przyszła do końca mojego czerwcowego pobytu, a ja nie chciałem iść pod leśniczówkę Jerominków.

Lipiec był deszczowy, pochmurny. Dnie były monotonne, jakby zmatowiwały. Nie mogłem pisać, choć próbowałem pracować na stryżku, na który zaniósłem stół i krzesło. Przez okno, z szybkości w żelaznej kracie, patrzyłem na pustą drogę.

O śmierci tamtego jeziora opowiedział mi Jerominek, kiedy jeszcze nie znałem Marii (była u rodziny na Śląsku, a ja wynająłem na trzy tygodnie pokój w leśniczówce za rzeką). Pamiętałem

to odległe jezioro z rowerowych wycieczek w czasach studenckich odwiedzin Lipowa: otoczone bukowym lasem, z ciepłym piaskiem na małej plaży, na którą przyjeżdżałem zgrzany, po długiej jeździe.

Wyjeżdżałem zwykle po śniadaniu, które przynosiła mi do pokoju żona Wilhelma Stopczyka i docierałem tam około południa, pedałując kilkanaście kilometrów po gorącym asfalcie do miejsca, skąd zaczynało się zjeżdżać cienistymi ścieżkami, w niemilknącym śpiewie ptaków, wdychając zapach paproci i mchów. To jezioro wydawało mi się wtedy tajemnicze i niedostępne — z jedną, zawsze pustą plażą, z pomostem ze świerkowych bali, zapadającym się w wodę kilka metrów od brzegu, z jasnym piaskiem, na którym znajdowałem ślady sarnich kopytek i racic jeleni. Pamiętałem obłoki nad drugim brzegiem i kąpiele w chłodnej wodzie, tak czystej, że widać było wodorosty i małe muszle na dnie. Stada rybek migotały rozpierzchając się, splezione cieniem pływaka. Daleko, na plaży, leżał stary rower Wilhelma Stopczyka.

Jerominek mówił, że w czasie akcji tępienia korników na wiatrolomach w pobliżu jeziora, robotnicy używali silnie trującego preparatu, który trzymali w beczkowozach. Ten preparat rozpuszczali w wodzie czerpanej z jeziora.

Zapewne byli pijani, kiedy podjechali do brzegu, żeby zaczerpnąć wody rurą połączoną z blaszaną beczką. Podjeżdżali traktorem, cofając beczkę tyłem, póki rura nie zanurzyła się w wodzie. Prawdopodobnie ten bardziej pijany źle włączył pompę: — Pan wie, zamiast wajchę w lewo, dał w prawo i spuścił kilkadziesiąt litrów trucizny do jeziora.

Siedzieliśmy na ławeczce pod werandą. W liściach dzikiego wina szeleścił wiatr, Jerominek palił i patrzył zamyślony na podwórze.

— Zabili jezioro — powiedział.

W ciągu kilku godzin wypłynęły wszystkie ryby. Prawdopodobnie setki ton. Błyskając białymi brzuchami kotły się w trzcinach szczupaki, karpie i liny. Padły nawet ptaki — widziało martwe łabędzie, kaczki-krzyżówki, nury, gęsi.

Srebrne ławice małych uklei i płoci, jak drobno pocięte paski folii, fala wyrzucała na brzeg. Ludzie z Cierpięt, z Lipowa i dalszych wsi, przychodzili po martwe ryby i zbierali do worków brodząc przy brzegach wśród trzcin.

— Takie jezioro to cały kosmos, wielki świat — mówił Jerominek. — Istniał od chwili stworzenia, od początku. Póki pijany człowiek nie przestawił wajchy w prawo. Nawet Bóg był bezsilny.

Milczałem, patrząc na puste podwórze.

Tamtego deszczowego lata widywaliśmy wieczorami starego mężczyznę z dubeltówką. Przychodził ze składanym krzeselkiem i siadał pod gruszą-dziczką, rosnącą przy drodze na skraju lasu. Zasadzał się na koziołka — „naszego koziołka”, jak mówiła moja córka o koźle sarny, który w nocy przychodził paść się na łąkę świadków Jehowy. Często słyszeliśmy w ciemności jego bek przypominający gniewne szczeknięcia. Czasem, w księżycową noc, można było zobaczyć, jak pasał się wśród wysokich traw nad stawem. Spłoszony nagle zapalonym światłem lub szczekaniem psa, unosił głowę i rozglądał się, zaskoczony. Potem uciekał do lasu, skacząc przez kępy traw, jałowce i pnie wyciętych sosen. Długo dochodziło z ciemności jego poszczekiwanie.

— To okropny złośnik — mówiła córka.

Przyzwyczailiśmy się do jego obecności nocą i czasem, budząc się po ciemku przy otwartych oknach, w upalną noc, słyszałem gniewne szczeknięcia raz bliższe raz dalsze. Cichy gdzieś w głębi lasu.

Od chwili, kiedy stary człowiek czekał z dubeltówką, aby go zabić, umilkły nocne poszczekiwania. Jakby wyczuwał niebezpieczeństwo — przestał przychodzić na łąkę. Mimo to jednej z tych ciepłych nocy zbudził nas strzał. Wyglądaliśmy przez okna, ale nie widać było nic. Tylko księżyc nad pustą łąką.

Następnego dnia porykiwał znów radośnie, jakby tamten strzał nie był przeznaczony dla niego i jakby drwił ze starego człowieka. Może pod gruszą tamtej nocy nie było nikogo?

Stara Grabowska opowiedziała o myśliwym: był emerytowanym pułkownikiem milicji — podobno przyjeżdżał tu od lat polując latem i jesienią. Ostatnio, jak powiedziała, głuchł i ślepl. Dlatego przestał chodzić do lasu, gdzie dawniej godzinami czatował na przecinkach i duktach. Mógł już tylko siadać na składanym krzeselku pod gruszą, w jasne księżycowe noce, licząc, że sarny nie wyczują go i przyjdą na łąkę. Czekał cierpliwie.

— Strzela Panu Bogu w okna — śmiała się Grabowska. — Niebezpiecznie tamtędy chodzić. Może człowieka ustrzelić, a co pan myśli?

Strzały w nocy budziły nas kilkakrotnie. Niby przypadkiem zostawialiśmy zapaloną żarówkę pod okapem, naprzeciwko łąki.

— Żeby koziołka ostrzec — mówiła córka.

Kiedyś wracałem po ciemku drogą od strony jeziora. Z daleka zobaczyłem pułkownika pod gruszą. Kiedy zbliżyłem się, uniósł dubeltówkę i zaczął celować we mnie. Szykował się do strzału.

— Panie! — krzyknąłem. — Na litość boską!

Szybko opuścił broń i położył na kolanach. Zatrzymałem się przed nim, zdenerwowany. — Na piętnaście kroków nic pan nie widzi. Może być nieszczęście! Mówiłem głośno, jak do głuchego.

Milczał. Trzymał dubeltówkę na kolanach. Okulary o grubych szklach błysnęły, kiedy poruszył głową. Był w zielonej kurtce. Na nogach miał brązowe buty ze sztylpami. Na głowie brezentową czapkę z długim daszkiem. Siedział na składanym krzeselku a obok, w trawie, leżała zmięta chustka do nosa. Musiał nie zauważyć, kiedy wypadła z kieszeni.

— Chusteczkę pan zgubił — powiedziałem jeszcze i odszedłem.

Nasz koziółek pobekiwał tej nocy nad stawem. Beczał też następnej nocy i później co noc. Starego nie widywaliśmy więcej — chyba przestał przychodzić. Zacząłem gasić na noc światło.

W trawie pod gruszą długi czas leżała zmięta chustka. Liczyłem, że emerytowany pułkownik przyjdzie tu jeszcze raz, podniesie i schowa do kieszeni. Ale leżała przez wiele dni, moknąc na deszczu, aż w końcu wydrążyłem kijem głęboką dziurę, wepchnąłem do niej chustkę, a potem przydeptałem piasek i zatarłem wszystko podeszwami tenisówek.

Nalepa odwiedził mnie w sierpniu — usłyszałem, jak spluł głośno, idąc od furtki w stronę przybudówki. Otworzył po drodze klapę w zadaszeniu nad studnią i zjrzał do środka. Siedziałem przy stole w kuchni.

— Proszę, panie Gerardzie — powiedziałem, kiedy stanął w drzwiach. — Cieszę się, że pana widzę.

Ale Nalepa był zmieniony, nieswój — twarz miał siną i bardziej nabrzmiałą. Worki pod oczami, czerwony nos.

— Panie magistrze — zachrypiał, siadając ciężko na stolku, który podsunąłem — ja do pana jak do ojca przyszedł.

Zaśmiałem się, pamiętam, myśląc, że zaraz i on zacznie się śmiać, ale wtedy zobaczyłem, że Nalepie łzawią oczy. Wolną ręką potarł nieogolony policzek, pociągnął nosem.

— Co się stało, panie Gerardzie? — spytałem zaskoczony.

Zaczął mówić o żonie, o której podczas kopania studni wspominał czasem. Nazywał ją najczęściej „babą” albo mówił krótko „moja” lub „ta kobieta”. „Moja mówiła”, „pokłócony ja z babą”, „przez kobietę nic nie wypił”. Pamiętałem opowiadania Nalepy o kłótniach. Kłócili się często — „baba” przeciwna była późnym powrotom z „Gwiazdeczki” i na tym tle dochodziło do sejsji. Dorosła córka wyprowadziła się z domu — poszła do „inżynierka”, jak mówił studniarz. Mieszkali sami z „babą” w drewnianym domu, niedaleko rudery Lotty.

— Nie dawała pieniędzy, a ja, magistrze, kiedy przyjdzie ochota na flaszkę, muszę te pieniądze mieć, żeby spod ziemi wyrwał. I tak my się pokłócili ciężko, aż z tego wszystkiego na mój padło: zacząłem podpalać dom. Ona w krzyk, sąsiedzi przybiegli, awantura. Rano wstaję spokojniutki, rozglądam się, a

mojej nie ma. Pojechała do córki. Już drugi miesiąc chodzę po pustym domu, panie magistrze. Cisza, tylko szybki dzwonią w oknach. I serce się kraje.

— Wróci, panie Gerardzie — powiedziałem bez przekonania. — Niech się pan nie martwi.

Nalepa siedział ze zwieszoną głową. Rogatywkę zawiesił na kłamce. Pociągnął nosem. — Może by tak napisał list?

Dopiero wtedy zrozumiałem, że przyszedł do mnie w tej sprawie. — Oczy u mnie słabe, panie magistrze. Na dole podpiszę się, jakby pan był łaskaw.

— Panie Gerardzie, co pan wygaduje: „był łaskaw”? — Poszedłem zaraz po papier i długopis. Usiadłem naprzeciwko studniarza. — Jak żona ma na imię?

— Jadwiga.

„Droga Jadziu” zacząłem pisać, ale Nalepa przerwał: — Jeśli pan łaskaw, podyktuję. W głowie mam ułożony list.

Zacząłem pisać pod dyktando: „Kochana Jazdiuniu, w domu tak pusto, że słyszę każdy skrzyp deseczki w ścianie. Kot biega głodny. W nocy nie mogę spać, w dzień chodzę z kąta z kąta. Przeżyliśmy czterdzieści lat razem — ile jeszcze zostało? Samego i starego chcesz teraz zostawić? Wróc dobra żono. Mieszkania już nie podpalę ani ręki na ciebie nie podniosę — mówię przy świadku. I Bóg słyszy. Amen. Całuję cię, moja Jazdiuniu, twój na zawsze...” — Podsunąłem list: — Tutaj: „Gerard”.

Nalepa wziął długopis do ręki, obracał w palcach, prostował się, odsuwał papier od oczu, wzdychał. — Nic nie widzę, panie magistrze, jebut-twoju-ma, oczy wysiadły!

Ująłem ciężką dłoń Nalepy i poprowadziłem długopis po kartce. Wyszło niewyraźnie i krzywo: „Gerard”.

— Gerard — powtórzyłem. Napisałem adres na kopercie: „Nalepa Jadwiga, Złotokłós, ulica Akacyjowa 9.

Studniarz poweselał. — Wróci? Pytał co pewien czas, kiedy piliśmy herbatę.

— Jasne — odpowiadałem bez wahania. Dopiero po godzinie, kiedy trochę zakłopotany spytał, mrugając: „Panie magistrze, a może tak by nalał pan czegoś mocniejszego? Za powrót żonki!” — zawahałem się i udałem, że nie słyszę, kiedy znów spytał: „Wróci?”

Lekko chwiejąc się, w rozpiętej kurtce i rogatywce zmiętej na tyle głowy, wychodził po północy podśpiewując. Poczęstowałem go „Żytniówką” z otwartej półlitrowki, którą trzymałem w pogotowiu. Stałem chwilę przy furtce, słuchając, jak kroki Nalepy cichną za domem Grabowskich i jak coraz dalej słychać piosenkę o białych różach: „Wróc, ucałuj, jak za dawnych lat...”

We wrześniu szerszenie siadały na gruszach drążąc dziury, z

których skapywał sok. Pod śliwami, w mokrej trawie, leżały popękane żółto-różowe owoce — słodkie i soczyste. Z ałyczy sypały się mirabelki. Dojrzały czerwone malinówki na jabłoni, między brązującymi pędami malin, nad zrudziałymi porzeczkami.

Rozmawiałem z Mariuszkiem i Krzysiem, kiedy odwiedzali mnie popołudniami. Mariusz opowiadał mrozące krew w żyłach historie, zapamiętane z nowych opowieści starego Grabowskiego, który straszył wnuka.

— Proszę pana, proszę pana — wołał zza płotu. — Odkopali grób na cmentarzu. Widać kości i czako. Takie wyszczerzone zęby.

— Chyba czaszkę — sprostowałem. — Kto ci o tym powiedział?

— Widziałem sam. Mogę się przezegnać. Dziadek mówił, że to są złodzieje, cmentarne psy.

— Hieny, hieny. I cóż z tego grobu zabrali?

— Złoto. Krzysiek może poświadczyć. Byli my obaj.

Małec w czapeczce spadającej na oczy wspiął się na palce, starając się wyrzeć zza płotu. Ciągnął brata za rękaw koszuli.

— Chodźmy zobaczyć — zaproponowałem.

— My tam już byli. Pan idzie sam.

Zacząłem zbierać śliwki w mokrej trawie.

Wieczorem poszedłem leśną drogą w stronę Lipowa. Za rzędem przydrożnych leszczyn był mały cmentarz, koło którego przejeżdżaliśmy z Jerominkiem, jadąc na rowerach obejrzeć dom Srebrowiczów. Tylko kilka świeżych grobów między lipami i sosnami, których korony rzucały cień. Rude aksamitki i różowe stokrotki na grobach. W brudnych słoikach wędły granatowe ostróżki. Dalej były bezimienne kopczyki porośnięte chwastami — ledwo widoczne pagórki ziemi. Poprzewracane żelazne krzyże, rdzewiejące tabliczki wśród brązowych liści. Drogę przesłaniał żywopłot z żółtych leszczyn, jasnych teraz w zachodzącym słońcu, jakby stał w płomieniach.

Obszedłem cmentarz wokół — ani śladu rozkopanego grobu. Suche liście pod nogami, kępy chwastów, traw, dalej gąszcz jeżyn i malin. W leszczynach coś zaszeleściło. Stanąłem nasłuchując. Szelest powtórzył się, potem zobaczyłem skaczącą po grobach wiewiórkę. Na jednym z kopczyków zatrzymała się, usiadła na tylnych łapkach i chwilę patrzyła na mnie. Małe oczy zaszklily się, jak czarne paciorki. Później skoczyła na pień najbliższej sosny i obejmując drzewo łapkami szybko wspięła się wysoko. Kawalki kory posypały się na bezimienny grób. Wróciłem na ścieżkę.

Często chodziłem na spacer. Czasem wyobrażałem sobie, że Maria czeka na mnie pod samotną sosną, gdzie spotykaliśmy się

dawniej. Miałem nadzieję, że przyjechała na rowerze — w swojej białej kurteczce, z włosami splecionymi w krótki warkocz. Z daleka zobaczę białą plamę. Brałem kij-laskę o wygiętym w pałąk końcu i biegłem na spotkanie kłapiąc starymi tenisówkami.

Pod sosną oczywiście nikogo nie było, mimo to wyobrażałem sobie, że Maria zaraz przyjedzie — usłyszę brzęk dzwonka na kierownicy czerwonej damki. Siadałem na mchu, zamykałem oczy i czekałem. Potrafiłem tak przesiedzieć godzinę lub dłużej. Kiedyś, pamiętam, powiedziałem półgłosem jej imię: — Marysiu.

Zabrzmiało to sztucznie, bo zaraz ocknąłem się, jak po męczącej drzemce.

Nigdy nie przyjechała. Nigdy nie zabrzączał dzwonek. Nigdy nie zobaczyłem białej kurteczki. Las naokoło był pusty. Raz tylko, wracając spod sosny, spłoszyłem łanię. Pasła się na skraju wyrębu. Kiedy zbliżyłem się, uniosła łeb wysoko i patrzyła chwilę w moją stronę, nieruchoma i czujna. A potem nagle jakby zmalą — obróciła się w miejscu, przysiadła i skoczyła między choiny. Widziałem łanię płynącą w powietrzu.

W czasie jednego z tych niby spacerów—niby spotkań znalazłem lisa we wnykach. Wśród gęsto rosnących jałowców zobaczyłem rude futro. Pamiętam, że kiedy mnie zobaczył, zamarł w dziwnej pozie: wygięty i przyduszony do ziemi. Tylko czarny ogon lekko falował wśród traw. Widziałem z daleka rudy łeb między kępą jałowców a pnieniem brzoźki, rosnącej bliżej ścieżki. Poruszyłem się, a on szarpnął się wtedy, jakby chciał odskoczyć, ale został w tym samym miejscu. Stałem jeszcze chwilę na ścieżce i nagle przyszło mi do głowy, że to nie lis, tylko pies uwiązany do drzewa. Zacząłem iść w tamtą stronę. Kijem rozgarniałem trawy. Pamiętam ukłucia gałązek jałowca na rękach. Widziałem, jak zwierzę szarpie się z coraz większą siłą. Zatrzymałem się kilka kroków od niego. To był rudo-szary lis z białym krawatem na szyi. Leżał na boku i darł tylnymi łapami trawę. Zdawało mi się, że trzyma coś w pysku. W pewnej chwili zerwał się i wtedy zobaczyłem na przedniej łapce żelazną obręcz. Brzęknęło metalicznie — drut albo łańcuch. Odwrócił łeb i popatrzył na mnie. Chyba warknął tuląc uszy. Poczułem zapach padliny. Może w pobliżu rośnie grzyb sromotnik? Na lisim pysku była krew. Wróciłem na ścieżkę.

Pomyślałem, pamiętam, że pójdę po siekiere i przetnę ten łańcuch czy drut. I zaraz wyobraziłem sobie, jak on będzie potem uciekał wlekąc łapę w żelaznych szczękach. Zrozumiałem, że nie ma dla lisa ratunku. A potem nagle przyszło mi do głowy, że mógłbym pójść po Jerominka. I ucieszyłem się, pamiętam. Od razu zacząłem biec i od razu wiedziałem, że to okazja, aby zobaczyć się z Marią. — Lis, lis — powtarzałem biegnąc, a jedno-

cześnie miałem nadzieję, że spotkam tylko Marię, że akurat ona będzie na podwórku lub wyrzy przez okno. Nie myślałem o Jerominku. Dopiero po kilku minutach zwolniłem i zacząłem iść szybkim krokiem, wywijając kijem. Zgrzany i spocony doszedłem do płotu przed leśniczówką. Do miejsca, gdzie po raz ostatni widziałem Marię. Pchnąłem furtkę i wszedłem na podwórze.

Pies zaczął ujadać, ale zaraz zamilkł. Jerominek wyrzał z komórki na drzewo. Ruszyłem w jego stronę nie rozglądając się ani nie patrząc w okna, a on wyszedł z szopy z siekierą w rękę i czekał na mnie. Zauważyłem, że ma wełniane skarpety na nogach, zielone spodnie i włóczkową kamizelkę bez rękawów. Był bez czapki, wydał mi się starszy i posiwiwały bardziej.

Kiedy byłem blisko, zacząłem mówić: — Panie Janie, znalazłem lisa we wnykach. Trzeba zwierzę uwolnić, a ja nie potrafię. — Potem powiedziałem „dzień dobry” i wyciągnąłem rękę, ale Jerominek w tym momencie odwrócił się plecami.

— Proszę zaczekać — powiedział. I wszedł do szopy.

Wyszedł po chwili w czapce i kurtce od munduru narzuconej na kamizelkę. Przeszedł koło mnie bez słowa, kierując się w stronę domu. Mignęły srebrne naszywki na klapach kurtki. Poszedłem za nim.

W oknach leśniczówki nikogo nie było.

Potem szliśmy drogą w stronę Zielonego Lasku. Jerominek z dubeltówką założoną na krzyż, przez plecy. Prowadził rower brzęcząc dzwoniem. Szedłem obok dużymi krokami, licząc w myślach do stu, a kiedy kończyłem, zaczynałem od początku. Nie rozmawialiśmy. Tylko przed wyjściem z podwórza spytałem, po co bierze broń? Odpowiedział, że lisa zastrzeli, bo innego wyjścia nie ma.

— Nie pozwoli podejść, żeby zdjąć obręcz. Trzeba zabić.

Później milczeliśmy. A kiedy doszliśmy do tego miejsca, gdzie wśród jałowców szamotał się lis — przez chwilę stałem bezradnie rozglądając się. Nie mogłem uwierzyć, że tutaj go znalazłem. Nawet poprowadziłem Jerominka kawałek dalej — potem cofnęliśmy się. Lisa nie było.

— Nie ma go — powiedziałem w końcu. — Bardzo przepraszam. To właśnie to miejsce. Na pewno. — Pokazałem kępę jałowców za brzoźką.

Jerominek położył rower na ścieżce. Poszliśmy w kierunku jałowców. Zrozumiałem, że on może domyślać się jakiegoś oszustwa z mojej strony — podstępny, wybiegu. I pomyślałem o Marii. Ale kiedy stanęliśmy nad miejscem, gdzie jeszcze przed godziną lis szamotał się na łańcuchu, dostrzegłem na wygniecionej trawie ślady krwi. Nie było żadnego żelaza ani drutu — tylko ta trawa rozdrapana lisimi łapami. Świeży piasek i krew.

— Jest ślad — ucieszyłem się. — Niech pan spojrzysz.

Jerominek klęknął i chwilę przyglądał się kropłom krwi. Potem wstał, poprawił pas dubeltówki i zaczął wracać na ścieżkę. Odwróciłem się i poszedłem za nim. Pamiętam, że dopiero wtedy zauważyłem stare filcogumiaki na jego nogach. Idąc rozgarniałem kijem trawy.

— Może uciekł? — spytałem z nadzieją, ale mąż Marii milczał.

Pierwszy doszedł do ścieżki i podniósł rower. Zatrzymałem się około brzoźki. Popatrzył na mnie: — Nie zdążyliśmy. Szkoda.

— Kłusownik? — spytałem, ale Jerominek znów nie odpowiedział. Zaczął odchodzić trzymając rower za kierownicę.

— Panie Janie! — krzyknąłem za nim.

Wtedy stanął i obejrzał się. Lufa dubeltówki błysnęła nad zieloną czapką.

— Panie Janie, co z Marią?

Chyba przyjrzał mi się uważnie, nim powiedział: — Dziecko przyszło na świat martwe.

Potem odwrócił się, przyspieszył kroku, postawił prawą nogę na pedale, odepchnął się lewą i przelożył nad siodełkiem. Filcowy but zatoczył łuk w powietrzu. Patrzyłem, jak powoli odjeżdżał, z wysiłkiem naciskając pedały. Słyszałem brzęk dzwonka — coraz dalszy, coraz cichszy..

To był duży, czarny rower. Zostałem sam.

Hans Jedwabniczek wyjechał przed Bożym Narodzeniem, jak dowiedziałem się później. Po śmierci matki, którą pochowali na cmentarzu w lesie, przy drodze do Lipowa. Tam gdzie wieiórki skaczą po grobach.

Starą matkę Jedwabniczka widywałem czasem przed domem. Latem siadała na ławeczce wieczorami i siedziała nieruchomo do chwili, kiedy wokół domu i nad łąką nie zaczęły latać nietoperze. Mówiono, że ma dziewięćdziesiąt lat. W październiku, kiedy zaszedłem do Jadwabniczka, aby pożyczyć świecę, ponieważ akurat wyłączyli światło — zobaczyłem, jak chodzi po domu w nocnej koszuli do kostek, z rozpuszczonymi włosami, ze świecą w ręku.

Byłem u Jedwabniczków pierwszy raz, mimo długiego sąsiedztwa. Nad drzwiami w kuchni wisiała szczerbiona deska, na której gotykiem wyrzeźbiono napis: „*Befiehl dem Herrn alle Deine Wege*”.

— Powierz Panu wszystkie swoje drogi — przetłumaczył mój sąsiad, kiedy spytałem, co to znaczy.

Kuchnia wydała mi się jasna i czysta nawet przy migotliwym świetle świec. Nad stołem, przy którym usiedliśmy, wisiała

makatka z sentencją: „*Morgenstunde hat Gold im Munde*”. „Poranna godzina ma złoto w ustach”. Gruba żona Hansa stała oparta o piec kuchenny. Nalała herbatę do fajansowego kubka w niebieskie grochy, który postawiła przede mną. Kilka takich kubków wisiało nad piecem.

To wtedy powiedzieli, że chcą wyjechać do Republiki Federalnej, ale odkładają wyjazd z powodu choroby matki. Obawiają się kłopotów w czasie podróży. — A w ogóle, czy takiego starego człowieka warto z dnia na dzień wywozić między obcych ludzi? Po nią już Pan Bóg puka w okno.

Staruszka szurając pantoflami chodziła z pokoju do kuchni i z powrotem. Przystawała naprzeciwko szafki z wiadrami, pod makatką „*Frisches Wasser*”. Nie zwracała na nas uwagi — raz tylko, pamiętam, popatrzyła na mnie łzawiącymi oczami i spytała po niemiecku: — *Du bist Ditter, ja?*

— *Nein* — powiedział za mnie Jedwabniczek. — To nasz sąsiad. Mieszka w domu po Jakubowskich.

— Matka — mówił później do mnie — wspomina starych ludzi. Myśli, że wszyscy żyją. Ditter Jedamzik mieszkał kiedyś za mostem.

Staruszka odeszła, szurając pantoflami. Stearyna ze świeczki, którą trzymała w suchej, jakby brązowej dłoni, kapiała na podłogę. Pamiętam migotanie płomyków i zapach świec w czystej kuchni.

— Niech idzie już spać! — powiedziała Jedwabnikowa głośno. — Spać!

Zaczęła opowiadać o matce męża: — Ciągle czegoś szuka, przewraca po szufladach, w nocy woła, przyzywa tych starych kamratów, których tu dawno nie ma ...

— Daj pokój — mówił Jedwabniczek — daj pokój.

Staruszka wróciła i patrząc na mnie, jak przez łyżę, spytała po polsku: — A tyś z ruskiej wojny powrócił, czy Poloki cię puścili?

— Matko, to kto inny, nie zna go matka — powiedział Hans. — Trzeba iść spać.

— Inny, inny. On jak Ditter, taki sam. — Zaszurała pantoflami, odchodząc.

Milczeliśmy. Pilem herbatę z fajansowego kubka. Tak ich zapamiętałem — w jasnej kuchni. Matka Jedwabniczka ze świeczką, z której kapią krople stearyny. Hans Jedwabniczek posmutniały nagle i przygarbiony. Jego gruba żona stoi przy piecu.

Matka umarła podobno z końcem listopada. Po moim wyjeździe z Doliny Srebrowiczów. Na wiosnę poszedłem obejrzeć nową tabliczkę na cmentarzu przy leśnej drodze do Lipowa. Grób wydał mi się mały i opuszczony. Przysypany brązowymi

liściemi leszczyn i lip. Żółtymi igielkami modrzewia. Na białej tabliczce przeczytałem: „Anna Jedwabniczek, geb. Jedamzik”. I data śmierci.

Jej syn wyjechał przed świętami. Zabrał grubą żonę — zostali córka i zięć. Dawniej mieszkali w pokoju na poddaszu — teraz zajęli cały dom.

Mogłem sobie tylko wyobrazić, jak było: śnieg już leżał na łące. Trzymał lekki mróz. Walizy i skrzynie, spakowane, czekały przed domem. Na stację w Zamordejach miał odwieźć Jedwabniczków Władek — zięć Grabowskich. O ósmej miał podjechać zukiem pod dom.

Siedzieli wszyscy w jasnej kuchni. Żarówka w blaszanej osłonie pod sufitem rzucała światło na znajome sprzęty: oszklony kredens, biały stół z wyżłobionym na skraju blatem (tam, gdzie Jedwabniczkowa krajała chleb). Krzesła z wytartymi siedzeniami, szafka w kącie, na której stały wiadra. Makatka *Frisches Wasser*. I ta nad stołem o „porannej godzinie ze złotem w ustach”. Nad piecem chochle, blaszany dzbanek z obitym dnem i fajansowe kubki.

Ostatni łyk herbaty. Jedwabniczek wychodzi przed dom — księżyc świeci nad lasem, mroźna noc. Widać sosny za białą łąką, czarne wierzby nad martwym korytem rzeki. Hans Jedwabniczek obchodzi wolno budynki gospodarcze — stodołę. W oborze pobekują owce. Odzywa się któraś z krów. Coś miękkiego ociera się o nogę. To kotka — czarno-biała Murka. Chodziła za Jedwabniczkim jak pies. Łasi się teraz z podniesionym ogonem. Hans pochyla się i głaszcze kotkę. Jest tak cicho, że słychać jak z dachu z szelestem spada śnieg.

Ktoś zapalił światło nad schodami przed gankiem. Jedwabniczek stoi teraz w świetle żarówki — widzi tylko wydeptaną ścieżkę, na której siedzi czarna kotka.

A może było inaczej: od rana niepokój, zmęczenie, pośpiech. Te walizy ciężkie, pośpiesznie wrzucane na skrzynię zuka. Śmiech Władka-kierowcy: — Jak się tam urządzić, przysłijcie zaproszenie. Przyjadę do roboty.

Zapłakana córka. Jedwabniczkowa wynosi paprotkę w doniczce, tę, która stała na serwantce w pokoju. Jedwabniczek protestuje: — Kobieto, na granicy odbiorą, po co?

Kłócą się o paprotkę — brać, czy nie brać, aż kierowca Władek przypomina: — Ludzie, trzeba jechać, czas!

I płacz kobiet. I zielona paprotka na śniegu. Teraz dopiero biegnie czarna kotka. Jedwabniczek nie chce patrzeć. Kiedy się dą już we trójkę w szoferce, zamyka oczy. „Powierz Panu wszystkie swoje drogi”. Słychać jeszcze szczekanie psa, potem już tylko most, rzeka i kilka domów.

Zięć podnosi ze śniegu paprotkę. Córka gasi światło nad gankiem.

Wypadek, o którym później długo opowiadano w Lipowie i Zielonym Lasku, zdarzył się we wrześniu, o siedemnastej, jak powiedziała stara Grabowska. Pili po wypłacie w „Gwiazdeczce” — zmiennik zięcia-kierowcy, dwóch pilarzy z Rydzewa i Kostek. Stawiali po kolei. Na każdego wypadło po pół litra. Podobno kelnerka z „Gwiazdeczki”, niejaka Lewandowska, koleżanka córki Grabowskich, mówiła do zmiennika, żeby zostawił wóz pod knajpą. A on powtarzał: — Pojedziem i już!

Tamci śmieli się.

We czterech wsiedli do „łazika”. Dwóch z Rydzewa usiadło z tyłu — na ławeczkach. Kostek obok kierowcy. Podobno ludzie mówili, że zmiennik jechał dziwnie. Znosiło go na prawą stronę i stale wjeżdżał na krawężnik. Buda łazika podskakiwała, jakby jechali po wybojach.

Zaraz za wsią droga opada łagodnie pod starymi lipami, które rosną wzdłuż poboczy. Tam nabrali rozpędu — jeden z Rydzewa opowiadał później, że tylko świstało pod plandeką. Kiedy zjechali z góry i gnali prostą drogą w stronę Zielonego Lasku, znów ich zaczęło znosić w prawo. Zmiennik chciał chyba odbić w lewo, ale nie zdążył. Huknęli o pień lipy. Ten z Rydzewa zapamiętał drzewo przed maską i błysk, a potem jakby głową stuknął o betonową ścianę. Cisza. I ciemność.

Na polu ludzie kopali ziemniaki. Pobiegli zaraz w stronę drogi. Łazik uderzył prawą stroną — maska wozu leżała na drodze, dwa koła w rowach. Szkło z szyb rozsypane po asfalcie: z pięćdziesiąt metrów drogi zasłanej szkłem.

— Jak szklane paciorki. Tylko chrząścily pod nogami — opowiadała Grabowska. — A w środku cisza.

Kobiety z pola krzyczą. Ktoś pobiegł dzwonić po karetkę, inny zawiadomił Kostkową i Grabowskich. — Jezu — wdychała teściowa Władka. — Ci z Rydzewa głowy mieli potłuczone, jeden złamał rękę. Ale kierowcę nieprzytomnego wyciągnęli. Wstrząs mózgu, połamane nogi, pęknięty obojczyk — wyliczała. — Do dziś leży w szpitalu.

— Co z Kostkiem? — spytałem.

— To pan nie wie? — zdziwiła się. — Na miejscu trup. Ledwo go z tego łazika wyciągnęliśmy.

Patrzyłem na kobietę zaskoczony: — Naprawdę nie żyje?

— Kostkowa lamentowała okropnie. Do dziś tam chodzi, pod drzewo. Kładą kwiaty, palą świeczki.

W sierpniu spotkałem Kostka na moście. Spacerował z córeczką. Widziałem z daleka, jak podniósł małą, żeby pokazać kajaki na rzece.

— Córeczka? — spytałem, a Kostek uśmiechnął się i kiwnął kudłatą głową. Mała trzymała w rączce lizak — biały cukierek na patyczku.

A w miesiąc później leżał koło rozbitego łazika w rowie, przykryty pokrzwioną marynarką, płaczące kobiety stały naokoło, pachniało rozlanym olejem, spaloną gumą. Dymem z ogniska na polu. Palili kartoflane łęty.

Przyjechała karetka, lekarz stwierdził zgon — zabrali tylko żywych. Kostek podobno leżał do rana — jego żona siedziała przy nim do końca. Obok wraku rozbitego wozu. Milicjanci z Rydzewa radzili, żeby poszła do domu, ale ona nie chciała wstać.

— Jak skamieniała, panie — opowiadała Grabowska. — I co pan powie: niedawno go rzuciła, „z pijakiem nie będę żyć”, a potem lzy, a potem płacz!

Pochowali Kostka daleko — powieźli ciało do rodzinnej wsi koło Kolna. Brat podobno pomagał wdowie załatwiać formalności.

Następnego dnia pojechałem szosą w stronę Lipowa i zatrzymałem się koło drzewa ze zdartą korą. Na zdeptanej ziemi leżały zwiędłe kwiaty — trzy białe goździki. Na korze ktoś wyciął kozikiem krzyżyk. Ten krzyżyk i pień w miejscu, gdzie nie było kory, zrudziały jak suche liście. Postąpiłem chwilę na pustej drodze, a potem wsiadłem na rower i pojechałem z powrotem.

We wrześniu i na początku października ryczały jelenie. Wychodziłem przed dom w nocy i słuchałem, jak z głębi lasu odzywają się chrapliwym basem — zdawało się, że drzy powietrze. Czasem kończyły ryk postękiwaniem i kaszlem.

Jednej nocy usłyszałem byka, który odzywał się blisko — nad rzeką. Stałem przy płocie i słuchałem jego porykiwań i kaszlu. Zbliżał się — w końcu musiał wyjść na skraj lasu za polem i ryczał zwrócony łbem w stronę księżycy. Pamiętam, że noc była chłodna i jasna. Mgła unosiła się nad łąką. Ten jeleń szedł skrajem lasu, nad doliną, stawał co pewien czas i ryczał, kończąc zawsze kaszlem. Drżało powietrze.

A w listopadzie świeciły kałuże ścięte pierwszymi przymrozkami. Palilem w piecu bukowymi polanami. Lubilem siedzieć po ciemku i patrzeć na ogień.

Kiedys, w nocy, słyszałem gęsi lecące pod gwiazdami — spóźnione stado. Długo słuchałem pokrzykiwania ptaków — jakby gdzieś z głębi nieba. Krzyczały coraz dalej, mniej wyraźnie, aż ucichły zupełnie. Później wydawało mi się, że daleko biją dzwony, ale to było złudzenie.

Rano zobaczyłem przez okno czerwony rower oparty o pień

wierzby. Pamiętam, że siedziałem przy stole pod oknem, usiłując pisać. Zamyśliłem się, a kiedy uniosłem głowę, zobaczyłem damkę na skraju lasu. Zerwałem się tak raptownie, że przewróciłem krzesło. Zadzwoniła łyżeczka oparta o talerzyk ze szklanką herbaty. W pośpiechu wciągnąłem sweter i nakładałem tenisówki. Pamiętam wewnętrzny dygot, jaki mnie ogarnął. Pobiegłem zostawiając otwartą furtkę.

To była czerwona damka.

— Marysiu! — zawołałem. — Marysiu!

Odpowiedziała cisza. Wolno wirując w powietrzu, spadały liście wierzby. Przeleciały dwie sójki, zakrzyczała sroka. Pobiegłem dalej. Wiem, że stałem pod brzoźką, pod którą kiedyś uciekła przede mną, zostawiając rower na ścieżce. Później wydało mi się, że w głębi lasu, na drodze, mignęła biała kurteczka.

Biegłem, wołając co pewien czas: — Marysiu!

Nikt nie odpowiadał. Wiem, że szedłem ścieżką przez młody las. Czulem łaskotanie potu na skroniach. Oddychałem nierówno i głośno. I wiem, że znów spłoszyłem łanię. Zatrzymała się o kilkadziesiąt kroków przede mną, na ścieżce. Patrzyła w moją stronę, wysoko unosząc łeb. Potem nagle jakby zmalala — obróciła się w miejscu, przysiadła i skoczyła między choiny. Widziałem łanię płynącą w powietrzu.

Długo stałem pod sosną z uschniętym konarem, przypominającym wyciągniętą rękę. Zdaje się, że odruchowo spojrzałem w tamtą stronę. Potem zacząłem wracać.

Pomyślałem nagle, że może rozminęliśmy się i ona czeka teraz pod domem? Znów zacząłem biec. Zdyszany zbliżyłem się do końca ścieżki. Widziałem już czerwoną damkę pod wierzbą. A kiedy byłem blisko, zobaczyłem drwała, który wyszedł z lasu na drogę, zbliżył się do roweru i zaczął przywiązywać paskiem piłę. Miała zbiornik paliwa pomalowany na żółto.

Zatrzymałem się i omal nie krzyknąłem: — Panie, zostaw pan cudzy rower!

I wtedy zrozumiałem, że to była jego damka.

Przymocował piłę do bagażnika, ujął kierownicę i zaczął odchodzić. Po kilku krokach postawił prawą nogę na pedale, odepchnął się lewą i przełożył nogę nad siodełkiem. Miał takie same jak Jerominek gumo-filcaki. I tak, jak leśniczy z Lipowa, odjechał wolno, lekko kolebiąc się, z wysiłkiem naciskając pedały.

Zabrzczał dzwonek. Zostałem sam.

Tego dnia po południu, mimo zimnego wiatru, wyniosłem trzcinowy fotel i usiadłem pod brzozą. Postawiłem fotel blisko drzewa i później, kiedy zapadłem w półsen, obudziłem się z głową przyciśniętą do pnia. Brzoźka dygotała w podmuchach wiatru.

Śniło mi się, że jest noc i świeci niebieski poślaniec. Pomarańczowa kula płynęła nad sosnami. Tak jak wtedy zapadła cisza. Pogasty światła w oknach świadków Jehowy. Jasny obłok zbliżał się — oświetlał korony drzew. A kiedy zniknął, zobaczyłem nagle martwe jezioro: znalazłem się na tamtej małej plaży z odcisniętymi na piasku śladami suchych kopytek. Było cicho i pusto. Ławice śniętych ryb kołysały się w trzcinach przy brzegu. Widziałem białe brzuchy karpia i szczupaków.

To chyba wtedy poczułem nagle ból w skroniach, a potem drżenie przenikające od czoła. I zbudziłem się z głową przyciśniętą do pnia.

1987/1988

Kazimierz ORŁOŚ

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00
natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept
krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. •

Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,
12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,
Tel.: 42 85 79 45

Wiersze

Jacek BIEREZIN

JĘZYK GESTÓW

Kindze

Wiesz, jestem zmęczony.
Przeżyłem śmierć i narodziny
miłości. Nauczyłem się kochać
i pracować. Byłem w wielu krajach.
Miałem dużo kobiet
i kilku przyjaciół.
Widziałem trochę dobra
i wiele zła.
Bliscy mi ludzie
nie umieli milczeć.
Obcy mi ludzie nie umieli patrzeć.
Wrogów miałem marnych.
*...byłem niemal wszędzie
i wszystko to
zostawiłem za sobą.
I tam gdzie idę teraz,
idę sam.*
W jakim języku
to powtórzyć.
Opowiedzieć
od nowa.
Może pozostał -
już tylko
język gestów.
Ostatecznych.

Jacek BIEREZIN

Paryż, sierpień 1989

Maciej CISŁO

ZŁO TKWI W ISTNIENIU

*To, że Bóg cierpi, że czuje,
czyż nie jest to samo wewnątrz
świata i jego najgłębsza tajemnica?*

Pascal

Biblia mówi: Bóg stworzył świat
„i widział, że było to dobre”. Zło
przyszło później, wskutek buntu aniołów... Lecz Budda powiada:
zło

tkwi w samym istnieniu
Które jest podzielone, a nie
Jedno,
i w tym rozdarcu są początki cierpień wszystkich istot.
Życie żywi się,
by żyć,
rozrywa na strzępy siebie samo.
Rzeczy są różnicami,
które spostrzegamy :
miłość płodzi śmierć... Człowiek to zrozumiał
i poznał Wstyd — a także zasłonę, Formę.

* * *

Kurz osiada na nieruchomej powierzchni stawu.

W ciemnej zieleni trwa — pozapalane kule mleczów.

Białe zapach
czarnego bzu.

Motyle otwierają się i zamykają jak małe książeczki.

— Prowadź mnie cieniu, moja duszo.

ALE MÓWMY O CZYM INNYM

...Niezwalczona walka: akcja i reakcja, dzień i noc,
śmierć i życie, ogień-woda — są w naturze.
Gasi ogień ogniem, kto by chciał zwalczyć walkę.
(Lecz i „niesprzeciwianie się złu”
nie usuwa zła z oblicza ziemi: skoro mu się nie sprzeciwia!?)

Ale mówmy o czym innym.

Kazimierz nad Wisłą.
Ziemia kazimierska jest krucha, żółta
i słodka jak chałwa.
Ukląkłem pod znajomym dębem na wzgórzu: animizm
jest może bardziej pobożny, niż sam Kościół Chrześcijański.
Nie ma w nich pychy człowieka, wynoszącego się ponad resztę
żywych stworzeń.
— Wierzę w nieśmiertelną duszę drzewa!

Jakże miałbym być stateczny, gdy jestem ekstatyczny.

Ale mówmy o czym innym.

Jedno z zastosowań
zasady niepewności Heisenberga: na przykład to, że bez przerwy
czynnie obserwuję swoje myśli,
naruszając tym samym ich porządek.

Umysł tworzy i poznaje.
i poznaje, że tworzy:
a z tego też
chce
tworzyć...

Ale mówmy o czym innym.

Maciej CIŚŁO

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 446 — ZYGMUNT HAUPT

SZPICA

Opowiadania, warianty, szkice

Materiały zebrane po śmierci Autora, które nigdy nie ukazały się w wydaniu książkowym. Wstęp Renaty Gorczyńskiej. Szkic biograficzny opracował syn Autora, Arthur Haupt.

Str. 280.

Cena F. 120,00.



TOM 456 — ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

WIELKIE BANKRUCTWO

Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku

Nowa książka Zbigniewa Brzezińskiego składa się z jego *Wstępu*, sześciu części: *Wielkie Bankructwo*. — *Rozpad*. — *Odrzut organizmu*. — *Komunizm handlowy*. — *Kompromitacja praktyki*. — *Agonia komunizmu oraz Połowie*.

Str. 276.

Cena F. 145,00.



TOM 457

**POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA
W LATACH 1926-1939**

Na podstawie tekstów min. Józefa Becka
opracowała Anna M. Cienciąła

Str. 448.

Cena F. 220,00.



TOM 459 — BERNARD NOWAK

CZTERY DNI ŁAZARZA

Opowiadanie o podziemiu wydawniczym

Str. 144.

Cena F. 75,00.

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

ZIEMIA NICZYJA?

1. Czarna księga

*Lotnisko Okęcie w Warszawie.
Niedziela 20 maja 1990.*

Porucznik WOP w okienku bada mój paszport. Trwa to dłużej niż u innych, wreszcie mówi: „Proszę bardzo” i odblokowuje drzwi. Wchodzę do hallu i czekam na walizkę. Zanim nadjechała, porucznik zjawił się znowu. „Bardzo pana przepraszam, mówi grzecznie, ale stanowczo. Zaszło nieporozumienie. Zechce Pan przejść z powrotem na drugą stronę barierki i dać mi z powrotem swój paszport. To nie potrwa długo”.

Trwało długo. Po 5 minutach grzecznie spytałem: „O co chodzi?”. „Nic wielkiego — powiedział — zaraz się wyjaśni. Czekam na instrukcję”. Nie wyjaśniało się. Czekał. Ale instrukcji nie było. Powiedziałem tedy — ja też spokojnie, ale stanowczo — bo krew mnie już zalewała: „Jeżeli natychmiast nie wyjaśni pan sprawy i nie wypuści mnie pan na miasto, to zginie moja walizka, odjadą znajomi, którzy na mnie czekają, a ja postanowię wrócić do Brukseli i nie stawię się na spotkanie w najbliższy czwartek o godz. 17 u wiceministra spraw wewnętrznych Krzysztofa Kozłowskiego, który jest — zdaje mi się — od niedawna przełożonym pańskich przełożonych. Nie sprawi mu to wielkiej radości”.

Porucznik spojrzął na mnie wzrokiem bezradnego dziecka i jeszcze raz zadzwonił: „ON mówi, że ma spotkanie z ministrem Kozłowskim”. „Wpuścić” — dochodzi mnie ostro ze słuchawki porucznika. Wpuścił. Odprowadził do walizki samotnie stojącej w środku pustej sali, oddał w ręce już prawie zapłakanej Ireny, i

powiedział: „To nie nasza wina. Niech się pan poskarży ministrowi. On wie o co chodzi”.

Poskarżyłem się. Wiedział. Czarne księgi (dosłownie czy w postaci komputerów, nie wiem), oczywiście, istnieją nadal. Teoretycznie powinni w nich figurować już tylko szpiedzy, terroryści, handlarze żywym towarem i narkotykami, Abu Nidal i Abu Daud (choć ci ostatni nie mieli do niedawna żadnych problemów na Okęciu). Powinni byli natomiast zniknąć z niej politycznie podejrzani dziennikarze zachodni. Powinien był już minąć czas, kiedy wpuszczano terrorystów, a odsyłano dziennikarzy.

Teoretycznie minął, twierdzi minister Kozłowski. Praktycznie nie wszyscy o tym wiedzą. Ktoś zapomniał albo nie chciał czegoś tam wykreślić. Porucznik WOP oczywiście nie winien. System winien. Stary jeszcze nie całkiem zginął, nowy jeszcze nie funkcjonuje jak należy. Góra już wie. Na dole jeszcze mają wątpliwości. Myślą, że ta ziemia ciągle niczyja.

Nie tylko na lotnisku Okęcie.

2. W oku cyklonu

„No to zaczynam”. Lech Wałęsa zrzuca marynarkę, zmienia pantofle, zakłada miękkie mokasyny i rozpoczyna dzień od awantury i inwektyw. Jest 9.30 rano. Czarna Lancja, znak rozpoznawczy osób należących do klasy rządzącej Rzeczpospolitą Polską, przywozła przed chwilą Wałęsę z jego podmiejskiej willi do biura w siedzibie Solidarności w Gdańsku. Rzekomo jeździ z obstawą, ale „goryli” nie widziałem, widocznie zostali na dole.

Dlaczego obstawa, dowiedziałem się z reportażu w *Tygodniku Solidarność*. Dostarczył mi go, aby ułatwić mi aklimatyzację, równie inteligentny co sprawny i sympatyczny rzecznik prasowy Wałęsy, Jarek Kurski. Wałęsa został mianowicie „skazany” na śmierć za zdradę przez jakiś bliżej do dziś nieznaną „trybunał patriotyczny”. „Sędziów” nie odnaleziono, ale obstawę utrzymano.

„Niech pan siada, gdzie panu wygodnie. Zostanie Pan ze mną przez cały czas mojego urzędowania, podczas wszystkich wizyt i dyskusji. W zasadzie (akcent na słowo w zasadzie) nie mam sekretów...”

Okazało się, że ma. Oczywiście. Dwa epizody uruchamiają program dnia. Pierwszy epizod wyrzuca mnie z fotela, który chciałem zająć. „Tylko nie ten” mówi Wałęsa. Okazuje się, że ten właśnie należy do „szefa” (tak tu wszyscy nazywają Wałęsę). Natychmiast zrozumiałem moją gaffę. Na lewo od fotela, na małym stoliku, stoi mianowicie sporej wielkości statuetka Piłsud-

skiego. Kompozycja jest jasna — zdjęcia powinny objąć obu panów...

Dzień raczej typowy. Zaczęło się, już powiedziałem, od awantury. Wałęsa przejrzał prasę. Na pierwszej stronie *Gazety Gdańskiej*, mała ale widoczna dwuszpaltówka o wielkim plakacie w USA, na którym Wałęsa opowiada coś banalnego o deklaracji praw człowieka: „Czytałem ten tekst już 100 razy i nie przestanę go czytać do śmierci”, czy coś w tym rodzaju. Nieważne. Ważne, że plakat oblepił całe USA, ale z podpisem nie Wałęsy, a Philippa Morrisa, czyli fabrykanta papierosów. Wałęsa bezwiednie więc reklamował nie prawa człowieka a papierosy, których zresztą nie pali. Był wściekły na tych, którzy mu podłożyli kontrakt do podpisania nie wiedząc o co chodzi. Zanim się skandal rozniósł, Kurski ogłosił, że zaszło nieporozumienie i że honorarium (20.000 dolarów, zdaje się, już nie pamiętam) poszło na jakiś szlachetny cel.

Incydent zamknięty, Wałęsa się uspokaja, zaczyna się rytuał. Najpierw telewizja gdańska, potem jakiś poseł, po nim dyplomata, dyrektor generalny UNIDO, czyli agencji ONZ do spraw inwestycji przemysłowych, chyba przede wszystkim w krajach Trzeciego Świata (no, ale Polsce do nich niedaleko), wreszcie współpracownicy, doradcy, sztab przewodniczącego...

Rutyna? Wałęsa nie daje tego poznać po sobie, ale odnoszę silne wrażenie, że to wszystko już go serdecznie nudzi. Nie dziwię mu się. Po pierwsze, powtarza to samo. Do odwieczających go *businessmen*ów trzyma, w rozmaitych wersjach, tę samą gadkę: „Panowie, proszę, przyjeżdżajcie, tu na was czekają pieniądze. My toniemy, nauczcie nas pływać, inaczej pójdziemy razem z wami na dno”. Do dyplomatów to samo w wersji politycznej. „Polska, powiada, jest ważnym czynnikiem stabilizacji i pokoju w Europie. Polska zaczęła proces dekomunizacji Europy. Nikt nigdy tego jeszcze nie próbował. Udzielenie Polsce odpowiedniej pomocy, tak aby nie zawalił się nasz eksperyment, leży więc także w waszym interesie...” Mówił to już setki razy. Ile razy można?

Naturalnie zdarza się, że Wałęsa wyskakuje z banału. *Tygodnik Solidarność* opisał dwie takie historyjki. Do pierwszej doszło przy okazji pobytu ambasadora NRD jeszcze chyba reżimowego. Wałęsa, w dobrej a może złej formie akurat tego dnia (*Tygodnik* nie precyzuje), nie dał gościowi dojść do słowa... „Jeśli Niemcy będą chciały zagarnąć Europę, to im się to nie uda. W ciągu 20 lat Europa zmiecie je z powierzchni, doszczętnie...” Nie wiem co Wałęsa miał na myśli, ale ambasador widocznie także nie wiedział, bo zmył się, a minę miał taką jakby — pisze *Tygodnik* — już ponosił odpowiedzialność za III wojnę światową.

Druga historia to wizyta aż dziewięciu ambasadorów państw arabskich. Zabrał głos Palestyńczyk, bardzo długo nie kończył, aż Wałęsa mu przerwał: „Powieńm prowokacyjnie. Stosunki między nami nie będą dobre, jeśli będziemy tak naokoło chodzili. Prawdopodobnie chodzi o to, że nawiązujemy stosunki z Izraelem...”. Ambasadorów — jak precyzuje *Tygodnik* — zamurowało. Zapanowała cisza...

Po drugie, to wszystko nudzi Wałęsę także dlatego, że „szef” chyba wie, że jego mowy przechodzą obok uszu. Wałęsa jest za sprytny aby nie rozumieć, że jego goście przyjeżdżają do Gdańska nie dla wysłuchania znanych już kazań Wałęsy („jak pan raz był na konferencji prasowej Wałęsy, to był pan na wszystkich”, powiadają bywalcy), a po to, aby się sfotografować z „człowiekiem z żelaza”, elektrykiem-laureatem Nobla, który „zmienił oblicze świata”. Zdjęcie potem wisi na dobrym miejscu w gabinecie w Paryżu czy Waszyngtonie, nie może zaszkodzić, a może pomóc w kampanii wyborczej, w awansie, karierze, w sukcesach salonowych (niepotrzebne skreślić).

Wałęsa ma swój język. Własny, niepowtarzalny. I często pokrecony i niezrozumiały. U niego, to nie jest wada. Odwrotnie, to jeden z jego głównych atutów. Rozmowy toczą się często na tematy trudne dla Wałęsy. Zdobył on ogromne doświadczenie, ale naturalnie nie mógł opanować wszystkich dziedzin, o jakich przychodzi mu rozmawiać. Nie zawsze zna odpowiedź na zadane mu pytanie. Jest zbyt zarozumiały, aby powiedzieć po prostu: nie wiem. I wtedy sięga po swój fantastyczny, niezrozumiały słownik. Tłumacze, naturalnie, tłumaczą. Ale, w istocie, oni tylko udają. To co Wałęsa czasem mówi bywa po prostu nieprzetłumaczalne. Dyrektor z ONZ kiwał inteligentnie głową, ale akurat znalazłem używane języki i wiedziałem, że niewiele z Wałęsy do ONZ-towca dochodzi. Był to więc typowy dialog głuchych, ale też nie o wiele więcej chodziło... Po czym wszystko zakończyło się wesołym oberkiem, to znaczy wspólnym zdjęciem. Jedno z Piłsudskim. Drugie, na tle biblioteki z półkami wypełnionymi prezentami ofiarowanymi Wałęsie. Sądząc z prezentów, gości Wałęsy nie można oskarżać o nadmiar dobrego smaku...

Otóż, ta „spontaniczna” niezdarność językowa to skuteczny instrument polityczny. Ta „prostota” umiejętnie zainscenizowana pozwala Wałęsie na poruszanie tematów tabu, na bezkarne „narażanie się”, na udawanie, że rozumie, albo że nie dostyszał. Pani Joanna Kluzik, reporterka *Tygodnika*, bardzo trafnie oddała „kolor” Wałęsy. „Niedyplomatyczność” Wałęsy — napisała w *Tygodniku* — odbierana jako bezczelność, spryt, nietolerancja, broni go przed całkowitą nudą, nadaje spotkaniom jakieś tempo. Ale przede wszystkim — przez zaskoczenie — pozwala na uzy-

skanie natychmiastowej przewagi nad rozmówcą, umożliwia kierowanie rozmową. Przez „nieporozumienie”, „niedostyszenie”, pozorne niedostrzeganie ważności — na co żaden szanujący się inteligent nigdy sobie nie pozwoli — wygrywa wiele”.

Cytuję słowa, bo rzadko kiedy zdarzyło mi się przeczytać tak krótką, ale tak trafną charakterystykę skomplikowanego przecież zjawiska, jakim jest Wałęsa. Ale cytuję to także dlatego, bo, niestety, sprawa jest nieco trudniejsza i nie można jej sprowadzać do ram właściwie folkloru.

Mimo porucznika WOP-u i czarnej księgi, byłem u Wałęsy i w Polsce w czasie kiedy działo się sporo ważnych rzeczy. Kiedy okazało się, że florentyńskie i misterne, często wcale nie improwizowane, zakrętasy Wałęsy, tak skuteczne z ambasadorami i innymi osobnikami zobowiązanymi do respektowania określonych reguł gry politycznej czy salonowej, nie wystarczą już do grania po polsku. Wałęsa powinien już zacząć mówić jasno. W sprawach o jakie chodzi dziś nad Wisłą też już nie można „chodzić naokoło”. Ta epoka skończyła się nie tylko dla ambasadorów arabskich. Ona już minęła także dla Wałęsy.

Wałęsa ma dwie drogi. Albo zostać symbolem, powoli przechodzić do historii i wtedy nadal może „chodzić naokoło”. Albo stać się politykiem, ale wtedy trzeba chodzić prosto.

3. Najdłuższy dzień

Lech Wałęsa wydał mi się człowiekiem rozczarowanym, zagubionym, *dépassé par les événements*, sfrustrowanym i, co za paradoks, osamotnionym. Znałem go już, naturalnie, przeprowadziłem z nim dziesiątki rozmów przez telefon między Brukselą a Gdańskiem, i to także wtedy, kiedy nie było to łatwe technicznie i politycznie, kiedy niewielu dziennikarzy się nim interesowało. Tym razem spędziłem z nim jeden tylko dzień, ale był to bardzo długi dzień: dał dość wierny dostęp do poglądów Wałęsy i sposobów w jakie on je wyraża, jak utrzymuje kontakty z ludźmi, jaki ma do nich stosunek i czego się po nich spodziewa. A także odwrotnie: czego się ludzie z jego otoczenia po nim spodziewają.

Spisuję tu tylko te obserwacje, do których sam doszedłem, ale które zostały w jakiś sposób potwierdzone przez dziesiątki moich rozmówców, w tym kilku całkowicie i bez reszty oddanych „szefowi”. Nie mogę i nie chcę cytować ich nazwisk. Nie wiem zresztą czy sobie tego życzyliby, choćby z uwagi na charakter Wałęsy. Ale nie cytuję indywidualnych sądów czy ocen ra-

czej dlatego, że chodzi tu o remanent, o syntezę, a nie o prezentację serii poglądów.

Rozmowa, a nawet chwilami — chciałoby się rzec, gdyby nie obawa przed patosem — ostra, dramatyczna dyskusja z Wałęsą nie daje się łatwo streścić. Odmienne niż mogłoby się to wydawać *a priori*, i odwrotnie do tego co nam sugerują rozmaitej maści sykofanci, Wałęsa nie robi na swych rozmówcach tak zwanego „dobrego wrażenia”. Przypuszczam, że jest to w ogóle cecha większości „wielkich ludzi”, ale w tym wypadku szok jest tym większy, że rozmówca Wałęsy jest psychologicznie przygotowany na coś innego.

Po prostu, wydaje mi się, że zachodzi tu poważne nieporozumienie. Obawiam się mianowicie, że nikt jeszcze nie odważył się, a może nie udało się, wytłumaczyć „szefowi”, że ten słynny „styl Wałęsy”, tak użyteczny w rozmowach banalnych czy nieobowiązujących, tak sugestywny, a nawet porywający na wielkich mitingach, w kontakcie z tłumem, zawodzi, nie skutkuje, a nawet szkodzi w rozmowach, gdzie groźna jest wszelka niejasność, dwuznaczność, ryzyko niewłaściwej interpretacji jego słów. Że Wałęsa nie powinien wierzyć w mit o swej nieomyślności.

Nie wiem czy Wałęsa zdaje sobie z tego sprawę, za mało mi na ten temat powiedziano, ale odniosłem wrażenie, że właściciel i po prostu nie może sobie znaleźć miejsca w aktualnej rzeczywistości polskiej. Nie wiem czy to był błąd strategiczny i psychologiczny, czy brak wyobraźni, czy też może świadoma operacja, ale pozostawienie Wałęsy na uboczu przy dystrybucji kart i honorów nowej normalnej władzy, nowej „nomenklatury” (w ustroju demokratycznym nie ma w tym określeniu niczego ujemnego, jakaś lista stanowisk do obsadzenia przez partię zwycięską musi przecież istnieć), fatalnie dziś owocuje.

Dla dwóch przyczyn. I dlatego, że Wałęsa jest właśnie sfrustrowany (zaraz powiem dlaczego), i dlatego, że Wałęsa został sam (też zaraz powiem dlaczego), co zresztą nawzajem się uzupełnia i warunkuje.

Do niedawna Lech Wałęsa, oficjalnie tylko przewodniczący związku zawodowego, był w istocie źródłem wszelkiej ważnej decyzji politycznej w Polsce. To Wałęsa podjął sam lub przy pomocy innych (ale ci inni się zmieniali, albo działali jedni w cieniu, inni w dyskrecji) podstawowe decyzje dla obecnego kształtu Polski, a nawet szerzej, dla całego bloku wschodniego. Szkoda czasu na spis z natury, czytelnicy *Kultury* znają go na pamięć: strajki, które doprowadziły do „okrągłego stołu”, Magdalenka, która ciągle jeszcze, jak twierdzą, nie zdradziła wszystkich swoich tajemnic, kompromis z PZPR, który, choć był i jest bardzo krytykowany, zawierał, przynajmniej w szerokiej percepcji, nekrolog komunizmu w Polsce.

Mniejsza o legendy i okoliczności (wieczór, przy stole u Wałęsy, z braćmi Kaczyńskimi czy bez...), ale to Wałęsa storpedował koalicję Rakowskiego, odwrócił „sojusze”, to on zaproponował, a właściwie narzucił Mazowieckiego na pierwszego niekomunistycznego premiera rządu w kraju należącym do Paktu Warszawskiego (Wałęsa wiedział od początku, że konkurencyjne kandydatury Geremka i Kuronia to mistyfikacja. „Wałęsa ich szanuje, powiedziano mi w Warszawie, ale przecież to Żydzi i komuniści”).

Nie należy przesadzać ani się upajać, znamy przecież rolę przypadku w historii, nie mówiąc już o teorii jednostek i ich kultu, ale z nazwiskiem Wałęsy, bardziej niż z jakimkolwiek innym, poza Wojtyłą i Gorbaczowem, związany jest upadek komunizmu, to od Polski zaczęła się lawina, która zniosła sowietyzm z powierzchni Europy środkowej. To zdjęcie Wałęsy symbolizowało fantastyczną rzeczywistość 1989 roku: koniec imperium sowieckiego. Wałęsa miał więc rację kiedy mówił (lub myślał): „Mur to ja”.

Ale Wałęsa mylił się, kiedy mówił (lub myślał): „Król, to ja”.

4. „Normalny” kraj

Polska się normalizuje. Do prawdziwej „normalki” jeszcze daleko, to, nie trzeba się łudzić, jest kwestią dziesięcioleci, ale dziś państwo polskie już nie jest rządzone przez związek zawodowy i jego przewodniczącego. Polska ma prawdziwy rząd i półprawdziwy parlament, ma bardzo dziwnego prezydenta — szefa antykomunistycznego państwa i szefa komunistycznej partii, strażnika legalizmu, a zarazem człowieka stanu wojennego, ma normalnie funkcjonujące (to jedna z niewielu normalnych rzeczy) koterie, frakcje, *lobby*, grupy nacisku i grupy interesu, a także, zapewne, mafie.

Otóż fakt, iż Solidarność ciągle istnieje w podwójnej postaci związku zawodowego i kolosalnego ruchu społecznego, zrzeszającego ludzi a nawet grupy o bardzo nieraz szerokim wachlarzu sprzecznych zapatrywań, uniemożliwia doprowadzenie tej normalizacji do logicznego końca, nie pozwala na stworzenie normalnych instrumentów życia społecznego, poważnie zaciemnia obraz, utrudnia myślenie i paraliżuje działalność polityczną, ale nie zmienia faktu, że ośrodek władzy przeniósł się z Gdańska do Warszawy.

Bardzo rozmaicie tłumaczy się fakt, iż partii politycznych w Polsce ciągle nie ma. Wśród wielu interpretacji — niektórych

powaznych, innych groteskowych — jedna wydaje mi się politycznie istotna. Żadna z dwóch powaznych istniejących tendencji w łonie Solidarności nie widzi „interesu” w przekształceniu się w normalny instrument uprawiania polityki i pójsicia np. do wyborów jako centro-prawicowa i centro-lewicowa partia polityczna. Ta pierwsza, prawicowa, partia — jak powiadają — Kaczyńskich, obawia się, że Wałęsa, kandydujący pod jej sztandarani na Prezydenta, przegrałby z Mazowieckim wyścig do Belwederu. Ta druga, lewicowa, partia Kuronia, Geremka i Michnika, obawia się, że przegra wybory do sejmu. W przydatkach sondażach Mazowiecki wyprzedza Wałęsę we wszystkich badaniach opinii. Nie wiem czy były takie badania prowadzone w odniesieniu do wyborów sejmowych, ale mało osób wątpi w sukces prawicy Solidarności i innej popieranej przez Kościół.

W oczach zachodniego obserwatora, a taka była moja rola, z której starałem się nie wychodzić, chociaż mnie do tego namawiano (m.in. z uwagi na prestiż *Kultury*), Polska, choć jak zawsze w ciągu jej historii, nie może się obejść bez mitów, symboli i nieżów opatrnościowych, dziś przede wszystkim potrzebuje rzeczywistej stabilizacji, to znaczy normalnie funkcjonujących, demokratycznych instytucji politycznych, prawnych, państwowych. Bohaterowie mogą być przyteczni, ale naprawdę niezbędni są administratorzy, menadżerowie, buchalterzy na wielką skalę. Na skalę dużego państwa.

To zresztą jest właśnie jeden z ważnych punktów historycznego dorobku Wałęsy. I jego, nazwijmy to, dramatu: ludzi, których uważał za najlepszych swoich doradców, Wałęsa „oddał ojczyźnie”. Mazowiecki, Geremek, Michnik, Kuroń, Wielowiejski i inni są w Warszawie a nie w Gdańsku. Nie doradzają już przewodniczącemu związku zawodowego, a rządzą krajem. Dobrze lub źle, to inna sprawa, ale samodzielnie. Wałęsa, oficjalnie, tego pragnął, ale teraz z tego powodu cierpi. Wałęsa mówi, że Mazowiecki jest jak Polska: zmęczony, cierpiący, schorowany. Nie bardzo rozumiem, co chce przez to powiedzieć. Chce zmienić Polskę, czy zmienić premiera?

Zwycięzcy komunizmu nie przeżyli zwycięstwa. Między „dworem” w Gdańsku a „zamkiem” w Warszawie (nie pamiętam dokładnie, może jest na odwrót), to jeszcze nie przepaść, ale już głęboka fosa. Wałęsa nie ukrywa goryczy. „Beze mnie — powiada do mnie — byliby niczym. To na moich plecach wjechali do sejmu i do rządu. Teraz mówią do siebie tylko per panie ministrze, panie senatorze, a do mnie, to odmawiają nawet przyjazdu”.

Sytuacja dla Wałęsy paradoksalna. Z jednej strony ma do swych byłych doradców i przyjaciół, a obecnie ministrów czy

posłów pretensje, ale z drugiej strony musi, w jakimś przynajmniej stopniu, oficjalnie ich popierać.

Towarzystwo więc, otoczenie „szefa”, zmieniło się. Miejsce doradców „historycznych”, Mazowieckiego, Geremka i innych, którzy byli u boku Wałęsy od chwili kiedy nieznanymi wówczas nikomu elektryk przeskoczył w odpowiednim momencie odpowiednie ogrodzenie w stoczni Lenina, zajęli ludzie nowi i młodzi, np. bracia Kaczyńscy, którzy do niedawna znani byli raczej z filmu Makuszyńskiego, a w owym wielkim roku 1980, nie mówiąc już o latach poprzednich, nie myśleli jeszcze chyba o kierowaniu państwem polskim.

Teraz już poważnie o tym myślą. Poznałem ich obu, jednego w Gdańsku, gdzie jest zastępcą Wałęsy w Solidarności, drugiego, redaktora naczelnego *Tygodnika Solidarność*, z okazji naszego występu w „salonie politycznym” na Foksal w Warszawie. Mają oni własną, a nie „historyczną” wizję przyszłości ich kraju. Inaczej więc, to rozumiałe, doradzają Wałęsie. Podczas kiedy doradcy „historyczni” pozostają u władzy, nowi doradcy, ambitni i inteligentni, a może nawet przebiegli (co w polityce nie jest wadą), niecierpliwą się, a to już może stać się w polityce wadą.

Nie należy braci Kaczyńskich demonizować, ale odniosłem wrażenie, że pod wpływem ich (zapewne nie tylko ich), nazwijmy ją, niecierpliwości, Wałęsa popełnił i będzie popełniał nadal błędy czy gaffy. Nie znam naprawdę intymnych poglądów Wałęsy np. na sprawę antysemityzmu — jego oficjalne deklaracje nie budzą w tej dziedzinie żadnych zastrzeżeń — ale nie powinien firmować wątpliwej wartości poglądów redaktora naczelnego jego tygodnika. W czasie wieczoru na Foksal wybuchła — to dziś w Polsce nieuniknione — dyskusja na temat hasel antysemickich rzucanych w trakcie kampanii do wyborów samorządowych. Były to hasła równie głupie co zawsze. Dyskusja, miejscami wrzeszcząca, np. w wystąpieniu Miłosza, toczyła się więc nie na temat hasel antysemickich w ulotkach, co na tle — jak mi powiedziano — paranoidalnej psychozy w Polsce (M.W. opowiadał mi, że był na kolacji w inteligentnym domu w Warszawie, gdzie głównym tematem rozmowy przy stole była liczba Żydów w rządzie Mazowieckiego) nie powinno nikogo dziwić. Chodziło raczej o bierną, banalizującą zło, postawę społeczeństwa wobec takich plakatów, napisów czy wystąpień.

Redaktor Kaczyński, pełen werwy i bardzo *schlagfertig*, wniósł w tę dyskusję nowy element. „Poważny”. Ku mojemu zdziwieniu (ale M. twierdzi, że jestem nieuleczalny), dał jakby nową, współczesną wersję, *toutes proportions gardées*, roku 1968, artykułu Piaseckiego o „instynkcie narodowym” i werblanowskiej teorii o szkodliwości „nadmiernej proporcji” Żydów w partii.

Naturalnie, nie powiedział tego wprost i nie dał się zmusić do wymieniaienia właściwych nazwisk. Dał jednak do zrozumienia, że choć Polaków nie można i nie wolno oskarżać o antysemityzm, to, naturalnie, petryfikowanie, utrzymywanie na siłę, „aktualnego” (to znaczy chyba „żydowskiego”) układu władzy, mogłoby wywołać odruch niechęci, niedobre (nie pamiętam przymiotnika) nastroje w społeczeństwie.

Nie wiem, bo już go potem nie widziałem, co myśli Wałęsa na ten temat i czy się zgadza z taką interpretacją sytuacji politycznej w Polsce. Nie wiem więc, czy on też uważa, że tędy prowadzi droga z Gdańska do Warszawy, szlak do Belwederu, bo o to przecież prawie wyłącznie chodzi.

5. *Widziane z daleka*

Nie wiem czy i jak reaguje Wałęsa na wystąpienia redaktora *Tygodnika* czy jego publikacje, dość powszechnie w Warszawie krytykowane nie tyle za poglądy — można już bowiem z nimi polemizować — co za napastliwy ton. Ale nie chodzi tylko o gazety. W końcu inne gazety, mniej niż *Tygodnik* Wałęsie przychylnie, też nie są bez winy. Wiem jednak — i ludzie nawet bez reszty oddani Wałęsie są co do tego zgodni — że jakiś „nowy” ton pojawił się także w jego własnych rozmowach i wystąpieniach, i że mu to popularności i prestiżu nie przysparza.

Czytelnik *Kultury* może zauważyć, że jestem bardzo ostrożny w formułowaniu sądów. Mam przecież tylko ograniczoną wiedzę o skomplikowanych zjawiskach polskiego życia politycznego. Nie mam jednak wątpliwości co do jednego wektora tej sytuacji: szkody, jaką sobie przynosi ten „nowy” Wałęsa w stosunkach z zagranicą.

Mam nadzieję, że Wałęsa nie ma wątpliwości co do mojej życzliwości wobec jego osoby. Otóż, chcę mu dziś powiedzieć — bo już nie miałem okazji na miejscu — że niektórzy jego poważni zagraniczni rozmówcy opuścili Gdańsk z bardzo mieszczanymi uczuciami, żeby to delikatnie określić. Według moich informacji, tacy panowie jak Cyrus Vance czy James Baker, były i obecny sekretarz Stanu USA, prezydent RFN, von Weizsaecker czy belgijski (i europejski) przywódca socjalistyczny Spitaels, no i liczni dyplomaci zachodni w Warszawie tak mu niedawno jeszcze przyjaźni, nie kryli mniej lub bardziej złego wrażenia jakie odnieśli z ostatnich kontaktów z Wałęsą. I z jego własnego, czy jego doradców, sposobu uprawiania polityki.

Naturalnie, Wałęsa może być zdania, że dla niego ważni są Polacy, a nie ludzie zza granicy, ale on sam wie, że nie powinien

tego zjawiska lekceważyć. Nie wiem, czy to „złe wrażenie” ma już jakieś skutki wymierne, np. finansowe. Ale wiem, że kumulacja tego typu zjawisk (a w tym bilansie trzeba także brać pod uwagę niedobry opad po gaffach kardynała Glempa) nie jest dla Polski korzystna. Dyrektor generalny od inwestycji przemysłowych kilkakrotnie powtarzał w rozmowie z Wałęsą, że zasadniczym warunkiem angażowania kapitałów zagranicznych w Polsce jest stabilizacja polityczna.

Rząd Mazowieckiego i plan Balcerowicza są, w oczach zagranicy, filarami tej stabilizacji. Wałęsa, naturalnie, także. Jest on ciągle ogromnym atutem Polski za granicą i nie powinien tego kapitału marnować.

A już marnuje, zwłaszcza, że uwagi obserwatorów nie uchodzi fakt, iż pozycja Wałęsy także w Polsce uległa poważnej erozji. Powiedzmy od razu, że nawet ludzie sceptycznie czy niechętnie ustosunkowani do kandydatury prezydenckiej Wałęsy, nie dziwią się, że Wałęsa takie ambicje żywi. Nic bardziej naturalnego, na Zachodzie bardziej nawet niż w Polsce, że człowiek, który w jakiś sposób symbolizuje renesans narodowy, chce pójść dalej i wziąć na siebie odpowiedzialność za los państwa. Ale wielu wątpi, czy Wałęsa ma kwalifikacje na to stanowisko i bardzo niewielu akceptuje sposób, w jaki Wałęsa postanowił swoje ambicje urzeczywistnić.

Zachód w ogóle niewiele z tego rozumie, a jak czegoś nie rozumie, to się w to nie angażuje. Tyle wie na razie, że kampania Wałęsy tylko pozornie mierzy w Jaruzelskiego, co do którego nikt sobie tutaj nie robi zmartwień: wbrew niektórym polskim publicystom, obecność Jaruzelskiego w Belwedrze to w oczach Zachodu anachronizm i mało osób tutaj rozumie, dlaczego tylko Polska w środkowej Europie musi jeszcze mieć komunistycznego prezydenta. Zachód widzi jednak, że w istocie ciągi od Wałęsy zbiera Mazowiecki. Niewiele tutaj wiedzą, powiedziałem, ale rozumieją, że jeżeli jest prawdą, iż Mazowiecki i Geremek zawdzięczają wiele Wałęsie, to prawdą jest też, że bez tych ludzi Wałęsa nie byłby tam gdzie jest.

Do bardziej wyrobionych obserwatorów zachodnich, a Polsce powinno na nich zależeć, dociera w pewnym, choć niewielkim stopniu, zarys politycznej kanwy sporu, jego opakowanie. Rozumieją z grubsza, że chodzi tu o spór o polski model i tempo przechodzenia z komunizmu do demokracji, o anachroniczność ustaleń „okrągłego stołu”, o wybory, ich datę, o konstytucję itd. O to, czy warto (na ogół sądzi się, że nie warto, a na pewno neguje się, że Zachodowi na tym rzekomo zależy) trzymać nadal byłych komunistycznych generałów na ważnych stanowiskach w rządzie i państwie. Węgrzy się ich już pozbyli, Czechosłowacja jest w trakcie pozbywania się i nie było ani

wojny domowej, ani puczu, ani interwencji sowieckiej. Rumunia ich zatrzymała i co się dzieje, każdy widzi.

Ale „dwór gdański” nie zdaje sobie sprawy z szoku, jakim dla polityków zachodnich jest lektura (w tłumaczeniu wypadają one jeszcze gorzej niż w oryginale) cytatów z Wałęsy o „wojnie z górą”, tzn. z Mazowieckim, o kampanii przeciw „jajogłowym”, o „kopaniu po kostkach”, o „wstydzie za rząd” itd. Repertuar jest Polakom znany. Atak na Mazowieckiego odbiera się tu jako atak na Balcerowicza, atak na „jajogłowych” interpretuje się jako coś w rodzaju rewolucji kulturalnej, a co najmniej hysterii i kompleksu antyinteligenckiego, a całość kampanii jako przejaw przede wszystkim ambicji własnej i pychy Wałęsy, który chce wrócić do czynnego wpływu na politykę w Polsce. usuwając Jaruzelskiego (co nikogo nie zmartwi), ale przede wszystkim deptając przyjaciół i sojuszników, robiąc przy tym naturalnie miejsce dla tych „nowych”, którzy mu w tej kampanii pomagają albo i inspirują.

Zachód nie gorszy się najbardziej nawet paskudnymi metodami w kampanii wyborczej, ale tutaj stosowane są one na ogół wobec przeciwników lub konkurentów, jawnych czy ukrytych, a nie wobec „przyjaciół i sojuszników”. Rzecz także ważna, można sobie na takie „luksusy” pozwolić w warunkach *dolce far niente* zachodniej demokracji. W Polsce, w dzikich mękach odbijającej się od dna, w Polsce wciśniętej między jednoczącego się kolosa niemieckiego i drgający w konwulsjach ZSSR, takie „wyborcze kopanie po kostkach” może się okazać bardzo kosztowne. Analogia jest fatalna, ale rumuński „górnicy 13 grudnia”, bo tak go trzeba nazwać, obudził zachodni sceptycyzm i ostrożność w klasyfikowaniu procesów zachodzących w byłych państwach komunistycznych jako nieodwracalne.

Stąd nikt się tu nie zdziwił, że sposób, w jaki Wałęsa zaczął swą kampanię prezydencką, ten „fakt dokonany” na skalę państwa, te mało subtelne metody walki z przeciwnikami, którzy wczoraj byli sojusznikami i którzy właśnie razem stanowili do niedawna mocną gwarancję, że Polska to nie Rumunia, że to wszystko spowodowało widoczny spadek pozycji i autorytetu Wałęsy także w Polsce. Niech nikogo nie myli entuzjazm, z jakim witają Wałęsę w Kongresie USA lub w Genewie. Decydenci polityczni, a jeszcze bardziej finansowi, nie są czuli na takie happeningi.

6. Czyj prezydent?

Jak wytłumaczyć schizofreniczną percepcję Wałęsy w wydaniu „model prezydencki” w Polsce w roku 1990? Dlaczego ci sa-

mi ludzie, którzy nie stracili niczego z podziwu dla Wałęs-trybuna i Wałęsy-symbolu, stają się sceptyczni, kiedy pojawia się perspektywa Wałęsy-prezydenta RP? Odpowiedzi jest sporo, tyle prawdopodobnie, ile jest „wrażliwości” na taki czy inny aspekt jego osobowości. Dla człowieka z zewnątrz rysuje się jednak kilka prawidłowości.

Polacy dopiero niedawno, w wielkich bólach, wyszli z kilku dziesięcioleci dyktatury. Wielu z nich boi się instynktownie „silnej ręki” i „mocnego człowieka”, obawia się Perona, nawet gdyby miał on wąsy Wałęsy. Zestawienie jest zapewne niesprawiedliwe, ale nikt nie ma wątpliwości w Polsce, że Wałęsa nie ograniczy się do dekoracyjnej prezydentury typu włoskiego i do przecinania wstęg.

Wałęsa będzie chciał rządzić i to ostro, zresztą tego nie kryje. Wtedy, zdaniem wielu, zalety Wałęsy, jego spontaniczność i łatwość zjednywania tłumu czasem demagogicznymi hasłami, staną się wadami. Wtedy to, co niektórzy tutaj nazywają „populizmem” Wałęsy, stanie się niebezpieczne. Będzie to powodować konflikty, niesie ryzyko destabilizacji. Jego gwałt na *Tygodniku Solidarność* i brutalna kampania zaprowadzania porządku w Komitecie Obywatelskim zrobiły fatalne wrażenie na Zachodzie, tam, naturalnie, gdzie się Polska jeszcze interesują.

Podobnie jak w fазie *petites phrases* o „wojnie”, retoryki o „jajogłowych” itp., decyzje Wałęsy i sposób ich ogłoszenia, zupełny brak taktu i lojalności wobec najbardziej mu oddanych ludzi, narzucenie Kaczyńskiego na szefa *Tygodnika*, postawienie, bez żadnej konsultacji, Najdera na czele Komitetu Obywatelskiego, skandal z wyrzuceniem Wujca czy dezawuowanie Michnika i dyskredytowanie *Gazety Wyborczej* zostały tu odebrane jako potwierdzenie pojawiającej się już coraz szerzej negatywnej percepcji Wałęsy jako męża stanu.

Jego otoczenie budzi niepokój. Warszawa zareagowała dowcipem. Bratkowski streszcza taksówkarza: „Pan, powiedział do niego kierowca, kiedyś twierdził, że bracia Kaczyńscy chcą być prezydentem. To nieprawda, oni są znacznie ambitniejsi, oni chcą być Wałęsą”. Ale dowcipy nie wystarczą. W Polsce nie było właściwie normalnej debaty politycznej. Nikt nie cytował nazwisk, faktów, poglądów. Dyskutowano aluzjami, chodzono, jak powiedział Wałęsa, naokoło. Jak on sam chodził.

W takim kontekście charyzma przestaje działać. Wchodzą do gry kryteria normalne. Dlatego nie przekonuje niepotrzebne krygowanie się Wałęsy i jego w złym guście polemika „ubraniowa” i „językowa”. Sama w sobie bez znaczenia, ta polemika zwróciła jednak uwagę na pewne formalne wymagania, które Polacy łączą z postacią ich ewentualnego prezydenta, zwłaszcza

po tak długich latach, podczas których ta funkcja została całkowicie zdyskredytowana. Stąd, zaskakujące dla ludzi z zewnątrz, poszukiwanie „Paderewskich”, czyli kandydatur na ...Zachodzie. Był już Brzeziński, Kołakowski, Nowak-Jeziorański, Giedroyc. Obecnie poszukiwania toczą się w kołach polskich przemysłowców i technokratów czy bankowców, którzy zrobili kariery lub pieniądze na Zachodzie. Niektórzy, kiedy przekraczają granice Polski, zaczynają od oświadczenia: ja nie jestem kandydatem na Belweder. Co sprytniejsi rozumieją, że te wszystkie kandydatury to nie są propozycje „za” Brzezińskim czy Kołakowskim, a „przeciw” kandydaturze Wałęsy.

Przegłosowanie przez zjazd Solidarności rezolucji przeciw przerywaniu ciąży, podobnie jak poparcie jej działaczy dla wprowadzenia nauki religii katolickiej w szkołach, też, niezależnie od poglądów indywidualnych i szlachetności intencji, wywołały istotne zastrzeżenia: Wałęsa, który poglądy te podziela, nie będzie prezydentem wszystkich Polaków, a tylko ich części. Jego skłonność do nietolerancji, mało szkodliwa na stanowisku szefa związku zawodowego, może wywołać konflikty społeczne w skali państwa. W Belgii król „abdykował” na 24 godziny, bo nie chciał podpisać ustawy o, bardzo zresztą ograniczonych, możliwościach legalnego przerywania ciąży. Pewien Belg spytał mnie, czy Wałęsa byłby skłonny „abdykować” w takim przypadku? I na jak długo?

W kołach dyplomatycznych w Warszawie już się kreśli „kombinacje”, i to w iście zachodnim stylu *politique politicienne*. Jeżeli prezydentem miałby zostać Wałęsa (czego się wcale nie wyklucza), to przyszła konstytucja powinna przewidywać „słabą” prezydenturę, tak aby nie zostawić mu szerokiego pola decyzji. Jeżeli natomiast Mazowiecki zdecydowałby się, mimo wszystkich jego, moralnych przede wszystkim, oporów, kandydować przeciwko Wałęsie, to wtedy powinna to być prezydentura „silna”, model francuski lub amerykański.

W sporze między „dworem” a „zamkiem” nie jestem stroną. Zresztą, nawet gdybym chciał wypaść (a nie chciałem) z mojej roli zachodniego dziennikarza, to nie posiadam dosyć danych, bo nie miałem dosyć okazji do rozmów z „drugim” obozem (oni rządzą, nie mają czasu, są przeważnie na zebraniach albo za granicą itp.).

Ale mogę powiedzieć bez ryzyka posądzenia mnie o stronniczość, że takie niepewności, konflikty w łonie Solidarności, rozbicie jej, w braku wspólnego komunistycznego wroga, na otwarcie zwalczające się, ale nie mogące się rozejść tendencje, opluskwanie byłych sojuszników, „poślizgi”, żeby to delikatnie określić, antysemitki czy w ogóle szowinistyczne, w istotny sposób osłabiają *image* Polski za granicą, co dla wielu może

stanowić (choć nie powinno) argument drugorzędny, ale pogłębiają także dezorientację społeczeństwa, potwierdzają fatalną tezę o zatrutym dziedzictwie komunizmu. 42% głosujących to byłby banalny, choć nieco niepokojący fakt na Zachodzie. W dopiero co demokratycznej Polsce jest to znak nie tyle, jak się sądzi, apatii, co braku zaufania do demokracji...

Przez kilka tygodni — powiadam do Wałęsy — siedział Pan przy jednym stole z komunistycznym generałem Kiszczakiem. Dlaczego nie może Pan teraz usiąść przy jednym stole z Pańskim przyjacielem Mazowieckim?

Ja jestem gotów — odpowiedział Wałęsa.

Gorbaczow — poszedłem za ciosem i spytałem natychmiast Wałęsę — zatelefonował do Sacharowa i bardzo mu się to opłaciło. Dlaczego nie może Pan zatelefonować do Mazowieckiego?

A dlaczego on nie zatelefonuje do mnie? — odpowiedział Wałęsa.

Rozmowa ta toczyła się z końcem maja. Może już telefonowali...

7. To nie Hiszpania

Widziana z Brukseli, sprawa prezydentury, nawet jeżeli odbija ona przede wszystkim napięcie ambicji własnych Wałęsy i jego ludzi, ale także, co wszak zrozumiałe, ambicje jego byłych sojuszników obecnie sprawujących władzę w Polsce, wpisana jest w bardzo wielką debatę polityczną, której znaczenie wykracza daleko poza granice Polski. Gdzieś przeczytałem niedawno, że „Europa wschodnia to ogromny obszar pytań bez odpowiedzi i sprzeczności bez rozwiązania”. Zdanie to napisał Bruno Bauer w roku... 1954. Nie straciło ono niczego z aktualności.

Jednym z takich pytań i sprzeczności jest model przechodzenia z komunistycznej dyktatury do parlamentarnej demokracji. Wychodzenie z dyktatury prawicowej, np. hiszpańskiej (to bardzo modny, choć mocno na wyrost, przykład w Polsce) było łatwiejsze. W Hiszpanii u końca Franco istniało normalne państwo i istniał już kwitnący kapitalizm z wolnym rynkiem, to znaczy już ze sferą spornych wartości. Wystarczyło zdjąć ołowianą klapę (co mogło mieć także dramatyczny przebieg, choć w Hiszpanii akurat nie miało), a system się automatycznie adaptował. W Polsce gospodarka była w ruinie, a wolność panowała jedynie w strefie (i to nie za bardzo) ducha. Co jest ważne, ale nie wystarczające.

Rumunia (a jutro być może i Bułgaria) już dała światu pokaz, jak wolno i krwawo komunizm odchodzi. Jeżeli w ogóle odchodzi. Petru Roman, pokazowy i eksportowy premier rumuń-

ski, tłumacząc na użytek Zachodu masakrę studentów przez górnicze *Sturm-Abteilung* w Bukareszcie, westchnął: „Wystarczy nieraz jeden dzień, aby wpaść z demokracji w dyktaturę. Droga z dyktatury do demokracji jest znacznie dłuższa”. Co zresztą jego szef, prezydent Iliescu, w bardzo przekonujący sposób właśnie udowodnił.

8. *Trzecia książka*

Rok temu — powiedział mi ktoś w Polsce — cała Europa wschodnia była rządzona przez komunistów, dysydenci byli w więzieniu, ludzie ginęli na murze w Berlinie. I pan chciałby abyśmy, po takich 45 latach, w ciągu jednego roku nauczyli się demokracji?

Ja niczego nie chcę — odpowiedziałem. — To wy chcecie.

Wałęsa odrzuca, naturalnie, podejrzenie, że w swym marszu na Belweder kieruje się przede wszystkim ambicją i pychą. Twierdzi, że kierują nim poczucie obowiązku (Polska, powiada do mnie, nie potrzebuje prezydenta, który nie przeskadza, a takiego, który pomaga, przyspiesza i decyduje) i patriotyzm. Mógłbym — powiada — już odpocząć (tu motyw o rybach), zasługuję na wypoczynek. Nie potrzebuję ani honorów, ani pieniędzy. Nie pobieram pensji jako przewodniczący Solidarności, żyję z praw autorskich. Pracuję zresztą nad drugą książką, niedługo wyjdzie. Ale mam poczucie obowiązku. Zresztą dlatego także napiszę trzecią książkę, gdzie powiem wszystko, ujawnię wszystkie sekrety, nawet najbrudniejsze. Ale ta książka ukaże się dopiero po mojej śmierci”.

Mam nadzieję, że to jeszcze jedna „wałęsjada” (ktoś powinien już pisać „Słownik Wałęsy”) i że nie trzeba będzie na tę książkę tak b. długo czekać.

Leopold UNGER

Pisane w wielkim pośpiechu w Brukseli między 14 a 17 czerwca 1990 po pobycie w Polsce między 20 maja a 1 czerwca 1990.

Za czy przeciw energii nuklearnej?

ROBERT KACZMAREK: — *Gdzie w świecie korzysta się najintensywniej z energetyki nuklearnej?*

JEAN TASSART*: — W USA moc zainstalowanych jednostek sięga 100 gigawatów, to prawie jedna trzecia potencjału światowego. Jeśli chodzi o doświadczenie określone iloczynem mocy i czasu eksploatacji, to Amerykanie wyprzedzają resztę świata w sposób jeszcze bardziej wymowny. Ale zahamowali rozwój i dziś wytwarzają tylko 19% swej elektryczności techniką nuklearną, natomiast Francja — blisko 80%. We Francji moc instalacji atomowych wynosi 53 gigawaty, co w liczbach bezwzględnych przekracza potencjał nuklearny ZSSR (34 gigawaty).

WIDMO KATASTROFY

R.K.: — *Na czym polega wypadek w elektrowni atomowej?*

J.T.: — Może to być awaria systemu chłodzącego stos: rur, zaworów, obwodów elektrycznych. Zawsze jest pewien czas, zanim doprowadzi to do zakłócenia pracy reaktora, jego temperatura bowiem nie podnosi się od razu ponad granicę oznaczającą utratę kontroli nad procesem nuklearnym. Francuskie zabezpieczenia wymagają interwencji człowieka w ciągu pół godziny od początku incydentu. W ciągu pierwszych piętnastu minut działają automaty, ale później już musi nastąpić decyzja operatora...

R.K.: — *Czy były we Francji katastrofy?*

J.T.: — Było kilka przypadków nieprawidłowego funkcjonowania urządzeń, w 1989 roku kilkakrotnie znaleźliśmy się o krok od wypadku. Na przykład zdarzyło się, że pewien zawór bezpieczeństwa pozostawał przez rok w stanie awaryjnym. Chodzi o

* Jean Tassart: inżynier, szef grupy ds. energii w paryskiej centrali związkowej CFDT.

bardzo skomplikowany rodzaj zaworów, które po wypadku w Three Miles Island w USA oraz po mniejszej awarii we francuskiej centrali w Bugey z 1984 zastąpiły proste urządzenia, stosowane do tej pory...

R.K.: — *Szczegóły tych wydarzeń są dość mało znane.*

J.T.: — W Three Miles Island popsuły się pompy przetaczające wodę do chłodzenia stosu. Nastąpiło stopienie się części stosu, który przeciekł w dolną partię reaktora. Pompy awaryjne nie mogły wejść do akcji, ponieważ przez pomyłkę zamknięto zawory dwie godziny przed wypadkiem. Można było je otworzyć jeszcze w ciągu ośmiu minut od chwili rozpoczęcia awarii, unikając większych szkód. Ale operatorzy nie mieli pojęcia, że reaktor funkcjonuje nienormalnie. Kiedy automatyczny system kontroli chłodzenia wyłączył się dwie minuty po awarii początkowej, operatorzy... zamknęli go, sądząc, że zaszła pomyłka automatu. Działali oni według instrukcji postępowania, którą opracowano niewłaściwie. Byli także źle informowani przez wadliwie zaprojektowany wskaźnik... Ostatecznie serce reaktora nie uległo całkowitemu stopieniu, za czym nastąpiłoby przeniknięcie do podłoża i wód podskórnych radioaktywnych części płonącego stosu (tzw. chiński syndrom), ale uniknięto tego dosłownie w ostatniej godzinie.

R.K.: — *Niesamowita zbieżność wypadków.*

J.T.: — W Three Miles Island zbiegło się pięć, czy nawet sześć sytuacji awaryjnych. Według amerykańskiego raportu Rasmusena, ogłoszonego wcześniej, mogłoby się to zdarzyć raz na wiele milionów lat. Taka była ocena prawdopodobieństwa, to jest liczby całkowicie teoretycznej, która nie bierze pod uwagę konkretnych warunków pracy urządzenia...

R.K.: — *Jakie są współczynniki bezpieczeństwa francuskich central? I czemu takie współczynniki służą?*

J.T.: — Francuscy specjaliści od spraw bezpieczeństwa oceniają na dziesięć do minus piątej na rok i na reaktor prawdopodobieństwo ciężkiego wypadku, który wymagałby uruchomienia planu ewakuacji ludności w promieniu dziesięciu kilometrów. Innymi słowy, katastrofa może się — teoretycznie — zdarzyć raz na sto tysięcy lat na każdym reaktorze. Jak dotąd, nie było potrzeby takiego planu...

R.K.: — *Na ile poważny był wspomniany wypadek we francuskiej centrali w Bugey w 1984 roku? Czy w ogóle zdarzyły się wam wypadki o fatalnych następstwach?*

J.T.: — *W Bugey nastąpiła utrata zasilania jednocześnie obwodów kontrolnych i wskaźnikowych dyspozytorni. Nie doszło do degeneracji procesu, ale wypadek ten uchodzi za najpoważniejszy w historii naszych central nuklearnych. W kilku innych przypadkach awarie pociągnęły za sobą dłuższe zatrzymanie pracy reaktorów dla dokonania koniecznych napraw. Nie było we Francji żadnego wypadku śmiertelnego w następstwie napromieniania, jeśli ci o to chodzi...*

PRÓBA PORÓWNIANIA

R.K.: — *Powczające jest rozważenie problemu w skali globu. Większe katastrofy zdarzały się w krajach komunistycznych, ale niewiele o tym wiadomo. W 57 roku nastąpił wybuch w wojskowym składzie odpadków nuklearnych na Uralu, gdzie miało być kilka tysięcy zabitych. W Biełojarze, także w rejonie Uralu, zanotowano wypadek elektrowni atomowej w 1978. Katastrofa w Chinach w 1969 pociągnęła za sobą napromienianie nieznaney liczby osób. W Czarnobylu doliczono się ostatnio sześciu tysięcy bezpośrednich ofiar. Jeśli zaś chodzi o Zachód, to zarówno przewidywania, jak i statystyki są bardzo korzystne dla jądrowki, w stosunku do innych technik energetycznych. Centrale nuklearne projektowane są tak, by wytrzymały trzęsienie ziemi większe, niż kiedykolwiek obserwowane w danym regionie. Betonowa osłona reaktora wytrzymać ma uderzenie samolotu wojskowego. Według cytowanego już raportu Rasmusena na 100 czynnych w Stanach central prawdopodobieństwo wypadku śmiertelnego jest takie samo, jak upadku dużego meteorytu na miasto. Zdaniem niektórych specjalistów współczynnik wypadkowości rzędu dziesięć do minus piątej, czy minus szóstej czyni bezprzedmiotowymi dalsze wysiłki mające na celu poprawienie niezawodności urządzeń, bo przy takich współczynnikach ciężar niebezpieczeństwa przenosi się w sferę błędów ludzkich. Dowodziłyby tego statystyki wypadków śmiertelnych: 1945 Los Alamos — błędne przekroczenie masy krytycznej stosu; 1946 Los Alamos — błędna manipulacja w czasie pomiarów, 1958 Vinca — błędne podniesienie poziomu wody w reaktorze niezabezpieczonym, 1958 Los Alamos — wypadek w trakcie przelewania płynów, 1961 Idaho Falls — przekroczenie zarządzeń bezpieczeństwa przy wymianie elementów, 1964 Woods River — niewłaściwy tryb przelewania płynów, 1975 Włochy —*

bledne ulokowanie źródła kobaltu... W 1986 w Webber Falls nastąpił wybuch zbiornika, być może bez winy operatora. W sumie powyższe wypadki kosztowały życie 13 osób, a wliczając wszystko, w tym fatalne upadki z rusztowania, otrzymamy liczbę nieco większą od 50. Te same statystyki podają, że od 1940 roku przy wydobyciu węgla zginęło 4.500 górników, od 1960 roku w następstwie pęknięcia zapór wodnych hydroelektrowni zginęło 6.000 osób...

J.T.: — Jeśli chodzi o błąd człowieka, to mamy do czynienia z pojęciem dwuznacznym, które przypisuje operatorowi błędne działanie, podczas gdy w grę wchodzi także takie czynniki, jak konstrukcja urządzenia, jego stan, organizacja pracy... Podobnie nie jest całkowicie jasne znaczenie powyższego porównania. We Francji mamy na przykład rocznie kilkadziesiąt przypadków przedwczesnej śmierci górników na skutek nabytej pylicy, podczas gdy w przemyśle nuklearnym w sumie za cały okres jego istnienia może kilku ludzi straciło życie... Zestawienie tych liczb nie wyjaśnia jednak wszystkiego, ponieważ nie uwzględnia możliwości katastrofy atomowej. Niektórzy uważają, że prawdopodobieństwo jej zdarzenia się we Francji w ciągu najbliższych dziesięciu lat wynosi kilka procent. Następstwa byłyby znacznie mniejsze niż w Czarnobylu... ale zawsze katastrofalne. A jest jeszcze problem odpadów radioaktywnych. Co z nimi robić? Nie ma dziś dobrego rozwiązania. Przyszłe pokolenia mogą znaleźć się w obliczu masowo uwolnionych do biosfery substancji radioaktywnych. Francuscy Zieloni mówią: dopóki nie istnieje skuteczna metoda neutralizowania odpadów, nie można ich produkować...

R.K. — *To argument obosieczny, ponieważ dotyczy wszystkich źródeł energii użytkowej. Spożywanie energii na rachunek przyszłych pokoleń jest zajęciem uprawianym przez ludzi od niepamiętnych czasów. Rozwój wszystkich cywilizacji odbywa się od tysięcy lat kosztem nieodwracalnych procesów ogolocenia kontynentów z drzewostanu, a nasza cywilizacja od dwustu lat oparta jest na wykorzystywaniu paliw organicznych w sposób, za który zapłacą przyszłe pokolenia. Rozwój energetyki nuklearnej może stać się imperatywem odpowiedzialności za tych, co przyjdą po nas, którym nie można zostawić pustyni biologicznej, zduszonej otuliną dwutlenku węgla.*

J.T.: — Z pewnością. W skali globalnej jednak NATYCHMIASTOWE rozwiązanie nuklearne to złudzenie. Amerykański raport w tej sprawie ocenia, że dla zmniejszenia do roku 2025

wydziałania CO₂ o 20 % poprzez zastępowanie elektrowni węglowych nuklearnymi należałoby uruchamiać jeden reaktor co pięć dni. Pierwszorzędne znaczenie ma oszczędność energii i przechodzenie na technologię czystszeo spalania. Lokalnie natomiast centrale nuklearne stanowić mogą ważny składnik gospodarki energetycznej. Gdy chodzi o Polskę, to podtrzymuję to, co powiedziałem kolegom z Solidarności w Gdańsku w 1988 roku: zważywszy poziom zanieczyszczenia środowiska u was, zwłaszcza zanieczyszczonym węglem brunatnym, wskazane jest zróżnicowanie źródeł energii, także poprzez zbudowanie elektrowni nuklearnej. Są jeszcze inne czynniki, jak możliwości inwestycyjne, oszczędnie wymiarowane potrzeby energetyczne, czy wymóg demokracji... We Francji mamy przerost sektora nuklearnego i ludzie zaczynają sobie uświadamiać, że dokonał się on bez pytania kogokolwiek o zgodę. W Polsce większość ludności zdaje się być przeciwna energetyce nuklearnej, natomiast dwutlenek węgla w atmosferze i kwaśne deszcze nie budzą widocznych sprzeciwów...

R.K.: — *Nie wiem czy większość ludzi jest u nas przeciwna energetyce nuklearnej. Działa widowiskowe lobby antyatomowe, na co rządowi zdarza się reagować równie widowiskowymi apelami o rozważę, ale integralnego wysiłku poznawczego i politycznego brak.*

J.T.: — Przymyślę, że nie uda się uniknąć kompromisu między racjonalnym i irracjonalnym, taka jest demokracja.

SYSTEMY BEZPIECZEŃSTWA

R.K.: — *Ostatnio obserwuję się dwa podejścia do problemów bezpieczeństwa central atomowych: ewolucyjne francuskie i nowatorskie w swojej zasadzie amerykańskie. Czy nie sądzisz, że Francja może znaleźć się w kłopotliwej handlowo sytuacji, jeśli Amerykanie narzucą światu własne normy?*

J.T.: — Z pewnością trzeba śledzić amerykańskie doświadczenia. Jeśli chodzi o francuski przemysł nuklearny, to jego wysiłki idą w kierunku zwiększenia skuteczności istniejących rozwiązań: poprawienie dialogu człowiek-maszyna, podnoszenia niezawodności automatów itd. Taka filozofia wynika stąd, że park francuski jest rozwinięty i powinien funkcjonować w dzisiejszej postaci jeszcze szereg lat. Francuski monopol elektryczny EDF przewiduje 40 lat jako okres użytkowania instalacji nuklearnych.

R.K.: — *Czy wasza technologia ma pochodzenie amerykańskie?*

J.T.: — W latach 50-tych budowaliśmy centrale według własnych projektów, z kolei konstrukcje z lat 70-tych oparte były na licencji Westinghouse'a. Dwie centrale oddane u nas w ostatnim czasie, Chooz A i B, są już oryginalnie francuskie. Całkowicie nowa jest koncepcja grupy turboalternatora, obwodów elektronicznych, a także w pełni z informatyzowanych sal kontrolnych, gdzie operatorzy nie oglądają już licznych tablic wskaźnikowych, tylko kilka ekranów katodowych, zawierających syntezę ważniejszych parametrów. Ewolucyjne koncepcje francuskich zabezpieczeń mają tę dobrą stronę, że istnieją realnie, natomiast nowe rozwiązania za Atlantykiem mogą osiągnąć stadium operacyjne dopiero z początkiem przyszłego wieku. W Stanach inwestycje nuklearne są całkowicie zamrożone od piętnastu lat, co nastąpiło po protestach społecznych. Od tego czasu jednak rośnie w krajach uprzemysłowionych obawa przed zatruciem atmosfery wylęgami central na paliwo organiczne, zwłaszcza węgla. Następnym akumulacji dwutlenku węgla może być efekt cieplarniany, to jest wzrost temperatury w atmosferze spowodowanej otoczką gazów spalinowych. Pomijając wszystko inne, może to spowodować zniknięcie pod wodą obszarów przybrzeżnych w następstwie stopienia fragmentów czapy lodowej Ziemi. Świadomość takich zagrożeń w naturalny sposób sprzyjać będzie zwrotowi ku energetyce nuklearnej. Ponieważ w Stanach została zerwana ciągłość rozwoju energetyki nuklearnej, strategia Amerykanów ukierunkowuje się na rozwiązania całkowicie nowe, ich celem nie jest bowiem dowodzenie wiarygodności istniejących konstrukcji. Punktem wyjścia projektantów w USA jest zatem zasadnicze zakwestionowanie zasady istniejących koncepcji. Zabezpieczenia francuskie są dobre i stale ulepszane, ale bazując na automatach i sprawności reakcji człowieka, posiadają pewien współczynnik niesprawności. Co w przyrodzie działa z bezwzględnością niezawodnością? Prawa przyrody. Gdyby udało się zbudować urządzenia przeciwwaryjne oparte wyłącznie o te prawa... Podejście amerykańskie jest rozwinięciem tej intuicji.

R.K.: — *Francuska filozofia zabezpieczeń wychodzi z założenia, że zamiast decydować się na rewolucję technologiczną, lepiej rozwijać to, co się zna, ponieważ przynajmniej znane są tego słabe strony. Czy jednak doświadczenie wystarcza?*

J.T.: — Nie wystarcza. Na przykład w oparciu o kłopoty, jakie mieli Amerykanie z korozją generatorów pary, opracowaliśmy skuteczną technikę przeciwdziałania jej — poprzez zmniejszanie napięć w metalu w trakcie jego produkcji, a także przez chemiczne wzbogacanie korodującej wody — by wkrótce przekonać

się, że rozwijają się wówczas zupełnie inne typy korozji, którym nie zapobiegają tamte rozwiązania. To jednak istota postępu, że rozwiązanie problemu jest źródłem nowych problemów...

R.K.: — *Na czym więc polega rewolucja amerykańska?*

J.T.: — Amerykanie chcą zbudować reaktor o wewnętrznych cechach bezpieczeństwa. Byłaby to konstrukcja nieczuła na błąd operatora, która zatrzymuje degenerację procesu nie przez akcję zawodnych automatów, lecz wykorzystując prawa przyrody. Incydent w reaktorze nie przekształciłby się w katastrofę przez kilka dni, do tygodnia, mimo braku interwencji człowieka, który przy tym miałby więcej czasu na zapoznanie się ze stanem procesu i podjęcie najlepszych decyzji. Znaczący to, że pomimo awarii reaktor byłby właściwie chłodzony jeszcze przez kilka dni. Trzeba bowiem wiedzieć, że po zatrzymaniu awaryjnym reaktor nadal wydziela energię cieplną, na poziomie około jednej dwudziestej wartości nominalnej, co narzuca konieczność chłodzenia go jeszcze przez parę miesięcy. W reaktorze wody obwodu pierwotnego chłodzi bezpośrednio stos, a następnie przekazują ciepło do obwodu wtórnego, gdzie powstaje para wodna służąca do poruszania turbin produkujących prąd. Niech np. wysiadzie zasilenie elektryczne pomp obwodu pierwotnego... Pomysł amerykański chce zapewnić nieustające chłodzenie przez odpowiednią konstrukcję rur, tak by wykorzystać przewodzenie naturalne: wiadomo, że jeśli część cieczy jest gorąca, a inna zimna, to nastąpi ich wymiana pod wpływem siły ciężenia... trzeba więc wymyślić taką konstrukcję rur, by te zasady wykorzystać w przypadku KAŻDEJ awarii.

R.K.: — *To prezentacja zasady, nie zaś istniejących rozwiązań.*

J.T.: — Rozwiązania techniczne powinny być gotowe w ciągu kilkunastu lat. Niektóre z takich koncepcji nie są obecnie niemożliwe z technologicznego punktu widzenia, ale byłyby one dziś jeszcze nieopłacalne w stosunku do klasycznych zabezpieczeń. Zauważmy przy tym, że niektóre z praw natury wykorzystywane są już do bezpośredniej interwencji awaryjnej w istniejących elektrowniach amerykańskich, francuskich, a nawet w Żarnowcu. Amerykanie szukają sposobu bezwarunkowego ich zadziałania w każdej sytuacji awaryjnej, w szczególności gdy operator popełni błąd.

R.K.: — *Kto w świecie jest za jednym, a kto za drugim rozwiązaniem?*

J.T.: — Trudno powiedzieć. W grę wchodzi także czynniki polityczne. Dla promocji własnej strategii EdF wchodzi w związki z partnerami zagranicznymi. Dziś to są Niemcy, Hiszpanie, Japończycy... w niewielkim stopniu kraje wschodnie, jak Węgry i ZSSR, gdzie EdF sprzedaje swoje zabezpieczenia oraz programy komputerowe. W Chinach powstają dwa reaktory francuskiej koncepcji... Za amerykańskim rozwiązaniem opowiadają się ci, co w ogóle zerwali z energetyką nuklearną, na przykład Włosi. Wielka Brytania zdecydowała nie budować przez pewien czas nowych central nuklearnych, tylko gazowe o cyklu kombinowanym. Niemcy z kolei zdają się grać na obydwu fortecianach...

R.K.: — *Wszyscy czekają zielonego światła dla przemysłu nuklearnego ze Stanów?*

J.T.: — Trwa stan pewnego zawieszenia. Jak wynika z raportu Rouillois, opracowanego na zlecenie rządu francuskiego w ubiegłym roku, ryzykowne byłoby oczekiwanie na wznowienia zamówień elektrowni nuklearnych przed rokiem 2000. Wobec tego nuklearny przemysł francuski musi się przygotować na trudną dekadę. By przeżyć, musi się rozwijać i zwiększać konkurencyjność swych produktów. Jednym z warunków jest oczywiście współpraca z Amerykanami. Wszystkim leżą na sercu sprawy bezpieczeństwa...

NORMY BEZPIECZEŃSTWA A POLITYKA

R.K.: — *Polskie obawy przed sowiecką dominacją w technologiach nuklearnych są najzupełniej uzasadnione, ale mogą prowadzić do nietrafnych uogólnień. Nie wszyscy na przykład biorą pod uwagę fakt, że technologia Czarnobyla — stynne reaktory grafitowo-gazowe RBMK — nie mają nic wspólnego z reaktorami na sprężoną wodę, stosowanymi w Żarnowcu. Można rozważyć dwie drogi: zarzucić istniejącą budowę i szukać kompletnych central na Zachodzie, albo usprawnić to, co jest, za pomocą sprawdzonych u was rozwiązań. Czy gdyby założyć francuskie zabezpieczenia na sowieckie reaktory w Żarnowcu, to otrzymalibyśmy konstrukcję o parametrach porównywalnych z zachodnimi?*

J.T.: — To złożona sprawa. O ile wiem, Żarnowiec I ma już założoną czeską kadź, czyli stalowy zbiornik, w którym mieści się reaktor, a kadź dla Żarnowca II czeka na transport w zakładach Skody. Pęknięcie kadzi to najgorsza z katastrof w elektrow-

ni atomowej typu PWR. Nie znam jakości stali czeskiej. Potrzebna byłaby szczegółowa ocena zachodnich fachowców.

R.K.: — *Była taka ekspertyza zamówiona we Francji przez polskiego ministra przemysłu. Wasi fachowcy, z którymi rozmawiałem, narzekali na krótkie terminy, w jakich przyszło im opracować ocenę, a także na niejasne stanowisko polskiej strony. Nie bardzo wiadomo, czego rząd chce, a polityczna wola odgrywa tu pewną rolę. W warunkach narzuconego pośpiechu bowiem inaczej prowadzi się ekspertyzę gdy wiadomo, że dyspozytor gotów jest na duże wysiłki rewaloryzacji obiektu, a inaczej, gdy oczekuje wyroku skazującego. W nowoczesnej technice właściwie nie istnieje pojęcie „niemożliwości”, natomiast istotną rolę odgrywa kwestia za jaką cenę i przy jakich ograniczeniach... Wyraźnym skądinąd tego śladem są rozbieżności strategii technologicznych oraz norm wśród zachodnich partnerów.*

J.T.: — Jak dalece czynnik polityczny moduluje obyczaje technologiczne, wskazać można na przykładzie przygotowywanego porozumienia niemiecko-francuskiego w sprawach bezpieczeństwa nuklearnego. Gdyby natomiast Francja zdecydowała na własną rękę sprzedaż central na Węgry, mogłoby to wywołać zastrzeżenia o charakterze czysto konkurencyjnym ze strony niemieckiej. Podobnie budowa instalacji zachodnioniemieckich we wschodnich Niemczech bez uzgodnienia z Paryżem doprowadziłaby do konfrontacji, która łatwo nabrałaby charakteru emocjonalnego. Przyczyną tego byłaby właśnie rozbieżność naszych norm bezpieczeństwa.

R.K.: — *Niemcy są lepsi?*

J.T.: — Tamtejsza opinia, a także eksperci zachodnioniemieccy twierdzili, że centrale francuskie są mniej pewne. Na przykład przed oddaniem naszej elektrowni w Cattenom, u styku Saary, Luksemburga i Francji, mieszkańcy Saary protestowali przeciwko jej uruchomieniu i Francja zmuszona była do zmniejszenia odrzutów reaktora do rzeki.

R.K.: — *Obie normy znajdują się jednak poniżej poziomu zagrożenia?*

J.T.: — Tego nie można twierdzić w sposób bezwarunkowy. Normy nie mają charakteru absolutnego, odnoszą się do konkretnych warunków. W przypadku odrzutów do rzeki zależy od temperatury wody, od jej składu biologicznego, od

zwyczajów okolicznej ludności... Problem znacznie się zaostrza w przypadku gdy mieszkańcy jedzą dużo ryb. Podam ci przykład z Korsyki, gdzie w pewnych regionach dzieci jedzą ser wyłącznie z mleka koziego. Zostały one tknięte następstwami chmury z Czarnobyla. Akurat spadł deszcz, gdy te kozy, bardziej podatne niż krowy, znajdowały się na polu. Otóż taki zbieg okoliczności nie został wzięty pod uwagę przez nasze ministerstwo zdrowia, które twierdziło i nadal twierdzi, że nie może być problemu z dziećmi w związku ze spożyciem wyrobów mlecznych we Francji po Czarnobylu, bo im z rachunku tak wynika...

R.K.: — *Normy niemieckie zatem wprowadzają ostrzejsze ograniczenia...*

J.T.: — Nie zapominaj o specyficznym charakterze norm. Są one realne tylko wtedy, gdy uwzględniają warunki lokalne. W Niemczech na przykład ruch samolotów wojskowych jest gęściejszy niż we Francji i na ogół są one cięższe, zatem normy wytrzymałości betonowych osłon centrali muszą być tam wyższe. Z drugiej strony centrale francuskie projektowane są z większym rygiorem, gdy chodzi o wytrzymałość na trzęsienia ziemi, ponieważ ruchy sejsmiczne są u nas bardziej prawdopodobne. Polityczne trzęsienie ziemi w Europie natomiast narzuca potrzebę ujednoczenia polityki bezpieczeństwa technologicznego, z zachowaniem lokalnej różnorodności norm. Przygotowywano zatem francusko-niemieckie porozumienie. Rządowy komunikat obu stron głosił, że wzajemne systemy bezpieczeństwa osiągnęły już porównywalny poziom. Ostatnio ogłoszony został projekt budowy wspólnego reaktora „na eksport” w ramach francusko-niemieckiej spółki nuklearnej Nuclear Power International (NPI), chodzi o konsorcjum Framatome'u i Siemens. Ostrożnie nie mówią, dokąd go będą eksportować, ale to jest znak otwarcia... Kolejny krok powinien nastąpić na Wschodzie. Jeśli Polska szukać będzie kontraktu, to może zwrócić się o rozwiązania w ramach najnowszej mutacji zabezpieczeń, stanowiących przedmiot wspólnych prac wspomnianej grupy NPI.

R.K.: — *To znaczy, do kogo się zwrócić? Do rządu, do EdF, do Framatomu, do Siemensu?*

J.T.: — Normy bezpieczeństwa określa u nas wydział centralny bezpieczeństwa instalacji nuklearnych ministerstwa przemysłu — SCSIN. CFTD domaga się zresztą, by ten wydział przeszedł pod kontrolę ministra ds. środowiska, dla stworzenia przeciw-

wagi dla władzy ministra przemysłu, który jest zarazem stroną i sędzią w kwestiach bezpieczeństwa. U Niemców pozwolenie budowy centrali wydaje właśnie ministerstwo ochrony środowiska. Natomiast konstruktorem central atomowych jest u nas Framatome, u Niemców — Siemens. EdF pełni w tym wszystkim rolę zleceniodawcy, nadzorca budowy i wreszcie — eksploatatora elektrowni. Trzeba wszędzie zasięgać języka...

R.K.: — *We Francji pełnym cyklem paliwowym, od wydobycia do wzbogacenia odpadów reaktora, zajmuje się COGEMA. Przedsiębiorstwo to przewiduje w nadchodzących latach znaczne trudności wobec możliwości intensywnych dostaw na światowym rynku sowieckiego uranu po cenach dumpingowych. Kreml gotów jest na wiele dla znalezienia gotówki — co tworzy dynamiczną sytuację negocjacyjną zarówno dla krajów wschodnioeuropejskich, jak i zachodnich producentów...*

J.T.: — *Być może. Z tego co wiem, cena uranu jest i pozosta- nie chyba niska. COGEMA musi oczywiście szukać rynków...*

R.K.: — *Z końcem ubiegłego roku doszło do rozmów pomiędzy EdF i polskim ministerstwem przemysłu. Zakończyły się one niczym. Każda ze stron oczekiwała, że druga wystąpi z jakąś inicjatywą, ale w gruncie rzeczy chyba nikt nie bardzo wiedział, o co mu chodzi... Wyróżnie dało się wyczuć brak woli politycznej u obu partnerów. Polacy nie ukrywali słabości własnych atutów, a Francuzi byli nader zadowoleni z możliwości nieangażowania się w cokolwiek.*

J.T.: — *Wszyscy potraktowali spotkanie raczej sondażowo. W energetyce nuklearnej EdF nie jest zainteresowany inwestowa- niem w krajach, z których mogłyby wyjść masowe ruchy prote- stu. W trakcie pobytu w Polsce Francuzi zorientowali się, że sytuacja jest niejasna, zarówno gdy chodzi o społeczne odczucia, jak i intencje rządu. Zresztą ostrożność to także wasza potrzeba, wydaje mi się. Gdy chodzi o centrale nuklearne, to za pięć lat będą dostępne lepsze, niż dzisiaj. Jeśli więc zamawiać dziś na Zachodzie, to warto poprzestać na jednej, najwyższej dwóch, na przykład po 900 MW. Później się zobaczy...*

NOWE TECHNOLOGIE NIE-NUKLEARNE

R.K.: — *Nowoczesne technologie energetyczne to jednak nie tylko sfera nuklearna. Pewien krok naprzód stanowi w tych dziedzinach majowe porozumienie ministrów przemysłu Polski i Francji.*

J.T.: — W ciągu najbliższego dziesięciolecia, jak sędzę, największego rozwoju oczekiwać należy w dziedzinie elektrowni na gaz naturalny o cyklu kombinowanym. Taka centrala składa się z turbiny gazowej oraz kotła parowego, napędzającego inną turbinę. Obie turbiny wprawiane są w ruch przez ten sam gaz, który najpierw płonie w pierwszej, a następnie w postaci gorących gazów wydechowych ogrzewa wodę dla poruszania drugiej. Sprawność takich urządzeń przekracza 50 %, to znaczy jest wyższa niż w przypadku klasycznych turbin gazowych, a także central węglowych. Budowa elektrowni gazowych nie jest droga, natomiast eksploatacja w cyklu prostym — tak, bo sporo gazu wylatuje w powietrze... Cykl kombinowany powiększa więc jego użyteczność. Gaz wydziela dwa razy więcej dwutlenku węgla, niż węgiel. Wreszcie centrala gazowa może być budowana stopniowo, możesz najpierw postawić część, po pewnym okresie eksploatacji dobudować resztę... To poważne zalety, które wyróżniają centrale gazowe o cyklu kombinowanym w stosunku do wszystkich nowoczesnych technologii, takich jak technologia proszkowanego węgla, czy węgla odsiarczonego...

R.K.: — *Kto za to zapłaci?*

J.T.: — Według kolegów z *Gaz de France* (GdF) trzeba, by Polska ułożyła się z Niemcami w sprawie budowy na Bałtyku portu dla wielkich transportów płynnego gazu z Norwegii i Algerii. Taki port istnieje np. we Francji, GdF mógłby wam zrobić ekspertyzę... Niemcy zachodnie zaopatrują się w norweski gaz linią podmorską, o wydajności niewystarczającej dla objęcia NRD — rozważają zatem budowę portu. To kosztowna inwestycja, aby się opłacała, musi być zakrojona na dużą skalę, przekraczającą docelowe potrzeby Niemiec wschodnich. Stąd dla zainteresowanych możliwość umów kredytowych...

R.K.: — *Z drugiej strony Litwa, Łotwa i Estonia, dla których niezależność energetyczna od Rosji wylania się jako warunek przetrwania, gotowe byłyby chyba na odważne, strukturalne rozwiązania. Zachodzi zbieżność czynnika technologicznego, terminal gazowy bowiem opłaca się tylko wielkim odbiorcom, i czynnika politycznego, związanego z potrzebą znalezienia przez Europę wschodnią innych, obok sowieckich, źródeł energetycznych. Możliwość wykorzystania jednak tej sytuacji przez Polskę jest mała, przy aktualnej polityce zagranicznej, jaką prowadzi Warszawa.*

J.T.: — ... (milczy)

R.K.: — *Gdybyś spróbował określić model polskiej energetyki?*

J.T.: — W pierwszym rzędzie niezbędne jest wprowadzenie oszczędności energii, nawet za cenę bolesnych przekształceń w gospodarce. Macie węgiel, więc trzeba go wykorzystywać, ale inaczej, niż dotąd, mniej rozrzutnie i w czystszych procesach spalania — na przykład w kotłach o palenisku płynnym, gdzie sproszkowany węgiel płonie w całej swej objętości na raz. Konieczne jest zasadnicze ograniczenie spożycia węgla brunatnego, albo instalacja kotłów na węgiel sproszkowany, gdzie dodatek wapna wiąże siarkę... Dużo można oczekiwać po centralach gazowych o cyklu kombinowanym, pod warunkiem znalezienia pieniędzy na inwestycje oraz osiągnięcia równowagi dostaw, także gazu norweskiego, a może i algierskiego. Wreszcie jeden lub dwa średnie reaktory atomowe o wysokim stopniu bezpieczeństwa, według wspólnych francusko-niemieckich norm, przyczyniłyby się do zmniejszenia zanieczyszczenia atmosfery i zapewniłyby wam kontakt z technologią, która może się liczyć w przyszłości...

R.K.: — *Dziękuję za rzetelną i bezstronną analizę.*

Rozmawiał Robert KACZMAREK

Paryż, 1.06.90

Od demokracji do racji stanu

ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM WISZNIEWSKIM *

MAŁGORZATA DOBROWOLSKA: — *Ostatnie półrocze Pańskiego życia upłynęło pod znakiem przewodniczenia Komisji Wyborczej Regionu Dolny Śląsk. Obecnie zjazd regionalny „Solidarności” mamy już za sobą. Czy po doświadczeniach ostatnich kilku miesięcy można się spodziewać, że zjazd krajowy będzie ważnym wydarzeniem politycznym? Czy może przynieść jakieś niespodzianki?*

ANDRZEJ WISZNIEWSKI: — *Myślę, że będzie on nie mniej ważny dla „Solidarności”, niż walne zebranie delegatów dla naszego regionu. Poprzez te wydarzenia wracają do związku me-*

* Prof. Andrzej Wiszniewski jest specjalistą w dziedzinie elektroenergetyki, członkiem dwóch międzynarodowych organizacji naukowych: CIGRE (Międzynarodowe Towarzystwo Wielkich Sieci Elektrycznych) oraz IFAC (Międzynarodowe Towarzystwo Automatyki), autorem licznych publikacji i patentów. Pracuje na Politechnice Wrocławskiej, gdzie od roku 1966 kieruje Zakładem Sterowania w Elektroenergetyce. W roku 1981 przez cztery miesiące pełnił obowiązki prorektora Politechniki Wrocławskiej d/s nauki.

Po wprowadzeniu stanu wojennego uczestniczył — jako wiceprzewodniczący komitetu strajkowego — w strajku okupacyjnym na uczelni. Po jego rozbięciu został aresztowany wraz z innymi członkami komitetu i skazany na 2,5 roku więzienia z zawieszeniem.

Od 1983 roku jest członkiem Społecznej Rady przy Metropolii Wrocławskiej. Był inicjatorem budowy pomnika Orłąt Lwowskich na cmentarzu św. Rodziny we Wrocławiu. 11 listopada 1988 uczestniczył w uroczystości złożenia urny z ziemią z lwowskiego cmentarza Orłąt na kwaterze, gdzie w przyszłości stanąć ma pomnik.

Od września 1989 roku do zakończenia Walnego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” Regionu Dolny Śląsk był przewodniczącym regionalnej Komisji Wyborczej.

chanizmy demokratyczne, co wcale zresztą nie musi oznaczać całkowitej wymiany kierującej nim ekipy. Związek w chwili obecnej powinien skoncentrować się nie tyle na usunięciu pewnych osób i wprowadzeniu nowych, co na utrzymaniu za wszelką cenę tych zdobywcy, bez których wszelkie wiązane z „Solidarnością” nadzieje pozostają zawieszane w próżni.

M.D.: — *Nadchodzący zjazd, niezależnie od oficjalnej kwalifikacji, będzie zjazdem nadzwyczajnym, gdyż zamyka okres trwającego ponad osiem lat „stanu wyjątkowego”, gdy w związku demokracji nie było. Nie wyobrażam sobie powrotu do niej bez rozliczenia tego, co się w tym okresie wydarzyło, przede wszystkim wewnątrz-związkowego „zamachu stanu” z przełomu lat 1985/86, który ostatecznie doprowadził, poprzez „okrągły stół”, do powtórnej, kwietniowej legalizacji związku.*

A.W.: — Nie oczekiwałbym po zjeździe rozliczenia, ale raczej „przyklepania” faktów dokonanych. Nadzwyczajność zjazdu zamyka się głównie, tak jak to było na szczęblu regionów, zdominowaniem go przez wybory, a więc przez sprawy personalne. Tym celom będą podporządkowane korekty statutu, mogące zmieniać, ale w sposób raczej kosmetyczny, ustalenia „okrągłego stołu”, z drugiej jednak strony mogące przynieść — o czym mówi się coraz częściej — wydłużenie kadencji do trzech lat. Ponadto milcząco zakłada się, że najbliższa kadencja uznana zostanie za pierwszą.

Dzisiejsi liderzy, sterujący związkiem od lat dziesięciu, będą więc mieli zapewnione — przy odpowiedniej sile przebiccia — dalsze sześć lat u steru. To straszna rzecz. Człowiek sprawujący w jakiejś strukturze władzę przez szesnaście lat nie może tego robić dobrze, nawet jeśli jest takim fenomenem jak Margaret Thatcher. Podobno św. Teresa powiedziała kiedyś, że nie wierzy w zbawienie wieczne matki przełożonej, która pełniła swoją funkcję dłużej niż dziesięć lat...

Z tych samych powodów nie należy oczekiwać po zjeździe zbyt wielu rewelacji programowych. Jakiś program, być może nawet efektowny, będzie, oczywiście, sformułowany. Będzie on jednak przede wszystkim motorem kampanii wyborczej konkretnych osób. Nie sądzę, by dał odpowiedź na zasadnicze i zarazem pilne pytanie: czym ma być „Solidarność”? Dotychczasowe odpowiedzi są bardzo ogólnikowe, albo po prostu zastępcze, jak hasło „związek współzrządzający”. To nic nie znaczy, jest pustym dźwiękiem.

M.D.: — *A jak Pan odpowiada sobie na to pytanie?*

A.W.: — W moim przekonaniu, szansą dla „Solidarności” jest maksymalnie szybki powrót do roli związku zawodowego. Na aprobatę zasługuje też tendencja do wzmocnienia struktury branżowej. W pewnym momencie możemy znaleźć się na pozycji jak gdyby odwrotnej do tej, jaką zajmowaliśmy w 1980 i 1981 roku. Struktura regionalna, której żądaliśmy, była wówczas niezbędna, by przeciwstawić się scentralizowanej strukturze partyjnej.

Dzisiaj utrzymanie silnej struktury regionalnej związku może sprawić, że regiony przejmą wszystkie atrybuty oraz sposoby działania dawnych komitetów partyjnych. Dlatego dzisiaj walka o silne regiony może okazać się walką wbrew interesom „Solidarności” jako takiej.

M.D.: — *Skoro padło hasło „okrągły stół”, może warto sobie uzmysłowić, że za nim kryje się nie tyle umowa, zawarta w konkretnym miejscu i czasie, co układ sił, którego ta umowa była zewnętrznym wyrazem. O umowie mówi się dzisiaj, że się zdezaktualizowała, że życie „wywróciło stół”. Na ile aktualny pozostał układ?*

A.W.: — Na pewno nie w pełni. Umowa miała przede wszystkim zapewnić monopol decyzyjny wśród elit opozycji tej grupie, która wcześniej w ten układ weszła.

Ale grupa ta ostatnio przestała być monolitem. Narastające tarcia, spory i konflikty wewnątrz „okrągłostołowej” opozycji poważnie naruszyły jej jedność i osłabiły potencjał. Z drugiej strony, wybory w „Solidarności” też nie okazały się mechaniczną ratyfikacją personalnej strony tego układu. Układ okrągłego stołu może zostać przekreślony, nawet całkowicie, wolą społeczeństwa. Zapewne właśnie dlatego ci, którzy go zawierali, czy — ściślej rzecz biorąc — reżyserowali, tak się społeczeństwa boją.

M.D.: — *Lęk jest chyba obustronny. Społeczeństwo też wyczuwa, że faktyczne siły, tworzące i gwarantujące układ okrągłego stołu, mogą być większe, niż wynikałoby to z oficjalnych doniesień. Wiele wskazuje na to, że jedną ze stron jest tu Kościół, chociaż głośno się o tym nie mówi.*

A.W.: — Społeczne fobie są efektem zmasowanej propagandy, stawiającej sprawę albo — albo: albo daleko idący kompromis, albo rozwiązanie chińskie. Pamiętam np. dyskusję panelową na Politechnice Wrocławskiej, 8 marca 1989 r., kiedy to Karol Modzelewski przekonywał mnie i zebranych, że żądanie wolnych wyborów równoznaczne jest ze spuszczeniem z łańcucha demonów, które obróca w perzynę tę część Europy.

Był to całkowity bluff, co staje się jasne w świetle ostatnich

wydarzeń w krajach ościennych: wolnych wyborów żądają społeczeństwa NRD, Czechosłowacji, a nawet Bułgarii i nikt ich czołgami nie rozjeżdża.

Kościół znajduje się w dość trudnej sytuacji. Nie chce tracić wpływów, podczas gdy nieuchronnie kurczą się jego możliwości finansowe. Po pierwsze — co jest normalnym skutkiem inflacji — ludzie mniej dają na tacę, po drugie maleją wpływy zza granicy. Minęły czasy, gdy Kościół, jako jedyna wiarygodna instytucja w kraju, był odbiorcą i dystrybutorem wszelkich płynących z Zachodu środków.

Inny problem, to laicka, czy wręcz antykościelna postawa niektórych wpływowych kręgów opozycyjnych (głównie związanych z *Gazetą Wyborczą*), co prędzej czy później doprowadzić musi do konfliktu. Kościół chciałby dzisiaj dyskutować swoje wpływy polityczne, zdobyte w ciągu ostatnich dziesięciu lat i nie zawsze robi to zrećnie. Życząc Kościołowi jak najlepiej, muszę stwierdzić, że niczego bardziej się nie obawiam niż klerykalizacji życia.

Stan zagrożenia jest dla Kościoła korzystny, natomiast triumfalizm może być zabójczy. Że represjami Kościoła w Polsce zniszczyć nie można — dowiodło ostatnie czterdziestolecie. Natomiast można to osiągnąć szybko i skutecznie, wprowadzając przymus chodzenia na mszę i obowiązek rozliczania się kartką od spowiedzi przy comiesięcznej wypłacie poborów.

M.D.: — *Chociaż względna siła Kościoła w Polsce maleje, obiektywnie jest on nadal potęgą, w dodatku chyba całkowicie lojalną względem układu zwanego umownie „okrągły stół”. W swoim wystąpieniu na spotkaniu Porozumienia Na Rzecz Demokratycznych Wyborów w „Solidarności”, odsłonił Pan niektóre mechanizmy powstawania „okrągłostołowej” konstelacji, o Kościele dyskretnie napomykając.*

A.W.: — *Moja powściągliwość wynika między innymi stąd, że obserwując posunięcia hierarchii z pewnego dystansu, nie jestem w stanie ocenić, ile jest w nich celowej, świadomej gry politycznej, a ile przypadkowości. Skłonność do widzenia w hierarchiach kościelnych mężów stanu, z zimną krwią przestawiających pionki na politycznej szachownicy, wydaje mi się często demonizowaniem tych ludzi, zarówno pod względem intencji, jak i kwalifikacji.*

M.D.: — *Zagrożenia, jakie może nieść ze sobą uwikłanie Kościoła w niejasną grę polityczną, nie prowadzą się tylko do narażenia na szwank jego autorytetu i pozycji. Kościół w Polsce pełni tradycyjnie rolę społecznego sumienia i obrońcy tych, którym zagraża niesprawiedliwość, nadużycia i przemoc. Obecnie nasze społeczeństwo*

znajduje się w fazie stosunkowo „ekumenicznej”. Reglamentowana demokracja nie wyczerpała jeszcze swojej formuły, walka polityczna nie osiągnęła pełnej ostrości, stosunkowo rzadko sięga się po brudne czy wręcz brutalne metody.

Prędzej czy później stanie się jednak jasne, że wskutek przechodzenia Kościoła na pozycje władzy powstała pewna próżnia, co może być nie tylko szkodliwe, ale wręcz groźne w skutkach.

A.W.: — Jestem pewien, że gdyby doszło do poważnego zagrożenia czy to jednostek, czy grup społecznych, Kościół stanąłby w ich obronie. Kościół w Polsce naprawdę stara się być wierny formule Prymasa Tysiąclecia: „zawsze z narodem”. Prawdziwy problem tkwi we właściwym rozeznaniu, co ta formuła w istocie oznacza: czy bycie na co dzień z ludźmi (co bardzo trudno przetłumaczyć na język konkretnych poczynań), czy utożsamianie się z tymi, którzy mienią się jedynymi reprezentantami narodu. Pokusa takiego pojmowania „bycia z narodem” jest tym większa, że nastręcza wielkich trudności interpretacyjnych. Być z przywódcami znaczy po prostu zawsze ich popierać.

Ufam jednak, że Kościół znajdzie w sobie dosyć siły, aby te pokusy przezwyciężyć.

M.D.: — *Najbliższy dostrzegalny próg aspiracji społecznych Polaków to wolne wybory. Formuła układu „okrągły stół” jest chyba na tyle elastyczna, że może zasymilować ten postulat bez naruszenia właściwej konstrukcji i wynikającej z niej równowagi.*

A.W.: — Obecnie są po temu szczególnie korzystne warunki, ponieważ wybory — formalne wybory — mogą zostać całkowicie zdominowane hasłem „Komitet Obywatelski”. Uważam, że hasło to powinno jak najprędzej zniknąć z naszego życia społecznego. Być może przyczynią się do tego najbliższe wybory samorządowe, które skompromitują tę formułę działania.

Komitet Obywatelski ustawia się obecnie na pozycji ulubionej przez wszystkie struktury niedemokratyczne: pośrednika pomiędzy obywatelami, którzy zgłaszają kandydata, a wyborcą, który na niego głosuje. Zamiast służyć, szkodzą sprawie demokracji.

Sądzę, że istnieje realna szansa na wolne wybory do parlamentu w ciągu najbliższego roku. Wolalbym jednak, żeby odbywało się to w warunkach daleko idącego pluralizmu partyjnego. Niech będą to wybory na listy partyjne, a nie na listy „jedynie słuszne”. Jeżeli ktokolwiek — nieważne, czy jest to PZPR, czy Komitet Obywatelski — gwarantuje „jedyną słusność”, to po prostu nie ma demokracji.

JAROSŁAW TWARDOWSKI: — „Wybijanie się na demokrację” ma dwa zasadnicze wymiary: wewnętrzny i zewnętrzny. Pieczołowicie hodując społeczne zarodki demokracji, nie należy zapominać, że proces ten wymaga również odpowiedniego kontekstu i międzynarodowego klimatu. Demokratyzująca się Polska nie powinna zamykać się na problemy i aspiracje swoich sąsiadów, z którymi łączy nas wspólnota doświadczeń. Ostatnio niepokój budzą uniki, brak wyraźnego stanowiska rządu polskiego wobec proklamowania niepodległości Litwy.

A.W.: — Polska polityka zagraniczna powinna zdecydowanie koncentrować się na stosunkach z krajami ościennymi. Miejsce Polski w Europie zależeć będzie nie od stosunków z Francją czy Anglią, ale z tymi, którzy z nami bezpośrednio graniczą: Niemcami, Czechami, Litwinami, Białorusinami.

Niestety, nic nie wskazuje na to, by polska dyplomacja miała długofalową koncepcję polityczną. Dominują działania doraźne, zogniskowane wokół problemu niemieckiego, często nadmiernie rozdmuchiwane. Stosunki z sąsiadami wschodnimi mogą okazać się o tyle ważniejsze, że sytuacja jest płynna — imperium może zaważyć w każdej chwili. Nie wyobrażam sobie przejścia ze stadium „obozu” do „Europy bez granic” bez zanurzenia się w kotle wrzących nacjonalizmów.

J.T.: — Czego oczekiwałby Pan od rządu polskiego wobec takiej perspektywy?

A.W.: — Przyjęcia kilku zasadniczych priorytetów. Najważniejszy, to niepodważalność granic, bez względu na sentymenty, doraźne korzyści, czy argumenty historyczne. Konieczna jest jednoznaczna deklaracja, że nie domagamy się żadnej rewizji, ale i nie pozwolimy na żadną rewizję granic.

Drugi, to jak najdalej idąca współpraca ekonomiczna i polityczna z sąsiadami. Dotykamy tu poruszonego przez Pana problemu uznania rządu niepodległej Litwy przez inne kraje. Stanowisko rządów, polskiego nie wyłączając, nacechowane jest obłudą. Kunktatorstwo, brak odzewu na inicjatywę polityczną sąsiada, zemszczą się prędzej czy później, i to nie tylko na nas.

Trzeci priorytet, to polityka maksymalnego otwarcia na potrzeby i aspiracje mniejszości narodowych w Polsce. Chodzi nie tylko o autentyczną tolerancję, przestrzeganie praw mniejszości oraz umożliwienie im rozwoju poprzez kultywowanie języka, pielęgnowanie kultury itp. Konieczny jest również udział mniejszości narodowych w życiu politycznym naszego kraju.

Ubolewam nad konfliktem wyborczym, jaki powstał na Śląsku Opolskim. Byłoby znacznie lepiej, gdyby ten region był re-

prezentowany w Senacie przez przedstawiciela mniejszości niemieckiej. Niczego nas nie pozbawiając, Niemcy żyjący w Polsce zyskaliby forum publiczne, a wraz z nim możliwość dowartościowania i odreagowania różnych frustracji.

M.D.: — *Piękna idea, ale czy względy humanitarne stanowią wystarczającą przeciwwagę dla fobii, resentymentów, czy wreszcie narodowego egoizmu?*

A.W.: — Stosunki z mniejszościami powinna regulować nie zasada charytatywnego altruizmu, ale wzajemności. Jeszcze wyraźniej widać to na przykładzie sąsiadów wschodnich, wobec których jesteśmy stroną niewątpliwie bardziej zainteresowaną. Mniejszości narodowe w Polsce są znikome, mniejszości polskie za granicą — gigantyczne. Stoimy dzisiaj w obliczu otwartego konfliktu polskoliteńskiego i polsko-białoruskiego. Na Litwie buzuje on już na powierzchni, na Białorusi ujawni się w najbliższych miesiącach.

Puszczanie tych spraw na żywioł może postawić nas w przyszłości w niezwykle trudnej sytuacji. Na Litwie istnieją okręgi, gdzie mniejszość polska jest w przewadze, jednoznacznie deklarując polskość. Paradoksalnie, jest to najbliższe otoczenie Wilna, co jeszcze bardziej komplikuje sytuację.

Na Białorusi, gdzie nigdy nie było rodzimej państwowości, ludzie żyjący w granicach Rzeczypospolitej Polskiej przed 1939 rokiem, przy spisie ludności wpisywali w rubrykę „narodowość”: tutejsza. Dzisiaj, gdy znów muszą się określać, często deklarują narodowość polską, ponieważ polskość jest im bliższa niż cokolwiek innego, a ponadto utożsamiana bywa z awansem kulturowym i ekonomicznym.

W razie rozpadu imperium możemy obudzić się w sytuacji, gdy bardzo duże tereny na Białorusi i na Litwie zadeklarują przynależność do Polski. Żądanie ich przyłączenia, to wywołanie ducha Karabachu i otwieranie puszkii Pandory, co zniszczyłoby nas wszystkich.

Dlatego już dzisiaj tak ważną jest sprawa autonomii i uprawnień mniejszościowych.

J.T.: — *Dyplomacja polska usiłuje podnieść prestiż naszego kraju wykonując różne, często pozorne ruchy na arenie międzynarodowej. Kopiuje przy tym, wybiórczo i chyba niezbyt fortunnie, pewne elementy polityki wielkich mocarstw. Ignorowanie przez światowe potęgi problemów, aspiracji, a nierzadko tragedii cięzonych narodów nie powinno być dla nas natchnieniem, zwłaszcza w odniesieniu do własnych sąsiadów.*

Być może z perspektywy Waszyngtonu czy Moskwy wygodniej

jest nie dostrzegać tragedii narodów zakaukaskich, czy zagłady Turków meschetyńskich. Czy brak odzewu rządu polskiego na prośbę Litwinów o uznanie ich suwerennego rządu uda się jednak wytłumaczyć polską racją stanu?

A.W.: — Silenie się na makiawelizm w polityce zagranicznej może okazać się — w wydaniu małego i słabego kraju — tylko śmieszne. De Gaulle bardzo słusznie powiedział kiedyś: jeśli nie wiesz, co zrobić, po prostu zachowaj się przyzwoicie. Postępowanie przy wątpliwościach zgodnie z etyką jest, na dłuższą metę, najlepszą zasadą w polityce międzynarodowej.

By nie być gołosłownym: obecnie jest wyjątkowo korzystny moment, by wytargować od Litwinów bardzo daleko idące koncesje na rzecz mniejszości polskiej, w zamian za pomoc polityczną w krytycznej sytuacji, w jakiej się obecnie znajdują.

Takie momenty w historii mogą okazać się decydujące. Wspomnijmy rok 1938 — gdybyśmy wówczas, zamiast anektować Zaolzie, udzielili gwarancji Czechosłowacji — mogłoby to odwrócić nieuchronność II wojny światowej. Dziś udzielenie gwarancji militarnych Litwie nie wchodzi w rachubę, ale uznanie rządu niepodległej Litwy mogłoby się okazać bardzo i długotrwale korzystne.

Nie wykorzystujemy więc ogromnej szansy, jaka przed nami stoi. Cała nasza dyplomatyczna postawa wobec Litwy sprowadza się do nakłaniania polskich ugrupowań na Litwie do daleko idącego kompromisu z Sajudisem.

Polska racja stanu, to po prostu nasz interes. Prezydent USA bierze pieniądze za to, by dokładał wszelkich starań i wszystko robił dla dobra Amerykanów, nie dla Polaków. Nasz prezydent, premier i minister spraw zagranicznych są od tego, by realizować interes Polaków, bez względu na to, co o tym myśli Moskwa czy Waszyngton.

Obawiam się, niestety, że stanowisko polskiego rządu wobec problemu litewskiego wynika nie tyle z określonej wizji polskiej racji stanu, co z podporządkowania interesów polskich polityce mocarstw, na mocy gabinetowych uzgodnień, o których nie informuje się społeczeństwa. Uległość wobec potęg światowych kosztowała nas bardzo drogo w latach trzydziestych, dzisiaj może kosztować jeszcze drożej.

J.T.: — *O istnieniu uzgodnień świadczyłyby symptomatyczne milczenie naszych władz w sprawie wycofania wojsk sowieckich, o czym głośno w Czechosłowacji i na Węgrzech.*

A.W.: — Gorzej, bo wrócono do straszaka niemieckiego, który ma obecność tych wojsk usprawiedliwiać. Bóg mi świadkiem, nie

wiem, dlaczego armia sowiecka w Polsce miałaby gwarantować polską niepodległość. Moim zdaniem, wznaga ona tylko zagrożenie naszej integralności państwowej. Ewentualne zagrożenie naszej granicy zachodniej wynikałoby z pewnością, jak uczy historia, z uzgodnień sowiecko-niemieckich. Armia sowiecka wspierałaby więc rewizjonizm niemiecki, a nie walczyła z nim.

M.D.: — *Być może źródłem tych pozornych sprzeczności jest właśnie rozmycie, czy też wykoślawienie istoty niepodległości. Znamienne, że te ugrupowania opozycyjne na Litwie, które otwarcie stawiają rozwiązanie nabrzmiałych konfliktów z mniejszościami narodowymi w duchu partnerstwa oraz dostrzegają analogię pomiędzy straszakiem niemieckim w Polsce, a... straszakiem polskim na Litwie, po który sięga Sajudis dla uzasadnienia obecności w tym kraju wojsk sowieckich.*

J.T.: — *Tymczasem ambasadorowie polskiej sprawy lansują model „kolejki do niepodległości”. Lech Wałęsa, bawiąc we Wrocławiu w drodze na spotkanie z prezydentem Havlem, mówił o zbyt ciasnej futrynie, przed którą należy sobie wzajemnie ustępować miejsca, aby wszyscy mogli się przez nią przecisnąć.*

A.W.: — *Odpowiedzią na „polski straszak” wobec Litwy i Białorusi powinny być — szeroko nagłaśniane — jednoznaczne deklaracje graniczne oraz deklaracje swobód mniejszości narodowych na terenie Polski.*

Co do owej „kolejki”, to nie wiem, czy jest ona kolejką do niepodległości, czy raczej do zachodnich pieniędzy. Nadzieje z nimi związane są, moim zdaniem, mocno na wyrost.

Jak dotąd niemal cały zaangażowany w Polsce obcy kapitał reprezentowany jest przed drobnymi aferzystów, pragnących odtworzyć go w ciągu roku, zwinąć kramik i zwiewać, bo przyszłość niepewna.

Pieniądze gwarantowane przez rządy w dalszym ciągu spływają do nas na zasadzie dobrowolnego podatku od świętego spokoju, płaconego przez bogatych krewnych. Nie ma to nic wspólnego z poważnym zaangażowaniem kapitału.

Uważam, że Polskę należałoby autentycznie otworzyć na kapitał zachodni. Tu jednak, podobnie jak w dziedzinie polityki, powinno rządzić jedno kryterium — korzyść ekonomiczna dla Polski. Dobre jest to, co opłacalne. Nie można dokonywać restrykcji obawiając się, na przykład, zdominowania przez kapitał niemiecki. Cała Kanada zdominowana jest przez kapitał amerykański, Amerykanie mają w ręku kontrolne pakiety akcji większości przedsiębiorstw i — jak widać — nikt na tym źle nie wychodzi.

Zdajmyż sobie sprawę, że najskuteczniejszym zabezpieczeniem naszych interesów narodowych jest siła państwa: zarówno ekonomiczna, jak i militarna. Bez kapitałów zagranicznych i siły nie zbudujemy w dającej się przewidzieć przyszłości. A wszelkie restrykcje, szczególnie w kontekście jednoczącej się Europie, odstraszą cały poważny kapitał.

J.T.: — *Defensywna, serwilistyczna postawa rządu polskiego wobec zagranicznych partnerów rozciąga się i na płaszczyznę ekonomiczną. Naciski Międzynarodowego Funduszu Walutowego, przyjmowane bardzo miękko przez polskie władze, oddaliły nas znacznie od tego, co dla Polski najkorzystniejsze.*

Nie doszła do skutku federacja ekonomiczna z Czechosłowacją. Polską pozostała nie tylko wiernym sojusznikiem ZSSR w ramach Układu Warszawskiego, ale i najbardziej subordynowanym członkiem RWP.

Wewnętrzne reformy ekonomiczne również sprowadzają się do ruchów pozornych. Hamowanie przekształceń własnościowych, uderzające w produktywność społeczną, prowadzi do wywoływania znów upióra państwa opiekuńczego...

A.W.: — *Przedewszystkim nie stać nas na to, by być państwem opiekuńczym. Darmowa zupka nie jest jeszcze opiekunstwem. To, co oferuje się ludziom bez pracy, jest standardem tak niskim, że nie wystarczy na przeżycie.*

Nie jestem zwolennikiem abstrakcyjnego systemu pełnego zatrudnienia, ale fala bezrobocia, która nam grozi, znacznie przekroczy to, co naprawdę konieczne.

Różne, wynikające z marazmu produkcyjnego triki, jak bankructwa przedsiębiorstw, zwolnienia grupowe czy wysyłanie na przymusowe urlopy bezpłatne, zepchną całe rzesze ludzi na pozycje zupełnych nędzarzy. Będą zmuszeni do tych zupek, nie z upodobania do bycia na państwowym garnuszku, ale z braku innego wyjścia.

Rachunek polityczny za doprowadzenie do tej sytuacji wystawiony zostanie nie zachodnim czy wschodnim kontrahentom Polski, ale tym, o których dzisiaj mówi się „nasz rząd”, którzy w imieniu społeczeństwa sprawują władzę i przed społeczeństwem, nie przed obcym mocodawcą, zdawać będą sprawę ze swoich decyzji.

Rozmawiali: *Małgorzata DOBROWOLSKA*
Jarosław TWARDOWSKI
(Agencja Prasowa RP)

Życie i obowiązki na obczyźnie

ROZMOWA ZE STEFANEM NĘDZYŃSKIM,
SEKRETARZEM GENERALNYM MIĘDZYNARODÓWKI
PRACOWNIKÓW ŁĄCZNOŚCI¹ W LATACH 1965-89

ROMAN LEWANDOWSKI: — *W jaki sposób znalazł się Pan na Zachodzie?*

STEFAN NĘDZYŃSKI: — W 1939, po klęsce wrześniowej, starałem się przedostać do Polskiego Wojska we Francji. Przeszedłem z części okupowanej przez Niemców do części okupowanej przez Sowiety. No, ale tam nas złapali i zamknęli w więzieniu. 14 miesięcy, najpierw w Sanoku i Przemyślu. Potem w Starobielsku, gdzie nie było już oficerów polskich (trafiłem tam po czerwcu 1941 roku). Wreszcie z wyrokiem zaocznym sądu NKWD, Wierchownej Trojki bodajże, skazano mnie na 3 lata łagru. Po 7 miesiącach spędzonych w obozie na północy Rosji odesłano mnie na Syberię. Przez jakiś czas pracowałem jako robotnik w Kuźniecku. Potem dostałem się zbiegiem okoliczności do Ambasady Polskiej w Kujbyszewie, z którą wcześniej nawiązałem kontakt. Miałem wtedy 22 lata, był to koniec roku 1942. Przyjęto mnie w niej do pracy na jakąś tymczasową posadę i pracowałem, aż do zerwania stosunków dyplomatycznych przez Związek Sowiecki z rządem w Londynie, gdy wyszła sprawa Katynia. Należałem do ostatnich osób, którym władze sowieckie wydały zezwolenie na opuszczenie Związku Sowieckiego z oddziałami Andersa. Do wojska wstąpiłem już na Bliskim Wschodzie. Przeszedłem kampanię włoską, brałem udział w bitwie pod Monte Cassino. Nie byłem w pierwszej linii, nie robię z siebie bohatera, ale Krzyż za tę bitwę mam. Po wojnie trzeba było, prawda, wybrać...

R.L.: — *Czy pamięta Pan, co Pan wówczas czuł i myślał, podejmując decyzję?*

S.N.: — Były dwie główne przyczyny mojej decyzji: głęboka

1. MPŁ zrzesza 3,8 mln członków z 211 organizacji związkowych w 102 krajach.

wrogość do komunizmu i zwyczajny strach. Byłem w więzieniu sowieckim, byłem w obozie, byłem na tak zwanej wolności. Już wiedziałem, że czegoś podobnego drugi raz nie wytrzymam. Wiedziałem, że władze okupacyjne — komuniści — stworzą w Polsce podobny system.

R.L.: — *Czy wszyscy tak sądzili? Mógłby Pan odtworzyć nieco atmosferę tamtych lat?*

S.N.: — W Londynie podział był wyraźny. Tych, którzy wracali bez poważniejszych powodów — powiedzmy żona, dzieci, czyli sprawy osobiste — uważaliśmy po prostu za zdrajców. Ja nie mówię, czy to było dobrze, czy źle, przemyślane politycznie czy nieprzemyślane — odtwarzam jedynie panującą wtenczas atmosferę. Pamiętam, jak do Polski wracał jeden z moich przyjaciół — jednak, jechał do chorej matki — zostało mu to wybaczone. Czyli gdzieś wchodziła w rachubę jednak jego wina, mieliśmy ją w podświadomości. Propaganda komunistyczna mówiła, że czekaliśmy na trzecią wojnę. Czy ja tak myślałem? Raczej nie, powiedziałbym, że wszystko było mgliste, bardzo powierzchowne. Przywiązanie do sprawy — na pewno, ale co ponadto? Brakowało analizy politycznej, szczególnie ludziom młodym, takim jak ja. Nie było nic oprócz emocjonalnej niechęci do komunizmu. Na dobrą sprawę nikt nie umiał jasno powiedzieć, co i jak trzeba zrobić.

R.L.: — *Jak traktowali was Anglicy?*

S.N.: — Jeśli chodzi o mnie, to mówiłem sobie trochę cynicznie: zdradzili mój kraj, ale stypendium na studia mi dali. Wtenczas jak ja tam byłem, druga połowa lat czterdziestych, ich nastawienie było takie, żeby naszą sprawę w miarę prędko „złatwić”. To znaczy — by ci Polacy, którzy zostali w Anglii, mogli się jak najszybciej usadowić i zacząć pracować jak inni. Po studiach czy nie po studiach, pomóc im, żeby to zdemobilizowane wojsko w każdym razie się rozeszło. Bardzo pragmatyczne podejście. Nie zmuszali w zasadzie nikogo, żeby wracał, ale namawiali. Ponawiali też naciski na nasze instytucje, by się rozwiązały. Sprawa polska skończyła się. Anglia chciała mieć normalne stosunki z Warszawą.

R.L.: — *Jak reagował Pan na tę sytuację?*

S.N.: — Starąłem się nie siedzieć z założonymi rękami, ale pole manewru nie było wielkie. Cóż, udzielałem się w Polskiej Partii

Socjalistycznej w Wielkiej Brytanii, przez jakiś czas byłem nawet członkiem zarządu. Zresztą potem, jak już przeniosłem się do Brukseli, dalej działałem w PPS. Dopiero jak wyjechałem do Genewy, moje kontakty z tą partią uległy ograniczeniu.

R.L.: — *Jak wyglądały Pana dalsze losy w Londynie?*

S.N.: — Jak już wspomniałem, zostałem zdemobilizowany i dostałem stypendium. Mogłem studiować na Uniwersytecie Londyńskim. Stworzono tam specjalną szkołę dla Polaków. Jednym z wykładowców był Stanisław Swianiewicz, autor książki o Katyniu. Studia skończyłem w 1950 roku. Przed wojną studiowałem w Poznaniu prawo i ekonomię. W Anglii tylko ekonomię: po prostu doszedłem do wniosku, że nie da się w obcym kraju praktykować jako adwokat. Początkowo trudno było znaleźć w ogóle jakąkolwiek posadę, która odpowiadałaby wykształceniu uniwersyteckiemu. Pracowałem więc tymczasem na poczcie, w kasie oszczędności. Równocześnie kształciłem się dalej. Kontynuowałem studia na Uniwersytecie Londyńskim w tak zwanej London School of Economics, żeby zrobić doktorat. Tam właśnie poznałem przez przypadek kierownika biura studiów jednego ze związków. Zaproponował mi pracę, zresztą na niskim stanowisku i za niskie wynagrodzenie. Był to związek pracowników technicznych brytyjskiego Ministerstwa Poczty i Telegrafu. Przyjąłem tę posadę, ponieważ w jakimś sensie pokrywała się z moim doktoratem, gdyż pisałem o problemach pracowników i pracodawców. W ten sposób zacząłem działalność związkową. Brałem udział w negocjacjach, występowałem przed Sądem Arbitrażowym. Zostałem wreszcie — po odejściu kierownika biura — kimś w rodzaju jego zastępcy, oczywiście tymczasowo, bo jak przyszło do wyboru kierownika na stałe, no to — rzecz jasna — wybrano Anglika. Zwłaszcza że był absolwentem Oxfordu.

R.L.: — *Czy rozmawiał Pan z kolegami o polityce?*

S.N.: — Oficjalnie nie. To był typowy angielski związek zawodowy. Czyli że oficjalnie o polityce się nie mówi. Nie wiadomo też, kto jest kto. Jawnie nie ma podziałów. Ale niewątpliwie one istnieją. Komuniści wtedy, pamiętam, starali się mieć wpływy. Jakkolwiek akurat w moim związku już się one kończyły, gdyż po wojnie w zarządzie komunistów była dokładnie połowa. O wszystkim musiał rozstrzygać prezes, ponieważ podział głosów w czasie każdej dyskusji rozkładał się idealnie równo. Prezes rozwiązał problem w ten sposób, że rozesał okólnik, iż dalej tak być nie może i przy następnych wyborach

do nowego zarządu komunistów w ogóle nie wybrano. Potem znowu stanowili grupkę. Ale ich wpływy nigdy się nie skończyły. Teraz są oni, są i trockiści. Dzisiaj na przykład w tym związku, w którym ja pracowałem, zarząd składa się z koalicji, którą tworzą komuniści, trockiści i lewica Partii Pracy. Sekretarzem generalnym jest członek Partii Pracy z lewicy.

R.L.: — *Do kiedy pracował Pan w tym angielskim związku?*

S.N.: — W 1952 dowiedziałem się, że są pewne możliwości zatrudnienia w Brukseli, w Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych. Przeprowadzono nabór na stanowisko — tymczasowe zresztą, na 4 miesiące — w Wydziale Spraw Gospodarczych i Społecznych. Ja z kolei zdałem sobie już sprawę, że w Anglii moje możliwości kariery są jednak ograniczone i cały czas szukałem czegoś innego. Do Londynu przyjechał kierownik wspomnianego wydziału: Potem się z nim zaprzyjaźniłem, ale wtedy naturalnie nie znaleźliśmy się. Była nas czwórka kandydatów. Każdy otrzymał pisemne zadanie, do dziś nie wiem, czy każdy takie samo. Dwa tygodnie później przyszła odpowiedź, że przyjęto mnie. Pojechałem do Brukseli. Po 4 miesiącach zostałem zaangażowany na stałe i tak pracowałem w tym wydziale MKWZZ 6 lat. Potem wróciłem do MKWZZ, ale już na stanowisko zastępcy sekretarza generalnego. Było to w 1961 roku.

R.L.: — *A wcześniej?*

S.N.: — Wcześniej — w 1958 — przeszedłem na 3 lata do Międzynarodówki (Międzynarodowej Federacji) Pracowników Łączności — PTTI, gdzie po roku mianowano mnie zastępcą sekretarza generalnego. Tam pracowałem właśnie do 1961.

R.L.: — *Do jakiej funkcji można awansować w związkach zawodowych administracyjnie?*

S.N.: — Do stanowiska zastępcy sekretarza generalnego wyłącznie. Potem wybiera Zjazd, czyli najwyższa władza związku. Proszę też pamiętać o zmianie jakościowej. Sekretarz generalny ma bardzo szerokie uprawnienia. Jego wola staje się poniekąd wolą całej organizacji. Co nie znaczy, że nie musi się z nikim liczyć. Jeśli straci zaufanie — przepada w wyborach, które odbywają się co 3 lata. Mnie wybrano sekretarzem generalnym Międzynarodówki Pracowników Łączności w 1965 roku. Miałem wtedy 45 lat. Pełniłem tę funkcję do jesieni zeszłego roku, do przejścia na emeryturę.

R.L.: — *Był Pan funkcjonariuszem organizacji ponadnarodowej. Czy w Pana działalności mogła się pojawiać od czasu do czasu, powiedzmy, karta polska?*

S.N.: — Naturalnie. Na tym, co robiłem, ciążyło moje pochodzenie. Ja do dzisiejszego dnia mam polskie obywatelstwo, nie przyjąłem żadnego innego. I, co tu wiele mówić, podczas całej mojej kariery byłem antykomunistą. Nigdy się to u mnie nie zmieniło. Szukałem możliwości działania przeciw komunizmowi. I oni, jak się zdaje, zawsze o tym dobrze wiedzieli. Możliwości działania miałem bardzo różne, wiele zależało, powiedzmy, od epoki politycznej.

R.L.: — *Zaczynał Pan w szczytowym okresie zimnej wojny...*

S.N.: — Komuniści starali się wyraźnie opanować Francję i Włochy. Ich związki dominowały w tych krajach. Starcia z nimi były bardzo gorące. W skali całego kontynentu komuniści stanowili jednak mniejszość. W Niemczech Zachodnich, Skandynawii i w Anglii przeważały związki demokratyczne. W Belgii — związki chrześcijańskie i socjalistyczne. Komuniści organizowali wszędzie strajki o charakterze politycznym, terroryzowali resztę. W takiej Marsylii, jeśli ktoś należał do *Force Ouvrière*², mógł znaleźć się pewnego dnia w szpitalu ze złamaną nogą. Szczególnie dobrze kontrolowali stare zakłady pracy, gdzie siedzieli już od lat. Odrzucali — na polecenie Moskwy — Plan Marshalla, sabotując jego wprowadzenie. Myśmy z kolei uważali ten plan za wielką szansę dla Europy. Fakt, że bano się Rosji i komunizmu, nie będą ukrywał, bardzo mi odpowiadał. Już nie musiałem ograniczać się do opowiadania antykomunistycznych kawałów, ale otwarcie wyjaśniać w środowisku związkowym, co to jest komunizm. Ludzie tego słuchali. Znowu nie wszyscy, ale więcej niż poprzednio. Dużo argumentów czerpałem z *Kultury*, chociaż nie zawsze zgadzałem się z jej linią. Uważałem, że Polacy w kraju powinni wywierać nacisk na partię, ale się z nią nie mieszać, że się tak wyrażę. Nie ustępować. Niech sama partia pod wpływem nacisków zmienia kraj. Natomiast my, za granicą, mamy obowiązek walczyć z okupacją sowiecką, z komunizmem na sto procent. Dlatego tych koncepcji *Kultury*, że trzeba stawiać na zmiany wewnątrz partii, nie umiałem sobie przyswoić. Zmiana nastąpiła dopiero podczas Października 56. Z żalem, ale przyznałem *Kulturze* rację...

2 F.O. — jedna z 2 największych francuskich central związkowych. Zrzesza 900 tys. członków. W latach 1963-1989 jej sekretarzem generalnym był André Bergeron.

R.L.: — Czy „odwilż” w krajach komunistycznych po śmierci Stalina odbiła się w postawie związkowców na Zachodzie?

S.N.: — To bardzo skomplikowany problem. To, że poszerzała się wiedza o komunizmie i jego zbrodniach, wcale nie oznaczało jeszcze zmian w nastawieniu związkowców. Antykomunizmu, w takiej postaci jak mój, raczej nie akceptowano, odnoszono się do mnie z rezerwą i często niechętnie, mimo całej kurtuazji politycznego *savoir-vivre*'u. Ale ja cały czas próbowałem. W latach 50-tych, jak wiadomo, byłem w Brukseli. Wydział MKWZZ, w którym pracowałem, zajmował się formułowaniem deklaracji politycznych — i moje poglądy, chcąc nie chcąc, w tych dokumentach jakoś się zaznaczały. Wtrącałem swoje trzy grosze. Nie tylko w dokumenty. Debatowano w sekretariacie MKWZZ, czy można udowodnić, w jaki sposób łamane są na Wschodzie prawa związkowe — bo przecież na papierze, czytając te ich deklaracje — wszystko wyglądało bardzo dobrze. Ja dowodziłem — bardzo szczegółowo — że z naszego punktu widzenia nie są to po prostu związki zawodowe. Dość skomplikowany wywód, gdyż, jak już mówiłem, w świetle dokumentów wszystko było bez zarzutu. Przygotowywałem następnie dokumenty po dyskusji. Odnotowaliśmy wtedy, po raz pierwszy chyba, spory sukces, gdyż potem Międzynarodowa Organizacja Pracy opublikowała te zażalenia i wnioski pod adresem Sowietów jako dokumenty oficjalne i rozpowszechniła po całym świecie. Pozwoliło to naświetlić troszeczkę panującą w krajach komunistycznych sytuację. Tylko tyle można było wtenczas robić...

R.L.: — Potem, kiedy już został Pan sekretarzem generalnym Międzynarodówki Pracowników Łączności, nie mógł Pan jednak uczynić z niej organizacji walczącej wyłącznie z komunizmem, czy o sprawy polskie?

S.N. — Wyłącznie oczywiście nie. Mój czas pochłaniały w większości zupełnie inne problemy. Ja zawsze w stu procentach byłem działaczem związkowym. Proszę jednak pamiętać, że zajmowanie się sprawami polskimi było moim obowiązkiem dlatego, że to była walka z komunizmem. No i — nie ukrywam — oczywiście wolałem, jeśli inni myśleli podobnie. Sam nie miałem bezpośrednich kontaktów z niezależnymi polskimi działaczami, aż do roku 80-go. Pośrednio tylko, przez rodzinę w kraju. Przepraszam, miałem jeden kontakt wcześniej... W 70 roku uciekł z Polski Edmund Bałuka. Najpierw starał się osiedlić i otrzymać azyl w Hiszpanii, potem we Francji. Ja go osobiście nie znałem, ale wiedziałem, kto to jest, słyszałem, że działał w Komitecie strajkowym w Szczecinie. Koledzy z PPS-u zwrócili

się do mnie, żebym mu jakoś pomógł. Zadzwoiłem do Paryża do André Bergerona z *Force Ouvrière*. I *Force Ouvrière* załatwiło mu papiery. Bałuki nigdy wcześniej ani potem nie widziałem na oczy, pomogłem mu, bo wiedziałem, że jest działaczem związkowym. Spotkaliśmy się dopiero w 1981 roku.

R.L.: — *Jak wyglądał w Pana karierze „trop polski”?*

S.N.: — Teren międzynarodowych centrali związkowych jest dość specyficzny. To skomplikowany mechanizm, w którym krzyżują się różne tendencje. Rezultat tych splotów bywa niekiedy zaskakujący. Otóż kiedy powstał KOR w 1976 roku, starałem się zorganizować poparcie dla tej inicjatywy. I okazało się, że nie jest to wcale łatwe. KOR-u po prostu nikt nie znał. Słyszano o Kuroniu, on był nawet słynny, ale pomoc była tak minimalna — biorąc pod uwagę możliwości związków — że nie należy tego przeceniać. Wydaje mi się, że trzeba było być Polakiem, aby zrozumieć wtedy, czym może być KOR w przyszłości. Pomoc, jak mówię, była, ale niestety minimalna.

R.L.: — *Czyli że centrale związkowe maszerują jednak razem z aktualną polityką rządów?*

S.N.: — Przeważnie tak, ale z własnego wyboru, a rządy krajów maszerują z kolei razem z tym, co sądzą wyborcy. W demokracji to jest bardzo subtelne sprzężenie zwrotne. Przecież lata 70-te w Europie to było *détente*. Proszę nie myśleć, że nie było w tym woli bogatych społeczeństw Europy. Gierek — na przykład — był bardzo popularny na Zachodzie. W centralach demokratycznych związków zawodowych chcieli już mieć kontakty z komunistami. Najpierw z Zachodu, potem z bloku sowieckiego. Powstała w tym celu Europejska Konfederacja Związków Zawodowych. Pamiętam, jak podczas kongresu inauguracyjnego w 74-tym roku jej przewodniczący — nazwiska dziś nie wymienię — powiedział właśnie, że chce zjednoczyć wszystkie związki zawodowe z Europy Zachodniej, a potem powstanie konfederacja sięgająca aż do Uralu. Ja byłem przeciw.

R.L.: — *A jaka była wola bogatych społeczeństw Europy w latach 60-tych?*

S.N.: — Zaraz o tym powiem. Jako sekretarz generalny Międzynarodówki Pracowników Łączności od 1965 roku brałem regularnie udział w posiedzeniach zarządu MKWZZ. Potem, już w latach 70-tych, również w spotkaniach zarządu Europejskiej

Konfederacji Związków Zawodowych. Jeśli na tych zebraniach był André Bergeron albo ktoś inny z *Force Ouvrière*, to było nas dwóch, którzy zajmowaliśmy stanowisko antykomunistyczne, przeciwko kontaktom i przyjaźni z nimi. Ale bywały zebrania, kiedy byłem sam. Inni albo nic nie mówili, albo byli po drugiej stronie. Tam na Wschodzie jest jak jest — powtarzano — wszystko, co my możemy zrobić, to mieć z nimi przyjazne stosunki.

R.L.: — *Mimo że lata 60-te w Europie Wschodniej zakończyły się zdławieniem Praskiej Wiosny?*

S.N.: — Tak. W 68-ym, po inwazji na Czechosłowację — początkowo były protesty. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba jesienią 68 odbyło się zebranie zwołane przez MKWZZ, na którym dyskutowano rezolucję. Zaproponowałem, żeby ta rezolucja była negatywna, krytykująca to, co się wydarzyło. Ale oczywiście nie padło w niej słowo o komunizmie. Powiedziałem więc, że należy dodać, że wyraźnie potępiamy komunizm. Rozpętała się dyskusja. Pamiętam, jak wstał jeden Belg i powiada: a dlaczego tak od razu potępiać cały komunizm w czambuł? Przecież są w nim różne tendencje — są tendencje ortodoksyjne, stalinowskie i inne. Wtedy ja mówię: W takim razie dodajmy, że potępiamy komunizm ortodoksyjny i stalinowski. I tak to przeszło. Zwrot, o którym mówiłem, że zaczął się w latach 60-tych, nie brał się stąd, że związkowcy byli za komunizmem. Nie, pokutowało przekonanie, że nie są to wprawdzie związki jak nasze, ale innych nie ma.

R.L.: — *Czy w Pana Międzynarodówce pojawiały się nastroje pojednawcze wobec komunistów?*

S.N.: — Nie. W mojej Międzynarodówce nie mieliśmy z tym problemów. Zdobyłem sobie swoją pracę, jak przypuszczam, takie poparcie, że w tej kwestii nigdy nie mieliśmy nieporozumień. Ale na terenie europejskim, na terenie MKWZZ prowadziłem, no, naprawdę ciężkie boje. Jeszcze raz rok 1976 — wypadki radomskie. Zebranie Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych. Ktoś zaproponował kilka miesięcy wcześniej, już nie pamiętam kto, zbiórkę pieniędzy na poszkodowanych. Proszę sobie wyobrazić, że oto zaczyna się wspomniane zebranie i pierwsze co słyszę, to krytykowanie tego pomysłu — że dlaczego? Że na jakiej podstawie? Skąd taki pomysł i kto go zaproponował — czy jest to aby osoba kompetentna? Ja jestem demokratycznym socjalistą i słuchałem, proszę pana, moich przyjaciół politycznych, tutaj na Zachodzie. Jeden po drugim mówią przeciwko. W pewnym momencie zabiera głos delegat włoskiej

komunistycznej CGIL — i jedyny popiera. Proszę pana, po raz pierwszy w mojej karierze związkowej odebrało mi mowę i nie zabrałem głosu. Tyle lat spędziłem na walce z komunistami i jestem na zebraniu, gdzie się mówi o Polsce i jedyny, który jest po mojej stronie to komunista, panie, zaniemówiłem. Wszystko jedno, dlaczego poparł, ja zaniemówiłem.

R.L.: — *Teraz rok 80...*

S.N.: — Wydarzenia zastały mnie w Afryce. W sierpniu przebywałem na naszym zjeździe w Lagos. Był tam też, między innymi, przewodniczący niemieckiego DGB³, Ernst Breit. Nadchodzą wiadomości z Polski, że w Gdańsku domagają się niezależnego samorządowego związku zawodowego. Breit mi mówi — słuchaj, na to komuniści nigdy się nie mogą zgodzić, tam mogą strajkować dokąd chcą, w ogóle skąd im przyszły do głowy takie pomysły, jak niezależne związki? A ja na to — bo czytałem przecież *Kulturę* i znałem już te koncepcje niezależnych związków — że moja analiza jest inna, że wcale tego nie wykluczam. No, potem, oczywiście, ten wielki triumf... Wcześniej naturalnie wiedziałem o założeniu niezależnego związku zawodowego na Wybrzeżu, pisałem o tym w naszym piśmie. Starałem się wyjaśnić na zebraniu. Mało kogo to interesowało. Mówiono, to są takie małe grupki i nie wiadomo, co z nich wyniknie. Wtedy ja mówiłem: czy jak u was zaczęły się związki, to od razu były miliony? Ta mała grupka może stanowić początek czegoś wielkiego. Nikt mi nie wierzył.

R.L.: — *Co było potem?*

S.N.: — W MKWZZ zwrócono się do mnie — jako do Polaka — żebym nawiązał kontakty z Gdańskiem. Organizatorzy strajku nie byli nikomu znani, o Wałęsie wcześniej nikt nie słyszał. Pojechałem do Paryża, pan Giedroyc polecił mi panią Borowską ze Sztokholmu — i wtedy się okazało, że kontakty są już w Szwecji nawiązywane. MKWZZ ma kontakt z Lechem Wałęsą. Następne spotkania były już moje, osobiste. W styczniu 1981 Wałęsa przyjechał z delegacją do Rzymu. Dowiedziałem się od moich włoskich przyjaciół, gdzie zamieszkał, i wynająłem pokój w tym samym hotelu. Tak doszło do naszego widzenia.

R.L.: — *Jakie wrażenie robił na Panu Wałęsa z tamtego okresu?*

3. Deutscher Gewerkschaftsbund — międzybranżowa centrala związkowa w RFN, zrzeszająca 8 mln członków.

S.N.: — Tamten Wałęsa i ten Wałęsa to jest ten sam człowiek. Wałęsa się zmienia, ale pozostaje taki sam. Na mnie robił przy najmniej zawsze podobne wrażenie. Niesłychanie bystry umysł. Po nim widać, że to jest ktoś, kto umie decydować. I niewątpliwie, przy tym wszystkim, ma urok osobisty. To się bardzo liczy na Zachodzie. Ma też wady. On może być w pewnych sytuacjach po prostu nie do zniesienia... Ale wrażenie wtenczas zrobił — i teraz też robi. Na mnie wywarła fantastyczne wrażenie ta jego pierwsza konferencja prasowa dla dziennikarzy zagranicznych. Na początku siedział spięty. Pamiętam pewną Włoszkę z prawicy, która mówi do niego: zanim panu postawię pytanie, muszę panu wyjaśnić, jaka jest sytuacja z tym i tym związkiem, a Wałęsa jej przerywa i mówi: proszę pani, ja połowy tego nie spamiętam, więc może zada mi pani od razu pytanie. Zupełnie naturalne zachowanie, przełamał tym lody. Z początku oglądał się na doradców — pamiętam, że był obok niego Mazowiecki — a potem już radził sobie sam, na własną rękę, i poszło to świetnie. Jak konferencja się skończyła, sala wstała i spontanicznie zrobiono mu owację. Wtedy widziałem po raz pierwszy Wałęsę w działaniu.

R.L.: — *Od wojny obraca się Pan wśród związkowców zachodnich, teraz także wśród Polaków. Jak wypadła porównanie?*

S.N.: — W latach 80-81 narzucał się przede wszystkim polski entuzjazm. Polska i Solidarność to była jedna sprawa. Co mnie niepokoiło wtenczas, to ta nieudolność organizacyjna. Całe Biuro Solidarności w Gdańsku było wyraźnie źle zorganizowane. Miało się wrażenie, że jest więcej zebrań niż działalności. Że nie ma biur, które działają. Nie prowadzi się codziennej zmundnej pracy związkowej. I wobec tego, jak ten entuzjazm wszystkim minie — nie będzie żadnej mocnej struktury. Drugie spostrzeżenie — to te niesłychane dyskusje, a jednocześnie kłótnie, rozmaite rozgrywki osobiste. Szokowało również mnie i moich kolegów wiele innych zachowań, ta beztroska-polityczna na przykład...

R.L.: — *Czy Pana koledzy rozmawiali o tym między sobą...*

S.N.: — Tak, mówili, że jest bałagan. Ile wtenczas przyjeżdżało z kraju osób z podpisem Wałęsy, że reprezentują Solidarność! Mieli to na piśmie. Jeden reprezentuje Mazowsze, drugi Dolny Śląsk i tak dalej. Co tydzień przyjmowaliśmy po kilku takich pełnomocników. Cóż poza tym? Zawsze zastanawiałem się, jak długo jeszcze. Muszę powiedzieć, że chciałem gościom z kraju koniecznie wierzyć, jak mówili, że partia jest w rozpypce. Mimo

że trudno było mi zrozumieć tę ich pewność siebie. Bezpieka w dalszym ciągu działała, a zupełnie już nie pojmowałem oświadczenia Wałęsy, że wojsko — to nasi, milicja — to nasi. Jacy nasi? Zupełnie tego nie rozumiałem. Trochę to zaczęło się zmieniać od jesieni 81. W listopadzie, pamiętam, byli u mnie ludzie z Polski i pytali, czy da się zorganizować na Zachodzie szkolenie działaczy na wypadek, gdyby trzeba było działać w podziemiu. Pomału docierało...

R.L.: — *Potem stan wojenny...*

S.N.: — W pewnym sensie znaleźliśmy się znowu w punkcie wyjścia. Chociaż zadanie wydawało się proste. Podtrzymać w środowisku związkowym opinię, że Solidarność jest jedynym związkiem zawodowym w Polsce i kropka. Stwarzać nastrój — a nawet presję — że przywoity związkowiec może popierać tylko Solidarność, a OPZZ i reszta się nie liczą. Dopóki Solidarność nie wróci na scenę jako legalna organizacja, odmawiamy jakiegokolwiek współpracy z PRL. I to nam się udawało. Nawet ci działacze, którzy mieli skłonności do współpracy z komunistami, musieli bardzo uważać, co mówią, gdy zabierali głos na temat Solidarności. Proszę jednak pamiętać, że to także nie przychodziło samo. Na każdym zebraniu przypomnienie o potrzebie zajęcia stanowiska, żeby sprawa polska stale była obecna. Dbać o to, by każda deklaracja była tak samo mocna jak poprzednie, o niczym nie zapominać. Bo jak się raz zapomni — ktoś to wykorzysta i nastąpi zmiana polityki. Demokracja pozwala niestety również na wiele złego.

R.L.: — *Zdarzały się sytuacje dramatyczne?*

S.N.: — Na przykład wpadka transportu⁴ przerzucanego na promie ze Szwecji. Teraz można się oczywiście zastanawiać, czy i jak można było jej uniknąć. Mniejsza o okoliczności. W każdym razie, co potem? Wpadka to wpadka i zachodzi realna groźba, że nie będzie dalej pieniędzy, przynajmniej od Amerykanów. Wytworzyła się zupełnie specyficzna atmosfera: jeżeli były błędy, należy je wyeliminować i unikać w przyszłości, a drugie — ukarać winnych. Dziwne rozumowanie, bo niby dlaczego nielegalne wwiezienie do kraju sprzętu ma się zawsze udać? Na jakiej podstawie tak sądzono? Jak wwożono wcześniej, to było w porządku. A raz się nie udało, to od razu trzeba znaleźć winnych...

4. Przejęcie przez SB transportu sprzętu wartości ok. 150-200 tys. dol. USA.

R.L.: — *Czy to była rzeczywiście wpadka?*

S.N.: — Tak, największa. Oczywiście wcześniej szły większe transporty i przechodziły. Są rozmaite wersje na ten temat. Ja wierzę w to, że po prostu Szwedzi uznali, iż dość już korzystania z ich terytorium do prowadzenia przerzutów i ich służby celne dały zwyczajnie znać do Polski, że idzie transport. Ta ciężarówka przejechała jednak przez granicę, Szwedzi ją wypuścili, celnicy polscy ją też przepuścili — wpadła dopiero potem. Czyli wygląda na to, że miała zostać przejeta przez bezpiekę już na miejscu, a wcześniej była przez nich tylko pilotowana. No mniejsza... Jak już wspominałem, trzeba było coś zrobić, żeby pomoc jednak dalej szła. W tej sprawie interweniowałem osobiście. Rozmawiałem z przedstawicielami amerykańskiej centrali AFLCIO. Skutek był pozytywny. Potem tylko współpracowałem bardzo ściśle z odpowiedzialnym za te przerzuty Milewskim, żeby były dwie głowy zamiast jednej. Szczęśliwie więcej wpadek nie odnotowaliśmy...

R.L.: — *Pojawia się coraz więcej pytań na temat dystrybucji tej pomocy w kraju i jej rozliczania...*

S.N.: — Tego nie wiem, jak była rozdzielana ta pomoc. To była sprawa Solidarności w kraju. Ja nie miałem dostępu do wszystkich dokumentów i nie wiem, czy wszystko dochodziło, ale przypuszczam, że tak. Wyczerpująco mogę mówić jedynie o tej pomocy, którą wysyłała moja Międzynarodówka. Pomoc nasza szła głównie przez Biuro w Brukseli, część przez *Kontakt* w Paryżu, a część przez solidarnościowców ze Szwajcarii. Zawsze przedstawiano nam kwity poświadczające zakup tej czy innej maszyny. Były też poświadczenia z kraju o otrzymaniu danej rzeczy. Myśmy prawie wyłącznie pomagali w sprzęcie, pomoc w gotówce była proporcjonalnie bardzo mała. Jeśli chodzi o skalę pomocy, plasowaliśmy się na trzecim miejscu — po Amerykanach i MKWZZ. Do Polski wysłaliśmy więcej niż do wszystkich innych krajów w ciągu ostatnich 25 lat. Wysitek był zatem spory. Takiego „klienta” jak Polska moja Międzynarodówka nie miała nigdy.

R.L.: — *Czy uważa Pan, że jak ktoś daje, nie powinien unikać w to, co z jego pomocą dzieje się dalej...*

S.N.: — W warunkach działalności podziemnej, wydaje mi się, wszystko staje się skomplikowane. Słyszałem o trudnościach z rozdzielaniem pomocy potem — po całej Polsce. Niektórym mogło się w związku z tym wydawać, że do nich nic nie dociera. I pewno nie docierało. Były całe przestrzenie Polski, gdzie nigdy

nic nie dotarło. To możliwe. Od nas nic tu nie zależało, naszym obowiązkiem było wwozić. Ja starałem się na przykład, żeby pomoc mojej organizacji szła do rozmaitych miejscowości. To jest świetna teoria, ale kiedy ja rozmawiam z panem takim a takim i on ma kontakty, powiedzmy, z Warszawą, to co teraz — wybór mamy taki: albo wyślemy do Warszawy, albo nie wyślemy w ogóle. No i co? Posyłam do Warszawy. A jeszcze jestem w sytuacji, że mam budżet na rok, jest listopad — zostały pieniądze, muszę je wydać. Więc do Warszawy idzie kolejny transport, mimo że wcześniej poszło już kilka, a gdzie indziej nic. W takiej działalności, jak przerzuty, obowiązują pewne reguły. Jeśli na kogoś postawiłem, to nie sądzi pan chyba, że potem słuchałem tego, co o nim mówili inni. Wiadomo, że wieszano na takiej osobie zazwyczaj psy. Żeby jej odebrać pośrednictwo w pieniądzach czy sprzęcie. Teraz, rozgrywki personalne w kraju związane z dystrybucją pomocy? Zawsze tak jest, w życiu każdej organizacji społecznej, że jak coś się robi — i to jest dobre, podoba się — to jednocześnie wiele osób stara wykorzystywać tę sytuację dla propagandy własnej postaci. Więcej, uważam, że niekiedy należy tak postępować, jeśli się chce mieć dalej te same możliwości, na przykład za dwa lata. Trzeba przekonywać sponsorów o własnej wartości, żeby byli z siebie dumni i żeby jutro też dali. Proszę się nie obawiać, sponsorzy także mają swoje audytoria, gdzie demonstrują, jacy są dobrzy...

R.L.: — *W jakim stopniu to, co mówił Pan o Solidarności w roku 80, odniósłby Pan do Solidarności dzisiaj...*

S.N.: — O, to jest temat na odrębną rozmowę. Powiem krótko. Nie widzę tego samego entuzjazmu, co wtedy. Nie wiem też, czy politycznie chodzi o to samo. Dziś Solidarność to nadzieja na przyszłość, ale jako ruch społeczno-polityczny. A związek zawodowy to przecież nie to samo. Wałęsa niedawno powiedział, że w warunkach reformy gospodarczej najlepiej, żeby Solidarność była słaba. Wie pan, trudno zbudować mocną organizację, jak się ma takie podejście... Tak traci się tylko ludzi. Jakikolwiek byłoby tego przyczyny uważam „obniżanie” Solidarności za błąd. Demokracja to nie tylko ministrowie. Cudów nie ma. Demokratyczna struktura społeczeństwa — to są partie polityczne, konkurencyjne wobec siebie programy polityczne, nawyki demokratyczne obywateli, ale także rozwinięte i silne związki zawodowe. Taki jest mój punkt widzenia.

Rozmawiał Roman LEWANDOWSKI

Paryż, luty 1990

Początek końca perestrojki?

Rozmowa z Tarasem Kuzio — współorganizatorem i kierownikiem działających w Londynie Ukraińskiej Agencji Prasowej i European Ukrainian Cultural and Educational Foundation (Ukraińska Europejska Kulturalna i Oświatna Fundacja), autorem wielu publikacji poświęconych tematyce ukraińskiej i problemom narodowościowym w ZSSR, oraz jednym z redaktorów pisma *Suczasnist*.

MONIKA AGOPSOWICZ: — 26 kwietnia 1990 roku władze sowieckie anulowały ci zaraz po przylocie do ZSSR wizę wjazdową i tego samego dnia odesłaty cię do Warszawy. Czym zastąpiłeś sobie na to, że twoje nazwisko znalazło się na niedługiej już chyba „czarnej liście” obywateli obcych krajów, których nie wolno wpuszczać do ZSSR?

TARAS KUZIO: — Trudno mi jest powiedzieć, dlaczego mam w KGB „czarną teczkę”. Jestem dziennikarzem, ukończyłem wydział studiów sowietologicznych na University of London i wraz z Petro Szutakiem prowadzę oficjalną Ukraińską Agencję Prasową z siedzibą w Londynie. Na lotnisku w Moskwie domagałem się oczywiście wyjaśnień; wszystkie dokumenty miałem przecież w porządku, pokazałem między innymi legitymację prasową. Moje protesty na nic się nie zdały — poddano mnie nawet rewizji, natomiast rozmawiać w ogóle ze mną nie chciano. Miałem wrażenie, że starano się mnie jak najszybciej pozbyć. Nie jest wykluczone, że powodem mojego zatrzymania była obawa przed takimi młodymi ludźmi jak ja. Moje przypuszczenie potwierdza brak jakichkolwiek zastrzeżeń wobec wjazdu do ZSSR osiemdziesięcioletniego prawie Pawło Dorożyńskiego, który jest redaktorem pisma *Samostijna Ukrajina* i zastępcą szefa melnikowskiej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN).

Podobnie było z Leonidem Pluszczem z Paryża¹, który bez przeszkód dojechał do Kijowa na zjazd Ukraińskiego Związku Helsińskiego.

Kilka lat temu moje nazwisko znalazło się w artykułach publikowanych przez sowiecką prasę, a utrzymanych w bardzo tradycyjnym tonie. Mówiło się tam o mnie jako o agencie CIA, członku banderowskiego OUN, czy wykładowcy w Harvard Russian Research Institute, którymi nigdy nie byłem. Takie zainteresowanie mną wynikało chyba z tego, że sporo publikuję, wydałem zbiór niezależnych dokumentów zatytułowany *Dissent in Ukraine under Gorbachev*. Poza tym, w odróżnieniu od stylu działania nacjonalistów ukraińskich na Zachodzie, utrzymuję bardzo rozległe kontakty międzynarodowe, często spotykam się z zachodnimi politykami i dziennikarzami. Nasza Agencja Prasowa ma swoje przedstawicielstwa w Moskwie, Kijowie, a od ośmiu miesięcy także w Warszawie. Serwisy informacyjne w językach ukraińskim i angielskim wysyłamy do kolporterów w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Australii, a ci przekazują je dalej — do emigracyjnych i lokalnych mass mediów. Nasza agenda w Warszawie przesyła informacje prosto do Radia Swoboda i do *Ukraińskiego Słowa* w Paryżu, do *Gazety Wyborczej* i do nas — do Londynu. Jeśli mamy informacje po rosyjsku, to przekazujemy je *Russkiej Myśli* w Paryżu. Z założenia działamy na dużo szerszą skalę niż emigracyjni banderowcy, których Ukraińska Centralna Informacyjna Służba daleka jest ponadto od głoszonej przez nas zasady politycznej neutralności. Mogę nawet powiedzieć, że jestem w tej chwili na dwóch czarnych listach: KGB i banderowskiej.

M.A.: — *Jak ukraińscy wychodźcy reagują na zmiany zachodzące na Ukrainie? Czy zgadzasz się z opinią, że Ukraińcy są, w porównaniu z innymi emigracjami, bardzo dobrze zorganizowani na Zachodzie — chodzi mi na przykład o silne środowiska uniwersyteckie czy kształcenie kadr dla przyszłego niepodległego państwa?*

T.K.: — *Ogromna większość Ukraińców mieszkających na Zachodzie — to imigranci z czasów II wojny światowej, bądź ich potomkowie. Znam tę emigrację dobrze „od środka”. Z całą pewnością dba ona o zachowanie tożsamości narodowej, kryjąc przy tym w sercu poczucie krzywdy i niesprawiedliwości. Polska emigracja bardzo różni się pod tym względem od naszej — przybywała na Zachód falami i była nie tylko polityczna. O ileż*

1. Byłm więźniem politycznym w Związku Sowieckim.

inaczej przedstawiałaby się ona, gdyby Polska stała się sowiecką republiką, a nie była na wpół wolnym krajem. Wy mieliście za wroga komunizm, my — zaborcę.

Ukraińcy mieszkający w Kanadzie stanowią liczącą się mniejszość narodową; jest ich tam około 2 milionów na 25 milionów wszystkich obywateli. Część starszego pokolenia jest przede wszystkim skupiona wokół anachronicznych już haseł ukraińskiego nacjonalizmu, wierną idealom swojej młodości i bezkompromisowa. Ci niewykształceni na ogół ludzie nie przyjmują do wiadomości zmian, jakie dokonują się teraz w kraju i nadal popierają jedynie nieliczne skrajnie nacjonalistyczne grupki działające na Zachodniej Ukrainie, wysyłając im... książki Stepana Bandery. Niestety, żadna z ukraińskich organizacji na Zachodzie nie ewoluowała w kierunku partii politycznej i stąd nigdy nie były one traktowane poważnie ani nie cieszyły się popularnością. Tymczasem pozostałym Ukraińcom mieszkającym na Zachodzie, zwłaszcza młodym, zależy na popieraniu na Ukrainie wszelkich ruchów demokratycznych. Skoro zaś zależy nam na kształtowaniu społeczeństwa obywatelskiego, to sprawą najpilniejszą jest nawiązanie kontaktu między Ukrainą a Zachodem, ponieważ ciągle jeszcze pozostaje ona w izolacji. Polacy w najgorszym nawet okresie mieli dostęp do literatury zachodniej, zawsze mieli namiastkę wolności — był przecież *Tygodnik Powszechny*, *Więź*, *Znak*. Na Ukrainie trzeba zaczynać od początku. Skoro zaś chcemy propagować zachodnie systemy polityczne, namawiać do tworzenia różnych demokratycznych partii politycznych czy stosowania praw zachodnich ekonomii, to musimy nie tylko przekazywać do Kraju publikacje, ale także wspierać rozwój ruchu wydawniczego. Jest to ważne z dwóch powodów: po pierwsze — niewielu Ukraińców zna zachodnie języki, po drugie — rodzima poligrafia jest ciągle w powijakach.

Pomoc tego typu jest już organizowana przez liczną grupę emigrantów kanadyjskich, którzy połączyli wysiłki w Ukraińskim Towarzystwie Prychylniki k „Ruchu”; ci ludzie rozumieją, że Ukrainie potrzebne są, poza deklaracjami wyrażającymi poparcie, także komputery, faxy, maszyny drukarskie i pieniądze. Towarzystwo współpracuje z założoną przeze mnie Ukraińską Europejską Kulturą i Oświatną Fundacją, która mając siedzibę w Londynie i bezpośrednie kontakty z Ukrainą, jest w stanie tę pomoc techniczną realizować.

M.A.: — *Jaką orientację polityczną reprezentuje wasza fundacja?*

T.K.: — *Nasze cele nie opierają się na wybranych sympatiach politycznych. Jesteśmy politycznie neutralni, na Ukrainie chcemy*

popierać wszystkie te ugrupowania, które są za niepodległym i demokratycznym państwem, za politycznym i ekonomicznym pluralizmem. W tej chwili zależy nam na tym, by na Ukrainie powstało jak najwięcej partii typu zachodniego. Cieszę się że Ukraiński Związek Helsiński przekształcił się w Partię Republikańską i że odchodzący z partii komunistycznej działacze „Ruchu” (Narodowego Ruchu na Rzecz Przebudowy) zakładają Partię Demokratyczną. Chcemy popierać nie tylko partie polityczne, ale różne inicjatywy społeczne: związki zawodowe, kluby ekologiczne, czy stowarzyszenia kulturalne. Wiem, że szkolić trzeba fachowców — zapraszać więc będziemy na Zachód działaczy z Ukrainy, by ci zapoznali się z europejską polityką i ekonomią, z systemami wielopartyjnymi, z programami politycznymi, z prawami businessu i menadżerstwem. Zmiany dokonują się na Ukrainie bardzo szybko — co chwila pojawia się nowa inicjatywa. To jest po prostu składowa procesu dezintegracji systemu totalitarnego. Tworzy się społeczeństwo obywatelskie.

M.A.: — *W Polsce obserwowaliśmy za czasów władzy komunistycznej w latach 60-tych i 70-tych powszechne, choć bierne, opowiadanie się ludzi PRZECIWKO komunistom, w niewielkim zaś stopniu ZA jakimś programem pozytywnym. Czy nie jest to zjawisko powszechne teraz na Ukrainie?*

T.K.: — O, tak, ludzie mają teraz dużo dobrych chęci, może jeszcze nie wiedzą, czego chcą. Zbyt długo byli odcięci od świata, nawet od Polski, zwłaszcza na Ukrainie centralnej i wschodniej. Nasza londyńska fundacja ma ich przekonywać o potrzebie angażowania się w programy pozytywne.

M.A.: — *Czy władze sowieckie rejestrują nowo powstające ugrupowania?*

T.K.: — Do tej pory zarejestrowany został narodowy Front na Rzecz Przebudowy „Ruch” oraz Towarzystwo Ukraińskiej Mowy im. Tarasa Szewczenki, „Zelenyj Swiat” i oczywiście ukraiński Kościół katolicki. W myśl głoszonego przez Gorbaczowa pluralizmu powinny zostać zalegalizowane wszystkie partie polityczne. Spodziewam się pewnych zmian po pierwszej sesji ukraińskiego parlamentu, która rozpoczyna się 15 maja i na którą przybędą ludzie reprezentujący całe spektrum polityczne.

M.A.: — *Czy nadal powszechnie stosowane są na Ukrainie represje? Wobec kogo i jakiego rodzaju?*

T.K.: — KGB nadal istnieje. W sferze propagandy działają tymi samymi metodami co przed laty, z tym że teraz ich ataki w prasie nie szkodzą, a pomagają napastowanym. Nie tylko ludziom, jak się okazuje, bowiem obrzydzana systematycznie przez Szczerbickiego ukraińska flaga narodowa zyskała wiele na popularności nawet wśród nie znających ukraińskiego mieszkańców republiki. Spośród metod policyjnych najczęściej stosuje się zatrzymanie, bicia, administracyjne szykany. Przypomina to trochę metody stosowane w Polsce w stanie wojennym; zresztą KGB sporo się wtedy nauczyło od polskiej milicji. Najtrudniejsza sytuacja panuje, z ich punktu widzenia, na Zachodniej Ukrainie, ponieważ władza na całym tym obszarze jest w rękach demokratycznych. Pewien funkcjonariusz KGB przyznał w prywatnej rozmowie, że jego zwierzchnicy nie wiedzą, jak się mają w tej sytuacji zachowywać. Dawniej sprawa była prosta: aresztować, trochę dać po mordzie, na Syberię i był spokój.

M.A.: — *W liście otwartym przedstawiciele ukraińskiej inteligencji Lwowa z przełomu 1989 i 1990 roku skierowanym do „polskich pisarzy i działaczy społeczno-politycznych” zauważyłam hasło „Jedność”. Czy jest ono popularne i jak je należy rozumieć?*

T.K.: — Jest to hasło głoszone przez całą opozycję na Ukrainie, a znaczy tyle co: „Wszystkie narody Ukrainy — razem przeciw partii komunistycznej”. Jest ono często skandowane na demonstracjach. Idea jego jest taka, by nie pozwolić władzom na rozpętanie międzyetnicznych konfliktów, jak to ma miejsce na Zakaukaziu, czy pozwolić na stworzenie „internacjonalnego frontu”.

Na ukraińskie manifestacje przybywali Ormianie, Żydzi, nawet Rosjanie. Polacy, mimo zaproszeń, byli bardziej powściągliwi; nie sprzyjali komunistom, ale stali na uboczu i przypatrywali się. Dziś sytuacja jest dużo lepsza — w tłumie widać już polską flagę, a Towarzystwo Polskiej Kultury podpisało w listopadzie 1989 roku poparcie dla „Ruchu”. Nie znaczy to, by Polacy byli aktywni; myślę, że na Ukrainie jest na to zbyt mało polskiej inteligencji. Najważniejsze jest jednak to, że nie ma na Ukrainie konfliktu, jaki istnieje, jaki istnieje na Litwie.

M.A.: — *Czy nie sądzisz, że w niezależnych publikacjach ukazujących się na Ukrainie pomija się milczeniem obecność Polaków jako gospodarzy części tych ziem w przeszłości? Rozumiem, że powodem może być unikanie tematu konfliktów polsko-ukraińskich, ale...*

T.K.: — Z tym jest różnie. Owszem, sięga się do historii organizując we Lwowie 1 listopada wspólne uroczystości na Cmentarzu Łyczakowskim: z jednej strony występuje tam ukraińskie towarzystwo „Memorial”, a z drugiej — Polskie Towarzystwo Kulturalne. Uroczystości odbywają się właśnie 1 listopada, który dla Ukraińców i Polaków ma zupełnie inną wymowę. Jeżeli masz wrażenie, że coś tendencyjnie się przemilcza, to bierze się ono stąd, że Ukraińców „karmiono” przez długi czas prymitywną historią tych ziem, która sprowadzona została do potępienia ukraińskich nacjonalistów i polskich panów uciskających ukraiński lud. Tłumaczono, że Ukraińcy innej historii nie mają, a Melnika, Banderę, Petlurę, Mazepę wrzucono do jednego kotła jako zdrajców. Teraz następuje żywiołowa reakcja na te zakłamania. Ludzie wpadają w przeciwną skrajność i gloryfikują wszystkich „zdrajców” bez wyjątku. Trzeba czasu, by poszerzyć horyzonty, by nauczyli się wartościować i patrzeć na swoją historię obiektywnie. A brak zainteresowania polską historią bierze się ze skoncentrowania całej uwagi na własnej przeszłości. Nie wydaje mi się więc, by był teraz czas na przykład na organizowanie polsko-ukraińskiego okrągłego stołu we Lwowie, ponieważ partnerzy reprezentowaliby w tych rozmowach zupełnie inny poziom refleksji historycznej i politycznej.

M.A.: — *Czy nie idealizujesz dzisiejszego obrazu stosunków polsko-ukraińskich?*

T.K.: — Nie, ponieważ jest on oparty na różnych siłach składowych. Przede wszystkim w całej zachodniej części Związku Sowieckiego panuje wśród opozycji przekonanie, że cele polityczne należy osiągać pokojowo. Nie mogą więc mieć miejsca akty przemocy wobec mniejszości narodowych. Gorbaczow chętnie widziałby na Litwie taką sytuację, do jakiej doprowadził w Azerbejdżanie — najpierw prowokacja, a potem pacyfikacja — ale na Litwie nie jest to takie proste. Po drugie, stosunek do mniejszości musi być tolerancyjny, ponieważ zyskuje się tym samym sympatię Zachodu. Cieszą się taką sympatią za wierność zasadzie *non violence* Chińczycy, Litwini, Polacy, Czesi, ale nie na przykład Azerbejdżanie. Traci tę sympatię powoli i Gorbaczow za bezwzględne stanowisko wobec Litwy, choć widać to na razie tylko w zachodnich mass mediach. Za uszanowaniem potrzeb mniejszości narodowych przemawia nie tylko wspomniana już konieczność połączenia sił wobec wspólnego wroga, ale także solidarność narodowości w równym stopniu przesładowanych kiedyś przez władze sowieckie. Skoro my, Ukraińcy, przeżywamy teraz kulturowe odrodzenie, lepiej rozumiemy, cze-

go byliśmy pozbawiani i nie życzymy nikomu takich upokorzeń. Niedawno odbył się w Kijowie „Dzień izraelski” — była to wspólna manifestacja Żydów i Ukraińców.

M.A.: — *A jakie są nadzieje na przebudzenie wschodniej i centralnej Ukrainy?*

T.K.: — Kijów jest aktywny, w Radzie Najwyższej Republiki Ukraińskiej reprezentowany jest przez demokratycznych delegatów. Nieźle jest też w Charkowie — tam widać kulturalne odradzanie się ukraińskich tradycji, języka, inne jest też spojrzenie na sprawy gospodarcze. Gorzej jest w pozostałych częściach, są one opóźnione w stosunku do zachodniej Ukrainy co najmniej o rok. Przed wojną opozycja koncentrowała się na wsi, dziś jest ona w mieście. A dzisiejsze miasto we wschodniej Ukrainie jest w dużej mierze rosyjskie. Ale i tam powoli zaczyna się rozumieć potrzebę zmian gospodarczych i uniezależnienia się od sowieckiego kolosa. Najgorsza stagnacja panuje teraz na Ukrainie południowej zamieszkiwanej głównie przez *homo sovieticus*. Mieszkańcy dawnej Nowej Rosji nie wiedzą, jakiej są narodowości, reprezentują niską kulturę. Co do Krymu, to cała opozycja ukraińska jest zgodna, że należy go oddać Tatarom jako republikę autonomiczną.

M.A.: — *Jakie widzisz konsekwencje rozszczępienia się pojęcia „przebudowy”?*

T.K.: — Przed pięciu laty, kiedy Gorbaczow rozpoczął przebudowę, celem zmian miała być jedynie reforma gospodarki. W 1987 roku zorientował się, że zabieg czysto gospodarczy nie powiedzie się bez zmian politycznych. I tu przebudowa wymknęła mu się spod kontroli. Od tej pory Gorbaczow nie ma żadnego konkretnego programu działania. Jego program zmienia się z miesiąca na miesiąc, o ile nie częściej. Zmiana jego stosunku do Lenina — jeszcze w listopadzie 1989 roku był on dogmatyczny — jest dobrym, choć nie najważniejszym przykładem. Hasło przebudowy zostało chętnie podjęte w Związku Sowieckim, przy czym w takich republikach jak Litwa było ono od samego początku inaczej rozumiane.

Na Ukrainę przebudowa nie dotarła, choć wiele dobrego zrobiła tu „jawność”. Dzięki niej i dzięki siedemnastoletnim rządóm Szczerbickiego komunizm jest na Ukrainie całkowicie zdyskredytowany, w największym chyba stopniu w całym ZSSR. Nawet w oczach Rosjan zamieszkujących na Ukrainie — a jest ich około 10 milionów — partia komunistyczna straciła autorytet.

Gorbaczow utworzył i objął urząd prezydenta, ponieważ zrozumiał, że już niedługo partia komunistyczna nie będzie miała większego znaczenia. W lipcu spodziewany jest jej rozpad na kilka frakcji. Na Ukrainie z trzymilionowej partii odejdą na pewno młodzi, z których część zaangażuje się w nowo powstających partiach socjaldemokratycznej, republikańskiej, demokratycznej, czy innych. Gorbaczow broni się przed takimi zmianami jak może i ludzie to doskonale rozumieją. Wiedzą, że to z woli Gorbaczowa Szczerbicki zajmował tak długo stanowisko pierwszego sekretarza na Ukrainie, wiedzą, iż Gorbaczow nadal nie dopuszcza do przeprowadzenia czystki w aparacie partyjnym.

M.A.: — Jak odbierany jest na Ukrainie konflikt litewsko-sowiecki?

T.K.: — Sytuacja na Litwie z pewnością wiele nas nauczy. Mówi się, że wystąpili za wcześnie, że nie skoordynowali swych działań z innymi, ale rozumiemy skąd wziął się ich pośpiech: Gorbaczow zapowiedział ustanowienie silnej władzy prezydenckiej i zmianę ustawy o secesji republik. Żądania Litwinów popierane są na Ukrainie nie tylko słowami, czy demonstracjami. Wiem, że zupełnie poważnie przygotowywano się do tworzenia brygad militarnych na wzór wysyłanych w latach trzydziestych do Hiszpanii — zgłaszało się sporo ochotników. Znacząca była też reakcja „Ruchu” na białoruskie żądania terytorialne wobec Litwy, gdyby ta nie przestała „upierać się” przy niepodległości. Dla powstrzymania tych roszczeń „Ruch” zaczął domagać się od Białorusi ukraińskich ziem. I pomogło. Konflikt litewsko-sowiecki pozbawia Gorbaczowa resztek popularności na Ukrainie.

M.A.: — Jakie znaczenie ma dla Ukrainy ogłoszenie przez Litwę deklaracji niepodległości?

T.K.: — Jeszcze sześć miesięcy temu delegaci na Kongres Frontu Narodowego myśleli o przyszłości Ukrainy w kategoriach części składowej proponowanej przez Gorbaczowa federacji republik. Dziś wielu reformistycznie nastawionych komunistów z „Ruchu” dąży już wyłącznie do niepodległości, bowiem wiedzą, że pojęcie tak zwanej suwerenności w ramach Związku Sowieckiego jest nic nie warte. Tylko niepodległość jest gwarantem suwerenności. Tego nauczył Ukraińców przykład Litwy czy Azerbejdżanu, w którym działacze legalnie działającego Frontu zostali w niewygodnej dla Kremla chwili aresztowani. Poza tym coraz lepiej rozumie się na Ukrainie wartość statusu wolnego kraju: jest to kraj, w którym nie doszłoby nigdy do głodu, do

prześladowań, jest to kraj, który prowadzi niezależną gospodarkę. Argument ekonomiczny zaczyna zresztą odgrywać coraz poważniejszą rolę. Społeczeństwo szybko się radykalizuje i są to zmiany nieodwracalne.

M.A.: — *Czy podzielasz pesymizm Siergieja Grigoriana, że Gorbaczow nie od dzisiaj szykuje się do wprowadzenia w ZSSR stanu wojennego?*

T.K.: — Moje obserwacje wydarzeń na Ukrainie potwierdzają przypuszczenia Grigoriana; określane przez niego, *post factum*, daty rozpoczęcia stanu wojennego, pokrywały się z momentami szczególnego napięcia na Ukrainie. Jedną z takich dat był z całą pewnością dzień 9 kwietnia 1989 roku, kiedy to w Gruzji zgineło wielu ludzi. Wtedy na ulicach Kijowa, Rygi zresztą też, pojawiły się czołgi. Inną datą był 1 października tego samego roku — we Lwowie sowieckie ZOMO bardzo brutalnie rozpendzało demonstrantów, chcąc ich sprowokować do starć. Władimir Bukowski, który jest jednym z członków rady naszej fundacji, jest nastawiony bardziej pesymistycznie. Według niego stan wojenny będzie z całą pewnością wprowadzony. I mnie ten nastrój też się niestety udziela; coraz więcej mam po temu powodów: obserwuję w napięciu ostatnie posunięcia polityczne Gorbaczowa — urząd prezydencki, ustawa o secesji republik, nieprzejednanie w sprawie Litwy, pobłażliwość w stosunku do rosyjskich nacjonalistów.

M.A.: — *Te argumenty nie zniechęcają chyba ludzi działających na Ukrainie do działania?*

T.K.: — To prawda; tam toczy się historia, która ma swoje logiczne prawa — wydarzenia z każdym dniem przyspieszają. Gorbaczow spełnił już swoją rolę, nadając im bieg. Więcej zrobić nie może, jego misja się skończyła.

M.A.: — *Jak powinna wyglądać, z punktu widzenia interesów Ukrainy, polska polityka wschodnia? Czy powinna ona przyjąć bezkompromisowy kurs wobec Kremla, czy też, jak chce na przykład Adam Michnik, powinna osłaniać Gorbaczowa i gasić wszelkie nastroje radykalne?*

T.K.: — Ja jestem nastawiony przeciw Gorbaczowowi i przeciw pogładowi Michnika. Gorbaczow zaczyna mieć w moim przekonaniu coraz więcej wad, natomiast Michnik myli się twierdząc, że jedyną alternatywą dla Gorbaczowa jest Ligaczow. Chciał-

bym, by rząd polski pamiętał, że złą metodą jest nieatakowanie Gorbaczowa i że trzecią liczącą się siłą polityczną ZSSR jest zorganizowana, demokratyczna opozycja. W związku z tym trzeba zacząć energiczniej popierać wszelkie niezależne inicjatywy. Trzeba wreszcie otrząsnąć się z tego, co na Zachodzie nazywa się żartobliwie „gorbazmem”. Gdyby rząd polski poparł Litwę, poszłyby w jego ślad i Czechosłowacja, i Węgry; inaczej zachowywałby się Zachód. Właśnie wtedy byłyby większe szanse na pokojowe rozwiązywanie konfliktów wewnątrz Związku Sowieckiego. Nie naciskany przez nikogo Gorbaczow może już niedługo zachować się w sposób przez nikogo nieprzewidziany.

M.A.: — *Czy nie uważasz, że należałoby wreszcie stworzyć powszechny i niezależny przepływ informacji między Ukrainą i Polską?*

T.K.: — Tak, zwłaszcza, że Ukraina, podobnie jak i Polska, zawsze zorientowana była na Zachód. Nigdy nie było tu takiego rozłamu w świadomości narodowej, jaki ma miejsce w Rosji — podział na słowianofilów i okcydentalistów. Ukraina była, to prawda, siłą rzeczy przez 50 do 70 lat zwrócona ku Moskwie, ale jeśli chce nawiązać teraz kontakt z Zachodem, to musi zrobić to przez Polskę. Wynika to z położenia geograficznego i pokrewności naszych języków. Hamowanie swobodnego obiegu informacji wynika z celowego działania niektórych polskich polityków, którym zależy na wpływaniu na nastroje polskiego społeczeństwa. Nie rozumiem, dlaczego utajnione są obrady właśnie odbywającej się pod Warszawą polsko-ukraińskiej konferencji. Trzeba koniecznie w taki sposób rozszerzyć wzajemne kontakty, by nie bać się, że zagrozi im jakiś monopolista.

M.A.: — *Myszę, że bardzo niewielu Polaków wie, iż — powtórzę tu słowa profesora Romana Szporluka wypowiedziane w 1988 roku: „dawne stereotypy antypolskie ustępują miejsca stereotypom polonofilskim — zwłaszcza wśród lwowskiej inteligencji”. Czy Polak przestał być odwiecznym wrogiem, a jest pośrednikiem w kontaktach z zachodnim światem?*

T.K.: — Tak jest rzeczywiście. Władze sowieckie bardzo skutecznie odizolowały Ukrainę od wszelkich kontaktów ze światem, tak że mało o sobie wiemy, zwłaszcza wy o nas. Inteligencja ukraińska mieszkająca na Zachodniej Ukrainie uczy się języka polskiego, interesuje się sprawami polskimi, jest otwarta na propozycje współpracy przedstawiane im z Polski. Ukraińska Kulturalno-Oświatna Fundacja ma na celu ożywianie tych kontaktów.

Chcemy, by na Ukrainę przekazywane były doświadczenia polskich wydawców niezależnych; przecież dopiero teraz Wiaczesław Czornowił założył na Ukrainie pierwsze takie wydawnictwo. Nazywa się ono Niezależna Informacyjno-Wydawnicza Spółka. Gotowe do druku są trzy pierwsze książki. Podoba mi się wydawane tu w Polsce pismo, które zajmuje się niezależnym ruchem wydawniczym w całej Europie Środkowej i Wschodniej; jak rozumiem, ma ono do tych wydawców niezależnych także docierać. Same książki natomiast mogłyby być drukowane w Polsce po ukraińsku, na przykład seria „Konfrontacje”. O ileż to prostsze od robienia tego samego na Zachodzie.

M.A.: — *Obecność przyjeżdżających na Zachodnią Ukrainę Polaków wyraża się często wyłącznie symbolicznymi gestami świadczącymi o naszym przywiązaniu do tych ziem. Brak w nich jednak jakiegokolwiek zmysłu politycznego. Czy najlepiej mogłoby się przysłużyć Ukrainie Polacy-turyści?*

T.K.: — Przywożeniem wszelkich niekomunistycznych publikacji na przyzwoitym poziomie. Głód informacji niezależnej panuje na całej Ukrainie; niestety, tylko na zachodniej ludzie znają dobrze polski. Chętnie czytane są wydawnictwa katolickie, pisma takie jak *Tygodnik Powszechny*, *Więź*, *Znak*, *Ład*. Nie mniej poszukiwane są *Gazeta Wyborcza*, *Tygodnik Solidarność*, *Res Publica*, no i wszystkie wartościowe książki. Potrzebne są maszyny drukarskie, ale z ich przewożeniem zwykli turyści powinni jeszcze trochę poczekać — nie jest to zbyt bezpieczne.

Rozmawiała *Monika AGOPSOWICZ*

Warszawa, 2 maja 1990

„...Obowiązani są opuścić teren...”

W kwietniu 1990 roku brałam udział w wyjazdowej sesji Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych RP pod przewodnictwem posła Jerzego Wuttke. Pierwszym miastem odwiedzionym przez komisję i przedstawicieli rządu był Przemyśl. Już w pierwszych spotkaniach z ukraińskimi działaczami poruszano najboleśniejsze sprawy dla ich społeczności. Ks. mitrat Majkowski w podsu-

mowaniu wywodu o położeniu Kościoła grekokatolickiego porównał sytuację Ukraińców żyjących w PRL do czyśćca, natomiast w ZSSR do piekła. Teraz mają nadzieję wejść do nieba.

Wskutek prześladowań część wiernych przeszła do Kościoła prawosławnego, część przyjęła obrządek rzymskokatolicki. Obecnie coraz więcej osób ponownie deklaruje się jako grekokatolicy. Przedstawiciele Kościoła grekokatolickiego oceniają liczebność wiernych na ok. 10 tysięcy w samym Przemyślu i tyle samo w dekanacie przemyskim.

Grekokatolicy nie mają ani jednego kościoła, którego byliby gospodarzami. Stosunki z proboszczami kościołów, w których odprawiane są nabożeństwa obu obrządków, wyglądają najczęściej jak pomiędzy najemcą a sublokatorem.

We wszystkich wypowiedziach Ukraińców daje się zauważyć ogromne poczucie krzywdy i poniżenia, często żal i niechęć do obrządku rzymskokatolickiego, a także do Kościoła prawosławnego. Unię określają jako syntezę najlepszych religijnych tradycji Rzymu i Bizancjum. Pojednawczo wobec tych problemów zabrzmiała propozycja posła Włodzimierza Mokrego stworzenia cerkwi polsko-ukraińskiego pojednania.

Przedstawiono też krzywdy wysiedleńców z 1947 roku, którzy pragną powrócić i domagają się zwrotu odebranych budynków i innych nieruchomości. Dyskutujący chcieli podkreślić przynależność Przemyśla do kultury ukraińskiej przez nadanie niektórym ulicom imion wybitnych twórców ukraińskich, np. Tarasa Szewczenki.

Martwiono się również stanem oświaty. Chociaż 140 dzieci uczy się w ukraińskiej szkole podstawowej, ani jedno nie zgłosiło się do zorganizowanej w tym roku klasy z językiem ukraińskim w liceum polskojęzycznym.

Przerażające było, że niektórzy z polskich uczestników spotkań nie tylko nie orientowali się zupełnie w poruszanych zagadnieniach i nie mieli pojęcia o podobieństwach i różnicach pomiędzy greckim i łacińskim obrządkiem jednego przeciw katolickiego Kościoła. Okazuje się, że słowa wypowiedziane przez Mariana Zdziechowskiego ponad pięćdziesiąt lat temu o kontaktach polsko-ukraińskich („...my nic o Ukrainie nie wiemy i wiedzieć nie chcemy. Jakaś Australia więcej nas interesuje niż najbliżsi nam pobratymcy, sąsiedzi i współobywatele”) „nie straciły aktualności.

Zabudowania klasztoru i kościoła karmelitów po kasacji zakonu karmelitów zostały w 1785 roku przekazane grekokatolikom przez władze kościelne. Do ostatniej wojny mieściła się tutaj katedra unicka, we wnętrzu stał ikonostas. Pragnieniem unitów jest odzyskanie byłej cerkwi lub przynajmniej umożliwienie im odprawiania w niej nabożeństw.

Budowlę pamiętam sprzed kilku lat, gdy fasadę zastąpiły rusz-

towania. Teraz fronton ładnie odnowiony, ale — jak mówią rozgoryczeni Ukraińcy, wskazując na puste nisze — wykorzystano renowację i w przeddzień obchodów milenium chrztu Rusi usunięto patronów chrztu Rusi, św. Olgi i św. Włodzimierza.

W dolnej części miasta, wzdłuż dawnych murów obronnych, jest szkoła średnia, która mieści się w gmachu dawnego wyższego seminarium greckokatolickiego. Dziwne wrażenie robią drabinki do ćwiczeń i siatki do gry zainstalowane w byłej kąpieli zmienionej na salę gimnastyczną i wściekle jadowita lamperia, pokrywająca kapietele filarów i ściany.

W tzw. Zasanii, po drugiej stronie rzeki, wznosi się regularna bryła cerkiewnego klasztoru i kościoła o.o. bazylianów, założonego na planie krzyża greckiego. W 1947 r. bazylianie zostali wezwani do UB, gdzie otrzymali nakaz opuszczenia miasta. Trzech z nich wyjechało do Warszawy. Ojca Barabasza, który zdecydował się pozostać, aresztowano na ulicy i wywieziono w głąb ZSSR, skąd już nie powrócił. Jeszcze do 1958 roku budynki były oficjalnie własnością bazylianów, potem przejął je skarb państwa i cerkiew została przekazana na archiwum. Przebudowę rozpoczęto w latach sześćdziesiątych i trwała latami. Pomimo petycji i prób nie przzerwano jej nawet w okresie kryzysu finansowego państwa, gdyż była to decyzja polityczna. Główny trzon prac wykonano w ostatnich latach. Cerkiew podzielono, o ile udało mi się dobrze policzyć, na pięć poziomów żelbetonowymi stropami o wytrzymałości pozwalającej na przechowanie olbrzymiej masy archiwaliów. W tę konstrukcję włączono jeszcze schody do różnorakiego rodzaju pomieszczeń z nowoczesnym wyposażeniem. Gdy przebywa się w zabetonowanym wnętrzu, nie sposób się domyślić, że to dawna cerkiew. Może tylko stół z motywem równoramiennych krzyży, przywalony stertami dokumentów, przywodzi na myśl świątynię. Jeśli zważyć olbrzymie koszty przebudowy i czas jej trwania, m.in. badania wytrzymałości murów cerkwi, to można było wybudować nowy budynek. Zabetonowana cerkiew jest smutnym „pomnikiem” niszczenia kultury ukraińskiej.

Następny etap podróży to wieś Ujkowice, położona kilka kilometrów za Przemyślem. Przed wojną mieszkali tu Polacy i Ukraińcy. Do dzisiaj jest kościół i nieużywana cerkiew. O wydarzeniach, które rozgrywają się we wsi, słyszałam już wcześniej. Okolica przepiękna, kwitnące drzewa, na horyzoncie pasma wzgórz. Przez drewnianą bramę z ruskimi napisami wchodzimy na teren monasteru. W niewielkiej kapliczce (adaptowanej stodoły) zakonnik odprawia nabożeństwo w obrządku greckim. Wsluchuję się w jego słowa, obserwując równocześnie oszczędnymi środkami zaimprovizowany ikonostas i współcześnie malowane — zapewne przez samych mnichów — ikony.

Zakonnicy przedstawiają swoją historię. Jeden jest narodowości polskiej, drugi wywodzi się z rodziny mieszanej, polsko-ukraińskiej. Kierowani duchem ekumenizmu i zbliżenia pomiędzy narodem pol-

skim i ukraińskim, założyli dwa lata temu monaster. Opuścili zakon paulinów i otrzymali święcenia w obrządku greckim, a więc są birtualistami. Zwrócili się o rejestrację jako monaster prawosławno-katolicki pod wezwaniem potrójnym: Opieki Matki Boskiej i świętych Cyryla i Metodego. Cerkiew budują własnymi rękami, oprócz tego pracują na ośmiohektarowym polu. Przestrzegają, jak podkreślają, reguły studyckiej mnichów z Konstantynopola oraz stosują się do zaleceń metropolity Szeptyckiego. Doba podzielona jest na trzy ośmiogodzinne części, które wypełnia praca, modlitwa i sen.

Jeden z mnichów kieruje potok żalów i pretensji pod adresem księży katolickich. Wypowiedź zakonnika przechodzi miejscami w szloch. Opowiada o wielkim konflikcie z wsią, która organizuje przeciwko nim ciągle akcje protestacyjne, o szykanach, posądzeniach o sekciarstwo. Nie znajdują akceptacji u wyższej hierarchii Kościoła rzymskokatolickiego i chyba pełnego zrozumienia u duchowieństwa obrządku greckiego. Idea pojednania polsko-ukraińskiego, której pragną oddać się zakonnicy, jest piękna, ale budzi wiele emocji wśród obu zainteresowanych stron.

Powracamy do lokalu Związku Ukraińców, gdzie od godziny oczekuje na nasze przybycie społeczność ukraińska.

Zdziwiła mnie obecność głównie ludzi starszych, którzy nadali ton całemu spotkaniu, młodsze pokolenie pozostawało — jak mi się wydaje — na uboczu i poza jednym głosem nie włączyło się w dyskusję.

Wypowiedzi zebranych zdominowane były trudną, ale żywą historią stosunków polsko-ukraińskich. Przypomniano, że 20 tysięcy spośród Ukraińców, którzy wzięli udział w kampanii wrześniowej, dostało się do niewoli niemieckiej. Powróciły sprawy wysiedleń w 1947 r., powrotów i odszkodowań za zagrabione nieruchomości, trudności z odzyskaniem cerkwi, a także trudności narodowej oświaty.

Następnego dnia przyjeżdżamy na Łemkowszczyznę. W Ujściu w szkole podstawowej (o ironio im. gen. Świerczewskiego) przedstawiciele społeczności lemkońskiej opowiedzieli historię trudnych powojennych losów narodu ukraińskiego. Wspomniano posiedzenie Politbiura w 1947 r. które uznało, że jedną z głównych przyczyn upadku II Rzeczypospolitej były mniejszości i dlatego PRL będzie państwem jednonarodowym. Przypomniano wrześniową decyzję PKWN o „dobrowolnej” repatriacji na tereny włączone do ZSSR i o przesiedleniu w jej wyniku 480 tys. ludzi (ok. połowy ludności ukraińskiej). Problem około 300 tys. pozostałych rozwiązała Grupa Operacyjna przy Sztapie Generalnym, która w ścisłej tajemnicy opracowała plan wysiedleńczy. Biuro Polityczne, po zapoznaniu się z nim, zatwierdziło go podpisami Roli-Żymierskiego i Radkiewicza. Towarzyszyła tym posunięciom propaganda antyukraińska, która wy-

korzystała niewyjaśnioną śmierć gen. Świerczewskiego, obwiniając o nią UPA, a w związku z tym ogół Ukraińców. Akcja „Wisła”, oceniana przez Ukraińców jako ludobójcza, rozpoczęła się 28 kwietnia 1947 r., na Łemkowszczyznę dotarła w czerwcu:

„Wszyscy mieszkańcy powiatu nowosądeckiego narodowości ukraińskiej i ruskiej (Łemkowie) obowiązani są opuścić teren obszaru granicznego w terminie dni 14, licząc od dnia następnego po ogłoszeniu — ze względu na bezpieczeństwo i ochronę granicy.

Jeżeli obywatele ci nie opuszczą obszaru granicznego (powiatu) w wyżej wskazanym terminie, będą usunięci w trybie przymusowym.

Starosta Powiatowy

Józef Łabuz

(pkt. 5 ust. 2 Rozporz. MSW z dnia 22.01.47 [Dz.U.R.P. Nr 12 poz. 84])”

Zdarzało się, że mieszkańcom pozostawiano tylko kilka godzin na spakowanie się, przetrzymywani byli w obozach tymczasowych, otoczonych drutem kolczastym, pod gołym niebem (Łosie), na bocznicach kolejowych (Gorlice). Ewakuacja pociągami trwała 2-3 tygodnie, ale zdarzało się, że do miejsca zstania docierali i po miesiącu. Niektórzy z nich — przedstawiciele inteligencji i opierający się akcji „W” — trafili do słynnego Centralnego Ośrodka Pracy (powołanego przez BP KC PPR) w Jaworznie, w którym, jak się oblicza, więziono blisko 4 tys. osób, a na terenie obozu zmarło 152.

Na nowych miejscach czekało ich przyjęcie przez repatriantów spod Lwowa, którzy byli informowani przez miejscowe władze, że przyjeżdżają banderowcy. Nietrudno sobie wyobrazić, jak miejscowa ludność traktowała Ukraińców. Otrzymywali zdewastowane zabudowania — tzw. ziemie odzyskane były już w tym okresie w znacznym stopniu zasiedlone — nie będące rekompensatą majątku pozostawionego na ziemiach ojczystych. Po 1956 r. rozpoczęły się powroty, które uzależnione były od decyzji władz miejscowych. Usiłowali wykupić własne, zajęte już przez innych gospodarstwa. Zakaz powrotów obejmował województwo krakowskie aż do 1970 r. W Krynicy istniał zakaz meldowania ludności podającej narodowość ukraińską lub lemківską.

Łemkowie podkreślają zdecydowanie nienawistną propagandę środków masowego przekazu, jak również wpływ „literatury” w rodzaju „Łun w Bieszczadach”, czy filmu „Ogniomistrz Kaleń”. Jako przykład przedłomu wymieniony został artykuł Macieja Kozłowskiego w *Tygodniku Solidarność* z 1981 r.

Najwartościowszym, według nich, dowodem zmian dotyczących społeczności ukraińskiej w powojennej historii były podpisane i nigdy nie dotrzymane porozumienia ustrzycko-rzeszowskie.

Na spotkaniu w Ujściu wysunięto konkretne postulaty. Żądano przywrócenia miejscowościom ich pierwotnych nazw (dawną Ropicę Ruską zmieniono na Górna, Ujście Ruskie na Ujście Gorlickie itp.). Proponowano utworzenie w strefie zamieszkałej przez dwie narodowości obszaru dwujęzycznego. Domagano się potępienia akcji „W” i obozu w Jaworznie, a dla jego więźniów odszkodowań natury moralnej i materialnej. Powróciły kwestie związane ze zwrotem nieruchomości, a przede wszystkim słynnych łemkowskich lasów (patrz *Tygodnik Powszechny* nr 21, 1989r.). Wysunięto propozycję utworzenia polsko-ukraińskiego forum dla umożliwienia dialogu, wyjaśnienia „białych plam” i pojednania obu narodów. Za konieczne uznano wprowadzenie dni wolnych w czasie świąt Bożego Narodzenia — grekokatolicy obchodzą je trzynastcie dni później, różnica wynika z posługiwania się kalendarzem juliańskim, a nie, jak katolicy — gregoriańskim.

Duży nacisk został położony na przedstawienie zebranych sytuacji ukraińskiej kultury i sztuki. Mówiono o cerkwiach bezwrotnie zniszczonych, rozbieranych w „czynach społecznych”, zamienionych na magazyny i stajnie, o zbezczeszczonych i rozkradzionych ikonach. Nie szczędzono gorzkich słów autorom przebudowy cerkwi na kościoły, a przy tej okazji rozbijania ikonostasów. Zdemontowano dwa ręczne, używane w cerkwi do błogosławieństwa krzyże, jeden ośmiokątny, drugi już czterokątny, obcięte przez katolików obrządku łacińskiego...

Do dyskusji włączało się coraz więcej osób. Komisja została zasypana różnego rodzaju opowieściami. Jakiś chłop opowiadał dzieje swojego wysiedlenia. Odbyło się ono przy udziale karabinowych strzałów nad głową i w obliczu cierpienia bitej kobiety, która nie chciała oddać ostatniej krwi. Inni przypominali pacyfikacyjne akcje WP, m.in. w Zawadce Świerczewskiej, gdzie rozstrzelano 80 osób. Powróciła sprawa śmierci Świerczewskiego — mówiono o grupach MO udających bandy UPA.

Wyjeżdżając z Ujścia na kilka minut weszliśmy do tutejszej cerkwi. Trwała wielkanocna spowiedź.

Agata MAMON

UKRAIŃSKA FUNDACJA W KRAKOWIE

W dniu 21 czerwca 1989 roku ustanowiona została Fundacja św. Włodzimierza Chrzyciela Rusi Kijowskiej z siedzibą w Krakowie przy ulicy Kanoniczej 15. Nadzór nad Fundacją sprawuje minister kultury i sztuki.

„Celem Fundacji — jak czytamy w statucie — jest wspieranie i popularyzacja nauki i chrześcijańskiej kultury ukraińskiej w Polsce oraz działanie na rzecz zbliżenia polsko-ukraińskiego”.

Powołanie Fundacji jest uwieńczeniem długotrwałych wysiłków Fundatora — pracownika naukowego Uniwersytetu Jagiellońskiego dra Włodzimierza Mokrego, posła na Sejm z ramienia „Solidarności”. Na założenie tej Fundacji Włodzimierz Mokry przeznaczył w całości nagrodę przyznaną mu w 1987 roku przez Fundację Ojca Świętego Jana Pawła II za „działalność społeczno-moralną na rzecz porozumienia i zbliżenia polsko-ukraińskiego, tak bardzo doniosłego dla przyszłości środkowej Europy, a także za ważne osiągnięcia naukowe, ukazujące chrześcijańskie korzenie kultury ukraińskiej”.

Swoje cele Fundacja św. Włodzimierza realizuje w szczególności poprzez:

1) stworzenie własnego archiwum dla gromadzenia i katalogowania dla celów archiwalnych i badawczych dokumentów związanych z ukraińską kulturą oraz historią i życiem Cerkwi tak greckokatolickiej jak i prawosławnej;

2) powołanie sekcji dla katalogowania, ochrony i restauracji zabytków ukraińskiej kultury duchowej i materialnej, głównie cerkwi, cmentarzy, kapliczek, krzyży, ikon oraz innych zabytków.

3) powołanie specjalistycznych sekcji do badań historii i kultury ukraińskich etnograficznych grup Podlasia, Ziemi Chełmskiej, Lubaczowskiej, Nadsania, Bojkowszczyzny, a zwłaszcza Łemkowszczyzny oraz propagowania tej kultury poprzez wydawanie monografii tych regionów, albumów, folderów, kalendarzy, organizowanie wystaw;

4) stworzenie własnych wydawnictw (gazety, kwartalnika i oficyny wydawniczej) oraz własnej drukarni;

5) powołanie biblioteki dla zgromadzenia wydawnictw włącznie z czasopismami z Ukrainy i diaspory; (...)

8) finansowe wspomaganie badań nad kulturą i historią ukraińską prowadzonych w różnych ośrodkach w Polsce oraz ufundowanie stypendiów i przyznawanie nagród pracownikom naukowym i studentom;

9) opiekę nad zasłużonymi twórcami znajdującymi się w trudnej sytuacji życiowej; (...)

Na realizację większości swych statutowych celów naukowych i kulturalnych Fundacja wynajęła od Kapituły Metropolitańskiej w Krakowie liczący około 2000 m² budynek, który wymaga generalnego remontu.

Członkowie Kapituły oraz Metropolita Archidiecezji Krakowskiej Jego Eminencja ks. Kardynał Franciszek Macharski, zyczliwie ustosunkowując się do celów Fundacji, zgodzili się nie pobierać czynszu przez 25 lat. Po tym okresie kontynuacja najmu budynku będzie wymagała nowej, odrębnej

umowy. (...) Potrzeby na remont, a także prowadzenie działalności statutowej, zwłaszcza teraz, na początku, są na tyle duże, że Zarząd Fundacji zmuszony jest zwrócić się do wszystkich, którym bliskie są idee Fundacji z prośbą o pomoc finansową, a także przekazywanie różnego rodzaju dokumentów, książek, pamiątek związanych z historią i współczesnym życiem Ukraińców pod adresem:

FUNDACJA ŚW. WŁODZIMIERZA CHRZCICIELA RUSI KIJOWSKIEJ W KRAKOWIE, UL. KANONICZA 15,
KONTO: BANK PRZEMYSŁOWO-HANDLOWY IV ODDZIAŁ KRAKÓW — 323431-1645-132-3

BETWEEN EAST AND WEST: Writings From Kultura

Edited by Robert Kostrzewa

New York: Hill & Wang/Farrar, Straus & Giroux, 1990

CONTENTS: Preface by Robert Kostrzewa; Introduction by Konstanty Jeleński; Valley Between the Mountains by Józef Szrett; Imperialism: Theirs and Ours by Juliusz Mieroszewski; Two Fatherlands, Two Patriotisms by Jan Józef Lipski; The Suppression of Solidarity by Ryszard Kukliński; About Our Europe by Czesław Miłosz; The Hair Styles of Mieczysław Rakowski by Leopold Tyrmand; The Struggle Between Caesar and God by Leszek Kołakowski; Dostoevsky and Western Intellectuals by Czesław Miłosz; Foxes, Hedgehogs, and Lemmings by Maciej Bronski; Homo Sovieticus by Mikhail Heller; The Knoll by Bohdan Korzeniewski; The Journey by Włodzimierz Odojewski; The Nose by Sławomir Mrozek; The Conversation by Marek Nowakowski; San Dragone by Gustaw Herling-Grudziński.

Do nabycia w księgarniach w Stanach Zjednoczonych lub bezpośrednio u wydawcy:

Hill & Wang/Farrar, Straus & Giroux,
19 Union Square West
New York, NY 10003
USA
Tel.: 1-800-631-8571

Starość Wallenroda

Pecca fortiter et fortius crede

Dość powszechny sceptycyzm co do powodzenia podejmowanych w Polsce reform przy dużej cierpliwości okazywanej tej bolesnej operacji, może mieć w zasadzie dwa źródła: analizę istniejących możliwości oraz własnych ograniczeń lub poczucie bezradności.

Jakie są przyczyny, jakie objawy choroby? Czy pisanie o chorym społeczeństwie jest w ogóle uprawnione, poza poetyką pamfletu? Cóż, jeżeli nie — zawsze pozostanie nam przecież ta ostatnia metoda. Polska to świat nijakości i niwartości, świat pełen wzajemnych oskarżeń, frustracji i zniechęcenia. Przyjrzyjmy się więc najpopularniejszym uprzedzeniom i niechęciom, przyjrzyjmy się ludziom, którzy po to aby móc walczyć, rozbili swoją etykę, którzy do niedawna uczynki swoje usprawiedliwiali maską Wallenroda. Zajrzyjmy pod skórę lęku.

Dzieci o rodzicach

Wszystkiemu winni są rodzice. To oni zbyt łatwo ulegli komunizmowi, to oni uwierzyli w zapewnienia o przyszłej sprawiedliwości społecznej, aby tym nie swoim przekonaniem zagłuszyć własne wyrzuty sumienia. To oni szli jak barany na kolejne farsy wyborcze, przelewali się w milionowych tłumach przed trybunami pełnymi niewykształconych idiotów, zaspokajali się parówką i piwem podczas świąt ludowych i czynów partyjnych. Bez ich potulnej zgody na wszystkie idiotyzmy, nieprawości i korupcję, bez ich zgody na niszczenie dorobku pokoleń, unicestwienie tego, co sami w szkole nazywali ojczyzną, komuniści nie utrzymaliby się tak długo u władzy. Postawa większości boha-

terów „hańby domowej” nie jest czymś wyjątkowym. Upodlenie elity było tylko częścią upodlenia powszechnego. A dziś część ludzi z tego samego pokolenia, których nie było nie tylko w opozycji lat osiemdziesiątych, ale i w stanie wojennym, usiłuje narzucić pokoleniu najmłodszych emocje ksenofobii i odwiecznego zagrożenia Ojczyzny spiskiem obcych — w imię jednego prawdziwego suprapatriotyzmu, który od lat hodowali w swoich nieskażonych antykonceptcją sypialniach. Oto pierwsza z postaci lęku przed przyszłością.

Polska nie utraciła wolności na skutek zмовы sił zewnętrznych, Jałty czy sowieckiej agresji. Wolność odebraliśmy jej po kawalku — sami.

Rodzice o dzieciach — dla równowagi

Wszystkie swoje dawne wady przypisują młodzieży: brak patriotyzmu, pogoń za dobrami materialnymi, chęć ucieczki z kraju (niestety, w czasach ich młodości granice były szczelnie zamknięte), amoralność, brak wytrwałości, a dodają także opis wad nowych, których sami nie posiadali: idealizację Zachodu, lekceważenie geopolityki, anarchizm, chorobliwą skłonność do filosemityzmu przy jednoczesnym niezrozumiałym lekceważeniu prymasa Głęmpa (jeżeli już ktoś został prymasem Polski, to w myśl lokalnej tradycji znaczy to samo przez się, że został Wielkim Polakiem), brak kultury osobistej (z tym jest rzeczywiście źle, lecz jakie młodzieży chowanie...), nadużywanie alkoholu (bez komentarzy) i tysiąc innych rzeczy, które każdy z czytelników mógłby w tym miejscu dopisać...

Podwójna moralność

Życie w komunizmie, niezależnie od tego czy miał on postać siermiężną, gomułkowską, konsumpcyjną czy gierkowską, ułatwia niezwykle postawa przystosowawcza. Nie wyróżniać się — oto czterdziestoparoletnia, praktyczna filozofia życia. Miała ona także swoją aksjologię, której nie można nazwać inaczej, jak podwójną moralnością. Udział w pochodzie, z bezmyślnym uśmiechem przyklepionym do twarzy, symbolizował w najlepszym przypadku osłonę interesów własnych i własnej rodziny. Osłonie politycznej musiała towarzyszyć osłona materialna. Pensje, zbyt niskie by można było spokojnie wiązać koniec z końcem, uruchamiały funkcjonowanie cynicznej zasady: społeczne znaczenie niczyje, niczyje zaś jest do wzięcia. Dodajmy do tego system znajomości, jedyny sposób na nadkruszenie nomenklatury, ale

też doskonale ją wzmacniający, a także korupcję na wyższym stopniu wtajemniczenia. Najgorsza była jednak zupełnie niechrześcijańska pokora, powszechna zgoda na wykonywanie najgłupszych nawet i absurdalnych decyzji. Polska nie została zniszczona przez komunistów, zniszczyliśmy ją sami. Zniszczyli ją współcześni potomkowie Wallenroda, kierujący się maksymą: *plomień rozgryzie malowane dzieje / skarby mieczowi spustoszą złodzieje / Ja ujdę cało!*

Młodzież żartuje, że tyle tylko ocalało z naszej ojczyzny, ile poprzedniemu pokoleniu udało się jej wynieść w kawałkach do domów.

Sprzedaż odpustów

Podwójna moralność w zniewolonym kraju może być efektem odruchu samoobrony, jej istnienie wydaje się być wręcz czymś naturalnym, ale jak wytłumaczyć ją w tak religijnym społeczeństwie, które samo siebie uważa za arcykatolickie? Jak reagował Kościół na obecność tego przeżerającego tkankę społeczną zjawiska? Otóż z przykrością trzeba powiedzieć, że tolerował je lub lekceważył, koszty wkalkulowując najprawdopodobniej w strategię walki z komunizmem i zapisując w rubryce „straty”. Kościół polski potrafił bowiem ostrzegać przed grzechem, ale w taki sposób, aby osiągać w zadowalającym stopniu swe instytucjonalne cele: pełne świątynie i szczodrość ofiary. Kościół przetrwał dzięki temu jako tysiącletnia instytucja, ale przetrwał obok systematycznie deprawowanego narodu, a polski katolicyzm stał się nie tyle symbolem powierzchowności wiary, co miejscem milionów sprawnie dokonywanych transakcji z Panem Bogiem w sprawie wymuszanych przez wiadome okoliczności grzechów. Oto jak lęk Kościoła o własne istnienie zaowocował, w tym najbardziej katolickim kraju Europy, najbardziej kupiecką wersją luteranckiej zasady usprawiedliwienia. Czy mogło się wszystko potoczyć inaczej? Tak, ale tylko wówczas, gdyby polski Kościół miał ciągłego zmuszania Polaków do polityki kompromisu potrafił był stworzyć własną teologię wyzwolenia i całą siłą swego wielkiego autorytetu moralnego przeciwstawił się sowietyzacji umysłów i dusz ludzkich. Kościół uratował się jednak, uratował także swój wielki autorytet moralny, powie ktoś. To prawda, gdyż, na szczęście, nigdy nie zabrakło w nim wybitnych indywidualności. Polskiego ducha, co do tego przecież wszyscy są zgodni, uratowała nie tyle codzienna praca jego często prawdziwie ofiarnych duszpasterzy, ile niespodziewany wybór kardynała Wojtyły na papieża. No właśnie! — ktoś krzyknie. No właśnie.

Zdjęcie z misiem

Obecny autorytet Kościoła jest silny przede wszystkim autorytetem Ojca Świętego. „Nasz papież! Nasz! Nasz!”. To jasne, że mając teraz Ojca Świętego, jak formułują to nawet przedstawiciele hierarchii kościelnej, lepiej się załatwia interesy, i to nie tylko z Panem Bogiem. Ale uwielbienie dla postaci Jana Pawła II jest niewymierne, więc interesy załatwia się raczej po drodze, w Austrii, Rzymowi powierzając swoje serce i uczucia. W stolicy Piotrowej dwie rzeczy są bowiem najważniejsze, zobaczyć papieża i mieć z nim zdjęcie. Nieprawda, ktoś powie, najważniejsza jest modlitwa, religijne skupienie i rozmyślanie... Cóż, pozwolę sobie pozostać przy swoim zdaniu. O wiele ważniejsze jest bowiem dla polskiego pielgrzyma np. ominięcie surowego zakazu dotykania papieża i ukradkowe dopełnienie tego pogańskiego zwyczaju, niż jakakolwiek głębsza modlitwa u grobu świętego Apostoła. Minęły już czasy szczerzej radości z owego wyboru, podzielanej przez prawie cały nieszczęśliwy i zniewolony lud, został interes połączony z przyjemnością (pielgrzymka święta musi się przecież, o święty Jakubie z Compostelli!, zwrócić), zdjęcie w stylu zakopiańskim i stała potrzeba publicznego manifestowania faktu „posiadania” swojego papieża przed światem, dla rozładowania zadawnionych kompleksów.

Zdziczenie obyczajów Polaków, które dziś przeraża tak wielu, jest wynikiem nie tylko oddziaływania totalitarnego systemu, jest także efektem wieloletniej, moralnej letniości polskiego Kościoła. Tej subtelnej, arcypasterskiej wersji wspomnianego wallenrodyzmu, w której czasami można było dostrzec tak wiele troski o doczesną przyszłość, jakby Kościół utracił swoją wiarę w wieczność.

Profesura jako profesja

Obecny autorytet rządzącej opozycji (termin typowo nadwiślański) w dużej mierze opiera się na autorytecie uczonych i ekspertów wszelkiej maści, profesorów i innych tytułarzy, których autorytet zrodził się w oparach łaskawej zgody ogólnie znanej partii na ich wcześniejszy wzrost. Muszę przyznać, że z podziwem patrzę na opozycyjne szranki, w których ścierają się dzielnie owi tytułarze, przez dziesięciolecia obnoszący po uczelniach zarętkawki oportunistów, aby nie utrudniać sobie kariery. No cóż, takie jest życie; można by nawet machnąć na to wszystko ręką, gdyby nie kwestia kompetencji. Na uczelniach, jak w całym świecie nomenklatury, najczęściej awansowali najgłupszy lub najwierniejsi, zawsze bardzo potulni. Nasz los, los kra-

ju, spoczywa dziś w podobnych rękach, rękach ludzi zadowolonych z siebie i przekonanych o swojej kompetencji, przekonanych, że w końcu nieprzypadkowo właśnie oni znaleźli się na szczycie uczelnianych i instytucyjnych hierarchii. To tu można było napotkać najbardziej karkołomne systemy samousprawiedliwień, tu rozbrajano się z wartości najgorliwiej, gdyż najlepiej rozumiano *całe skomplikowanie sytuacji*, tu wyszukiwano i stąd rozpowszechniano najszybsze wyjaśnienia decyzji podejmowanych przez prymitywnych i tępotliwych zarządców kraju. Dodać do tego można tylko jedno: najkrótsza pamięć to ta, którą mierzymy własną przeszłość.

Polska nauka jest taka jaka jest, gdyż kształtowała się w identyczny sposób jak inne elementy świata, z którego uścisku tak wolno się wydobywamy.

Niedźwiedzia skóra

O udział we władzy walczą dziś nie tylko wspomniani tytularze. To najbardziej zatłoczona ścieżka w polskim lesie. Uczestnicy niezależnej manifestacji w dniu 11 listopada, która odbywała się pod Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie, pobili się podobno o pierwszeństwo w składaniu wieńca. W Poznaniu, w tymże listopadzie, rozpadł się Komitet Obywatelski na skutek manipulacji dopiero co powstałego klubu politycznego Sierpień '80, który w ten sposób pozbył się niewygodnej konkurencji regionalnego zarządu Solidarności, do której idealów nawet w nazwie się odwołuje. Aby było śmieszniej, tenże zarząd regionu wszedł w sojusz z poznańskim Klubem Inteligencji Katolickiej i chadeko-endeckim środowiskiem skupionym wokół niego, aby pozbyć się w kampanii przedwyborczej groźnej konkurencji ugrupowań i organizacji politycznych poznańskiego podziemia, które w odróżnieniu od TZR-u coś dla zaistnienia obecnej sytuacji politycznej zrobiły. Jednym słowem: trafił swój na swego!

Gorzej z przeciętnym klientem tej politycznej epoki kamienia łupanego. Zrozumieć przyczyny i zasady udziału w coraz mniej maskowanej grze jest prawie niemożliwe. Nie ma programów, nie ma wizji przyszłej Polski, ani Europy z polskim w niej miejscem, nie ma planów dalszej demokratyzacji życia społecznego — jest za to przedwojenna, archiwalna ideologia, tak już skompromitowana w naszym stuleciu, i zaciekle walcą elit o przyszłą władzę. Potencjalna klientela podstarzałych, niewyżytych polityków, którzy co najwyżej potrafią zawrócić w głowach młodym, niedoświadczonym ludziom, milczy na razie i czeka. Rozstawia nozdrza, łapie w nie kierunki wiatru i zastanawia się,

co w przyszłości może przynieść jej konkretne, materialne korzyści.

Tymczasem w powietrzu unosi się zapach kolejnej świecy dymnej. Straszy się Polaków przyszłym sojuszem socjaldemokracji z Solidarności i OKP z tzw. reformatorami z partii, którzy przekształcają się sami w socjalistów. W domyśle: Żydzi dogadają się z Czerwonym — o taki, niestety, efekt chodzi w tej powielanej wszędzie informacji. Tymczasem sojusze ideowe należą w naszej ojczyźnie do przeszłości bardzo już odległej, wystarczy spojrzeć na dzielących się chłopów mimo powoływania się na tę samą peeselowską tradycję. Obawiać się raczej należy sojuszy przeciwników demokracji; bardziej prawdopodobne jest dziś połączenie organizacji endecko-klerykałnych i przyszłych postpezetpeerowskich socjalistów niż wspomniana wcześniej koalicja. I ci, i ci, w razie przedłużania się złej sytuacji gospodarczej, opowiedzą się za rządami twardej ręki. Wówczas jedynym wyjściem okażą się rządy twardej ręki... Lecha Wałęsy.

Oto pośmiertny triumf materializmu historycznego, z którym muszą sobie teraz poradzić tak liczni politycy, przekonujący wszem i wobec, że to właśnie w ich kieszeni siedzi Pan Bóg. Wallenrodowie, którzy niespodziewanie dla siebie samych zdołali się normalnie zestarzeć, i którzy dziś muszą z podwójną gorliwością udowadniać, że nie dla próżnej sławy poświęcali niegdyś honor swój i godność.

I co dalej, moi rycerze?

Mary są wśród nas. Nie ma natomiast żadnej wizji przyszłości. Nie dziwnym się temu, albowiem nie mogą ze spokojnym sercem myśleć o przyszłości ci, którzy przez całe swoje życie myśleli o niej ze strachem, którzy dla jej niejasnych kształtów wygniatali kolana swoich wyjściowych garniturów. Dziś także myślą tylko o sobie, posługując się społeczną nauką Kościoła jak wytrychem. Choć trzeba pamiętać o tym, że partner o powszechnym autorytecie, który niczego nie wymaga w zamian za dotrzymanie kupieckiej zasady: *pecca fortiter et fortius crede* (grzesz mocno, wierz jeszcze mocniej), zawsze będzie w polityce partnerem idealnym.

Z jeszcze większym zapalem wykorzystywany jest autorytet Solidarności, który, podobnie jak w przypadku Kościoła, ulega rozproszaniu i coraz bardziej utożsamiany jest z pojedynczą postacią, postacią dominującą w ruchu przywódcy.

Oto dwie ściany, po których wspinają się mozolnie w górę sylwetki naszych rycerzy zaprawionych w czterdziestoletnich bojach o wolność i demokrację. Trzeba przyznać z podziwem,

że niektórzy z nich, mimo zadyszki i uczciwego angażowania się po drodze w spychanie w dół konkurentów, zaszli już dość wysoko. Sęk w tym, że w pocie wysiłku i ferworze walki wytrwali alpinści nie zauważyli, że nikt za nimi nie podąża. Cóż — niech idą! Lepiej, by swoje wallenrodyczne doświadczenia wykorzystywali po drodze, we wzajemnej walce, niż by mieli na ich podobieństwo kształtować przyszłe oblicze Polski.

Niżej, pod ścianami, faluje tłum ludzi oczekujących zmian. Wydaje się, że jedyną wyrazistą grupą wspólnych politycznych i gospodarczych interesów, którą mogliby masowo poprzeć wyborcy w przyszłych, wolnych wyborach — są chłopci. Polska rolnicza, z nadbudową przemysłu lekkiego, to jedyna dziś wizja przyszłości, jaką można rozpoznać w niekończących się dyskusjach. Jeżeli, oczywiście, chłopci dostrzegą szansę przejęcia władzy w Polsce i potrafią wyrzec się dotychczasowych, nieistotnych w gruncie rzeczy podziałów.

W każdym razie przebudowa świadomości społecznej trwa, wydobywamy się powoli ze stanu anomii. Miejmy nadzieję, że Solidarność ocaliła najmłodsze pokolenia od gnilnego pierwiastka wallenrodyzmu, że dokonała tego, czego nie potrafił osiągnąć Kościół w latach poprzednich. Miejmy nadzieję, że wspomniane wcześniej zdziczenie obyczajów należy do niechcianej masy spadkowej po przeszłych epokach. Warto jednak przypomnieć i to, że sukces idei Solidarności był efektem odwołania się do wartości, które Kościół głosił nieprzerwanie. I gdyby tylko nie ta chęć przetrwania za wszelką cenę, gdyby nie ta zasada skrytego działania, która doskonale nadawała się do zamaskowania bezruchu i małych, ludzkich podłości. Gdyby nie to zlekceważone przez Mickiewicza morze ludzkich słabości...

Ale przecież i tak zawsze wszystkiemu byli winni poeci.

Rafał GRUPIŃSKI

Nowy ustrój: fiskalizm

Nie ma i nie było kraju, nie ma i nie było systemu, w którym nie narzeka się na podatki. Narzekania te tłumione są w zasadzie dwoma sposobami: strachem albo ogólnym, widocznym wzrostem poziomu życia społecznego. W Polsce niełatwo byłoby kogoś dzisiaj przestraszyć, ale jeszcze trudniej mówić o jakimkolwiek pozytywnym wzroście. A trzeba wyraźnie stwierdzić, że

w PRL istniały wielkie obciążenia podatkowe, rzecz można monstualne, które w RP jeszcze wzrosły i stały się drastyczniejsze. Mimo to, powszechnych, głośnych narzekani na fiskusa nie ma. Dokładnie mówiąc, już nie ma oraz jeszcze nie ma. To, co mieści się między „już nie” a „jeszcze nie” wypełnione jest isticie słowiańską ufnością oraz lekko rozpaczliwą nadzieją, złożonymi wspólnie na ręce Tadeusza Mazowieckiego.

Ufność i nadzieja to piękne uczucia, mające jednak to do siebie, że najlepiej sprawdzają się w baśniowych książkach lub filmach, a w życiu prowadzą przeważnie do rozczarowań. Może nie w życiu religijnym, ale w gospodarczym — na pewno. Im wcześniej odrzuci się owe uczucia, tym szybciej odejdzie się od złudzeń i przejdzie w końcu do normalnego gospodarowania.

Tak jak w PRL i w RP ściąga się podatki głównie za pośrednictwem firm państwowych. Dochody budżetu państwa na rok bieżący mają wynieść od gospodarki nieuspołecznionej 8.312.471 mln (tylko 4 % całego budżetu), a od przedsiębiorstw i instytucji państwowych 174.075.910 mln (aż 90 %). Nie ma zatem co się cieszyć, że państwowe firmy są dobijane podatkami, skoro nie ma, jak na razie, kim i czym ich zastąpić. Iść powinno nie o ich śmierć, lecz o przekształcenie. Przy takich obciążeniach podatkowych, jak obecnie, za rok nie będzie wiele do przekształcania; trzeba będzie budować od podstaw. Czym i za co — tym dzisiejszy fiskus się nie martwi.

Powiedziałem, że podatki ściągane są nie z, ale za pośrednictwem firm. W rzeczywistości bowiem wiele z tych podatków płaci pracownik, choć nie zawsze zdaje sobie z tego sprawę, a nowa władza także nie kwapi się z uświadamianiem go. Pracownik dostaje kwit („pasek”), na którym może wyczytać tylko, ile zarobił, ale nie ile stracił. A traci co miesiąc od 60 do 70, albo i więcej procent! On sam podatków niby nie płaci, co jakoby stawia go w lepszej sytuacji od tzw. prywaciarza. Płaci jednak za niego pośrednik między nim a skarbem państwa, czyli jego macierzysty zakład. To, co ów zakład płaci na rzecz Zakładu Ubezpieczeń Społecznych (38-43 % !) albo wprost do ministerstwa finansów (20 % nazwane szczerze podatkiem od płac), albo jako podatek od ponadnormatywnych wypłat wynagrodzeń (tu procenty mogą iść szybko w górę, krańcowej granicy tego szczególnie progresywnego obciążenia praktycznie nie ma), wszystko to razem wchodzi w całości w fundusz płac dzielony między całość zatrudnionych. Tak więc dany pracownik może kosztować z tytułu płac dane przedsiębiorstwo miesięcznie powiedzmy jeden milion, ale on sam otrzyma z tego 350, 300 albo i mniej tysięcy. Gdy w Polsce firma mówi „nie starczy nam pieniędzy na płace”, to trzeba przez to rozumieć, że nie starcza głównie na podatki od płac.

Zaraz za obciążeniami funduszu płac przedsiębiorstw kroczą podatek obrotowy, podatek od zysku, opłaty na rzecz Funduszu Zadłużenia Zagranicznego, Funduszu Postępu Technicznego, podatek za użytkowanie terenów państwowych i przeróżne, nazwijmy to tak, branżowe obciążenia. Podatkowy bicz uderza z wszystkich stron.

Warto zdać sobie sprawę, że obecnie realizowana koncepcja ekonomiczna, zwana planem Balcerowicza, zawiera wiele elementów programu gospodarczego opozycji partyjnej („odsunięci”) na czele z towarzyszem Władysławem Baką, członkiem Politbiura, głównym konkurentem Rakowskiego. Jak nie został premierem, to się obraził, odszedł z Biura i dziś z wyżyn fotela prezesa Narodowego Banku Polskiego patrzy pewnie z pogardą na przegranych, rozwiązanych, na Rakowskiego i spółkę, która nie słuchała zbawiennych rad. Niektórych tych rad posłuchali niestety nowi, mówiąc sloganem partyjnym, sternicy narodowej gospodarki. Mam na myśli głównie jedną „radę”: osławiony, już tu wspomniany podatek od ponadnormatywnych wypłat wynagrodzeń, zwany przeważnie skrótowo ppww. Korzeniami swymi sięga on czasów najlepszego samopoczucia premiera Messnera. Ściągany jest już od czterech lat, ale w grudniu ubiegłego roku po raz pierwszy uświęcono go uchwałą sejmową i zapowiedziano szczególnie rygorystyczne przestrzeganie. W poprzednich latach Baka i jego kompania twierdzili, że to właśnie wielka liberalizacja w ściąganiu ppww, różnorodne, szeroko stosowane ulgi prowadzą do rozluźnienia rygorów gospodarczych oraz inflacji. Dziś inflacja została zdecydowanie i gwałtownie zastopowana. Jaka jednak w tym zasługa ppww, a jaka nieprawdopodobnie drenujących kieszeń cen?

Przybliżmy może w paru zdaniach, co to jest ów tajemniczo brzmiący podatek od ponadnormatywnych wypłat wynagrodzeń. Nazwa wywodzi się z najlepszej szkoły lingwistów pezetpeerowskich. Sugeruje wielce sprawiedliwe treści za nią się kryjące. Samo słowo „podatek” to sprawa oczywista, podatki przecież są na całym świecie. Są one, rzecz jasna, ściągane przeważnie od wynagrodzeń. Ale przecież istniał już podatek od wynagrodzeń (20% niezależnie od wysokości kwoty). Stąd zbitka słów „wypłat wynagrodzeń” zaciemniająca sprawę laikowi, czyli pracownikowi, a oznaczająca praktycznie powtórne opodatkowanie. Najważniejsze jest słowo „ponadnormatywnych”. Świetne słowo. Czyż nie wynika z niego jasno, że wybiłeś się swymi zarobkami ponad miarę, że w kraju bieda, a ty zarabiasz ponad normę? Czyż nie jest logiczną tego konsekwencją, że skarb państwa hamuje twoje rozpasanie finansowe?

Cóż jednak jest ową miarą, ową normą? Tu jest pies porzebrany. Średnia płaca w zakładzie może wynieść np. 600 tys. i

nie podlegać ppww, a gdzie indziej 150 tys. wystarczy, by mu podpaść. Ppww oblicza się za pomocą specjalnego równania, nawiasem mówiąc skonstruowanego już osiem lat temu, w celu naliczania Państwowego Funduszu Aktywizacji Zawodowej (też zakłamana nazwa), przekształconego następnie w ppww. W równaniu tym określony jest próg wzrostu płac w stosunku do tzw. bazy, czyli po prostu całego funduszu płac z roku poprzedzającego rok obliczeniowy. W podatku tym nie chodzi więc o to, żeby nie zarabiać dużo, ale żeby nie zarabiać więcej niż poprzednio. Równanie na dodatek jest tak pomyślane, że wzrost płac w przedsiębiorstwie np. o 15% w skali roku zostaje natychmiast ukarany podatkiem wielokrotnie przewyższającym całą kwotę podwyżki. Przyczyna podwyżki nie ma zasadniczego znaczenia.

Od kilku lat w przedsiębiorstwach państwowych dochodzi na tle PFAZ, a obecnie ppww, do niewiarygodnych w normalnym systemie paradoksów. Załóżmy na przykład, że fabryka musi dokonać remontu jakiejś hali. Może to wykonać tzw. własnymi siłami za kwotę powiedzmy 100 mln zł. Jednakże decyduje się na wynajęcie obcej firmy, która za remont weźmie 300 mln. Narażenie zakładu na straty? Wprost przeciwnie! Wykonać remont własnymi siłami, to zatrudnić ludzi dodatkowo i naturalnie dodatkowo im zapłacić, a więc natychmiast zostać ukaranym przez ppww kwotą znacznie przewyższającą 300 mln. Trochę to skomplikowane? No cóż, w szkołach, poza akademiami przy komitetach centralnych, takiej logiki nie uczą. „Tego nie da się przetłumaczyć na angielski ani na żaden inny cywilizowany język” — stwierdził 27 grudnia 1989 jeden z posłów oponujących przeciwko ppww. Niewielu jednak oponowało. Dlaczego? Początkowo myślałem, że nie protestują z niezrozumienia; tyłu nowych ludzi, nie wszyscy muszą znać się na gospodarce... Ale nie.

Podatkiem od ponadnormatywnych wypłat wynagrodzeń chciano również obdarować działające w Polsce firmy zagraniczne. Bo niby czemu nie — argumentowali w Sejmie rządowi projektodawcy — teraz ma być równość, wszystkie podatki mają płacić wszyscy i to jest właśnie po nowemu, demokratycznie. Rozgorzała dyskusja, w której posłowie, szczególnie z OKP, wykazali się jednak pewną znajomością normalnych mechanizmów gospodarczych i ostatecznie zagranicznie przedsiębiorstwa opatrność ustrzegła. Dzięki jej i za to, ale czemu firmy polskie mają być w Polsce gorzej traktowane niż zagraniczne? Nie znam innej odpowiedzi jak ta, że zagraniczne spałowałyby natychmiast manatki i wyjechały np. na Węgry. Nasze muszą pozostać na miejscu; dla nich większość posłów nie miała już zrozumienia, bo położyła przecież ufność i nadzieję w koncep-

cjach rządu i poza nielicznymi przypadkami nie chciała mu w niczym przeszkadzać.

Odnosi się wrażenie, iż jakkolwiek protest choćby częściowo części planu Balcerowicza może być uznany za świętokradztwo.

Cały obecny system podatkowy ma jeden zasadniczy cel. Niestety tylko jeden. Zdusić inflację. Potem podobno samo się już wszystko wyreguluje. Jednakże to duszenie inflacji okazuje się również duszeniem produkcji. Nic dziwnego, skoro projektodawcom chodziło nie tyle o to, żeby państwo miało pieniądze, ile żeby obywatel ich nie miał. Któryś z posłów przyrównał w Sejmie ten system do psa ogrodnika, który jak wiadomo sam nie zje i drugiemu nie da. „Place będą rosły w nieskończoność” — groził w odpowiedzi jeden z wielu wiceministrów finansów. Przepraszam bardzo, ale od czego jest w takim razie podatek wyrównawczy? Cały normalny świat stymuluje nim rzeczywiste przychody obywateli, istnieje on i w Polsce. Wynika z tego, że ppww jest faktycznie dodatkową formą obdzierania i obywatela, i jego firmy ze skóry. „Trzeba trzymać wynagrodzenia w ryzach!” — argumentował tenże wiceminister. Rzecz jasna, trzeba. Ale dlaczego samej firmie nie opłaca się trzymać ich w ryzach, dlaczego ma robić to za nią w dalszym ciągu rząd? Pytanie — klucz.

Wydaje się, że skoro państwo obmyśliło tyle rygorystycznych sposobów ściągania pieniądza, to wreszcie nie braknie go na kulturę, naukę, zdrowie. Nic bardziej mylącego. Rozdział dochodów państwa dokonany został wiernie według starych przykazań. Tak więc na przykład na naukę — 340.822 mln, a na milicję i prokuraturę — 4.850.955 mln, czyli 15 razy więcej! Na kulturę 3.056.027 mln, a na wojsko — 10.083.436 mln. Te liczby oczywiście nie oddają w pełni preferencji dla tej części społeczeństwa, która czujnie strzegła i strzeże większości. Oto np. 5-miliardowy wydatek na cenzurę ukrywa się spokojnie w pozycji „kultura”. 56 miliardów dotacji dla oślawionej sieci milicyjno-wojskowych sklepów „Konsumy” schował w swym budżecie minister handlu wewnętrznego. Przykłady można mnożyć. Przeróżni stróże porządku publicznego i czystości naszych poglądów zostali też całkowicie uwolnieni od ppww, a ich inne świadczenia na rzecz państwa (m.in. na ZUS) są znikome.

Czy mówił więc prawdę w czasie wspomnianej tu, jakże ważnej debaty sejmowej, wiceminister finansów, gdy zapewniał, że celem projektów jest powszechność systemu podatkowego, może duże, ale przecież równomierne obciążenie? Jak na razie powszechność ta wyraża się oburzającymi obciążeniami teatrów, wydawnictw, niezależnych placówek kulturalnych (nie tych budżet-

towych, państwowych), częściowo Polskiej Akademii Nauk, stowarzyszeń. Tam gdzie naprawę można znaleźć wielkie oszczędności — nie szuka się ich. Twórcy i stróże kryzysu nie ponoszą jego kosztów prawie wcale.

Znamienna była dyskusja sejmowa z ministrem przemysłu Syryjczykiem, który zapewniał, że rząd licząc się oczywiście z możliwością upadłości niejednego przedsiębiorstwa, niejedno będzie też wspomagał i ratował. Na pytanie, jak będzie się oceniać, kto ma upaść, a kto nie, pan Syryjczyk odpowiedział, cytując: „wykrycie nastąpi metodą fiskalną”. Nawet minister przemysłu zdaje się na św. Fiskusa, który widocznie przejmuje władzę nad całym krajem, oczywiście poza wspomnianymi wyżej wyjątkami.

W Polsce na pewno nie ma już komunizmu (choć są komuniści), na pewno nie ma kapitalizmu, chyba nie występuje też feudalizm. Mamy natomiast do czynienia z zupełnie nowym ustrojem, który nazywa się fiskalizm. Przemieścił on już środki ciężkości w gospodarce, ale całkiem nierównomiernie. Półki się zapęłniły, ale opustoszały kieszenie, odwrotnie niż dawniej, jednakże w dalszym ciągu nie ma równowagi między kieszenią a półkami, co przecież jest bezdyskusyjnym nadrzędnym celem gospodarczym (w normalnej gospodarce).

Wiem, że rok 1990 przeznaczony jest na okres przejściowy, ale nie wiem, czy wraz z nim przeminie fiskalizm, skoro tak się umacnia? I czy ten fiskalizm jest naprawdę jakimś rozwiązaniem, nawet na okres przejściowy, skoro w żaden sposób nie stymuluje rozwoju produkcji? Niewątpliwie dużo prościej jest uchylać nowe podatki, niż np. rozbijać monopole, które w Polsce trzymają się jeszcze mocno, ale przecie bez naturalnej konkurencji, bez wzrostu ilościowego i jakościowego towarów nigdy nie będzie naturalnego ruchu cen, o co przecież nowy rząd też zabiega. Nie bardzo wierzę, iż producenci będą niebawem na gwałt obniżać ceny, bo nikt nie kupi ich towarów. Wiele nie mogą obniżyć, raczej przerwą produkcję (już dziś wiele załóg wysłano na bezterminowe urlopy bezpłatne), by nie zejść poniżej opłacalności; nie starczy na podatki!

Leszek SOSNOWSKI

Fiasko Daihatsu w Polsce

Wycofanie się japońskiego koncernu Daihatsu w maju br. z rozmów o współpracy w produkcji samochodów z przedsiębiorstwem

FSO w Warszawie jest nie tylko dotkliwym ciosem dla przyszłości przemysłu samochodowego w Polsce, lecz również wymownym wskaźnikiem powszechnego spadku zainteresowania Polską ze strony prywatnego kapitału japońskiego. Jeszcze do niedawna wszystko wskazywało na to, że nowa polityka handlowa Tokio wobec Polski uchyli drzwi dla napływu inwestycji japońskich do kraju. Zainteresowanie Polską deklarowały takie giganty przemysłu japońskiego jak NTT (telekomunikacje), Nippon Electric, Sony (elektrotechnika), Ishikawajima HI (modernizacja przestarzałych siłowni elektrycznych), Sumitomo Kinzoku (modernizacja huty Lenina w Krakowie) i inne. Misja za misją przyjeżdżały do Polski, badały teren, sprawdzały i przerażone tym co widziały wracały, żeby na chłodno rozważyć swoje możliwości i opcje. Nie sądzą jednak, by optykany stan przemysłu w Polsce, mimo iż przerasta najgorsze oczekiwania, był główną przyczyną zniechęcenia Japończyków. W dziedzinie fatalnej infrastruktury i zaniedbania środowiska Polska może spokojnie stawać do wyścigu z Węgrami, a nawet Czechosłowacją, dysponującą sprawniejszą bazą przemysłową.

Wróćmy jednak do sprawy Daihatsu. Do pierwszych rozmów z tą firmą doszło już w r. 1982, kiedy to kierownictwo FSO, pod naciskiem załóg robotniczych, zaczęło zabiegać o modernizację przestarzałej produkcji. W ówczesnym klimacie politycznym nie było jednak szans na konkretne porozumienie, jak również w pięć lat później, z tych samych przyczyn. Brak gwarancji rządowych przesądził również o próbie porozumienia w marcu 1989 r. Dopiero w październiku ub. roku, a więc już za rządów prem. Mazowieckiego, doszło do poważnych rokowań, w których Daihatsu, razem z firmami handlowymi C.Itoh, Sumitomo i Mitsui, przedstawił projekt współpracy na produkcję modelu Charade (diesel), przewidującą produkcję 120.000 sztuk rocznie. W tym czasie gwarancje kredytowe Tokio na Polskę były nadal jeszcze zamrożone, a więc kolosalna suma inwestycyjna 120 miliardów jenów (ok. 700 mld dolarów) w planach Daihatsu świadczy o niewątpliwym zapale i optymizmie Japończyków wobec projektu z FSO. Ma się rozumieć, iż suma ta stała się nierealna w świetle późniejszych gwarancji rządowych do limitu 300 mln dolarów (ogłoszonych w styczniu 1990), co strona polska musiała dobrze rozumieć... Nie brak gwarancji rządowych jest więc przyczyną wycofania Daihatsu, gdyż przy dobrej woli obu stron były szanse na zmieszczenie projektu w granicach 400 mln dolarów, a więc i tak okazałej sumy. Rzecz w tym, iż po kilkumiesięcznych uciążliwych pertraktacjach Daihatsu zdecydował się nagle na drastyczne obniżenie skali produkcji do 6.000 sztuk rocznie. Od tego momentu ostateczne zerwanie rozmów było już tylko kwestią czasu. Gdzie należy szukać głównej przyczyny niepowodzenia?

Otóż już pod koniec listopada ub. r. moją uwagę zwrócił obszerny artykuł-sprawozdanie na łamach dziennika *Nihon Keizai Shinbun*, poświęcony całkowicie sprawie Daihatsu w Polsce, z wymownym podtytułem „samorządy związkowe przeciwne prywatyzacji

i sprowadzaniu kapitału zagranicznego". Jak wynika z artykułu, największym problemem we wznowionych pertraktacjach Daihatsu jesienią 1989, a więc już w czasie oficjalnie usankcjonowanego procesu prywatyzacji, okazała się sprawa samorządu związkowego. Sytuacja była wręcz paradoksalna. Z jednej strony samorząd związkowy był główną siłą nacisku na modernizację (której państwo nie było w stanie przeprowadzić z własnej kieszeni), z drugiej zaś strony niechętny kapitałowi obcemu, a szczególnie przeciwny ewentualnej prywatyzacji. Zapytany przez dziennikarza japońskiego o przyczynę tak zacieklego zwalczania prywatyzacji, przedstawiciel samorządu związkowego w FSO odpowiedział, że „tylko w zakładach państwowych samorządy związkowe mają gwarancję wpływania na decyzje kierownicze”. Są to oczywiście sprawy absolutnie niezrozumiałe, a tym bardziej nie do przyjęcia dla producentów z kraju, w którym pracownicy mają wszelkie pole do popisu na płaszczyźnie innowacyjno-produkcyjnej, lecz z wyłączeniem mieszania się do zarządzania na najwyższym szczeblu. Dochodziło do sytuacji, iż przedstawiciele Daihatsu pertraktowali równocześnie na trzech frontach — z kierownictwem FSO, z odpowiednim resortem rządowym oraz z samorządem związkowym.

Japońskie metody produkcyjne w przemyśle samochodowym zyskują sobie coraz większe uznanie w Europie (np. Nissan w Anglii) nie tylko z tytułu najdoskonalszych technologii, lecz całego systemu produkcji, łącznie ze sprawnie działającym układem stosunków menadżersko-związkowych. W Polsce, jak się wydaje, zaczynać wątpić w możliwość „japonizacji” takich przedsiębiorstw. Z innych, licznych relacji japońskich wynika, iż problemy z jakimi zetknął się Daihatsu są plagą prawie wszystkich wielkich zakładów państwowych we wszystkich gałęziach przemysłu. Nie można, oczywiście, wszystkiego zwać na związki zawodowe. Dochodzi do tego cały szereg innych, pokrewnych problemów, a przede wszystkim brak, ze strony Polaków, większego wysiłku w ściąganiu kapitału japońskiego do Polski. W sytuacji obecnego *boom*'u inwestycyjnego w Polsce, robienia szybkich interesów na byle jakich warunkach, jest to rzeczą, w pewnym stopniu wytłumaczalną, chociaż trudno zrozumiałą z punktu widzenia długofalowych interesów gospodarczych kraju.

Niestety, ostatecznej przyczyny i wytłumaczenia takiego stanu rzeczy należy chyba szukać w niedocenianiu znaczenia Japonii ze strony naszej polityki zagranicznej, jak na to słusznie zwrócił uwagę na łamach *Tygodnika Solidarność* (1.6.90) W. Giełżyński, pisząc, iż „wielkie pieniądze i szanse gospodarcze nie leżą w USA, ale w najbardziej dynamicznym rejonie świata — w Azji, a zwłaszcza Japonii, która od dawna spojierała na Polskę jako na przyczółek do ekspansji we Wschodniej Europie. Wskutek naszej indolencji nic z tego nie wyszło, a zrażona Japonia obraca się ku Węgrom...”. Należy mieć nadzieję, iż nie jest to nieodwracalne.

Sprawy i troski

Sprawozdanie Biura Koordynacyjnego NSZZ Solidarność za Granicą (skrót)*

1. Zasady funkcjonowania

1. Początek. Biuro zostało powołane decyzją Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej (TKK) NSZZ Solidarność z dnia 1 lipca 1982 r. jako placówka reprezentująca NSZZ Solidarność poza granicami Polski pełniąca funkcję biura d/s zagranicznych krajowego kierownictwa Związku w podziemiu. Równocześnie Międzynarodowa Konfederacja Wolnych Związków Zawodowych (MKWZZ) i Światowa Konfederacja Pracy (SKP) zostały poproszone przez TKK o udzielenie pomocy w uruchomieniu i w pracy Biura. Biuro jest więc od początku akredytowane przy obu tych międzynarodowych organizacjach, dzięki czemu mandat Biura został uznany przez cały międzynarodowy ruch związkowy oraz liczne organizacje polityczne i agendy rządowe na całym świecie. [...]

2. Usytuowanie. Biuro zostało zlokalizowane w Brukseli, gdyż w tym mieście mają swoje siedziby MKWZZ i SKP. W okresie delegalizacji i represji przeciwko Związkowi w kraju Biuro miało także placówki filialne w kilku innych krajach oraz oddział w Paryżu, który zamknięto z dniem 31 marca 1990 r. [...]

3. Podległość. Do czasu relegalizacji NSZZ Solidarność Biuro działało w oparciu o wytyczne Przewodniczącego Związku i TKK, a po rozwiązaniu TKK w dniu 25 października 1987 r. — KKW, po-

* Sprawozdanie zostało przedstawione delegatom na II Krajowy Zjazd Solidarności. Skrót pochodzi od Redakcji.

dejmując we własnym zakresie wszelkie kroki niezbędne do wykonania zadań zleconych mu na zasadzie delegacji ogólnej. Zwierzchnikiem Biura z ramienia TKK był Bogdan Lis do swego aresztowania w czerwcu 1984 r. W latach 1985-87 rolę tę pełnił Jacek Merkel, będąc jednocześnie łącznikiem między Biurem i Lechem Wałęsą.

Jedynym dokumentem formalnym, który określał zadania Biura przed relegalizacją Związku jest oświadczenie TKK z dnia 15 kwietnia 1986 r. [...]

4. Zadanie. Głównym zadaniem Biura (przed relegalizacją Związku) było pozyskiwanie za granicą poparcia politycznego dla walki o prawo do legalnego istnienia NSZZ Solidarność i pomocy materialnej dla prowadzenia tej walki w kraju, informowanie o działalności struktur Związku i grup wspomagających, mobilizowanie akcji zagranicznych w obronie represjonowanych działaczy oraz pośredniczenie między krajowym kierownictwem Związku w Polsce a związkami zawodowymi i innymi instytucjami za granicą.

Służyły temu publikacje stałe Biura, wydawnictwa periodyczne i okazjonalne, wystąpienia publiczne, wywiady i spotkania pracowników Biura ze związkowcami, politykami, dziennikarzami, działaczami organizacji społecznych i instytucji rządowych. [...]

5. Pozyskiwanie dotacji. Najbardziej wymiernym rezultatem działania jest pomoc finansowa pozyskiwana przez Biuro dla Związku w kraju. [...] Na początku 1982 r., jeszcze przed utworzeniem Biura, Komitet Poparcia Solidarności we Francji, przekształcony później w oddział Biura w Paryżu, zebrał z pomocą francuskich związków zawodowych około 8 mln franków francuskich (1 mln dolarów). Ponad połowa tej sumy została spożytkowana samodzielnie przez ten Komitet na pomoc dla struktur Związku w kraju w ciągu roku 1982, zaś reszta przeszła w gestię Biura Koordynacyjnego po fuzji Komitetu z Biurem.

W latach następnych Biuro Koordynacyjne pozyskiwało rocznie około 500 tys. dolarów, z czego: 200 tys., a od 1985 r. 300 tys., od AFL-CIO z dotacji NED (Amerykańska Narodowa Fundacja dla Popierania Demokracji), około 100 tys. od MKWZZ ze składek organizacji afiliowanych, mniejsze dotacje od różnych krajowych central związkowych w Europie, Kanadzie, Australii i Japonii oraz drobne dotacje od organizacji polonijnych, grup prosolidarnościowych i pojedynczych osób, które napływały do Biura bezpośrednio lub za pośrednictwem redakcji *Kultury* w Paryżu. (Kwoty tej nie udawało się powiększyć, pomimo nieustannych wysiłków Biura i prób znalezienia nowych źródeł dotacji, gdyż coraz powszechniej szerzył się na Zachodzie pogląd, że NSZZ Solidarność nie ma szansy na przetrwanie i na zwycięstwo).

Na wiosnę 1987 r. Biuro zdołało przełamać ten impas i pozyskać dodatkowo milion dolarów z bezpośredniej dotacji Kongresu

USA adresowanej imiennie dla NSZZ Solidarność w amerykańskiej ustawie budżetowej. W następnych latach udawało się Biuru ponawiać pozyskiwanie takich dotacji, więc — przy zmniejszonych wpływach z innych źródeł — suma gromadzonej pomocy wzrosła do około 1,5 mln dolarów rocznie, a w roku 1990 może zbliżyć się do 2 mln dolarów. Aktualnie czynione są także starania o pozyskanie dodatkowej, jednorazowej dotacji 1,75 mln dolarów na zakup byłego Hotelu Orbis Monopol w Gdańsku na siedzibę NSZZ Solidarność.

6. Dysponowanie pomocą. Całość kwot pozyskiwanych przez Biuro od donatorów na pomoc dla NSZZ Solidarność znajdowała się zawsze w dyspozycji władz krajowych Związku. Realizując szczegółowe polecenia TTK i KKW (lub co najmniej ich generalne intencje) Biuro wysyłało *gras* tej pomocy do kraju na wskazane adresy, w formie zakupionego na Zachodzie sprzętu lub gotówki. Biuro nie miało prawa wydatkować dotacji na własną rękę celem realizacji zamówień nadsyłanych z kraju przez poszczególne struktury Związku bezpośrednio do Biura z pominięciem TTK lub KKW. Część wpływów Biuro zużyło na koszty własne oraz na koszty związane z zakupami, magazynowaniem i transportem sprzętu do kraju. Przed relegalizacją Związku te koszty były wysokie z powodu konieczności zachowania wymogów konspiracji po obu stronach granicy.

Wydatkowanie funduszy, jak i całą działalność finansową Biura, konsultuje i opiniuje specjalna komisja powołana wspólnie przez MKWZZ i ŚKP w jesieni 1982 r. na prośbę kierownika Biura. Komisja ta wydaje oświadczenia na temat poprawności działalności finansowej Biura, w formie standardowej przyjętej powszechnie na Zachodzie. W okresie delegalizacji NSZZ Solidarność działania Komisji były całkowicie dyskretne, zwłaszcza w sprawie ochrony anonimowości osób odbierających przesyłki w Polsce i kwitujących przekazy gotówki.

7. Skład osobowy. Działalność Biura finansowana jest od początku wyłącznie z dotacji zachodnich związków zawodowych udzielanych na ten cel w ramach pomocy materialnej dla NSZZ Solidarność. Wysokość budżetu kosztów własnych Biura określona jest przez władze krajowe Związku. Dotacje na budżet operacyjny Biura wpływają bezpośrednio na konto bankowe Biura i są spożytkowywane przez Biuro całkowicie autonomicznie. Dotacje na uposażenia dla pracowników Biura przekazywane są przez donatorów do MKWZZ lub ŚKP i dopiero te centrale zatrudniają poszczególne osoby na roczne kontrakty, na wniosek kierownika Biura, pełniąc rolę formalnych pracodawców dla etatowych pracowników Biura.

Dochody pracowników Biura są niskie, na poziomie uposażeń pomocniczego personelu biurowego MKWZZ lub ŚKP. Dlatego pracownicy Biura, a zwłaszcza osoby urodzone na Zachodzie i wła-

dające biegle obcymi językami, często się zmieniają, gdyż praca w Biurze nie jest dla nich atrakcyjna. [...]

8. Koszt własny. Wydatki operacyjne Biura, na sprzęt i materiały biurowe, łączność, podróże i publikacje, prace zlecone, utrzymanie i remonty budynku itp. wyniosły w ostatnich 2 latach średnio 225 tys. dolarów rocznie. W ciągu ubiegłych kilku lat wydatki te były pokrywane głównie z dotacji MKWZZ oraz AFL-CIO i PTTI, której długoletnim sekretarzem generalnym był do niedawna Stefan Nędzyński. W pierwszej połowie lat 80-tych kwota ta była dużo niższa, głównie z powodu znacznie wyższego wówczas kursu dolara w Belgii, wynoszącego 50-60 franków belgijskich za 1 dolara, a obecnie — 30-40 franków belgijskich za 1 dolara. Ponadto koszty własne Biura wzrosły z powodu intensyfikacji działalności.

Wydatki własne oddziału Biura w Paryżu wynosiły ostatnio około 125 tys. dolarów rocznie i były pokrywane głównie przez francuskie związki zawodowe CFTD, CFTC, CGC, FO i FEN oraz przez Biuro w Brukseli. [...]

II. Sfery działalności

1. Organizowanie Biura. Początkowo Biuro w Brukseli było utrzymywane wyłącznie przez CSC i mieściło się prowizorycznie w jednym pokoju biurowym w siedzibie tej organizacji. Po kilku miesiącach uzyskano zgodę na wyremontowanie przez CSC i nieodpłatne udostępnienie na siedzibę Biura starej, uszkodzonej kamieniczki przy ulicy Joyeuse Entrée 9 w Brukseli. MKWZZ sfinansował wyposażenie wnętrza oraz zakup sprzętu i materiałów biurowych. [...]

W grudniu 1982 r. budowanie podstaw organizacyjnych Biura zostało w zasadzie ukończono.

2. Związki zawodowe. [...]

Pierwszym zmiennym wydarzeniem, do którego przyczyniło się Biuro, było bezprecedensowe wspólne zebranie zarządów MKWZZ, ŚKP i EKZZ (Europejska Konfederacja Związków Zawodowych) w dniu 10 listopada 1982 r. w Brukseli, na którym przyjęto rezolucję, która wyznaczyła standard postępowania organizacji związkowych w sprawie NSZZ Solidarność. W szczególności postanowiono kontynuować bezterminowo poparcie i pomoc dla NSZZ Solidarność oraz zawiesić kontakty multilateralne i ograniczyć stosunki bilateralne z tymi organizacjami związkowymi (głównie w bloku wschodnim), które nie uznają Solidarności. Podobne postanowienia były potem przez szereg lat wielokrotnie ponawiane w rezolucjach przyjmowanych na zebraniach zarządów i na zjazdach światowych MKWZZ i ŚKP oraz na zjazdach licznych krajowych organizacji związkowych. Przedstawiciele Biura uczestniczyli w

kilkuset takich zjazdach i mitingach związkowych przedstawiając na nich sprawę NSZZ Solidarność i ponawiając apele Biura o pomoc dla Związku.

Największym osiągnięciem Biura było doprowadzenie do przyjęcia NSZZ Solidarność w dniu 19 listopada 1986 r. w skład organizacji członkowskich MKWZZ i jednocześnie ŚKP. (czyli tzw. afiliacji Związku do tych konfederacji). Był to akt bez precedensu, gdyż nigdy dotąd nie afiliowano organizacji zdelegalizowanej i o niejasnej strukturze organizacyjnej oraz nieznaney liczbie członków. Sympatia dla NSZZ Solidarność była wówczas nadal powszechna, lecz szerzyła się już coraz większa niewiara w szanse przetrwania Związku i w przyszłe zwycięstwo. Były więc liczne opory przeciw tej afiliacji (tak za granicą jak i w kraju), i dlatego działania przygotowawcze trwały prawie dwa lata. O skali trudności świadczy fakt, że najpierw otrzymano nieoficjalną odmowę przy zabiegach o afiliację NSZZ Solidarność do EKZZ i dlatego podjęto starania o łączną afiliację do MKWZZ i ŚKP. [...]

Bardzo istotne oraz wymagające — zwłaszcza w latach wcześniejszych — szczególnie starannych przygotowań ze strony zarówno kraju jak i Biura, były wyjazdy do Polski czołowych działaczy zachodnich związków zawodowych. [...]

Inne większe akcje prowadzone przez Biuro to: inicjowanie, organizowanie i propagowanie indywidualnej pomocy humanitarnej dla rodzin uwięzionych i represjonowanych działaczy w Polsce; stymulowanie wizyt zachodnich związkowców w Polsce, co ułatwiało zawieranie umów o bezpośredniej współpracy ich organizacji z podziemnymi zarządami regionalnymi NSZZ Solidarność; zachęcanie do zawierania takich umów i pomoc w realizowaniu współpracy; stymulowanie występowania z protestami do władz PRL przeciw represjom i bezzasadnemu wzięciu działaczy oraz wysyłania do Polski zachodnich prawników i działaczy praw człowieka jako obserwatorów na procesy polityczne; nieustanne apelowanie o dotacje finansowe dla NSZZ Solidarność i opracowywanie koniecznych do tego pisemnych wniosków oraz sporządzanie sprawozdań z wydatkowania poprzednich dotacji. W latach 1987-88 Biuro zabiegało na Zachodzie o zrozumienie, poparcie i pomoc finansową dla akcji tworzenia Komitetów Założycielskich NSZZ Solidarność w zakładach i aplikowania do sądów o ich rejestrację.

3. MOP. Międzynarodowa Organizacja Pracy jest jedyną organizacją państw, w której obok przedstawicieli rządów głos mają przedstawiciele związków zawodowych oraz przedstawiciele stowarzyszeń pracodawców. MOP jest agendą ONZ ustalającą międzynarodowe standardy warunków pracy (tzw. Konwencje MOP) oraz sprawdzającą respektowanie tych konwencji przez rządy i pracodawców. [...]

Biuro nieprzerwanie promowało sprawę NSZZ Solidarność na forum MOP opracowując i prezentując międzynarodówkom zwią-

kowym nowe dane o łamaniu konwencji przez władze PRL oraz zachęcając delegatów związkowych do podejmowania kolejnych inicjatyw. W szczególności, przedstawiciele Biura brali udział we wszystkich dorocznych konferencjach generalnych MOP (czyli w kolejnych sesjach Międzynarodowej Konfederacji Pracy) wchodząc w skład delegacji obserwatorów MKWZZ lub SKP. Przy tej okazji kierownikowi Biura umożliwiano każdorazowo wygłoszenie na zebraniu Grupy Pracowniczej MOP krótkiego przemówienia o sytuacji NSZZ Solidarność i zaprezentowania pisma od Lecha Wałęsy. Spotykało się to zawsze z aplauzem większości zebranych i jednocześnie z ostrym protestem delegatów z bloku wschodniego (oraz innych satelitów ZSRR) i demonstracyjnym opuszczeniem przez nich sali obrad.

Najważniejszą akcją podjętą na forum MOP na rzecz NSZZ Solidarność było zgłoszenie przez delegatów związkowych z francuskiej FO i norweskiej LO (w porozumieniu z MKWZZ, do której związki te są afiliowane) oskarżenia przeciw władzom PRL, opartego na przepisach artykułu 26 Konstytucji MOP. W rezultacie, po raz szósty w 70-letniej historii MOP została powołana Komisja Badawcza MOP, której prawomocny werdykt w/s Polski przyjęty w 1984 r. w pełni potwierdził bezzasadność wprowadzenia stanu wojennego w Polsce, bezprawność delegalizacji NSZZ Solidarność przez władze PRL w świetle konwencji MOP, rażące łamanie podstawowych praw człowieka przez masowe represjonowanie działaczy Związku oraz fakt nieprzerwanego istnienia i działania NSZZ Solidarność jako związku zawodowego pomimo delegalizacji i represji. Władze PRL najpierw odmówiły udziału w pracach Komisji i zrezygnowały z próby uzasadnienia swojego postępowania w Polsce, a potem w bezzasadnym proteście przeciw werdyktowi Komisji zawiesiły w 1984 r. na kilka lat członkostwo Polski w MOP. [...]

4. Instytucje międzypaństwowe. Oprócz MOP sprawa polska była także prezentowana na forum Komisji Praw Człowieka ONZ w Genewie, na konferencji KBWE w Madrycie i na kolejnych tzw. pohelsińskich konferencjach (w Ottawie, Wiedniu itd.). Biuro prowadziło stałe działania celem propagowania sprawy Polski i Solidarności w tych instytucjach, korzystając z możliwości dostępu do nich na podstawie mandatu MKWZZ lub SKP. Obie konferencje mają bowiem status obserwatora (tzw. status NGO) przy ONZ i przy wielu innych rządowych instytucjach międzynarodowych, co umożliwia im wysyłanie przedstawicieli z prawem jednokrotnego zabrania głosu na kolejnych sesjach. [...]

5. Polonia i środowiska emigracyjne. [...] Biuro utrzymuje od początku regularny kontakt z głównymi organizacjami polonijnymi prezentując sprawę Solidarności na każdym ważniejszym ich zebraniu. Miały także miejsce kontakty pracowników Biura z członkami Rządu RP na Uchodźstwie oraz instytucjami i osobistościami pol-

skiego życia kulturalnego na emigracji (w szczególności *Kultura* w Paryżu, *Nowy Dziennik* w Nowym Jorku i polskojęzyczne rozgłośnie radiowe), a także z osobami polskiego pochodzenia zajmującymi ważne pozycje w krajach, których są obywatelami.

6. Rządy i politycy. [...]

Pierwsze spotkanie z szefem rządu nastąpiło w 1984 r., kiedy to kierownik Biura został przyjęty przez Premiera Szwecji, Olofa Palme. Wkrótce potem nastąpiło przyjęcie przez Premiera Portugalii, Mário Soaresa, a następnie kilkanaście spotkań indywidualnych z szefami rządów, ministrami i przywódcami partii politycznych. Za każdym razem kierownik Biura był przyjmowany jako przedstawiciel związku zawodowego NSZZ Solidarność. [...] Biuro prezentowało na tych spotkaniach aktualną sytuację Solidarności oraz zgłaszało prośby o poparcie dla Związku w ogóle i o konkretną pomoc w określonych sprawach w szczególności.

Największym osiągnięciem Biura w tym zakresie, zarazem najbardziej spektakularnym i najzjadlej atakowanym przez propagandę PRL, było przyjęcie kierownika Biura i przedstawicieli Biura w USA przez Prezydenta USA, Ronalda Reagana, w dniu 21 października 1985 r. w Białym Domu. [...]

7. Pomoc materialna. Zestawienie pozyskanej i wyekspediowanej do kraju pomocy materialnej dla NSZZ Solidarność przez Biuro Koordynacyjne w latach 1982-89 przedstawia się, w największym skrócie, następująco (w dolarach USA, po średnim kursie w danym roku):

Rok	Wpływy	Wydatki na biuro	Wydatki na kraj
1982	109.786	37.974	10.000
1983	348.696	117.746	61.888
1984	495.337	90.143	256.684
1985	554.423	103.264	614.819
1982-85	1.057.444	-	1.027.789 - Komitet a następnie oddział Biura w Paryżu
1986	589.747	146.643	571.787
1987	668.983	167.009	487.301
1988	1.532.524	199.918	997.591
1989	1.694.773	249.162	1.434.993
		126.006	- budynek w Genval
Razem	7.051.713	1.237.865	5.462.852

Saldo dodatnie na koniec 1989 r. wyniosło ok. 350.996 dolarów. Na sumę tę złożyły się: gotówka w banku i kasie, kaucje i należności oraz stan konta w Paryżu. Co roku saldo to pokrywa

wydatki w pierwszym kwartale, gdyż wpływy na dany rok finansowy zaczynają nadchodzić dopiero w drugim kwartale.

Pozycja „Wpływy” nie obejmuje dotacji na utrzymanie placówek Biura poza Brukselą i na kontrakty dla pracowników. Pozycja „Wydatki na Biuro” pokrywa budżet operacyjny Biura w Brukseli, z którego opłacane są także koszty działania Biura na terenie USA oraz do niedawna były dotowane placówki w Paryżu i w Sztokholmie. Tak liczone „Wydatki na Biuro” stanowią średnio w ciągu kilku lat ok. 18% „Wpływów”. Pozycja „Wydatki na kraj” zawiera: wysyłki gotówki, koszt zakupionego i wyekspediowanego sprzętu, koszt magazynowania i przerzutów sprzętu, koszty kurierskie, część kosztów wyjazdów zagranicznych działaczy NSZZ Solidarność z Polski oraz straty i rekwizycje. W szczególności, wpadka dużego transportu w listopadzie 1986 r. w Świnoujściu spowodowała stratę ok. 210.000 dolarów, łącznie z wartością samochodu i kaucją za zwolnienie szwedzkiego kierowcy z więzienia PRL.

W lipcu 1987 r. Biuro wywalczyło pierwszą dotację 1 mln dolarów od Kongresu USA. [...] Dotacja ta została przeznaczona przez krajowe kierownictwo NSZZ Solidarność na cele medyczne w ramach Fundacji Społecznej Solidarność i nie jest wykazana w powyższym zestawieniu. W grudniu 1987 r. Biuro pozyskało, dzięki pomocy tych samych osób, drugą dotację Kongresu USA adresowaną dla NSZZ Solidarność w wysokości 1 mln dolarów, która została przeznaczona na działalność Związku w roku 1988. W 1988 r. udało się Biuro uzyskać ponowne uchwalenie tej samej dotacji Kongresu USA, którą Związek zużył w roku 1989. Na potrzeby bieżącego roku Biuro pozyskało kolejną dotację Kongresu USA w wysokości 1,5 mln dolarów, która wkrótce powinna zacząć napływać (w ratach kwartalnych).

Dotacje kongresowe przekazywane są NSZZ Solidarność za technicznym pośrednictwem AID (Agencja Rozwoju Międzynarodowego), NED i AFL-CIO na konto bankowe Biura w Brukseli. Biuro zobowiązane jest do terminowego przekazywania pomocy do kraju (w/g instrukcji KKW) i do terminowego sporządzania odpowiednich sprawozdań z wydatkowania funduszy przez Związek, zaś wyłącznym dysponentem tych dotacji jest KKW NSZZ Solidarność w Polsce. Wyłączność tę gwarantuje fakt wyinielenia w tekście odnośnej amerykańskiej ustawy budżetowej nazwy organizacji NSZZ Solidarność jako adresata dotacji. W przypadku pominięcia nazwy adresata w ustawie i uchwalenia przez Kongres nieadresowanej dotacji celowej — np. „na niezależną działalność” — decyzje o tym, komu w Polsce przydzielić taką pomoc podejmowałby Departament Stanu USA.

8. Łączność i przerzuty sprzętu do kraju. Biuro utrzymywało od początku stałą łączność korespondencyjną z TTK i potem z KKW oraz z Przewodniczącym Związku za pośrednictwem tajnych kurierów. Również kurierzy przewozili porcje gotówki. Występowały

jedynie sporadyczne przerwy w łączności spowodowane aresztowaniami działaczy w kraju. Od połowy 1984 r. korespondencja była szyfrowana. Biuro opracowywało dla TKK lub KKW i Przewodniczącego Związku około 10-ciu obszernych raportów w ciągu roku, zawierających opis bieżących działań Biura, uwarunkowań na Zachodzie wpływających na sytuację NSZZ Solidarność w kraju oraz informacje i sugestie o potrzebnych danych, dokumentach, listach itp. Korespondencja od TKK lub KKW do Biura była rzadsza i znacznie krótsza. Biuro także pośredniczyło w przekazywaniu listów oficjalnych TKK lub Lecha Wałęsy do zachodnich związkowców, posłań na zjazdy i imprezy związkowe oraz listów do licznych innych adresatów.

Do przekazywania bardziej złożonych opisów sytuacji używani byli sporadycznie tzw. kurierzy merytoryczni, czyli osoby zaangażowane w działalność i znające daną sprawę z autopsji. Najbardziej kompetentnymi „kurierami” byli sami działacze NSZZ Solidarność szczebla krajowego lub regionalnego. Pierwszymi takimi osobami odwiedzającymi Zachód legalnie byli w 1984 r. Roman Laskowski i Janusz Onyszkiewicz. W 1985 r. z Biurem kontaktowali się między innymi Jan J. Lipski i Andrzej Stelmachowski. Pod koniec grudnia 1985 r. przyjechał nielegalnie na Zachód na parę miesięcy Andrzej Słowik celem przeprowadzenia rozmów z działaczami związkowymi. Biuro zorganizowało kilkanaście spotkań Słowika z czołowymi przywódcami związkowymi i politykami w kilku krajach Europy Zachodniej i w USA. Spotkania te przyczyniły się w sposób istotny do późniejszej afiliacji NSZZ Solidarność do MKWZZ i ŚKP. Po amnestii w 1986 r. wyjazdy na Zachód działaczy Solidarności stały się częste. Między innymi w 1987 r. kilkakrotnie odwiedzał Biuro Tadeusz Mazowiecki, a w czerwcu 1988 r. odbyło się pierwsze spotkanie pracowników Biura z Bronisławem Geremekiem. W grudniu 1988 r. przyjechał oficjalnie do Paryża Lech Wałęsa wraz z czołowymi doradcami, faktycznie kończąc tą wizytą stan nielegalności Związku i okres działalności podziemnej. [...]

Organizacja przetrzutów sprzętu do kraju przed relegalizacją Związku była najtrudniejszą oraz najbardziej ryzykowną i kosztowną dziedziną pracy Biura. Od 1982 r. do końca 1985 r. osobą odpowiedzialną za ten dział w Biurze był Mirosław Chojecki. Następnie do końca 1987 r. funkcję tę pełnił Marian Kaleta. Wysyłano kilka ton (do 10-ciu) sprzętu rocznie, przy czym *gros* ładunku stanowiły maszyny poligraficzne (głównie powielacze i offsety A4) oraz książki polskie drukowane na Zachodzie. Poza tym wysyłano radiotelefony, skanery, detale elektroniczne, maszyny do pisania, termofaksy, sprzęt komputerowy oraz duże ilości farby drukarskiej, materiałów poligraficznych i biurowych itp.

Kilka razy w ciągu ponad 7-miu lat przesyłki były wykrywane i konfiskowane przez władze PRL, w momencie przekraczania granicy lub przy rozładunku wewnątrz kraju. Największą wpadką było zarekwirowanie na przystani promowej w Świnoujściu w dniu 28 li-

stopada 1986 r. należącej do Biura 20-tonowej ciężarówki „Scania” (ciągnik z naczepą) wraz z ładunkiem oraz zaarrestowanie kierowcy. Solidarność straciła wówczas 23 offsety, 49 powielaczy, 16 termofaksów, zestaw komputera IBM-PC, 4 komputerki przenośne „Tandy”, 9 przystawek dyskietkowych do „Tandy”, 12 drukarek komputerowych NL-10, sporo drobniejszego sprzętu i detali oraz materiałów i książek. Przyczyną wpadki było telefaksowe zadunculowanie transportu władzom PRL przez szwedzkiego celnika z przystani promowej w Ystad.

Załącznik 1 — Fragmenty pierwszego listu Bogdana Lisa do Jerzego Milewskiego oraz pełnomocnictwo do zorganizowania Biura.

Gdańsk, 8 maja 1982 r.

Drogi Jurku!

Kopię tego listu do Ciebie otrzymują — centrala ICFTU,

(...)

(Kraków, Wrocław, Gdańsk, Warszawa już są). Ja będę zajmował się między innymi kontaktami z Wami, oczywiście z ramienia TKK i w ramach przez TKK NSZZ „Solidarność” określonych. W związku z koniecznością ujednoczenia działań „S” również za granicami kraju, istnieje konieczność zorganizowania centrum, które otrzymywałoby dyspozycje z kraju i zgodnie z nimi organizowałoby działalność na rzecz „Solidarności” w kraju. Postanowiliśmy, iż jeśli zaakceptujesz nasze warunki, to następnym listem prześlemy Ci naszą decyzję wraz z upoważnieniem, które potwierdzimy listem do ICFTU. Upoważnienie bez tego potwierdzenia będzie dla działaczy zachodnich zw. zaw. nieważne. Ty na mocy tego upoważnienia kierowałbyś pracą tego biura, w myśl instrukcji przesyłanych z kraju. Musisz jednak w liście do mnie wyrazić zgodę na obsadzenie podstawowych dla działania biura sekcji ludźmi, do których my mamy pełne zaufanie, tak do ich umiejętności jak i oddania sprawie.

(...)

Podstawowa sprawa to kontakt z krajem, chcemy aby tą sekcją kierował Sł. Czarlewski. Wymagana jest tu szczególna odpowiedzialność i ostrożność, gdyż nie chcemy aby SB trafiła do nas poprzez zagranicę. Jeśli chodzi o sekcję informacji, to szczegółowo omówię tę sprawę w następnym liście. Teraz tylko informacja, że przekazywaniem informacji zajmować się będzie Mazowsze poprzez obu Smolarów. Mają oni duże możliwości w docieraniu do środków masowego przekazu, szczególnie RWE i to jest dla nas ko-

rzystne. Powinniście ustalić z nimi zasady współpracy. Organizacją pomocy tak materialnej jak i technicznej powinien zajmować się M. Chojceki. W skład grupy, która tę pomoc organizuje i wysyła, powinien wejść również (oczywiście jeśli będzie na to zgoda zw. zaw. na Zachodzie, który takiego przedstawiciela miałby dać) przedstawiciel zw. zaw. na Zachodzie — dobrze byłoby, aby był to ktoś ze związków lub central związkowych koordynujących pomoc dla „Solidarności” już poprzednio. Kontrola waszej działalności finansowej powinna zostać powierzona pani K. Ruchniewicz. Należy ograniczać liczbę pracowników biura z różnych względów — między innymi i bezpieczeństwa, można też zatrudnić urzędników z tamtego terenu. Wszystkich działaczy, którzy w różnych krajach na Zachodzie potworzyli biura „Solidarności” i chcą działać w oparciu o wasze centrum dyspozycyjne musicie trzymać krótko i muszą oni podporządkować się waszemu kierownictwu, w przeciwnym razie działają jako grupy nieformalne nie utrzymujące z nami kontaktów.

(...)

Twoje zadanie to utrzymanie kontaktu ze związkami zawodowymi, działania w celu skoordynowania i podporządkowania sobie wszystkich biur w innych krajach, w tym bardzo Ci pomoże Magda Wójcik — która pracowała w dziale zagranicznym KK i zna stosunki panujące w świecie związkowym. W zależności od tego, jaką opinię o sobie wyrobisz, tak będzie traktowana cała działalność „S” za granicą. Co kwartał każda sekcja winna przysyłać do kraju sprawozdanie z działalności. Ty również całościową ocenę pracy biura co kwartał powinieneś przysyłać. Musisz w tych sprawozdaniach uwzględniać ocenę warunków politycznych, w jakich pracujecie — trudności, brak dyspozycji z kraju oraz Twoje propozycje działania. Tyle jeśli chodzi o kwestie zasadnicze. Pozostałe decyzje co do charakteru biura należą do Ciebie.

(...)

Sugestie co do działań politycznych, jeśli uznamy to za pilne i konieczne, przesyłamy wam również. Po upływie kilku miesięcy postaramy się wysłać do Was z kraju człowieka, który tam na miejscu włączy się w działalność biura ze szczegółowymi instrukcjami, listownie bowiem nie wszystko można przekazać. Tyle na razie. Powodzenia.

Za TTK NSZZ „Solidarność”
Bogdan LIS

ROZLICZENIA

Mimo szczegółowego sprawozdania, które Jerzy Milewski przedstawił delegatom na II Krajowy Zjazd Solidarności, nie było na ten temat żadnej dyskusji czy rozliczenia, poza rozgrzeszeniem ks. płk. Jankowskiego. A przecież idzie o niebagatelną sumę 7 mln dolarów, nie licząc rocznej dotacji 1 mln dol., przyznawanej przez Kongres USA od 1987 r. (ostatnio dotacja wynosiła 1,5 mln dol.). Niezależnie od tych sum, które przechodziły przez Biuro Brukselskie, w czasie swych podróży zagranicznych Lech Wałęsa otrzymywał na Solidarność bardzo znaczne sumy. Nie figurują one w żadnych sprawozdaniach.

●

Ciągle nie ma rozliczenia z pieniędzy zebranych na wybory do Sejmu i Senatu i na wybory samorządowe.

ROZLICZENIE Z HELP POLAND FUND (TZW. FUNDUSZ
T. MAZOWIECKIEGO) NA DZIEŃ 23 MAJA 1990

Zebrano 450 tys. funtów. Zbiórka zostaje zamknięta 30 czerwca. Nie ma żadnego sprawozdania z Polski, na co pieniądze zostały czy zostaną wydane.

LOKALNE ZBIÓRKI

Prawie wszystkie ośrodki emigracyjne na świecie organizują zbiórki na pomoc Polsce. W znakomitej większości wypadków nie ma informacji, ile pieniędzy zebrano i komu zostały przekazane. Brak również potwierżeń z kraju.

W sowieckiej prasie

„Wybór został dokonany”. Pod takim nagłówkiem ukazał się 8 kwietnia tygodnik *Argumenty i fakty*. Na pierwszych stronach innych gazet widniały podobne tytuły. Znaczyło to, że zjazd deputowanych Rosji wybrał na przewodniczącego Rady Najwyższej RSFSR Borysa Jelcyna.

Liczne elementy tych wyborów wciąż są niejasne. Dlaczego np. Gorbaczow, który — tak się przynajmniej wydawało — nie życzył sobie wybrania Jelcyna, nie tylko nie zdołał znaleźć dla niego kontrkandydata, ale — kiedy już wreszcie jednego wysunął (A. Własowa, przewodniczącego Rady Ministrów RSFSR) — zmusił go do wycofania kandydatury na rzecz innego (I. Połozkowa), aby potem znów wrócić do Własowa? Chodzą słuchy o zмовie obu konkurentów, inni mówią, że górnicy, którzy szykują się do strajku, zagrozili, że ogłoszą go natychmiast, jeżeli Jelcyn nie zostanie wybrany.

Wybór został dokonany i wszystko zaczyna się od nowa. Teraz z kolei Jelcyn obiecuje, że zrobi to, co pięć lat temu, trzy lata temu i kilka dni temu obiecywał Gorbaczow. Przede wszystkim, to zrozumiałe, obiecuje radykalną reformę gospodarczą. W odróżnieniu od reformy, zaproponowanej w maju przez premiera Ryżkowa i odrzuconej przez wszystkich, Jelcyn przyrzeka, że wprowadzi „planowy rynek” znacznie niższym kosztem. O programie Ryżkowa powiadano, używając polskiej formuły, że jest to „szok bez terapii”. Jelcyn obiecuje terapię prawie bez szoku. Ekonomiści z kręgu nowego przewodniczącego świetnie wiedzą — podobnie zresztą jak ekonomiści z kręgu prezydenta — że tylko cud może ich uratować. Jelcynowscy ekonomiści uważają, że przede wszystkim trzeba dać coś ludziom już dziś, natychmiast. Co dalej, zobaczy się później. Na to jednak, żeby natychmiast coś dać, trzeba wziąć z jednego dostępnego źródła, to znaczy radykalnie, kilkakrotnie zmniejszyć program zbrojeń. Gorbaczow nie może się na to zdecydować. Otoczenie Jelcyna zapewnia, że ich faworyt jest do tego gotów.

Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie zachwyt, w jaki wybór Jelcyna wprowadził wojskowych. Organ Ministerstwa Obrony *Krasnaja Zwiezda* z trudem znajduje słowa dla wyrażenia swojej radości.

Gospodarka jest dziedziną skomplikowaną. Związek Sowiecki od siedemdziesięciu lat spada w przepaść ekonomiczną i jeszcze nie sięgnął dna. Trudno oczekiwać, by Jelcyn wszystko naprawił w ciągu kilku dni. Prosi zatem o trzy lata. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość — jedno już zrobił: 12 czerwca zjazd deputowanych ludowych RSFSR podjął pod jego przewodnictwem uchwałę o suwerenności Rosji. Rosyjska Federacyjna Republika Sowiecka postanowiła, że jej prawa stoją ponad prawami wszechzwiązkowymi. Uchwała ta narusza konstytucję ZSSR. Kiedy niedawno Litwa podjęła podobną uchwałę, Gorbaczow wyklął ją i zabronił nawet marzyć o tym. Dziś identyczną uchwałę podjęła Rosja. W ubiegłym roku Walentin Rasputin, wzburzony atakami na Rosjan i Rosję, oświadczył z trybuny zjazdu: a może byśmy wystąpili ze Związku? Gorzki żart rosyjskiego pisarza, który bardzo nie lubi ludzi innej narodowości, nagle stał się ciałem. Rosja, która oświadczyła, że jest suwerenną republiką, ma prawo opuścić Związek Republiki Sowieckich.

Nie tak dawno pisałem w jednym z przeglądów, że za najważniejszą kwestię narodową uważam przyszłość Rosji. Przez kilka ostatnich miesięcy zagadnienie to nabrało niespodziewanej aktualności: rosyjski ruch demokratyczny zaczął przybierać na sile, jeszcze aktywniejszy jest rosyjski ruch narodowy i nacjonalistyczny, jedna za drugą powstają partie...

Dziś można by powiedzieć, że gdyby Jelcyna nie było, należałoby go wymyślić. Popularny trybun, piewca reform, przedstawiciel lewego skrzydła *pieriestrojki* natychmiast skupił pod swoimi skrzydłami kipiącą rosyjską myśl społeczną. Czy uda mu się nadać temu ruchowi postać nacjonal-komunizmu (lub socjalizmu), czy też ruch go wyprzedzi, tak ja wyprzedził Gorbaczowa — pokaże przyszłość.

Jelcynowi jest łatwiej: może skorzystać z doświadczenia Gorbaczowa. Jest mu też trudniej: sędzić go będą szybciej i surowiej. Generał Wołkogonow, biograf Stalina, powiedział na zjeździe deputowanych ludowych RSFSR: „W politycznym krajobrazie Rosji widać zaledwie 2-3 przywódców, a za nimi nie widać nikogo... Rosja potrzebuje wybitnych przywódców”. Dzisiejsza Rosja potrzebuje absolutnie wszystkiego. Przywódców, oczywiście, też. Dotychczasowe działania i słowa Jelcyna nie wskazują na to, że jest on „wybitnym przywódcą”. Z pochodzenia, wieku i kariery podobny jest do Gorbaczowa jak dwie krople wody. Nie ulega wątpliwości, że właśnie lata spędzone „na górze” — jako sekretarz moskiewskiego komitetu partyjnego, jako kandydat do Biura Politycznego — nadały mu ciężar gatunkowy, bez którego wciąż jeszcze nie sposób zostać w Związku Sowieckim przywódcą.

Jednym się jednak Jelcyn różni od swojego konkurenta. Gorbaczow zdobywał popularność w sposób mało tradycyjny, za granicą, licząc, że stamtąd spłynie ona do ZSSR. Jelcyn postępuje trady-

cyjnie: popularność buduje na własnym terenie, przekonany, że Zachód go zaakceptuje. 4 czerwca pismo *Time* ogłosiło wywiad z Gorbaczowem. Pięć lat temu, we wrześniu 1985, ukazał się w tymże *Time* pierwszy wywiad nowego *genseka* dla prasy zachodniej. Szef moskiewskiego oddziału *Time'a* przypomina, że w 1985 r. Gorbaczow, niepodobny do Breżniewa, młody, uśmiechnięty, skory do rozmów, wyglądał jak „partyjny bonza, któremu się udało. W 1990 r. jest to wymuskany działacz, który czuje się panem na kremlofskich pokojach z nowoczesnymi meblami”. O Jelcynie, który kilka miesięcy temu bawił w Waszyngtonie, redaktor St. Talbott mówi, że amerykańscy politycy uznali go za „demagoga, clowna, człowieka niepoważnego”. „Wesoły chłopak”, powiedział o nim prezydent Bush. Jak jednak dobrze wiadomo, od sukcesu przybywa i rozumu, i urody, i powodzenia...

W czerwcu dokonano jeszcze jednego wyboru, który ma ważne znaczenie dla losu Rosji. 6 maja pochowano patriarchę rosyjskiej Cerkwi prawosławnej, Pimena, a 7 czerwca, w wielkim pośpiechu, wybrano na patriarszy tron metropolitę Leningradu i Nowogrodu Aleksija. Pochodzi on z Estonii, nie był głównym faworytem, chociaż jako jeden z sześciu stałych członków świętego Synodu wydawał się bardzo prawdopodobnym następcą. Śmierć patriarchy Pimena paryski dziennik *Le Monde* ogłosił w artykule pod tytułem „Patriarcha o brudnych rękach” (5.5.90). Czegóż jednak oczekiwać od tych schizmatyków Francuzów! W przeddzień wyborów nowego patriarchy w paryskim tygodniku *Russkaja mysl* (8.6.90) ukazał się obszerny artykuł rosyjskiego duchownego Georgija Edelsteina, zamieszkałego w Kostromie. Ojciec Georgij nie wiedział, kto zostanie wybrany; jego charakterystyki prawdopodobnych kandydatów mówią same za siebie. Przytoczę tylko to, co dotyczy nowego patriarchy.

Zacząć wypada od znanego dokumentu, o którym w swoim czasie pisałem w jednym z przeglądów. W 1979 r. wychodzący w Paryżu *Więstnik russkogo chriścianskiego dżiżenija* (nr 130) wydrukował tajny raport Sowietu d/s religii dla członków KC KPZS. Wyliczeni w nim byli m.in. „urzędujący hierarchowie, którzy słowem i czynem potwierdzają nie tylko lojalność, ale też patriotyzm wobec socjalistycznej ojczyzny...” Na pierwszym miejscu figurował patriarcha Pimen, a na drugim metropolita Aleksij... Ojciec Georgij jedenaście lat temu pisał: „Wzlot duchowej kariery metropolity Aleksija przypada na okres zaciętej chruszczowowskiej nagonki na Cerkiew... Właśnie w tym czasie Aleksij został najważniejszym funkcjonariuszem aparatu moskiewskiej patriarchii — głównym zarządcą i stałym członkiem Synodu. Przez dziesiątki lat czynnie współpracował z bezbożnikami we wszystkich nagonkach na Cerkiew i wiernych... Całe życie składał przed światem fałszywe świadectwo o sytuacji religii i Cerkwi w naszym kraju... Metropolita Aleksij przez wiele lat dobrowolnie, niewzywany i nieprzymuszony, jeździł do Sowietu d/spraw religii z nikczemnymi donosami na moskiewskich duchownych, na swoich braci-archirejów...”

Artykuł Georgija Edelsteina nosi tytuł: „Wybory patriarchy: rozstaje czy ślepy zaulek?” Oblicze nowej głowy rosyjskiej Cerkwi udziela na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi.

Kiedy numer *Kultury* z niniejszym przeglądem znajdzie się w rękach czytelników, XXVIII zjazd KPZS będzie na pewno zakończony. Wyborom delegatów na zjazd towarzyszyło kilka niespodzianek. Generalny sekretarz Gorbaczow został wybrany, ale tylko 61% głosów — w Moskwie. Członkowi Biura Politycznego i sekretarzowi KC Jegorowi Ligaczowowi przydarzyła się jeszcze dziwniejsza historia. Przy balotażu w jednym z rejonów obwodu moskiewskiego zdobył tylko 1,5% głosów „za”. Następnego dnia jego kandydatura została wysunięta w obwodzie biełgorodskim, gdzie uzyskała 79,7% „za”. Nie było się o co martwić, Ligaczow został delegatem na zjazd.

Są wszystkie podstawy po temu, by sądzić, że partia będzie się starała wszelkimi sposobami odzyskać na zjeździe dziewictwo. Wśród licznych poświęconych partii i jej nowym szatom artykułów, listów i „platform” na uwagę zasługuje przede wszystkim list, ogłoszony w *Prawdzie* 26.5.1990 pod tytułem „Dlaczego oddałem legitymację partyjną”. Naukowy pracownik z podmoskiewskiego miasteczka Puszyino, A. Maksimowicz, pisze: „Występuję z partii... Partia ponosi niewybaczalną winę przed narodem za niesłychane zbrodniczości, masową przemoc, zagładę inteligencji i chłopstwa, zdlawienie swobód, otumanienie ludzi, korupcję, kłamstwo i demagogię, zdegenerowaną gospodarkę”. Lista grzechów jest prawie wyczerpująca. Za podobne czyny partię hitlerowską ogłoszono organizacją przestępczą. Dlaczego jednak *Prawda* wydrukowała tę listę przestępstw? Dlatego, że autor dorzuca: „*Pieriestrojkę* zaczął Gorbaczow, a partia, a ściślej mówiąc jej wręcz monstrualny aparat, hamuje *pieriestrojkę*, bo mu ona niepotrzebna, ponieważ odbiera mu władzę i przywileje. Jedynym sposobem unicestwienia tego monstrualnego aparatu jest samorzutne rozwiązanie partii i stworzenie nowych partii o zupełnie innym charakterze”. Filozof Aleksander Cypko, wicedyrektor instytutu problemów gospodarczych światowego systemu socjalistycznego, zapytuje w artykule pt. „Ktoś musi odejść” (*Moskowskie nowosti* z 3.6.90), dlaczego on i inni, „rozczarowani do 'wyboru socjalizmu'”, do ideałów i wartości Października, podający w wątpliwość naukowy charakter naukowego komunizmu Marksa, wciąż zostają w partii, „nie znajdują w sobie dość odwagi, aby zerwać organizacyjnie z czymś, z czym zerwały ideowo”? Odpowiedź filozofa jest niejasna i nieprzekonywująca: sobie i innym „rozczarowanym” udziela „ostatecznego terminu”, mianowicie do zjazdu, na którym partia (jej lepsza część?) znajdzie być może siły na wyjście z kręgu „niedopowiedzeń i półprawd”.

Jurij Afanasjew, jeden z przewodniczących międzyregionalnej grupy deputowanych ludowych, najbardziej reformatorskiego skrzydła zjazdu (wśród przewodniczących figuruje Borys Jelcyn) powiedział w wywiadzie dla *Spiegla* (nr 14/1990), że zostanie w partii do zjaz-

du, aby — jeśli zjazd nie spełni pokładanych w nim nadziei — wystąpić wspólnie z innymi, myślącymi podobnie jak on. Kilka tygodni po tym wywiadzie Jurij Afanasjew złożył legitymację partyjną. Jest on jednym z bardzo nielicznych popularnych reformatorskich przywódców, którzy zdobyli się na ten krok.

Na zjazd wybiera się duża grupa (jej rozmiary trudno dziś precyzyjnie ustalić) żelbetonowych komunistów, których się żadne wątpliwości nie imają. Nina Andriejewa, która zdobyła sobie dwa lata temu sławę artykułem pt. „Nie mogę się wyrzec zasad”, ze skromnej wykładowczyni stała się szefem stowarzyszenia „Jedność — za leninizmem i komunistycznymi ideałami”. „Uważamy — oświadczyła w wywiadzie dla *Argumentów i faktów* (nr 22) — że jeśli XXVIII zjazd partii pogrzebie KPZS w mieńszewickich objęciach, to powinniśmy z niej wystąpić i postawić kwestię stworzenia wszechzwiązkowej komunistycznej partii bolszewików-leninowców”. Zabawne: dokładnie taką samą nazwę wybrali sobie w latach 20-tych trockiści, których sama nazwa przywołuje na usta Niny Andriejewej i jej towarzyszy pianę nienawiści. Program stowarzyszenia „Jedność” jest prosty i jasny. Po pierwsze — żadnej gospodarki rynkowej. Spójrzmy, proponuje Nina, jak rozwija się sytuacja w Polsce i na Węgrzech, które przechodzą do gospodarki rynkowej. „Weźmy, na przykład, Polskę. My, chwalić Boga, nie dożyliśmy jeszcze do tego, by gospodyni kupowała na obiad jedno jajko, jak to się dzieje w Polsce”. Po drugie, Nina Andriejewa tęsknie wspomina „okres, kiedy krajem kierował Stalin”. Były wypaczenia, przyznaje, „ale represje były nie tylko nieuzasadnione, były też obiektywnie konieczne”. Wreszcie Nina Andriejewa oświadcza, że „wielopartyjność w naszym społeczeństwie może być tylko socjalistyczna”.

W tym punkcie spotyka się z Gorbaczowem, który wytłumaczył komunistom, mającym wybrać go jako delegata na zjazd: „tak, jak żyliśmy dawniej, dalej żyć nie można, trzeba zmieniać życie... zmieniać je, przebudowywać — tak, ale — w drodze realizacji socjalistycznej idei”.

Michaił Gorbaczow mówił o jedności partii, o konsolidacji. Jego taktyka na zjeździe, jak można sobie wyobrazić na podstawie świadomie sprzecznych oświadczeń, będzie polegała na „czystce w aksamitnych rękawiczkach”: wierne Gorbaczowowi jądro zostanie oczyszczone ze wszystkich chwiejnych elementów. Niech sobie tworzą własne partie komunistyczne — im więcej, tym lepiej. Partia Gorbaczowa jest wciąż najsilniejsza, najlepiej zorganizowana i dysponuje ogromnym majątkiem. Niewykluczone, że najgroźniejszy jest dla niego projekt stworzenia rosyjskiej partii komunistycznej. „Przecież rosyjska partia komunistyczna, jeśli zostanie stworzona — przypomniat — obejmie 58% komunistów naszego kraju”.

Poświęciłem niniejszy przegląd wyborom. Niespodziewana dla jego czytelników i wielbicieli decyzja Aleksandra Zinowiewa, aby udzielić wywiadu *Prawdzie*, też była swojego rodzaju wyborem. Oczywiście to *Prawda* (w osobie jej paryskiego korespondenta W. Bol-

szakowa) przyszła do Zinowiewa, a nie on do *Prawdy*. Niektóre fragmenty wypowiedzi autora „Przepasnych wyżyn”, choć nienowe, bo wypowiadał je i dawniej, zasługują na uwagę. Spotkanie centralnego organu KPZS i słynnego pisarza oraz filozofa odbyło się w pół drogi. „Nie jestem przecież zwykłym sowieckim człowiekiem — powiada Zinowiew. — Jestem, nie boję się tego słowa, człowiekiem supersowieckim”. „Oto teraz krytykuję Gorbaczowa. Jeśli jednak dojdzie do tego, że wszyscy zaczną go tarmosić, to napiszę książkę w jego obronie. Dlatego taki wróg, jak ja, może się bardziej przydać aniżeli niektórzy jego dzisiejsi przyjaciele”. „Wcale nie uważam, że w naszej historii wszystko było złe. Było też niemało dobrego... Sowiecka historia jest ciężka, tragiczna, straszna, ale wielka. Nie wszystko w niej było złem. Były wielkie osiągnięcia. Ludzie nie docenili ich jeszcze jak należy, ale to z czasem przyjdzie”. Na zakończenie autor „Katastrofki” oświadcza: „Nie wyobrażam sobie Rosji innej niż sowiecka...”. Jest to, powiedziałbym, naukowa prognoza i życzenie.

13.6.1990

Adam KRUCZEK

Kronika niemiecka

Po raz pierwszy w historii obradował w Berlinie Zachodnim Światowy Kongres Żydów. Podczas obrad zwracano uwagę przede wszystkim na przybierające na sile — zwłaszcza w Europie Środkowej — tendencje antysemityczne, wyrażając szczególne zaniepokojenie sytuacją w Związku Sowieckim i w NRD. Zabierając głos na forum Kongresu kanclerz RFN, Helmut Kohl, stwierdził, że dialog z Izraelem oraz bezkompromisowe zwalczanie wszelkich objawów antysemityzmu będzie stanowić istotną część polityki zjednoczonych Niemiec. Natomiast premier NRD, Lothar de Maizière, oświadczył, że na obywatelach Niemiec Wschodnich spoczywa również współodpowiedzialność za zbrodnie popełnione na narodzie żydowskim. ■ Przez NRD przetoczyła się fala strajków, zorganizowanych przez związki zawodowe, które wystąpiły z centrali FDGB, ogłaszając niezależność (teraz już wolno). Wschodnioniemieccy związkowcy domagali się podwyższenia zarobków, 38-godzinnego tygodnia pracy oraz wniesienia poprawek do umowy państwowej między NRD a RFN w części dotyczącej unii walutowej. Strajkowali nauczyciele i wychowawcy, pracownicy przemysłu skórzanego i tekstylnego oraz rolnicy, którzy zablokowali traktorami i maszynami szosy i autostrady (również te łączące NRD z RFN czy Polską). ■ W Berlinie Zachodnim

przebywał z kilkudniową wizytą dyrektor Departamentu Konsularnego polskiego MZS-tu, Krzysztof Szumski. Podczas konferencji w siedzibie Misji Wojskowej RP poinformował o działaniach prewencyjnych podjętych przez polskie służby celne wobec pseudoturystów-handlarzy i o wynikach swych rozmów z władzami Berlina Zachodniego. Ustalono, że wzmożone zostaną kontrole na granicy polskiej i usprawniony przepływ informacji pomiędzy Warszawą a urzędami Berlina Zachodniego. Między innymi przekazywane będą nazwiska osób, które naruszyły przepisy celne bądź dopuściły się przestępstw i wykroczeń. ■ Wiele kontrowersji w obu państwach niemieckich wywołały decyzje i wypowiedzi nowego ministra spraw wewnętrznych NRD, Petera-Michaela Diestela, polityka konserwatywnej Niemieckiej Unii Społecznej — DSU i jednocześnie wicepremiera. Oświadczył on bowiem, że nie zamierza zwolnić z pracy w podległym sobie ministerstwie byłych funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa, *Stasi*. „Ci ludzie umieją strzelać, są bardzo zdyscyplinowani i fantastycznie wykształceni” argumentował nowy minister. Jednocześnie ograniczył kompetencję Komitetów Obywatelskich, rozwiązał komisję badającą, którzy nowowybrani posłowie byli współpracownikami *Stasi*, zapowiedział, że nie zmniejszy liczebności policji, gdyż NRD znajduje się w trudnej sytuacji ekonomicznej (co grozi eskalacją terroru) i zamówił w RFN dostawy nowoczesnej broni dla swego resortu. Byłym wysokim funkcjonariuszom *Stasi* przyznał hojne emerytury. Na przykład b. szef *Stasi*, generał armii i b. minister spraw wewnętrznych NRD, Erich Mielke, otrzymuje oprócz emerytury ministerialnej i wysokiej renty honorowej jeszcze emeryturę w wysokości ponad 4.500 marek wschodnich (już wkrótce zachodnich). Średnia emerytura w NRD wynosi niewiele ponad 400 marek miesięcznie. Zarówno współrządzająca SPD, jak i jego własne DSU domagały się dymisji Diestela, sprawa jednak uchliła po interwencji zachodnioniemieckiej CSU, której przewodniczący, Theo Waigel, wytłumaczył, iż nie jest to potrzebne. ■ Koncern budowlany Hochtief AG, mający siedzibę w Essen, podpisał umowę na rozbudowę warszawskiego Okęcia. Koszt inwestycji wynosi 300 mln marek. Już na wiosnę 92 roku ma być w Warszawie gotowy nowy punkt kontroli lotów. ■ 18 maja podpisana została w Bonn umowa państwowa między NRD a RFN, parafowana przez ministrów finansów obu państw. Umowa łączy oba państwa niemieckie unią walutowo-gospodarczo-socjalną, która wejdzie w życie z dniem 2 lipca br. Ze zdecydowaną krytyką umowy wystąpił kandydat na kanclerza socjaldemokratycznej SPD, premier Saary, Oscar Lafontaine, który uważa, iż największym błędem jest natychmiastowe wprowadzenie w NRD marki zachodnioniemieckiej. ■ Według ocen zachodnich i wschodnioniemieckich ekspertów gospodarka NRD po wprowadzeniu w życie unii monetarno-gospodarczej stanie w obliczu bankructwa. Większość zakładów nie będzie w stanie dopasować się do warunków pracy w systemie gospodarki rynkowej i tym samym wytrzymać konkurencji z oferującymi już swe towary na wschodnio-

niemieckim rynku firmami zachodnimi. Rentownych jest zaledwie 30% przedsiębiorstw, część pozostałych uda się uratować jedynie poprzez inwestycje zachodniego kapitału, a około 15% będzie musiało ulec likwidacji. Przewiduje się, że w ciągu najbliższych dwóch lat w NRD będzie od 2 do 4 milionów bezrobotnych (na 8 milionów dziś zatrudnionych). Już na początku czerwca liczba bezrobotnych przekroczyła 100 tysięcy, a minister pracy i spraw socjalnych jest zdania, że jeszcze w tym roku będzie ich ponad milion. ■ Przewodniczący liberalnej FDP, hrabia Otto Lambsdorf, a po nim inni politycy FDP oraz współrządzących CDU i CSU opowiedzieli się za przeprowadzeniem jeszcze w grudniu bieżącego roku lub najpóźniej w pierwszej połowie stycznia przyszłego roku wspólnych wyborów do ogólnoniemieckiego parlamentu, w których wzięliby udział również mieszkańcy NRD. Wybory do Bundestagu powinny odbyć się zgodnie z planem 2 grudnia br. Propozycji tej przeciwstawiły się opozycyjne SPD i Zieloni, zarzucając kanclerzowi Kohlowi nadmierny pośpiech w dążeniu do zjednoczenia i kierowanie się partykularnym interesem własnej partii. Jak zauważył szef frakcji parlamentarnej CDU/CSU Alfred Dregger, nikt nie wie, co będzie za miesiąc czy za kilka miesięcy. Trzeba dążyć do tego, co jest teraz możliwe. ■ Po raz 90-ty z kolei, a 4-ty w Berlinie obradował Kongres Katolików Niemieckich. Po raz pierwszy w tej ogromnej imprezie (ponad 120 tysięcy uczestników) mogli wziąć udział bez przeszkód również katolicy z NRD. Komitet Centralny Katolików Niemieckich przyznał po raz pierwszy nagrodę Kultury i Sztuki, w wysokości 50 tys. marek, którą otrzymał polski pisarz i senator RP, Andrzej Szczypiorski. Szczególną popularność przyniosła mu wydana po polsku przez Instytut Literacki książka pt. „Początek”, która ukazała się po niemiecku pod tytułem „Die schöne Frau Seidenmann” i przez ponad rok zajmowała czołowe miejsca na liście bestsellerów magazynu *Der Spiegel*. Przyznanie nagrody stało się okazją do szeregu wywiadów dla prasy, radia i telewizji zachodnioniemieckiej. Szczypiorski (co w końcu jest rzadkością) wystąpił w wieczornym wydaniu wiadomości telewizyjnych programu ZDF — „Heute Journal”. „Jeśli wierzymy w powodzenie polskiej demokracji, to powinniśmy również ufać w powodzenie demokracji niemieckiej — stwierdził w odpowiedzi na pytanie, czy obawia się zjednoczenia Niemiec. ■ Rozpadają się zachodnioniemieccy Republikanie. Po klótniach w tonie zarządu partii do dymisji podał się jej przewodniczący, ochotnik Waffen-SS (*Ich war dabei* — byłem przy tym) Franz Schönhuber. Twierdzi on, iż kierownictwo partii zostało przejęte przez elementy pronazistowskie, co zmusiło go do dymisji. Okazuje się, że są brunatni i bardziej brunatni. ■ Władze Berlina Zachodniego rozważają możliwość wprowadzenia z dniem 1 lipca obowiązku posiadania wizy dla obywateli krajów byłego bloku wschodniego (a więc i Polski) odwiedzających to miasto. Pomysł ten związany jest z wprowadzeniem w życie zasad tak zwanej *Einreiseunion* (dosłownie: unii wjazdowej), w myśl której kontrole, dokonywa-

ne dotychczas na granicy między wschodnim a zachodnim sektorem miasta, przeniesione zostaną na zewnętrzne granice przyszłych zjednoczonych Niemiec, czyli w naszym przypadku na Odrę i Nysę. Projekt poparł także nowowybrany nadburmistrz Berlina Wschodniego, Tino Schwierzina (SPD), zastrzegając jednocześnie, że nie ma on nic wspólnego z wrogością wobec obcokrajowców. Schwierzina opowiedział się także za zahamowaniem napływu tysięcy uchodźców z Europy Wschodniej, przede wszystkim z Rumunii. Tymczasem z dniem 1 lipca zarówno Czesi, jak i Słowacy podróżować będą mogli do RFN (i Berlina Zachodniego) bez wizy, na podstawie dowodu osobistego. To samo dotyczy obywateli Niemiec Zachodnich przy wyjazdach do CSFR. Zniesiono również dla nich wymianę obowiązkową. Bez wizy do RFN podróżują już również Węgrzy. ■ We wschodniej i zachodniej części Berlina przebywał nowy prezes Głównego Urzędu Cel RP, Tomasz Bartoszewicz. Na konferencji prasowej w siedzibie Misji Wojskowej RP w Berlinie Zachodnim wyraził on wielkie zdziwienie, że władze i mieszkańcy Berlina Zachodniego są niezadowoleni z napływu wielotysięcznej masy polskich handlarzy, złodziei i prostytutek. Z handlarzami Bartoszewicz nie rozmawiał, opowiedział się za rozbudową przejść granicznych między Polską a NRD, ale do kogo należy most w Świecku, nie wiedział. Zapowiedział natomiast, że od 1 lipca obywatele polscy nie będą mogli przywozić do Niemiec ilości towarów większej, niż przeznaczona do potrzeb własnych. Możliwość handlu zastrzeżona będzie jedynie dla osób, które zarejestrują w Polsce stosowne firmy. Ograniczone zostaną również możliwości wywozu z Polski szeregu towarów, głównie nabytych w Pewexie. ■ Do 2 lipca zniknie berliński mur na wszystkich 145 ulicach, łączących wschodnią i zachodnią część miasta. Tym samym przywrócony zostanie normalny ruch, a kontrole graniczne prowadzone będą jedynie wrywkowo. Rozebrany zostanie także kompleks budynków kontroli granicznej na słynnym przejściu „Check-Point-Charlie”. ■ W gmachu działającego w Berlinie Wschodnim Polskiego Centrum Kultury i Informacji obradowało Forum Polsko-Niemieckie. Temat: Polska i zjednoczenie Niemiec. W dyskusji uczestniczyli m.in.: A. Szczypiorski, Kazimierz Wóycicki, Adam Krzemiński, a ze strony energetycznej dr Christa Hübner — przewodnicząca Niemieckiego Towarzystwa Dobrosąsiedztwa między NRD a Polską i prof. Heinrich Olschowski z Uniwersytetu Humboldta. ■ W NRD aresztowano Susanę Albrecht, poszukiwaną listem gończym prokuratury RFN za działalność terrorystyczną we Frakcji Armii Czerwonej (RAF). W roku 1977 uczestniczyła w zabójstwie bankiera Jürgena Ponto, następnie przygotowywała akcję ostrzelania raketami siedziby prokuratury federalnej w Karlsruhe. Od 10-ciu lat posiadała obywatelstwo NRD i zmienione nazwisko. Wyszła za mąż i urodziła córkę. Przez osiem lat mieszkała w NRD, a dwa w Związku Sowieckim. Minister Diestel uważa fakt jej aresztowania za wielkie osiągnięcie. Podobnie zresztą jego kolega z Bonn — Schäuble. Tymczasem wystar-

czyło przejrzeć akta *Stasi*. ■ *Polen — SOS Hilfe für die Aermsten* — „Polska — pomoc SOS dla najbiedniejszych”: pod takim hasłem grupa „Solidarności” w Kolonii prowadzi zbiórkę na pomoc w Polsce. Jak informuje St. Wolnik, celem zbiórki jest poparcie wszelkich inicjatyw zmierzających do polepszenia sytuacji najbiedniejszych. Wpłaty dokonywać można na zwalnijące od podatków konto: NR 35 102 961, Arbeitsgruppe Solidarnost Köln e.v. bei Stadtparkasse Köln, BLZ 370 501 98, Hasło: SOS-Polenhilfe. ■ W zachodnioniemieckiej telewizji parada filmów Krzysztofa Kiesłowskiego, a konkretnie jego „Dekalogu”. Filmy wyświetla jednocześnie trzeci program w Berlinie Zachodnim, Bremie, Hamburgu (Nord III) i w Nadrenii-Westfalii (WDR). Emisję zapowiedział także ośrodek bawarski (BR). Prezentacjom towarzyszą liczne, pełne pochwał recenzje w zachodnioniemieckiej prasie. ■ Pokazu w telewizji doczekał się także film Macieja Dejczerza pt. „300 mil od nieba”. Tę koprodukcję polsko-duńską przedstawił drugi program telewizji zachodnioniemieckiej — ZDF. Natomiast w telewizji NRD przebojem jest nadal serial TVP pt. „07 zgłoś się”. W niemieckiej wersji językowej (synchronizacja DEFY) porucznik MO zwraca się do przełożonych nie inaczej, jak per „towarzyszu majorze”. Można i tak.

Grzegorz ZIĘTKIEWICZ

APEL TOWARZYSTWA POLSKO-LITEWSKIEGO IM. ADAMA MICKIEWICZA W WIELKIEJ BRYTANI

Przez wiele lat modliliśmy się o wolność i niepodległość naszych narodów, które przed 50-ciu laty padły ofiarą zbrodniczej zmywy Hitlera i Stalina.

Ostatnio z podziwem obserwujemy zmagania dzielnego narodu litewskiego, zmierzające do zrzucenia narzuconej nań przez Moskwę niewoli. Dzisiaj zaistniała możliwość udzielenia naszym braciom i siostronom na Litwie nie tylko poparcia moralnego, lecz również ogromnie potrzebnej, konkretnej pomocy materialnej przesyłając ofiarę na Fundusz Niepodległości Litwy.

Zwracamy się do naszych rodaków z gorącym apelem o hojne ofiary na ten tak godny poparcia cel. Jak przed wiekami wspólnie i zwycięsko stawialiśmy czoła naszemu wrogowi na polach Grunwaldu, tak dzisiaj połączmy nasze siły w obronie tego najcenniejszego skarbu, jakim jest WOLNOŚĆ.

Laskawe ofiary prosimy przesyłać do:
Prof. Dr Kazimiera Prunskiene
Förenings Banken No. 5720/1600
Lituanien's Självständighets Fond
Stockholm, Sweden

Edward KUDREWICZ
Sekretarz

Miečius BAJORINAS
Prezes

O religii bez namaszczenia

Praga warta mszy

Różnice zaczynają się jeszcze przed granicą. Polska zostaje coraz bardziej z tyłu. Pojawiają się starannie utrzymane domy, równe chodniki, odnowione płoty. Przy wielu z nich zaparkowane samochody. Niemało z rejestracją zachodnioniemiecką. Za Kudową, miastem granicznym, rozszerza się strefa względnego dobrobytu. Wszędzie czysto, staranne ulice, z których zdjęto dominujące przez wiele lat hasła, głównie o przyjaźni na wieki. Czechosłowacja zrzuciła kostium ideologii i stanęła na własnych nogach, niepewna tego co dalej. Wyczuwa się to w powietrzu, w rozmowach ludzi, w niechęci do spoglądania za siebie.

Okres po inwazji wojsk Układu Warszawskiego był ponury. Władzę objęli oportuniści, gorset ideologiczny ścisłał mocniej niż gdziekolwiek indziej. Może w NRD podobnie nekano ludzi, może w Rumunii jeszcze gorzej niszczone społeczeństwo, ale dla Czechów i Słowaków, przyzwyczajonych do wyodrębniania siebie z losów wschodnioeuropejskich, sytuacja stała się nie do zniesienia. Każdy dzień władzy Husaka zaprzeczał tradycji czeskiej, godził w przywiązanie do liberalizmu, do demokracji, tym boleśniej, że trafiał w społeczeństwo, które dopiero co otrząsnęło się z koszmaru stalinowskiego. Nawet jednak wtedy nie zanikł do końca czeski etos pracy. Trudny do zachowania w warunkach systemu bezprzykładnego marnotrawstwa, nie poddał się jednak erozji. Widać od razu, że Czesi nie tylko geograficznie są bliżej Zachodu. Przekonuje o tym zaopatrzenie sklepów, urządzenie mieszkań, powszechna znajomość języków (nade wszystko niemieckiego i angielskiego), spokojne przejście — czy też przechodzenie — do demokracji.

Aksamitna rewolucja, która w przeciągu kilku tygodni wykreśliła z mapy politycznej Europy jeden z najprymitywniejszych systemów władzy, oznaczała w Czechosłowacji w gruncie rzeczy jedynie powrót do stanu wypracowanej przez lata normy: społeczeń-

cznej, gospodarczej, politycznej; do wartości znanych i bliskich Czechom od dawna. Toteż nad Wełtawą brzmiały głucho i nie mogą liczyć na odzew mesjanistyczne urojenia Polaków, którzy w osobach czołowych aktywistów opozycji — obecnie konserwujących *status quo* — pouczają co robić i w jaki sposób, i sobie przypisują wszelkie zasługi w dekompozycji obozu socjalistycznego. Zresztą nikt przy zdrowych zmysłach nie kwestionuje w Pradze roli „Solidarności”, ale również nikt z tego powodu nie będzie wypłacał dywidend i subwencjonował kombatanatów. Ważniejsza jest przyszłość od najwspanialszej nawet przeszłości.

Nikogo, kto lepiej zna Czechosłowację, nie może dziwić zimne przyjęcie polskich propozycji współpracy, sięgających w niektórych aberracyjnych przejawach aż do unii polsko-czeskiej. Spotkanie w Bratysławie wyraźnie pokazało i miejmy nadzieję, że tę lekcję zrozumieli nie tylko dziennikarze i historycy zajmujący się polityką, ale również profesjonalści z MSZ, że równoprawne stosunki są skutkiem podobnego rozwoju gospodarczego i społecznych nastawień. Tymczasem pomiędzy Polską a Czechosłowacją więcej różnic niż podobieństw. Nawet pomijając obciążenia historią z jednej i drugiej strony, a sporo ich o niebagatelnym znaczeniu — głównie wciąż podejmowana przez czeską opinię polska agresja w 1938 i zajęcie Zaolzia — Czesi nie mają wielkiego zaufania do naszego stylu gospodarowania i do naszych umiejętności politycznych. Razi ich chaos, populistyczne tony, słabość rządu, zbyt podporządkowanie polskiej reformy gospodarczej wyznaczanym z zewnątrz kryteriom, wygodnym dla ekspertów z MFW, dużo gorszym jednak dla zadłużonych krajów. Długi polskie są zresztą podstawową przeszkodą. Trudno współpracować z państwem o tak zaszarganej hipotece, którego nadzieja na przyszłość opiera się na umorzeniu większości jego zobowiązań.

I dlatego niezależnie od hołubionych w głębi duszy przekonań polskich polityków — od czasu do czasu nawet wyrażanych — Czechosłowacja odeszła dużo dalej niż Polska od starego ustroju i racjonalnie na jego gruzach konstruuje państwo demokratyczne, w pełni praworządne, z rozbudowującym się systemem partii i grup interesów. Widoczne jest to w wystroju praskich ulic, w walce politycznej, która poza ambicjami personalnymi przedkłada do wyboru różnorakie opcje ekonomiczne i społeczne, jak i programy. Europejskość Pragi uderza w postaci zachowanych zabytków i kultury mieszkańców, a zarazem jest skutkiem wyraźnego kształtu podziałów, braku jednoczącej wszystkich czapki superorganizacji, pod którą w Polsce kłębią się sprzeczności. Praga nie powtarza polskiego błędu. Dokonuje wyborów sprawdzonych, opartych na wzorach życia politycznego Europy. Nie udaje przed innymi, że stoi poza normalnymi przy-

padłościami społecznymi państw demokratycznych: kryzysem autorytetów, indyferentyzmem moralnym, zainteresowaniem ekonomicznymi wyznacznikami standardu życia. W Polsce jest podobnie, ale mało kto chce taki obraz kraju przyjąć do wiadomości. Prawdę zastępuje podwójne myślenie. Na zewnątrz prezentowana jest wersja anielska, w kuluarach odżywa stara pogarda wobec „ludu”. W rezultacie jesteśmy chorzy i coraz dalsi Europy, gdy Czesi mają szanse poważnie się do niej zbliżyć.

Do takiego kraju przybył 21 kwietnia Jan Paweł II. Podobno na gorącą prośbę prezydenta Havla, podobno wyraźnie u podstaw zaproszenia stały motywy polityczne. Jeżeli nawet, to papież potwierdził swoją wizytą, że bliski mu jest całokształt spraw ludzkich, że również polityka znalazła miejsce w jego nauczaniu. Nic w tym nagannego. Tym bardziej należałoby jednak w jego postaniu poza treścią ściśle teologiczną odczytać przekaz społeczny, zarysowaną konstrukcję polityczną. Ta budziła niepokój.

Nie w całości, bo wnikliwy słuchacz celebrowanych mszy i oficjalnych spotkań mógł odnaleźć również tony zrozumienia dla odmienności kraju, jego historii i społecznego samopoczucia. Za mało jednak uwzględniające czeski i słowacki los w XX wieku i za mało sięgające do korzeni dzisiejszej tożsamości tych dwóch narodów. Nie zawsze można to wytłumaczyć postawą gościa i pasterza, którego powinnością jest ogarnąć wszystko i wszystkich zadowolić. Częściej owe tony wynikały ze swoistego schematu polskiego, który nałożył się na widoczną dobrą wolę Jana Pawła II, a który w gorszy i czasami prymitywny sposób nie pozwala Polakom zrozumieć południowych sąsiadów. Najwyraźniej przewijało się polskie spojrzenie w nadmiernym podkreślaniu dwóch wątków: martyrologicznego i słowianofilskiego. Dla kogoś wychowanego w kulcie historii męczeńskiej i częstokroć daremnym wysiłku nadania jej sensu, czeski pragmatyzm, czeska skłonność do kompromisu, do ograniczeń i liczenia się z możliwościami są niejasne, trudne do rozpoznania w świecie wartości, chwilami podejrzane.

Spojrzenie papieża sięga dalej i głębiej, niż wskazuje na to jego polski rodowód, który jednak daje o sobie znać. I w godnym podziwu uwrażliwieniu na przypadłość historii, i w słabszym zrozumieniu postawy zachowawczej wstrzeźliwości wobec odmian świata i moralnych perturbacji. Nie zawsze kryje się za tym rodzaj indyferentyzmu, niewrażliwości na cierpienie i brak odwagi. Często wstrzymanie od działań pośpiesznych i gwałtownie bohaterkich podyktowane jest poczuciem rozwagi i odpowiedzialności za swój kraj, za jego społeczeństwo, za odziedziczoną po przeszłości kulturę, styl życia. Mieszkański spokój

wypływający z siły własnych zasad, które nie boją się konfrontacji z cudzą wolą, z obcym sobie obyczajem, dowodzi siły zakorzenionej również moralnie, niepoddawania się nawet w okolicznościach skrajnie niekorzystnych. W czeskich losach przejawia się to we wciąganiu przeciwnika na swój teren, cywilizowaniu jego barbarzyństwa, mitygowaniu skrajności. Podobnie było w stosunku Czechów i Słowaków (u tych ostatnich może nieco inaczej) do komunizmu. Inwazja 1968 roku zatrzymała Czechosłowację w jej marszu do innych form ustrojowych, ale wymuszając przystosowanie, ułatwiła zerwanie ze starymi mitami. Jednym z nich było lokowanie Czech w obrębie słowiańskich kultur, pasja z jaką klasycy języka i literatury czeskiej łudzili się słowianofilską utopią.

W kazaniu welehradzkim podjął ją papież. Zarysowana przez niego wspólnota kultury słowiańskiej jest trudna do przyjęcia w Czechosłowacji. Wyraźne w ostatnich miesiącach zwrócenie się czeskich polityków, popieranych przez czeską opinię ku Europie zachodniej wynika tyleż z konieczności gospodarczych, wymuszone sytuacją anachronizmu ekonomicznego dotychczasowego systemu, ile z przywrócenia wartości dawnych związków Czechosłowacji ze światem niemieckim. W podobny sposób odżyło to na Węgrzech. I mało możliwe, żeby czy to w Welehradzie, czy gdzie indziej możliwe było odwrócenie tych naturalnych ciężarów. Jak niewiele jest wspólnych cech kultury polskiej i czeskiej, tak samo trudno byłoby o przerzucenie tejże wspólnoty dalej na Wschód. Trzeba się liczyć z odmiennością każdego z tych pozornie tylko pokrewnych sobie państw i narodów, które w dodatku po latach przymusowego związku spragnione są separacji.

Posłanie papieskie wynikało z rozbudowanej u Jana Pawła II odpowiedzialności moralnej za losy dotkniętych po drugiej wojnie katastrofą polityczną krajów słowiańskich. Jego sięganie do starej doktryny panslawizmu — rzecz jasna przerobionej na użytek dzisiejszy — miało się przyczynić do odródnienia wewnętrznej tożsamości słowiańskich narodów. Kłopot w tym, że swoją suwerenność mogą one odzyskać w zupełnie inny sposób: nie drogą integracji, lecz rozdzielenia. Potrzeba im stanąć na własnych nogach i wybrać sposób jak najskuteczniejszego odrzucenia starych przyzwyczaję systemowych — złączenia się z tymi, którzy są gwarancją szybszego zmodernizowania kraju. Słowiańska wspólnota nie daje takich możliwości. Jest propozycją nieatrakcyjną. Słowianofilstwo także w czasach, gdy wydawało się pociągać część społeczności Europy Wschodniej, miało jedynie funkcje obronne i nie stwarzało nadziei na realne powstrzymanie niebezpieczeństw płynących z wyższej kultury i gospodarczo-militarnej przewagi świata germańskiego. Rola kom-

pensacyjna spełniana przez mit wspólnoty słowiańskiej, propagowany głównie przez poetów, i wówczas i tym bardziej dzisiaj nie daje racjonalnych podstaw do pokonania trudności, jakie stoją przed państwami, które wyzwalają się z komunistycznego panowania.

Papieskie wezwanie odczytane bardziej skrajnie i przez niezyczliwego katolicyzmowi obserwatora jego czeskiej pielgrzymki, może wzbudzić niepokój, że Jan Paweł II propagując utopię słowianofilską, umacnia w gruncie rzeczy panowanie Rosji w tej części Europy. I chociaż sądzę, że przypuszczenie jest nieprawdziwe, to przesłanki znalazłyby się w welehradzkiej homilii, szybko zresztą zauważone przez czeskich słuchaczy, w których wzbudziły silny niepokój. Bezpośrednim skutkiem okresu po 1968 roku było w Czechosłowacji zdeprecjonowanie Rosji, rosyjskiej kultury, rosyjskich wpływów. Im mocniej podkreślano przyjaźń w hasłach, tym mniej jej odczuwano w rzeczywistości, tym silniejsze były antyrosyjskie nastroje w społeczeństwie, zaświadczone przez wielu intelektualistów — może najsilniej przez Kunderę. Dlatego słowianofilstwo budzi w Czechach lęk. Silniejszy niż na to zasługuje. Nie można nie uwzględnić tego w spotkaniu z Czechami. Kontekst społeczny, polityczny, wreszcie historyczny był dla welehradzkiej homilii niekorzystny.

Mniej niepokojem budziło przypomnienie przez papieża powojennego losu Kościoła katolickiego w Czechosłowacji. Jako najważniejszy pojawił się w nim motyw wierności: zwycięstwa jako owocu wierności. Słowa o limitowaniu wolności religijnej, o bogactwie przeżyć, płynących z doświadczenia przemocy, o cierpieniu wiary zepchniętej poza margines życia, za którą płacono wysoko — utratą praw, pracy, więzieniem — wydobywały publiczne czasy niedawne, kiedy zmiana na lepsze zdawała się niemożliwa.

Vaclav Havel, witając papieża nazywał siebie świadkiem cudu. Świadcami są zresztą wszyscy Czesi i Słowacy, także ci, którzy weń nie wierzyli i którym sytuacja dzisiejsza przyniosła głównie strach. Nie tylko przed możliwym rozliczeniem, odebraniem przywilejów — co konsekwentnie zaczęto przeprowadzać — ale również przed zbudowaniem nadmiernej potęgi Kościoła, zagrażającego tradycji liberalnej, który budzi obawy o powrót do najgorszej przeszłości, gdy religia pełniła antynarodową rolę w służbie obcej dynastii. Obawy wydają się śmieszne, ale nie z punktu widzenia czeskiej historii. Etytyzacja Kościoła zagraża tyleż religii, co odnawianej demokracji. Postulowano się nią zawsze w celu zniewolenia Czechów. Również w niedawnych czasach komunistycznego terroru. Praskie homilie papieża pełne oddania i miłości do prześladowanych księży, zakonnic i zakonników, do wiernych, i pełne aluzji do podziemnego życia Koś-

ciola, mało wspominały jednak inny wymiar katolicyzmu czeskiego, tradycję złych związków z państwem i co za tym idzie naturalnej niechęci znacznej części społeczeństwa do wiary sformalizowanej i konfesyjnej.

Poddany ostrej presji, ograniczony w zasięgu i możliwościach działania Kościół katolicki w Czechosłowacji bronił się z ledwością, słabo wspierany przez wierzące społeczeństwo. Wpływała na to zarówno czeska *mediocrité*, którą można tłumaczyć także jako formę letniości, jak i silne w Czechosłowacji pozostawienie husytyzmu. Mniej — rzecz jasna — w formie przywiązania bądź wierności zasadom propagowanym przez Jana Husa prawie sześć wieków temu, co w nieufności do Watykanu i przywiązaniu do niezależności kościelnej i religijnej.

Te nietłwne do jasnego przedstawienia dylematy czeskiej religijności zaginęły w czeskich homiliach Jana Pawła II pod słowami otuchy i pokrzepienia. Bardzo potrzebnych społeczeństwu doświadczonemu historycznie, ale również w swoisty sposób pomniejszających jego problemy, które nie ograniczają się do wierności Rzymowi i wierze. Może z tego się brało słabe przyjęcie wezwań papieża, które w warunkach wolnego społeczeństwa i wolności zewnętrznej brzmiały nie do końca przekonująco. Jan Paweł II ostrzegał, że nie będzie łatwo odnaleźć właściwą drogę i nie stracić własnej tożsamości w tej nowej sytuacji. Zapominał jednakże o wyznaczeniu tożsamości czeskiej przez silne pierwiastki libertyńskie i gallikańskie. W warunkach demokratycznego systemu mają one szansę spotkać się z odzewem społecznym, jeżeli Kościół katolicki nie potrafi uznać własnych błędów z historii dalszej i bliższej. I osłoni się szatą męczeństwa, która uniemożliwi jakikolwiek krytyczny osąd. Pielgrzymka papieska dawała szansę rozrachunku pod warunkiem przekroczenia progu historycznego, jakim wciąż dla Czech pozostaje husytyzm i postać spalonego na stosie reformatora religijnego Jana Husa.

Jan Paweł II poświęcił mu uwagę podczas spotkania z intelektualistami, jednakże nie uwzględnił oczekiwań i przesunął ocenę jego roli w przyszłość. Jest to na pewno zrozumiałe, gdyż sprawa husycka obrosła tyłoma zewnętrznymi, politycznymi i społecznymi powikłaniami, że niemożliwe jest rozcięcie tego węzła od jednego razu. Bez tego jednakże na stosunki Watykanu z Pragą położy się cień, który bardzo utrudni życie katolikom czeskim. Samo wezwanie — jak najbardziej słuszne — do jedności społecznej, jedności pomiędzy Kościołami (katolickim i protestanckim), jedności wierzących z innymi siłami społeczeństwa jest niewystarczające. Dowodzi dobrych intencji, w mniejszym stopniu dobrego rozeznania. Niestabilność i sztuczność fundamentów Kościoła katolickiego w Czechosłowacji pozostaje

w ścisłym związku z zafalszowaniem przeszłości, negowaniem przez Rzym jednej z historycznych podstaw czeskiego chrześcijaństwa.

Papieska pielgrzymka do Pragi, Welehradu i Bratysławy wydobyła na wierzch zasadnicze punkty historii i terażniejszości katolicyzmu Czechów i Słowaków. Pokazała tragiczne konsekwencje utopii tworzenia nowego człowieka i nowego świata, która zapomniała lub wręcz zanegowała podstawowe aspekty osoby ludzkiej, z jej aspiracją do wolności i prawdy. Przypomniała cierpienie narodu i Kościoła, wzmocniła prawo społeczeństwa do demokracji, do wyznaczania przez siebie losu, konstrukcji politycznych i ekonomicznych, w jakich pragnie żyć i zasad, jakimi chce się rządzić. Papież spotkał się w swojej misji z gorącym przyjęciem, nieco innym w Pradze niż w Bratysławie, ale wszędzie życzliwym i otwartym na jego słowa. Trudno to przecenić, gdy zna się historię czeską, doświadczenie ostatnich dziesięcioleci. Nie można jednakże zrozumieć, że w Czechosłowacji odbudowa państwa i społeczeństwa jest powrotem do dawnych wartości, do ideałów, którym Czesi byli wierni w przeszłości.

Pomoc duchowa, jaką zaferował papież, w czeskich realiach polega na pogodzeniu katolicyzmu z historią Czechosłowacji. Bez tego sens tej pielgrzymki jest niepełny i nie daje ona tego, co obiecał 21 kwietnia Jan Paweł II lądując na praskim lotnisku: „Przybyłem, żeby umocnić w wierze tych, którzy wierzą w Boga, ale przynoszę jednocześnie przesłanie i nadzieję dla tych, którzy nie otrzymali daru wiary”. Nie daje pojednania, które płynie ze wspólnoty ofiary. Wspólnoty mszy, wspólnoty historii. Praga warta jest własnej historii i warta mszy.

Marek ZIELIŃSKI

Jedyna w Bawarii **POLSKA DRUKARNIA OFFSETOWA**

KONTRAST

BREITENSTEINSTRASSE 33 D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031/7777

WYKONUJE:

książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty,
odezwy, ulotki, blankiety, karty świąteczne i wizytowe
oraz wszelkie inne
prywatne, społeczne, naukowe i przemysłowe druki.

Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich,
głównie w polskim i rosyjskim.

Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

Dla P.T. Autorów aktualny niezmiennie długoterminowy kredyt.

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE □ KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKLADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT.

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Kronika kulturalna

Co to jest Artest?

W dniach od 10 do 31 maja można było w Paryżu oglądać wystawę pt.: „Artest. Malarstwo i rzeźba słowiańska”, zorganizowaną przez Olga Vida w galerii „Nowy Belgrad”, w jedenastej dzielnicy Paryża.

Trafiłem na nią zupełnie przypadkowo i nie bez trudności: mała ulica Pierre Levée niedaleko Placu Republiki, odrapane drzwi i korytarz prowadzący na podwórko z kotami leżakującymi w słońcu, zapach oleju słonecznikowego i konsjerżka patrząca z ciekawością na intruza rozglądającego się po małomiasteczkowym obejściu.

— Pan na wystawę wszechsłowiańską? Parter, na lewo.

Znalazłem się w pomieszczeniu w niczym nie przypominającym galerii sztuki. Raczej salę gimnastyczną lub świetlicę — z podwyższeniem, na którym stał fortepian i kotarą zasłaniającą scenę dla szkolnych występów. Dopiero po chwili zauważyłem rozwieszone na ścianach obrazy, gabloty i dziwne konstrukcje na środku podłogi.

Oleg Vid, architekt z zawodu, artysta z powołania, urodzony w Belgradzie i od lat przebywający w Paryżu, wyjaśnia: „Mieści się tu szkoła wieczorowa dla dzieci różnych narodów Jugosławii: prowadzimy wykłady z historii Serbii, Macedonii, Słowenii, Dalmacji. Skąd fortepian? Bo odbywają się też lekcje muzyki. Wystawy organizujemy od niedawna, chociaż pomysł 'wszechsłowiański' ma swoją tradycję: w roku 1928 na Champs Elysées prezentowano artystów z całej Europy środkowo-wschodniej. Wystawa nosiła wtedy tytuł „Od Elby do Adriatyku”.

Oleg Vid zgromadził w galerii „Nowy Belgrad” prace dwudziestu artystów: Dorde Ivačkovića, urodzonego w roku 1936 w Belgradzie, który od lat mieszka w Paryżu; Kossary — tak podpisuje się młoda malarka słoweńska (ur. 1966), mieszkająca we Frankfurcie nad Menem; Dragoslawa Krnajnskiego (ur. 1953) — belgradczyka, tworzącego przestrzenne kompozycje z metalu, plastiku i szkła „wpisane” w ulice, podwórka oraz belgradzkie domy; Very

Stefanovič, również urodzonej (1953) w Belgradzie, budującej osobliwe formy przestrzenne łączące sufit galerii z podłogą, rodzaj przekazników energii z „górných sfer” do wnętrza ziemi; Władimira Veličkoviča, profesora Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu; Olga Vida, który pochodzi ze Skopje — organizatora wystawy i kierownika centrum.

Jan Buk (ur. 1922) oraz Maja Nagłowa (ur. 1959) — oboje z Budziszyna — na wystawie reprezentują Słowian Zachodnich — Łużyczan.

Genko Genków oraz Nikolaj Janakiew mieszkają w Bułgarii. Obaj ukończyli Akademię Sztuk Pięknych w Sofii. Kompozycje malarskie Maneva (mieszką na stałe w Paryżu) przypominają nieco wczesne płótna Dubuffeta.

Nikita Aleksiejew (ur. 1953) pochodzi z Moskwy. W jego obrazach powraca motyw sobowtóra, odbicia, zwielokrotnienia. Podpisuje płótna anagramem „Aleksej Nikitin” dla podkreślenia wagi artystycznych doświadczeń z tajemnicą zwierciadła.

Gary Fajf jest Gruzinem urodzonym w roku 1942 w Tyflisie. Ukończył Instytut Architektury w Moskwie, Akademię Sztuk Pięknych w Paryżu oraz Instytut Urbanistyczny w Vincennes. W latach sześćdziesiątych założył wraz z Wiaczesławem Kołczukiem i Genadijem Rikonowem grupę konstruktywistyczną „Mir” zajmującą się studiowaniem form przestrzennych i architektonicznych.

Oleg Celkow ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Moskwie i Leningradzie oraz leningradzki Instytut Teatralny. Przez wiele lat pracował na scenie, przez wiele lat jego płótna nie były wystawiane, przynajmniej oficjalnie. Od lat 14 mieszka we Francji.

Na wystawie w galerii „Nowy Belgrad” znalazły się prace trojga Polaków: Grażyny Remiszewskiej, Teresy Tyszkiewicz (obydwie artystki mieszkają w Paryżu) oraz Kazimierza Ostrowskiego, profesora Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, urodzonego w roku 1917 w Berlinie, ucznia Ferdynanda Légera.

Czesi: delikatne rysunki Karela Malicha i przede wszystkim płótna Otakara Slavika. Slavik (ostatnią jego wystawę indywidualną we Francji zorganizował, jeśli się nie myli, uniwersytet w Tuluzie w roku 1984, w ramach Międzynarodowych Spotkań Poetyckich, podczas których specjalny hołd oddano Vaclavovi Havlowi, przyjacielowi artysty) najchętniej maluje postacie linoskoczków zawieszonych na trapezie, wiszących nad przepaścią. Figury pływające czerwienią, żółcią, zielenią, odcieniami błękitów przechodzących w fiolet.

W początkach lat sześćdziesiątych na jego płótnach pojawiły się figury w stadium dekompozycji, zatrzymane w ruchu, geście bezsiły, drżeniu. Sieci punktów zaczęły stopniowo ustępować barwnym, intensywnym pląmom, pokrywającym płaszczyznę obrazów.

Slavik zniszczył wszystkie swoje prace namalowane w Pradze w latach 1969-1972. Jeszcze jedna pozycja na długiej liście strat kultury po najeździe 68 roku. We wrześniu 1980 wyjechał (na stałe?) do Wiednia. W szkicu do autobiografii napisał: „Po ukończeniu

studiów nie chciałem oddać się w opiekę zyrantów oficjalnej sztuki. Najpierw pracowałem jako maszynista w Teatrze Narodowym w Pradze (1955-1960), później rozładowywałem wagony (1960-1968), jeszcze później (1970-1978) wypełniałem kontrolki w bazie ciężarówek. Cały czas malowałem. Aż do zawału. W roku 1980, jako sygnatariusz Karty 77, otrzymałem w Austrii azyl polityczny”.

Wystawa w galerii „Nowy Belgrad” różniła się znacznie od eleganckich ekspozycji przy ulicy de Seine w okolicach Bastylli lub średniowiecznej Quincampoix. Obrazy i rzeźby dwudziestu artystów w szkolnej świetlicy w nie bardzo dobrej dzielnicy Paryża. Łuszcząca się w bramie farba, leniwe koty, ciekawość konsjerżki. Daleko od splendoru „wszechsłowińskiej” prezentacji na Polach Elizejskich w roku 1928. A jednak...

Krzysztof RUTKOWSKI

NAGRODY IM. K.A. JELEŃSKIEGO DLA TŁUMACZY LITERATURY POLSKIEJ

W trzecią rocznicę śmierci K. A. Jeleńskiego, znakomitego eseisty i zamilowanego tłumacza, ufundowano nagrodę jego imienia dla tłumaczy literatury polskiej. Ze sprzedaży papierów po śp. Konstantym Jeleńskim do Biblioteki *Yale University* uzyskano 75.000 F. Sumę tę podwyższyły osobiste dotacje (Czesława Miłosza, Jana Lebusznej i Renaty Gorczyńskiej) do 90.000 F. Postanowiono przyznać dziewięć nagród po 10.000 F każda — pięć w tym roku, cztery w następnym.

Jury w składzie Renata Gorczyńska, Gustaw Herling-Grudziński, Krzysztof Pomian przyznało w bieżącym roku nagrody za przekłady literatury polskiej na następujące języki.

Na język francuski

TERESA DZIEDUSZYCKA (THERESE DOUCHY) — tłumaczka Brunona Schulza, Kazimierza Brandysa, Józefa Czapkiego, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego
KRZYSZTOF JEŻEWSKI — tłumacz m.in. Witolda Gombrowicza, Andrzeja Kuśniewicza, Czesława Miłosza.

Na język serbsko-chorwacki

PETAR VUJIČIĆ — lista jego przekładów prozy i poezji polskiej jest tak długa, że ograniczymy się do wydanego świeżo w Belgradzie *Barbarzyńcy w ogrodzie* Zbigniewa Herberta.

Na język rosyjski

NATALIA GORBANIEWSKA — tłumaczka poezji Miłosza i Herberta oraz *Innego świata* Herlinga-Grudzińskiego.

Na język angielski

LILLIAN VALLÉE — amerykańska tłumaczka trzech tomów *Dziennika Gombrowicza*.

Pozostałe cztery nagrody zostaną przyznane w przyszłym roku.

BRULION

Niezależny polski kwartalnik literacki proponuje państwu prenumeratę. Cena zeszytu pojedynczego 5 USD, podwójnego 8 USD, prenumerata roczna 16 USD.

Brulion ukazuje się w podziemiu od 1987 roku, dotąd ukazało się 13 numerów. W piśmie publikowali m.in.: J. Błoński, B. Czaykowski, A. Czerniawski, A. Drawicz, J. Hartwig, P. Huelle, T. Jastrun, J. Kosiński, E. Lipska, Z. Machej, B. Maj, A. Międzyrzecki, K. Miłobędzka, J.M. Rymkiewicz, L. Szaruga, J.J. Szczepański, W. Woroszyński.

W piśmie publikują też autorzy najmłodszy i debiutanci. Z piśmie związani są młodzi autorzy z Katowic, Warszawy, Gdańska, Lublina, Górnego Śląska, Wrocławia, Cieszyna, Paryża i Nowego Jorku. Pismo organizuje ogólnopolskie konkursy literackie (w jury m.in. W. Szyborska).

Istnieje możliwość zakupienia niewielkiej liczby wcześniejszych numerów. Wysyłamy w kolejności nadesłanych zamówień.

Pieniądze prosimy wysyłać na adres:

BPKO SA III Oddział, Warszawa R-K 13135089, Olga Okoniewska

Zamówienia prosimy składać na adres:

Olga Okoniewska, Warszawa 02-939, ul. Solankowa 4/29

Nelson Algren, bard slumsów Chicago

Minionej zimy leciałam z Paryża do Kalifornii z międzylądowaniem w Chicago, na największym lotnisku świata. Nad Ameryką zapadał wieczór. Przed lądowaniem pilot zakomunikował, że jest najzimniejszy dzień w roku i radził, żeby dobrze opatulić się przed wyjściem.

Wskutek defektu w motorze nasz samolot nie ruszył w dalszą drogę. Na następne połączenie z Kalifornią trzeba było czekać sześć godzin. Było już za ciemno i za zimno na zwiedzanie miasta. Służba naziemna linii, żeby nas udobruchać, wręczyła nam grati-sowe bony na kolację.

O'Hare Airfield jest jak stacja metra Châtelet: obu należy unikać w razie przesiadki, bo podróżny niechybnie zagubi się w labiryncie korytarzy, pasaży, nieogarniętych wzrokiem przestrzeni. Trzeba jednak było znaleźć czynną jeszcze restaurację. Wymagało to jazdy ruchomymi chodnikami, ruchomymi schodami, automatycznymi windami. Kluczyłam długo, natykając się na zamknięte kawiarnie, zakratowane bary. W przegrzonym powietrzu unosiła się woń prażonej kukurydzy. Rytmicznie zapalały się i gasły zębate neony, tworzące postmodernistyczny ornament na stropie. Z głośników dobiegały żabie dźwięki elektronicznej muzyki. Ruch pasażerski zamierał, w wyjściach niknęli podróżni z walizkami, spiesząc do domu w sobotni wieczór.

Na ich miejsce nadciągali jednak inni. Byli to ludzie płci obojga, napływający w pojedynkę albo z kilkorgiem dzieci. Byli ubrani w kilka warstw łachów, na głowach mieli czapki nasunięte na uszy, na stopach zdarte buty. W rękach mieli poszarpane torby plastikowe, toboły z brudnych koców. Po drodze przeszukiwali fachowo kosze na śmiecie.

Bezceremonialnie rozsiadali się na ławkach w poczekalniach, rozkładali legowiska na podłodze. Gdy się już umościli, wyjadali coś z papieru, siorbali z puszek. Widać było, że są tu zadomowieni.

Niektórzy głośno perorowali, inni szybko zapadali w sen, wspierając się o ciało sąsiada. W krótkim czasie w poczekalniach nie zostało skrawka wolnego miejsca.

— Las Birnam — pomyślałam. Największe lotnisko świata zamieniło się w gigantyczny dom noclegowy dla miejscowych bezdomnych. Tranzytowych pasażerów oddzielała od hałaśliwej i śmierdzącej nędzy szklana ściana.

W kafeterii paru zapóźnionych klientów gapilo się w wielki ekran telewizyjny, na którym jak zwykle ktoś kogoś zabijał. Jedząc gratisowego hamburgera uzmysłowiłam sobie, że znajduję się na terytorium Nelsona Algrera, barda chicagoskich slumsów. Pisarz kochał to miasto tak, jak się kocha kobietę złego prowadzenia: z furią, awanturami, na granicy rozstania, z niepojętym przywiązaniem. Chicago było w jego przekonaniu najbardziej autentyczną metropolią amerykańską, w której przetrwał duch założycieli. „Jest to ciągle stolica wyjętych spod prawa — napisał w poemacie prozą *Chicago, City on the Make* — ale bezprawie, którego barwa była niegdyś szkarłatna, zmieniło kolor. Wskutek deszczów na tej równinie szkarłat spełzył w nijaką szarość garnituru technokraty własnego chowu, odpisującego swoje procenty”.

Algren, pasjonat i anarchista, zaliczany jest do tak zwanej szkoły chicagoskiej prozy amerykańskiej. Był jednym z tych, którzy usiłowali rozbić ścianę milczenia między dwoma światami: tym, który korzysta z dobrodziejstw cywilizacji i tym, który zna tylko jej brzemie. Przed komunizowaniem ustrzegł go wybujały indywidualizm i zbytni pociąg do kobiet, wódki oraz gier hazardowych. Jednym z patronów literackich Algrena był Walt Whitman i motto z jego wiersza — „Czuję się jednym z nich — należę do tych więźniów i prostytutek — I dlatego nie zaprę się ich — jakże mógłbym zaprzeć się siebie?”* — umieścić na karcie tytułowej drugiej swojej powieści, *Never Come Morning*, ale mogłoby ono figurować na wszystkich jego utworach. Była to twórczość dość jednorodna, którą ogólnie można zaliczyć do gatunku czarnej prozy, choć pod koniec życia Algren zaczął pisywać również poezję. W sumie Nelson Algren napisał pięć powieści: *Somebody in Boots* (1935), *Never Come Morning* (1942), *The Man with the Golden Arm* (1947), *A Walk on the Wild Side*, i już pośmiertnie wydaną *The Devil's Stoking* (1983). Prócz tego ogłosił zbiór opowiadań *The Neon Wilderness* (1947), wspomniany poemat prozą o Chicago (1951), i dwa tomy zapisków z podróży, czy raczej włóczęg po Ameryce oraz po Europie.

Zastanawiając się nad tym, czym jest literatura, Algren sformułował na własny użytek następującą definicję: „Powstaje ona w okolicznościach, gdy aparatowi prawa rzuca się wyzwanie w imieniu sumienia i poczucia człowieczeństwa”. A więc jest to wyraz niezgody na porządek świata, rodzaj prometejskiego buntu. Głównym

* Przekład Czesława Miłosza.

powodem gniewu Algrena była korupcja aparatu władzy i stosowanie podwójnej miary. Kary ponoszą mali przestępcy, podczas gdy wielcy pozostają nietykalni. Pisarz oddał więc głos ludziom zdehumanizowanym przez nędzę, ignorancję, niesprawiedliwość. Postacie przez niego stworzone są pospolitymi przestępcami w dwojakim rozumieniu tego słowa. Po pierwsze, ich czyny są nędzne. Po drugie sprawcy należą do anonimowej masy marginesu społecznego. Nie są to indywidualności na miarę wielkich oszustów i bandytów, otoczone ludową legendą, lecz pożałowania godni nieudacznicy, z góry przegrani w bezwzględnej konkurencji. W tym sensie Algrena — kronikarza slumsów — można uważać za utajonego liryka. Jego tematem przewodnim jest utrata niewinności. Przed zasadzką sentymentalizmu ustrzegła go trzeźwość spojrzenia. Algren bynajmniej nie stara się przekonać swoich czytelników, że złodziej czy narkoman jest w głębi ducha wrażliwą istotą. Odwrotnie — twierdził, że dehumanizacja jest procesem całkowitym i nieodwracalnym. Doszedł do wniosku, na podstawie obserwacji środowiska, że niektórzy ludzie są po prostu źli i głupi, i że wśród pariasów te cechy szerzą się jak zaraza. Ostrzegał, że slumsy zechcą kiedyś wziąć odwet na ludziach żyjących w dostatku. Nie podsuswał jednak żadnych rozwiązań. Swoją rolę widział inaczej: chciał przede wszystkim zarejestrować brutalną realność życia, nie mieszczącą się w pojęciu *American Dream*. I chciał, żeby inni o tym wiedzieli. Mówiąc jego słowami, postanowił wypowiedzieć prywatną wojnę Ameryce wyobrażanej pod postacią Kim Novak.

W roli przewodnika po piekle miejskim był nieubłagany. Opisywał sucho i rzeczowo sceny zbiorowych gwałtów, bójki nożowników, akty znęcania się więźniów nad ofiarą. Znieprawieni bohaterowie jego prozy nieodmiennie kończą źle. Są wydani na oszustwo, zdradę, podstęp, i odpłacają tym samym. Najczęściej gubi ich słabość. Zdaniem jednego z krytyków, „Piekło Algrena żarzy się pragnieniem nieba”. Algren, dając świadectwo losom tych okaleczonych emocjonalnie i moralnie ludzi, jest zasadniczo wiedziony współczuciem. W cyklu rozmów z przyjacielem-pisarzem, wydanych w latach sześćdziesiątych dodaje jednak istotną uwagę: „Nigdy nie wierzyłem w pisanie z wyobraźni. Mój rodzaj pisarstwa jest formą reportażu. Można go nazwać emocjonalnym reportażem, ale — jak wiadomo — niezbędny jest tu konkretny materiał. Samo współczucie nie wystarcza, trzeba je osadzić w realnej scenerii, innymi słowy, żeby to opisać, trzeba wiedzieć, jak funkcjonują sądy w sprawach kryminalnych, jak wygląda cela, jakie ma kraty, jak wyglądają drzwi. I trzeba również umieć słuchać, jak ludzie mówią”.

Narracja Algrena jest zwięzła i zbiektywizowana, jak doniesienie prasowe. Natomiast język, jaki autor stosuje w dialogach, jest precyzyjnym zapisem okaleczonej, koślawej angielszczyzny. Jest to język półalfabetów, którzy z trudem artykułują słowa, angielski gwałcony przez przybyszów z całego świata, z mnóstwem wtrętów obcojęzycznych, slangiem miejskim, lokalnymi gwarami. Właśnie w

warstwie dialogowej Algren najdobitniej przedstawił dehumanizację świata slumsów. Ponieważ wiele postaci w jego książkach pochodzi z polskiego getta, niektóre przytoczone przezeń dialogi są właściwie w pełni zrozumiałe dla czytelników znających i polski, i angielski. Pisarz mieszkał w polskiej dzielnicy Chicago, w małym pozbawionym wygód domu przy 1523 W. Wobansia. Surowy materiał do swoich książek czerpał z najbliższego sąsiedztwa. Niektóre organizacje polonijne nie mogły mu tego darować. Z Unią Polsko-Katolicką, która zażądała od wydawcy wycofania ze sprzedaży powieści *Never Come Morning*, Algren toczył wieloletni spór, nigdy nie zakończony rozejmem. Unia i chicagoski dziennik *Zgoda* uważały Algrena za łajdaka na żoździe Goebbelsa, uprawiającego antypolską propagandę, pisarczyka, który sprokurował tę książkę przy pomocy „wroga niemieckiego i zdradzieckich Polaków”, oszczercę „grupy obywateli, którzy tworzą znaczną część uprawnionych do głosowania w Chicago, grupy, która zbudowała więcej kościołów niż w jakimkolwiek innym mieście, która utrzymuje szkoły parafialne i wspomaga system szkół publicznych — aby zbierać dochody z tej książki, gdy synowie tej grupy etnicznej przelewają krew, a ojcowie, bracia i nawet matki pracują w pocie czoła, nie żywiąc zawiści do nikogo w tym wolnym kraju!” Skrupulatnie wyliczono, że autor użył w powieści 41 razy obraźliwego słowa *Polack*, co daje średnią raz na siedem stron. W chwili wydania książki Algren w szeregach armii amerykańskiej brał udział w II wojnie światowej i zakończył swe doświadczenie bojowe na froncie europejskim. *Never Come Morning* rozeszła się w milionowym nakładzie.

Do terytorium Algrena należą getta etniczne, tanie kina, lokale bookmacherów, bary, burdele i ringi, na których zawodowi bokserzy wykrwawiają się na śmierć za parędziesiąt dolarów. To pociągi towarowe na długich trasach, zatęchłe garkuchnie z darmowym posiłkiem, izby bez okien, stalowe klatki więzień. Młody skazaniec w jednej z opowieści Algrena mówi sędziemu po ogłoszeniu wyroku śmierci: „zawsze wiedziałem, że nie pożyję długo”. I dalej zuje gumę. Algren znalazł ten świat z autopsji. I obserwacje własne, w dużo większym stopniu niż lektury Zoli, zdecydowały o stylu jego pisarstwa. Jest ono wyraźnie naznaczone naturalizmem, co mogłoby świadczyć o żywotności tego już historycznego stylu. Albo o tym, że rzeczywistość widziana przez Algrena miała w dalszym ciągu wiele cech XIX-wiecznego systemu społecznego. Ameryka, kraj wiecznej szansy, złota legenda ubogich. Po to jednak, żeby ktoś mógł się dorobić za życia fortuny, iluś innych musi przegrać.

Nelson Algren był Amerykaninem w drugim pokoleniu. Urodził się w 1909 roku w Detroit w rodzinie imigrantów z Europy wschodniej pochodzenia żydowskiego. Jego matka nigdy nie posiadała znajomości angielskiego. Dojrzewanie Algrena przypadło na lata Wielkiego Kryzysu. To doświadczenie ukształtowało go w sposób zasadniczy. Tylko dzięki pomocy starszej siostry Algren zdołał ukończyć szkołę dziennikarską na uniwersytecie stanowym w Illinois

w 1931 roku. Dyplom nie oznaczał jednak szansy zatrudnienia. Toteż absolwent dziennikarstwa przebył klasyczny szlak bezrobotnych pociągami towarowymi. Kilka lat spędził na południowym zachodzie. Pracował na stacji benzynowej, w warsztacie samochodowym, na farmach. Po powrocie do Chicago — już jako autor kilku opowiadań ogłoszonych w pismach — otrzymał stałe zajęcie w urzędzie miejskim do walki z chorobami wenerycznymi. Mógł tam uzupełniać wiedzę o *anus mundi*. Czytał stałe kroniki policyjne i karty chorobowe w szpitalach miejskich. Większość kreowanych przez Algrena postaci miała swoje odpowiedniki w rzeczywistości — i spore *dossier* na policji. Pisarza fascynowała negatywna energia, która pchała ludzi w przestępstwa, narkomanię, przemoc. Była to przecież ta sama energia, która innych ludzi pchała w górę drabiny społecznej. Wystarczyło tylko odmienić znak.

Nelson Algren należy do pisarzy, których kariera literacka przebiegała skokami. Pierwsza powieść, *Somebody in Boots*, jest rzetelnym świadectwem lat Wielkiego Kryzysu, opowieścią o kilku latach życia dojrzewającego lumpenproletariusza, który przechodzi kolejne stadia znieprawienia. Surowa i posępna uroda tej prozy nie została wówczas zauważona. Autor na dłuższy czas zarzucił więc pisanie. Szczyt popularności Algrena nastąpił pod koniec lat czterdziestych, gdy w Stanach Zjednoczonych i w Europie zachodniej zapanowała moda na „czarne” powieści amerykańskie. Pisarz został pierwszym laureatem nowopowstałej nagrody, National Book Award, otrzymał Pulitzera. Kilka jego powieści zostało wówczas sfilmowanych. Bardzo szybko jednak autor pokłócił się z Hollywoodem i większość skromnych zresztą honorariów stracił na opłacenie prawników w przegranych procesach o prawo autorskie. Algren nie mógł przeboleć, że jego szorstka, brutalna proza została poddana zabiegom upiększającym, które zmieniły ją w wersji filmowej w śliską melodramę. Za osobistą porażkę uważał obsadzenie młodego Franka Sinatry w głośnym ongiś filmie Otto Premingera *The Man with the Golden Arm* zrealizowanym na podstawie jego trzeciej powieści. Krótka historia upadku zawodowego boksera, Franka Maszyny z etnicznego getta, w wyobraźni masowego odbiorcy stała się opowieścią biograficzną o młodości Sinatry. Również odległa od oryginału okazała się ekranizacja jego powieści *A Walk on the Wild Side* z debiutującą wówczas Jane Fondą.

Istotnym elementem sławy Nelsona Algrena w Europie był jego kilkuletni romans z Simone de Beauvoir. W niedawno wydanym zbiorze listów do Sartre'a *la philosophe* szczegółowo donosi morgannatycznemu małżonkowi o okolicznościach poznania Algrena i kolejnych stadiach ich pożycia. „Mój drogi ukochany, pisze Simone de Beauvoir w liście z 38 lutego 1947 roku z Chicago, zatelefono- wałam do niejakiego Nelsona Algrena, przyjaciela Wrighta i ukochanego smutnej Mary' Guggenheim... Spotkaliśmy się o dziewiątej wieczorem w hotelu. To typowy Amerykanin, z nieruchomą twarzą i ciałem bez ekspresji, który zaczynał podróżując po Ameryce pocią-

gami towarowymi i pracując jako posługacz w salach bilardowych. Potem pisał, trochę wydał, a teraz ma na dwa lata kontrakt. Piszcie o Chicago, gdzie zawsze mieszkał, i jego książki przypominają trochę Saroyana i zarazem Damona Runyana”.

Tej samej nocy Simone de Beauvoir odwiedza Algrena w jego domu „ubogiego intelektualisty” i zwiedza z nim bary dzielnicy polskiej, których egzotyka ją upaja. W życiu obojga zaczyna się romantyczny epizod, ciągnący się przez cały czas trzyletniego pobytu pisarki w Stanach Zjednoczonych i zakończony kilku wizytami Algrena w Paryżu. Co więcej, Sartre’owi ten romans jest na rękę, bo jest akurat żywo zainteresowany pewną młodą kobietą w Paryżu. Stara się nakłonić Simone de Beauvoir, aby została jak najdłużej w domu Algrena w Chicago. Lato 1950 francusko-amerykańska para spędza w letnim domu nad jeziorem Michigan, zakupionym przez pisarza dzięki nagrodzie Pulitzera. Następnie Simone de Beauvoir nie tylko dedykuje Algrenowi swoją pseudopowieść, a właściwie autobiograficzne wynurzenia *Mandaryni*, ale na dodatek czyni go jedną z centralnych postaci książki. Z jeszcze większą dokładnością niż w listach do Sartre’a relacjonuje ich życie intymne. Algren, wspominając tę historię po latach, był zażenowany. Był pisarzem, który nie sprzedawał w odcinkach swoich prywatnych przeżyć. Uważał, że nie wypada w literaturze „uprawiać własnego ogródka”. Niemniej romans z *la philosophe* stał się doskonałym wprowadzeniem do salonów egzystencjalistów paryskich, którzy narzucali kierunek ówczesnym modom literackim. Na dodatek Jean-Paul Sartre sam przetłumaczył na francuski powieść Algrena *Never Come Morning*, plebejską balladę o dwojgu przeklętych kochanków: Steffi i Brunonie, zawodowym bokserze. Po sukcesie we Francji szybko przetłumaczono ją na kilkanaście języków.

W oczach przyjaciół-pisarzy był Nelson Algren późną odmianą amerykańskiego Villona. Ci, którzy go dobrze znali — Kurt Vonnegut, H.E.F. Donahue, stary chicagoski dziennikarz Studs Terkel — wysoko cenili jego dar opowiadania, docieklivość spojrzenia i kostyczne poczucie humoru. Ale po okresie wzmożonego zainteresowania Algrenem przez kilka dziesiątków lat towarzyszyło mu niemal całkowite milczenie krytyki. Bliscy ludzie radzili mu, żeby trochę pofolgował czytelnikom, złagodził ton „emocjonalnych reportaży”, dodał tu i ówdzie *happy end*, ale pisarz nie zmienił ani na jotę stylu. W okresie izolacji napisał najdojrzalszą artystycznie powieść *A Walk on the Wild Side*, której bohaterką jest młodociana prostytutka. W latach siedemdziesiątych otrzymał Medal Literatury, przyznany mu przez Amerykańską Akademię i Instytut Sztuki i Literatury, odpowiednik Akademii Francuskiej. Wiosną 1981 roku członkowie Akademii i Instytutu postanowili przyjąć Nelsona Algrena w swoje szeregi Nieśmiertelnych. Jak na ironię, ta decyzja przypuszczalnie przyspieszyła śmierć 72-letniego pisarza, który u schyłku życia przeniósł się z Chicago pod Nowy Jork, do miejscowości Sagh Harbor na Long Island. Umarł we śnie, w przeddzień

biesiady, którą chciał wydać dla przyjaciół z okazji niespodziewanego wyróżnienia.

Wkrótce po jego śmierci kilka mniejszych wydawnictw amerykańskich postanowiło przypomnieć czytelnikom cały jego dorobek, przez lata nie wznawiany. W 1987 roku ukazała się reedycja debiutanckiej powieści Algrena, w tym samym czasie The University of Chicago Press wznowiło jego poemat prozą, nieco później ogłoszono na nowo *Never Morning* i *The Man With the Golden Arm*. Ten powrót zainteresowania czarną powieścią łączy się być może ze wzmożonym zaniepokojeniem w Ameryce środowiskiem marginesu społecznego, rosnącą masą bezrobotnych, wzrostem aktów agresji w gettach etnicznych, coraz popolitszą narkomanią.

Powieści Algrena — dziś już klasyka — niebezpiecznie się zaktualizowały.

Renata GORCZYŃSKA

Tłumaczyć siebie: dwa języki, dwa życia

Co we mnie jest naprawdę? Słowo
W którym się rodzę jak w kolebce

K. Wierzyński

„Tyle razy się żyje, ile się zna języków” — to stare powiedzenie przypomina Stanisław Barańczak w swoim omówieniu książki Ewy Hoffman *Lost in Translation — A Life in a New Language*, której angielskie wydanie ukazało się na nakładem Heinemanna jesienią ubiegłego roku¹, w ślad za dobrze przyjętym wcześniejszym wydaniem amerykańskim. Książka mogłaby stać się jeszcze jedną pozycją w rozległej literaturze opiewającej spektakularny sukces imigranta w „kraju nieograniczonych możliwości”, bo opowiada o drodze osoby przybyłej „znikąd” (tzn. z Polski) bez znajomości angielskiego, która dzięki własnym zdolnościom wspięła się do samego *inner sanctum* amerykańskiego *establishment*'u literackiego, jakim jest redakcja *New York Times Book Review*.

Mogłaby być, ale już sam niepokojący wieloznacznością tytuł — który można przełożyć różnie, albo *Stracone w tłumaczeniu*, albo *Zgubione w tłumaczeniu* — lub też, z subtelną różnicą znaczeniową,

1. Ewa Hoffman, *Lost in Translation: a Life in a New Language*, London, Heinemann, 1989.

Zagubiona w tłumaczeniu — *Życie w nowym języku* — sygnalizuje czytelnikowi, że jeśli sukces, to tylko połowiczny. Książka Ewy Hoffman stanowi osobistą i szczerą próbę odpowiedzi na pytanie: Czy jest możliwe, a jeśli tak, to jak i za jaką cenę można przetłumaczyć samego siebie na obcy język i obcą kulturę? Pytanie to nurtuje rzesze emigrantów na całym świecie; wszystko jedno, czy są nimi z wyboru, czy z twardej konieczności, czy motywowała ich chęć polepszenia bytu, czy są rozbitkami po którejs z kolejnych katastrof dziejowych. Ekspatriacja, wykorzenie z własnej kultury jest dziś udziałem milionów ludzi i nic nie wskazuje na to, byśmy mieli pozbyć się tego problemu w przyszłości. Jest on na tyle powszechny, że można go wręcz uznać za wzór kondycji współczesnego człowieka.

Choć problem wydziedziczenia dzieli dziś miliony ludzi na świecie, tylko niewielu uda się w pełni rozwiązać konflikt, który jest wpisany w sytuację wielokulturowości i osiągnąć stan zadowalającej równowagi pomiędzy kulturą, która ich ukształtowała a tą, w której przyszło im żyć. Jest to szczególnie trudne, jeśli punkt wyjścia i punkt docelowy dzieli duży dystans, a czasem wręcz zasadniczy konflikt wartości. Do osiągnięcia powodzenia w tym trudnym zabiegu „przetłumaczenia siebie” z jednej kultury na drugą trzeba niecodziennych walorów charakteru i inteligencji: pierwsze pozwalają przetrwać szok wykorzenia, trudy aklimatyzacji, obezwładniające ataki nostalgii i wątplenia w siebie. Inteligencja natomiast pozwala sterować procesem adaptacji tak, żeby stał się on w rezultacie dodatkowym elementem rozwoju osobistego i intelektualnego. Tak widziany, zabieg przenicowywania siebie z jednej tożsamości w drugą wydaje się czystym zyskiem. Więc co właściwie gubi się w tym akcie „tłumaczenia siebie” i czy naprawdę ma to znaczenie?

Opowieść Ewy Hoffman rozpoczyna się od obrazu 13-letniej dziewczynki stojącej na pokładzie BATOREGO, który właśnie wypływa z portu gdyńskiego w rejs oceaniczny do Kanady (jest to zapewne świadoma aluzja do klasycznego toposu powieści imigracyjnej). Scena ma miejsce w kwietniu 1959 roku i pozostanie na zawsze w pamięci bohaterki jako symboliczny akt wygnania z Raju, kres szczęśliwego, stabilnego i, jak na owe czasy, względnie zamożnego dzieciństwa w Krakowie (lirycznie ewokowanym na kartach tej książki przy wielu okazjach). Stabilnego i szczęśliwego, nawet jeśli ciąży nad nim widmo zagłady Żydów, a w świadomość dziecka już wkrada się brzemień „inności”, bycia obcym: świadomość jej żydowskiego pochodzenia krystalizuje się w umyśle Ewy dopiero wtedy, kiedy matka strofuje ją za to, że się żegna przechodząc koło kościoła.

Dzieciństwo więc, nawet jeśli powojenne lata w tej części Europy dalekie były od sielanki, zapada w duszę Ewy na zawsze. Na trwałe ukształtuje ono jej typ wrażliwości, jej skłonność do romantycznych uniesień, jej podziw i uznanie dla — w jej poczuciu — specyficznie polskiej cechy charakteru, jaką jest *polot* — „pewna

ekstrawagancja stylu i uczucia". Cechy, którą próbuje kultywować już jako młodziutka, nieźle się zapowiadająca pianistka. Jednym z niezapomnianych przeżyć jest dla niej pierwszy po wojnie koncert Artura Rubinsteina w Krakowie na rok przed jej wyjazdem na stałe do Polski.

Nie, nie jestem patriotką ani też nie pozwolono mi nią zostać. A jednak kraj mojego dzieciństwa żyje we mnie z poczuciem pierwszeństwa, które jest formą miłości. (...) Wszystko, co mi dał ten kraj — to świat, a to przecież dosyć. Nasycił mnie językiem, percepcjami, dźwiękami; rodzajem ludzkim. Dał mi barwy i koleiny rzeczywistości, wszystko to, co umiłowalam najwznieśniej. Absolutnie miłości tych uczuć nie da się już nigdy odzyskać: nigdy już geometria żadnego krajobrazu, żadna mgiełka w powietrzu nie będzie żyła w nas tak intensywnie, jak krajobrazy ujrane jako pierwsze, którym oddaliśmy się całkowicie bez zastrzeżeń.

[wszystkie fragmenty w tłumaczeniu moim]

Druga część książki Ewy Hoffman nosi tytuł *Exile* (Wygnanie) i opisuje pierwsze, ciężkie lata na amerykańskiej ziemi. Pierwszym przystankiem był Vancouver w Kanadzie, gdzie rodzice Ewy nie bez trudu wypracowują podstawy bytu, podczas gdy ona sama z młodszą siostrą idą do szkoły. Tu właśnie rozpoczyna się mozolny trud zmagania się z obczyzną-angielszczyzną i ten proces „tłumaczenia siebie”, którego kolejne etapy opisane są wnikliwie w tej książce. W jakim języku nastoletnia Ewa ma prowadzić pamiętnik? Polski jest językiem najintymniejszych przeżyć, ale ten język nie przystaje do amerykańskiej rzeczywistości. Staje się on powoli „językiem przeszłości” nie do przetłumaczenia”. Tłumaczyć niemniej trzeba, tego domaga się wciskająca się wszystkimi chłonnościami porami rzeczywistość. Nie jest to także sprawa biegu językowej — procesowi tłumaczenia podlegają nie tylko słowa, ale cały system pojęć i wyobrażeń o świecie, postaw, zachowań:

Moja mama mówi, że staję się coraz bardziej „angielska”. Boli mnie to, bo wiem, że chce przez to powiedzieć, że staję się „zimna”. Nie czuję, iżbym była inna niż do tej pory, ale zaczynam się uczyć powściągliwości. Uczę się tego od nauczycielki, która — obserwując gestykulację, którą pomagam sobie w opisie przewodu pokarmowego żaby, każe mi „schować ręce za siebie i dopiero wtedy mówić”. Uczę się tej nowej rezerwy do ludzi, którzy cofają się o krok, kiedy z nimi rozmawiam, bo stoję zbyt blisko i daję im poczucie, że są zbyt „stoczeni”. Później będę się uczyła na kursie socjologii, że dystanse kulturowe różnią się od siebie, ale ja to już wiem.

Nie jest przypadkiem, że dla osoby o wrażliwości językowej i wykształceniu autorki tej książki nie może być lepszej metaforą dla tego przetwarzania siebie, niż „tłumaczenie”. Tłumaczenie jest sumą dwóch procesów intelektualnych: rozumienia sensu tłumaczonego tekstu, a następnie próby adekwatnego przetransponowania tej samej treści na inny system znaków. Ten system znaków to nie tylko

słowa, choć od nich się zaczyna. Każdy użytkownik innego niż macierzysty języka przypomni sobie natychmiast to samo naiwne zdumienie „innością” mowy już świadomie przyswajanej; innością manifestującą się najbardziej bezpośrednio na poziomie czysto fonetycznym, a w sensie głębszym poczuciem, że słowa-znaki nie przylegają w sposób „naturalny” do rzeczy, do których się odnoszą. Oto Ewa Hoffman robiąca to samo odkrycie na własny użytek:

Słowo „rzeka” po polsku miało mocny dźwięk, ożywiony esencją „rzeczności”, moich rzek, mojego zanurzania się w rzekach. „River” po angielsku jest słowem chłodnym, nie mającym wokół siebie żadnej aury. Nie budzi ono we mnie żadnych skojarzeń, nie rozsiewa wokół siebie mgiełki konotacji. Nie wywołuje żadnych wspomnień.

Ale to tłumaczenie siebie na inną kulturę to, oczywiście, dużo więcej niż nabycie choćby największej biegłości językowej. Rozumie to znakomicie taki mistrz (formalnej) sztuki przekładu jak Stanisław Barańczak, zauważając, że „system wartości wpisany niedostrzegalnie w język, jakim mówimy i myślimy, wpływa na nasze zachowanie w stopniu większym niż godzimy się przyznać”. A zatem, podobnie jak obcego języka, trzeba się uczyć „czytać” i „tłumaczyć” ludzi, którzy są nośnikami pewnych treści kulturowych. Imigrant ma z tym często większe trudności niż z językiem. Podobnie i Ewa: jeszcze długo po nabyciu biegłości językowej będzie się skarżyć (mowa o koleżance ze studiów): „Nawet osoba stosunkowo *czytelna* (podkr. moje), jak Lizzy, stanowi problem w tłumaczeniu”. Gdzie indziej: „Wyjaśniamy sobie nawzajem jak *teksty*. Uczymy się *odczytywać siebie* tak, jak się *odcyfrowuje* hieroglify”. Ludzi, jak dobrych książek, nigdy nie da się odczytać do końca. Tak jak do pierwszego potrzeba wyrafinowanego aparatu krytycznego, do drugiego niezbędne jest zrozumienie kontekstu kulturowego, w którym ci ludzie operują. Stąd frustracja Ewy na początku jej amerykańskiego rozdziału życia:

Niemal bez przerwy chodzę wściekła. Nazywam to wściekłością imigrancką, która może wybuchnąć w każdym momencie, na najmniejszą prowokację. Zwrócona jest ona z równą siłą przeciwko „kulturze” — temu dziwnemu stworowi, w którym jestem uwięziona — co przeciwko moim najbliższym znajomym, lub raczej skierowana jest przeciwko kulturze w moich znajomych. Moim problemem jest, że postrzegam sieć poglądów ogólnych nakładającą się na indywidualne osobowości, że jestem świadoma poddania się kolektywnej ideologii tam, gdzie powinnam widzieć tylko wolną grę subiektywności. W najwykleszych, głęboko zakodowanych gestach — jak niechęć do mówienia o pieniądzach lub też opory przed uzewnętrznianiem uczuć takich jak np. smutek — domyślam się tyranii podświadomych konwencji. Tam, gdzie moim znajomym wydaje się, że dają wyraz swoim najgłębszym przekonaniom, ja wężę dogmat mody intelektualnej; w środku dyskusji przestają widzieć twarz poszczególnych osoby i za-

czynam bić głową o ścianę niewidzialnej, nie do przeniknięcia siły zbiorowej.

Ale z czasem osiąga tę niezbędną wiedzę, która pozwala „czytać” i interpretować kulturowe konteksty. Trzecia część książki, zatytułowana *Nowy Świat*, rozpoczyna się sceną eleganckiej party w środowisku nowojorskich intelektualistów, na której autorka czuje się już całkowicie „u siebie”.

Rozumiem już wszystkie sprawy, o jakich się tu mówi i wszystkie kody, jakimi się tu operuje. Reaguję z czujnością nietoperza na wszystkie podświadome sygnały nadawane słowom, spojrzeniom, gestom. Wiem, kto co myśli na temat feminizmu czy Nikaragui, psychoanalizy czy Woody Allena. Mój lekki akcent określa mnie jako kogoś, kto się tutaj nie urodził, ale moi przyjaciele szybko przestają to zauważać. Myślą o mnie jako o jednej z nich, nawet jeśli moje opinie zazwyczaj lekko się różnią od ogólnie przyjętych sądów.

Wydawać by się mogło, że proces tłumaczenia został zamknięty. Czy jednak jest tak naprawdę? Czy może on kiedykolwiek być zakończony? Nawet jeśli się już rozumie i bezbłędnie posługuje nową mową, pozostaje gdzieś na dnie świadomości relatywności postaw i wartości. Sukces doskonałej dwujęzyczności/dwukulturowości niesie w sobie załączek rozdwojenia jaźni; tego, co można by określić mianem kulturowej schizofrenii. Uderzającym przykładem tego jest w książce świetna scena „dialogu wewnętrznego”, w którym autorka, rozważająca perspektywę małżeństwa z Amerykaninem, dochodzi do dwóch przeciwnych wniosków, w zależności od tego, w którym języku rozważa ten projekt.

Jeżeli ta skłaniająca do refleksji książka ma jakieś przesłanie, to jest nim konstatacja, że nie pozostaje nam nic innego, jak pogodzić się z tą dwoistością i z cierpieniem, jakie z niej wynika, w nadziei, że ostateczny bilans tego procesu „tłumaczenia siebie” jest jednak pozytywny. Utracenie psychicznego bezpieczeństwa jednoznaczności, udreka kulturowej dyslokacji może być okupiona nową, głębszą wiedzą o sobie i o życiu:

Nie, nie ma powrotu do punktu wyjścia, nie da się odzyskać dziecięcej jedności. (...) Polski nie jest już dłużej tym jedynym, prawdziwym językiem, w porównaniu do którego wszystkie inne żyją wtórnym życiem. Polskie zrozumienie rzeczywistości nie może być odzyskane w całej jego czystości; (...) Jedność prawd dziecięcych zmieszana jest z podzielnnością dorosłego wątplenia. Kiedy mówię dziś po polsku, mój język jest nasycony, przepojony i odmieniony przez angielski, który już tkwi w mojej głowie. Oba te języki modyfikują się, krzyżują i zapładniają nawzajem. Jeden język relatywizuje drugi. Jak każdy z nas, jestem sumą swoich języków: języka mojej rodziny i dzieciństwa, szkoły i przyjaźni, ale także miłości i większego, ciągle zmieniającego się świata. Może tylko mam większą niż inni świadomość szczylin pomiędzy nimi jak i pojedynczych cegiełek, z których są zbudowane. Te pęknięcia czasem sprawiają mi ból, ale w jakimś sensie dzięki temu wiem, że żyję. (...)

Triumfem Ewy Hoffman jako osoby jest, że poprzez tę „terapię językową” w końcu odnajduje sposób ponownego scalenia siebie. Ewie Hoffman jako pisarce należy się wdzięczność, że tak subtelnie opisała przypadek przeniesienia z jednej kultury w inną i że zasugerowała nam sposoby przezwyciężenia tej typowej choroby naszych czasów.

Teresa HALIKOWSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

- DUDEK (Antoni), PYTEL (Grzegorz). *Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej*. Str. 345 i 5 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1990, cena £ 8, \$ 16).
- GEBERT (Konstanty). *Mebel*. Str. 119 i 1 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1990, cena £ 4, \$ 10).
- KOTT (Jan). *Przyczynek do biografii*. Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1990, cena £ 4,50, \$ 11).
- PODJABŁONIECKI (Wit). *Pieśń walczących Gorców*. Str. 320. (Wyd. nakładem Autora, Chicago 1989).
- LIZAKOWSKI (Adam). *Złodzieje czeresni. Utwory poetyckie*. Str. 66. (Wyd. nie podane).
- POLCUL FOUNDATION (1980-1989). *Informator o działalności*. Str. 52. (Wyd. Polcul Foundation, Rose Bay, Australia).
- ZAGAJEWSKI (Adam). *Plótno*. Str. 71 i 9 nlb. (Wyd. Zeszyty Literackie, Paryż 1990, cena F 65, \$ 12).
- Biuletyn Informacyjny 1990*. Str. 78 (Wyd. Polski Instytut Naukowy w Kanadzie i Biblioteka Polska im. Wandy Stachewicz, Montreal 1990).
- SKWARSKI (Ryszard). *Za zieloną kurtyną. PAX lat 1975-1982*. Str. 184. (Wyd. PFK, Londyn 1990, cena £ 7,50).
- MOSZKOWICZ (Michał). *Zamach*. Str. 284. (Wyd. Polonica, Norrborg, Szwecja, 1990).
- POMIAN (Andrzej). *Polska broni niepodległości. 1918-1945. Szkice publicystyczno-historyczne*. Str. 167 i 1 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1990, cena £ 6,90).
- MERRILL (James). *Wybór poezji*. Przekład i opracowanie Stanisław Barańczak. Str. 123 i 5 nlb. (Wyd. Zeszyty Literackie, Paryż 1990, cena F 72, \$ 13).
- RAKOWSKI (Janusz). *Eugeniusz Kwiatkowski. Szkic biograficzny młodych lat na tle ruchu niepodległościowego ZETU i ZARZEWIA 1886-1920*. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1977).
- GARCZYŃSKI-GĄSSOWSKI (Ludomir). *Kariera Gierka i pucz generała*. Wydanie II uzupełnione. Str. 162. (Wyd. Wydawnictwo Jedność, Sztokholm 1990).
- WITTLIN (Tadeusz). *Nad szarej Wisły brzegiem... Książka o Stefanie Wiecheckim-Wiechu*. Str. 302 i 2 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1990).
- MACHEJ (Zbigniew). *Dwa zbiory wierszy*. Str. 88. (Wyd. Puls, Londyn 1990).
- Współnota Europejska w oczach Polaków. Wybór publicystyki i dokumenty*. Str. 222 i 2 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1990).

- TUWIM (Julian). *Z wierszy ocalałych*. Str. nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1989).
- PORAY-BIERNACKI (Janusz). *Słowo o bitwie. Tryptyk powieściowy*. Str. 275 i 13 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Polonia, Warszawa 1989).
- Ethos* nr 6/7. *Kwartalnik Instytutu Jana Pawła II, KUL*. Str. 372 i 4 nlb. (Wyd. Instytut Jana Pawła II, KUL, Lublin, oraz Fundacja Jana Pawła II, Rzym).
- POPRAWA (Adam). *Komentarz do Daniego*. Str. 24. (Wyd. Wydawnictwo Kret, Wrocław 1990).
- LIZAK (Wojciech). *Czy Szczecin może nie być polski?* Str. 24. (Wyd. Niezależny Zespół Solidarnościowy, Szczecin 1990).
- Polityczni. Opowieści uwieczonych w Polsce (1981-1986)*. Str. 182. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1989).
- Krajobraz po szoku*. Str. 173 i 3 nlb. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1989).
- SANDS (Bobby). *Jeden dzień w moim życiu*. Z angielskiego przeł. Piotr Stalmaszczyk. Str. 59 i 1 nlb. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1990).
- ANDRZEJEWSKI (Miroslaw). *Głowa do góry*. Rysunki satyryczne. Str. 112. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1990).
- KAMIŃSKI (Andrzej Józef). *Koszmarnie niewolnictwa. Obozy koncentracyjne od 1896 do dziś*. Analiza. Z niemieckiego przeł. Halina Zarychta i Autor. Str. 276 i 4 nlb. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1990).
- WOŁKOW (Władimir). *Montaż*. Przeł. z francuskiego Adam Zalewski. Str. 266 i 2 nlb. (Wyd. CDN, Warszawa 1990).
- WÓYCICKI (Kazimierz). *Czy bać się Niemców?* Str. 88. (Wyd. CDN, Warszawa 1990).
- ORYSZYN (Zyta). *Historia choroby, historia żaloby*. Str. 81 i 3 nlb. (Wyd. PoMost, Warszawa 1990).
- Commentary*. Zeszyt 2, 88. Wybór i redakcja Roman Zimand. Str. 180 i 4 nlb. (Wyd. CDN, Warszawa 1990).
- VON KROCKOW (Christian, Graf). *Czas kobiet. Wspomnienia z Pomorza 1944-1947. Wędug relacji Libussy Fritz-Krockow*. Przeł. Iwona Burszta-Kubiak. Str. 160 i 8 nlb. (Wyd. CDN, Warszawa 1990).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Dziennik pisany nocą 1971-1972*. Str. 183 i 7 nlb. (Wyd. Res Publica, Warszawa 1990).
- GOMBROWICZ (Witold). *Testament*. Str. 106 i 6 nlb. (Wyd. Res Publica, Warszawa 1990).
- SANDUCCI (Konstanty). *Wielki bluff. Rzecz o Gorbaczowie*. Str. 68 i 3 nlb. (Wyd. Wielkopolska Agencja Wydawnicza Kłincz, Poznań 1990).
- NAJDER (Zdzisław). *Wymiary polskich spraw*. (Wyd. Wydawnictwo Wolne Pismo, Warszawa 1990).
- URBANOWSKA (Zofia). *Gucio z czararowany*. Przedmowa Czesława Miłosza. Str. 130 i 6 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1990).
- MIŁOSZ (Czesław). *Poematy*. Str. 214 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1990).
- Polin. A Journal of Polish-Jewish Studies*. Vol. 4. Str. 498 i 4 nlb. (Wyd. Basil Blackwell dla Institute for Polish-Jewish Studies, Oxford).
- NAHAYŁO (Bohdan), SWOBODA (Victor). *Soviet Disunion. A History of the Nationalites Problem in the USSR*. Str. 432. (Wyd. Hamish Hamilton, Londyn 1990).
- WYNAR (Lubomyr R.). *Mykhailo Hrushevsky. Ukrainian-Russian Confrontation in Historiography*. Str. 66. (Wyd. Ukrainian Historical Ass., Toronto-New York-Munich, 1988).
- The Tel-Aviv Review*, vol. nr 2, Fall 1989/Winter 1990. Str. 442 i 22 nlb. (Wyd. Ah'shav Publishers, Tel-Aviv 1990, cena \$ 16,95, w subskrypcji \$ 12).
- PELIKAN (Jaroslav). *Confessor Between East and West. A Portrait*

- of Ukrainian Cardinal Josyf Slipyj*. Str. 249 i 3 nlb. (Wyd. WM. B. Eerdmans Publ. Co., Grand Rapids, MI, USA 1990).
- WYSPIAŃSKI (Stanisław). *The Wedding*. Przetłóżył Gerard T. Kapolka. Str. 209 i 7 nlb. (Wyd. Ardis, Ann Arbor USA 1990).
- Pologne. Dernières nouvelles de l'Atlantide*. Str. 229 i 3 nlb. (Wyd. Editions Autrement, Paryż 1990).
- MAREK (Edmond). *Le général Sikorski et ses soldats dans la campagne de France (1939-1940)*. Str. 40 i 4 nlb. (Wyd. Club Culturel Polonia-Nord, Lille 1990).
- MAREK (Edmond). *Le Père des pestiférés de Jules Slowacki (1809-1849)*. Str. 73 i 3 nlb. (Wyd. Club Culturel Polonia-Nord, Lille 1990).
- Mémorial polonais en France. II*. Str. 24 (Wyd. Société pour la protection des souvenirs et tombeaux historiques polonais en France, Paris 1989).
- PROGUDIS (Lakis). *Un écrivain malgré la critique. Essai sur l'oeuvre de Witold Gombrowicz*. Str. 244 i 8 nlb. (Wyd. Gallimard, Paryż 1990, cena F 95).
- HERBERT (Zbigniew). *Monsteur Cogito et autres poèmes*. Przel. Alfred Sproede. Str. 145 i 7 nlb. (Wyd. Fayard, Paryż 1990, cena F 150).
- RATZA (Odo, opr.). *Antworten zu Deutschland-Fragen*. Str. 80 i uzupełnienie str. 24. (Wyd. Kulturstiftung der deutschen Vertriebenen, Bonn 1990).
- Ostdeutsche Gedenktage 1990*. Str. 328. (Wyd. Kulturstiftung der deutschen Vertriebenen, Bonn 1990).
- ANDRASCHKE (Peter, wyd.). *Der Reger-Schüler Fritz Lubrich (1888-1971)*. Str. 148 i 4 nlb. (Wyd. Laumann-Verlag, Dülmen 1989).

POLONIA BOOKSTORE

Największa Księgarnia Polska w Ameryce

2886 Milwaukee Ave.
Chicago, IL 60618

tel. (312) 489-2554

Polecamy szeroki wybór książek w języku polskim: Literatura Piękna, Społeczno-Historyczna, Poezja, Książki dla Dzieci i Młodzieży, Książki o Tematyce Religijnej, Słowniki, Podręczniki do Nauki Języków Obcych, Poradniki, Książki Kucharskie.

Bogaty wybór książek o tematyce polskiej w języku angielskim. Czołpisma emigracyjne i z Polski, płyty gramofonowe, kasety muzyczne.

Nasz katalog wysyłamy bezpłatnie

Książka to kultura w domu

„Z każdym będziemy rozmawiać, ale nie z Jaruzelskim”

Mówiono tak w kraju? Mówiono i to głośno.

W jednym ze swych ostatnich przemówień śp. Kazimierz Sabbat powiedział, że smutny to będzie dzień, gdy prezydentem PRL zostanie człowiek, który wyprowadził czołgi przeciwko swemu narodowi. Cicho zaprotekowałam: nie „swemu narodowi”.

Człowiek ten zrobił karierę wojskową w latach 1945-47 przy utrwalaniu władzy ludowej w Polsce, przez walki z resztkami Armii Krajowej. Więc i w 1981 r. wystąpił nie przeciw własnemu narodowi, a przeciw Polakom.

Kiedy przed laty Jaruzelski został premierem, w pierwszym swoim przemówieniu w Sejmie zapowiedział: „nie cofnę się przed rozlewem krwi”. Mam to nagrane na taśmie.

Wreszcie w Magdalence kantem wynegocjował sobie u „Solidarności” stanowisko prezydenta. „Wasz prezydent — nasz premier”. 35% w Sejmie dla was i idziemy rączka w rączkę. I niczego komuniści nie oddali, przeciwnie, umocnili swoje stanowisko powiewając chorągiewką „Solidarności”.

Naród odetchnął. Skończył się terror. Ludzie wyszli z więzień. Armatki wodne zeszyły z ulic. Milicja, tylko przez nieporozumienie, rozpędziła kilka pokojowych demonstracji. Przez przyzwyczajenie zabija „na komisariatach” zatrzymanego w którymś z miast człowieka. Tak jak np. Tomaszewskiego w Ślucku. Któż znał Tomaszewskiego? Kto dochodził w kraju, dlaczego go zamordowano? Kto protestował na emigracji? Zdarzyło się, zginął człowiek o nieznanym nazwisku. Jeszcze jeden Polak, cóż to za różnica.

Zmieniła się atmosfera!

Trzeba odmienić i oblicze:

PRL — przestała istnieć. Jest Rzeczpospolita z ukoronowanym orłem. Trzeba tylko dodać: która?

Radość i brawa. W pierwszym dniu roku, tu w Londynie na zamku polityczni emigranci walą w dłoń. Paru obecnych tam ludzi

z kraju patrzy na siebie ze zdumieniem. Co się zmieniło? Przypomina się królik z pisma podziemnego, który mówi do kameleona: „To nie sztuka być kameleonem. Sztuka nim nie być, a móc się zmierzać, jak zajądnie potrzeba”. Więc odmieniamy się dalej. PZPR — komuniści? Broń Boże! W zamian mamy:

a) Unię Socjaldemokracji RP z Fiszbachem na czele. Doszli do wniosku, że system komunistyczny zawiódł. Mimo to należą do klubu komunistycznego w Sejmie.

b) Socjaldemokrację RP z Kwaśniewskim i Millerem. Ci głoszą się spadkobiercami PZPR i zarządzają masą upadłościową po niej.

Obie te partie kokietują Ruch Ludzi Pracy z Miodowiczem na czele i 100 ludzi z Klubu Poselskiego, którzy też są do wzięcia.

MSW — wiadomo, gen. Kiszczak. Chyba dla złagodzenia wrażeń na dźwięk tego nazwiska „Solidarność”, parę tygodni temu, uplasowała w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych swego wiceministra, Krzysztofa Kozłowskiego, redaktora *Tygodnika Powszechnego*.

UB — też w gronie przebierańców. Nazywa się obecnie „Urząd Ochrony Konstytucji”. Tu trzeba zapytać: *jakiej konstytucji?*

SB — zatrzymuje działy wywiadu i kontrwywiadu, ale zmienia nazwę na „Urząd Ochrony Państwa”.

ZOMO — zmieniono na OPMO, czyli Oddziały Prewencyjne Milicji Obywatelskiej.

Milicja — na razie pozostaje tak jak jest. Na zapytania poszkodowanych, dlaczego nie reaguje na kradzieże i napaści, odpowiada: „Niech ich Mazowiecki gania”. W przyszłości ma być podniesiona do rangi Policji Państwowej.

ORMO — to moja ulubiona, znajoma jednostka. Obecnie zowie się „Stowarzyszenie Wspierania Porządku Publicznego”. Znajoma, bo powołana do życia ku obronie i podparciu tworzących się komórek PPR w latach 1945. Ci amatorzy komunizmu wtedy jeszcze wstydzieli się i bali reakcji sąsiadów po wsiach.

Tyle mi wiadomo i tyle Państwu przekazuję. Dodać muszę, że jak uczy Pani dr Lidia Ciołkoszowa — przyjęcie nazwy „socjaldemokracja” oznacza sięganie do korzeni Socjaldemokracji Królestwa i Litwy, że w tej dawnej Socjaldemokracji byli Dzierżyński, Marchlewski i Róża Luksemburg, usilnie zwalczająca niepodległość Polski. Stamtąd też wywodzi się polski komunizm.

Magdalena — obrady przy okrągłym stole — „bez kantów” — jak mówi ulica. Co tam nam komuniści oddali? Oddali, czy otrzymali w darze? Za zgodą „Solidarności”, za orłem w koronie i zmienionymi sztyldami siedzą ci sami ludzie. W miejscach newralgicznych, jak pionki na szachownicy, ustawiono generałów i pułkowników. Generała Jaruzelskiego i jego wojsko.

Mamy rząd Tadeusza Mazowieckiego. Mamy swoje 35% w Sejmie. I mamy przecież naród polski, ciągle jeszcze głodny, czekający na to, by „góra przestała gadać i zajęła się oczyszczaniem dołów z nomenklatury”. W dołach nic nie chce się zmienić. Ludzie w kraju zamiast poprawy przewidują głęboki kryzys gospodarczy w

najbliższych miesiącach i zaciskają zęby, by nie stracić cierpliwości.

Obrady w Magdalence są powtarzane. Po tych z początku lutego br. na ulicach Warszawy i Wrocławia padł okrzyk „Targowica”.

Na to wszystko i na Lecha o 14-tu doktoratach patrzy spoza czarnych okularów pan Jaruzelski. Łatwiej nie patrzeć ludziom prosto w oczy. Także te okulary podkreślają tajemniczość osoby. Podobno gdzieś powiedział, że z tajemnicami zejdzie do grobu.

Przybył na ziemię polskie w szeregach wojsk Rokossowskiego. W I Armii Polskiej. Armii, która wkrótce została użyta do palenia wsi polskich i ukraińskich. Która wyłoniła 2 jednostki Brygad Zaporowych do oczyszczania zaplecza z wrogiej reakcji. Zły los chciał, że miałam przykreść zapoznania się z tymi bandytami.

W literaturze znajdują się wzmianki, że Jaruzelski zasłużył się w utrwalaniu rządów ludowych. Że, jako zdolny organizator i utalentowany taktyk wojskowy, szybko awansował od roku 1945 począwszy. W *Who's Who in Poland*, wydanym pod licencją agencji w Zurychu przez Interpress w Warszawie w 1982 r., pod hasłem Jaruzelski widnieje między innymi: „*After the war took part in fighting against armed underground organizations in 1945-1947*”.

Inaczej powiedziawszy, zarobił sobie na rangę generała w walce przeciw — narodowi polskiemu! Jak zarobił sobie na stołek prezydencki, o tym wiadomo. Podkreślę tylko, że oprócz stołka dano mu prawo jednym pociągnięciem pióra przekreślić istnienie Sejmu, Senatu, zlikwidować rząd i pokazać Lechowi, kto może się „zde-nerwować i objąć rządy”.

Po otrzymaniu cynku z Moskwy za pośrednictwem Siwaka pojechał do Davos i wbrew wszystkim oświadczył, że mu pobyt Armii Czerwonej w Polsce nie przeszkadza. No. „Tak i ładno!”

A co słysząc na podwórku emigracyjnym? *Dziennik Polski* rozsyła ulotki z hasłem „Jedziemy do naszej nowej Polski”. Hasło podjęte — jada. Nie tylko ci, którym sprawa polska od lat jest obojętna. Jeszcze w grudniu 1989 r., po raz nie wiem który, ustalono w Radzie Narodowej, że działacze polityczni mają obowiązek wierności zasadzie, że nie uznaje się PRL-owskich rządów i do PRL-u nie jeździ. Tymczasem teraz, do tzw. Rzeczypospolitej pod rządami Jaruzelskiego, ciągną jak klucze żurawi. Kto emigrację zaraził euforią radosnego zwycięstwa? Z oczami zamydłonymi symbolami i tanim patriotyzmem, spieszą z nagle powstałą chęcią do „wzięcia udziału”. Udziału w czym? Że na posady mogą zgłaszać się amnestionowani, z odwołaną karą śmierci, czy z łaskawie zwróconym obywatelstwem, bezprawnie odebrany, to już wszystko? Przypomina się piosenka Hemara:

Amnestia, wracaj do kraju, nie będziesz prześladowany....

Jadą także ludzie dotychczas odpowiedzialni za poważne działy pracy. Czy za zgodą rządu na emigracji? Akowcy — czy za zgodą Rady Naczelnej AK w Londynie? Jadą na obserwacje! Obiecują nie reprezentować. A po ich powrocie dowiadują się, że w kraju

podjęto decyzję, że wszyscy akowcy na całym świecie są w jednej akowskiej organizacji. Bardzo proszę, ale bez mnie. Nie życzę sobie, aby moi koledzy w kraju pomyśleli, że cała emigracja uznaje komunistyczne rządy, nawet te okrojone o 35%. Należę do emigracji politycznej i cokolwiek stanie się w kraju, stąd będę mu służyć. Dlatego jestem pełna obawy, że tak wielki wysiłek kieruje się obecnie na opracowanie warunków, na jakich i kiedy legalne insygnia prawdziwej Rzeczypospolitej Polskiej będą przekazywane. Czy aby nie za wcześnie?!

Politycznie uświadomieni ludzie z kraju z przerażeniem i gniewem odbierają wiadomości o rozmięczeniu emigracji. „Dotychczas wspomagaliście ruchy oporu. Kogo wspieracie teraz?” — pytają. Boją się, że kiedy nareszcie wpłyną te obiecane dolary, odezwie się typowe polskie: „Kto dostał? Dlaczego się nie wyliczył? Komu dał cichą rączką? Ile ukradł?”. Boją się, że zabiedzony naród, pozbawiony nadziei na lepsze, może wyjść na ulice z protestem dotychczas niespotykanym. Trzeba będzie zaprowadzić porządek.

Za czarnymi okularami spokojnie czeka pan Jaruzelski. Już raz zafundował w 1981 r. prezent Breżniewowi. Dlaczego teraz miałby odmówić przysługi Gorbaczowowi, by go odciążyć od wewnętrznych sowieckich kłopotów? Z obawy, że krew się poleje? Panowie, nie pierwszy raz z ręki Jaruzelskiego!

Pytam: gdzie wtedy będzie emigracja?

I tu pozwolę sobie zacytować poetę, Karola Wojtyłę:

*Całym sobą płacisz za wolność — więc to wolnością
nazywaj, że możesz, płacąc ciągle na nowo, siebie
posiadać. Tą zapłatą wchodzimy w historię i dotykamy
jej epok: któredyż dział pokoleń? Między tymi co
nie dopłacili, a tymi co musieli nadpłacić? Po której
jesteśmy stronie?*

Przekazując Państwu słowa Papieża Jana Pawła II — kończę.

Halina MARTINOWA

Londyn 25.03.90

Evanston, Ill., 26 maja 1990

Wielce szanowny Panie Redaktorze,

„Pytania pod adresem pana Simonsa” (*Kultura* nr 5) p. Tadeusza Kontka mogą prowadzić do fałszywego wniosku, że ambasador dyktuje swemu rządowi nie tylko politykę wobec państwa, w którym

jest akredytowany, lecz także ustawy imigracyjne. W dodatku ambasador Stanów Zjednoczonych w Warszawie ma prowadzić politykę polską na arenie międzynarodowej i wewnątrz swego kraju.

Czytając pytania p. Kontka pod adresem nominata na ambasadora Stanów Zjednoczonych w Warszawie, przypomniał mi się profesor Uniwersytetu Loyola w Chicago, Franciszek Schwarzenberg (ze starego książęcego rodu austriackiego, w służbie dyplomatycznej niepodległej Czechosłowacji), który wykłady o sprawach międzynarodowych obrazował przykładami z dziejów dyplomacji. Mimo upływu lat utkwiał mi w pamięci jeden przykład. Przodek profesora, ambasador austriacki w Piemencie, po ostrej wymianie zdań z ministrem spraw zagranicznych królestwa wypowiedział mu wojnę i popędził (końmi) do Wiednia. Po dotarciu do granicy austriackiej zarządził stan pogotowia w małym garnizonie przygranicznym, polecając dowódcy, by zaalarmował sąsiednie garnizony o wypowiedzeniu wojny Piemontowi.

Te czasy minęły bezpowrotnie. Telegraf, telefon i radio zmniejszyły rolę ambasadorów. Któryś z publicystów amerykańskich pisał, że obecnie ambasador jest tylko „listonoszem”, doręczającym noty swego rządu ministrowi spraw zagranicznych państwa, w którym jest akredytowany. Jest to przesada. Inteligentny ambasador znający język ludności kraju jest najważniejszym informatorem o stosunkach panujących w nim i może być najlepszym doradcą swego rządu w sprawie polityki wobec tego kraju.

Pytania p. Kontka, co nominat na ambasadora myśli o pomocy dla Polski, są uzasadnione. Nie budzi również zastrzeżeń rada, by ambasador utrzymywał „kontakty ze wszystkimi politycznymi, związkowymi i społecznymi ugrupowaniami mającymi poparcie w społeczeństwie polskim”.

Zdumiewające są jednak żądania wobec ambasadora w dziedzinie polityki imigracyjnej Stanów Zjednoczonych. „Skoro odmawiamy statusu uchodźcy obywatelom polskim z powodu zmian zaszłych w Polsce — pisze p. Kontek — dlaczego mamy przyjmować wnioski o status uchodźcy ze Związku Sowieckiego, gdzie dokonują się podobnie dramatyczne zmiany? Obywatele polscy mają takie same podstawy do statusu uchodźcy jak i Sowietów”. O tym decyduje rząd, a nie ambasador. Zastanówmy się, czy Polacy mają „takie same podstawy do statusu uchodźcy” jak obywatele sowieccy. Chodzi tu o Żydów i Ormian, którzy wyjeżdżają z państwa rządzonego przez Rosjan. Ormianie uciekają z Azerbejdżanu, gdzie znowu są masakrowani przez ludność muzułmańską. Polacy wyjeżdżają z Polski, gdzie skończyły się prześladowania, ale jest bieda, wyjeżdżają więc „za chlebem”. Żydzi i Ormianie opuszczają ZSSR przed szykanami, prześladowaniami i śmiercią. Są to podstawy do uzyskania azylu, których (na szczęście!) nie mają Polacy.

Jeszcze większe zdziwienie budzą żądania pod adresem ambasadora w Warszawie, by wpływał na politykę swego rządu wobec Polaków, którzy pozostali w Stanach po wygaśnięciu wizy i wbrew

prawu pracują zarobkowo. Aresztowania osób przebywających w Stanach nielegalnie (po wygaśnięciu wizy) i pracujących wbrew prawu, obejmują nie tylko Polaków. Nie możemy więc mówić o akcji antypolskiej. Pracujący nielegalnie łamią prawo i jedyną drogą zapobieżenia aresztowaniom byłaby zmiana ustawy imigracyjnej. W Stanach Zjednoczonych jest to procedura długa i wymagająca zorganizowanej akcji wielu środowisk. Przykładem jest obowiązująca ustawa imigracyjna, którą walcowano w Kongresie Stanów Zjednoczonych przez kilka lat. Kongres Polonii Amerykańskiej, wspólnie z organizacjami innych grup etnicznych, popierał uchwalenie ustawy, mimo niektórych niekorzystnych postanowień, ponieważ przyznawała amnestię i prawo stałego pobytu wszystkim imigrantom, którzy przybyli do Stanów Zjednoczonych przed 1 stycznia 1982 r. i pozostali po wygaśnięciu wizy. Amnestia obejmowała kilkaset tysięcy Polek i Polaków. Niestety nie wszyscy z niej skorzystali.

Aresztowani za pracę nielegalnie budzą współczucie, ponieważ tracą źródło utrzymania, a jeżeli chcą obalić nakaz deportacji, muszą zaangażować adwokata, co kosztuje dużo. Pracują nielegalnie także „turyści” z Włoch, Grecji i Portugalii oraz najliczniejsi Meksykanie, ale aresztowania ludzi pracujących nielegalnie z tych grup etnicznych zdarzają się rzadko. Wielu Polaków zarzuca urzędnikom imigracyjnym niechęć lub nienawiść do naszego narodu. Na pewno są tacy. Jeżeli urzędnik ma nazwisko niemieckie lub jest pochodzenia żydowskiego, większość rodaków nie ma wątpliwości, że ma do czynienia z wrogiem. Z doświadczenia wiem, że większość „najazdów” na zakłady, w których pracują Polki i Polacy, jest rezultatem donosów rodaków, a nie wrogości urzędników imigracyjnych.

Zmarły dwa lata temu prezes K.P.A., Alojzy Mazewski, w pewnym okresie nawiązał dobre stosunki z ówczesnym dyrektorem Biura Imigracyjnego w Chicago. To z kolei ułatwiło mi, jako redaktorowi *Dziennika Związkowego* (obecnie jestem na emeryturze) uzyskiwanie różnych informacji (nie tylko oficjalnych zarządzeń) od niektórych urzędników. Po jednej konferencji prezesa Mazewskiego z dyrektorem Urzędu Imigracyjnego asystent dyrektora poprosił mnie do swego biura i pokazał pękata teczkę z donosami Polaków na Polaków pracujących nielegalnie. Nie zdziwiłem się, ponieważ kilkakrotnie rodacy nie znający angielskiego zwracali się do mnie, bym w ich imieniu zawiadomił Urząd Imigracyjny, że w danej fabryce lub biurze pracują nielegalnie Polacy. Odmawiałem i próbowałem przekonać donosicieli, by tego nie robili. Czasem osiągałem cel, ale nie zawsze. Jeden z donosicieli zarzucił mi, że jestem złym obywatelem amerykańskim, natomiast on, choć dopiero otrzymał obywatelstwo, uważa za swój obowiązek zawiadomić władze o łamaniu praw przez „turyistów” z Polski. Donos do Urzędu Imigracyjnego w Chicago nie odniósł skutku. Wobec tego „patriota” wysłał donos na Urząd Imigracyjny w Chicago do Głównego Urzędu Imigracyjnego i Naturalizacji w Waszyngtonie,

oskarżając lokalnych urzędników o łapownictwo. Trudno się dziwić, że zraziło to do Polaków nawet przyjaźnie nastawionych pracowników Urzędu Imigracyjnego w Chicago. Wierzę, że był to przypadek odosobniony, ale nie są odosobnione donosy z głupoty, zawiści, zemsty osobistej lub chęci przypodobania się władzom.

Pracujący nielegalnie zasługują na współczucie nie tylko wtedy, gdy zostaną aresztowani i otrzymają nakaz opuszczenia Ameryki. Są oni ofiarami nieustannego wyzysku. Otrzymują niższe wynagrodzenie za pracę, często muszą dać łapówkę (ściąganą w ratach) by otrzymać pracę, a po jej spłaceniu są zwalniani. Płacą adwokatom i różnym pośrednikom przyrzekającym im wystąpienie o prawo stałego pobytu. Prawo ich nie może chronić, ponieważ odmawiają zeznań (w obawie przed deportacją).

Wyzysk pracujących nielegalnie skłonił Kongres Polonii Amerykańskiej do naciskania na pracodawców, by głosowali za ustawą imigracyjną, mimo, że zawiera ona niekorzystne postanowienia. Trzeba było wybierać mniejsze zło. Jej uchwalenie skończyło wyzysk setek tysięcy Polek i Polaków, ale od 1 stycznia 1982 r. przybyły do Stanów Zjednoczonych dziesiątki tysięcy Polek i Polaków na wizy turystyczne. Większość z nich zaczęła natychmiast pracę zarobkową i postanowiła pozostać po wygaśnięciu wizy. Dżungla wyzysku znowu się rozrasta.

Jest to zagadnienie wewnętrzne, b. skomplikowane i, wobec sprzecznych interesów oraz poglądów różnych wpływowych środowisk, trudne do rozwiązania. Ambasador nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. Trzeba opracować rozsądne poprawki do ustawy imigracyjnej, uzgodnić je z innymi grupami narodowościowymi, znaleźć ustawodawców gotowych wnieść je pod obrady Kongresu i dopilnować, ażeby były uchwalone.

Z głębokim szacunkiem i serdecznymi życzeniami

Jan KRAWIEC

W *Kulturze* nr 11/1989 ukazał się tekst M.E. Żółtowskiej nt. francuskiego wydania „Rękopisu znalezionej w Saragossie” Jana Potockiego, w którym autorka formułuje liczne zarzuty pod adresem autora rekonstrukcji tekstu, René Radrizzani’ego. Poniżej zamieszczamy jego odpowiedź i sprostowania.

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł M. E. Żółtowskiej nt. „Rękopisu znalezionej w Saragossie” wymaga kilku sprostowań.

1. Rekonstrukcji tekstu Jana Potockiego podjąłem się z entuzjazmu dla dzieła, nie myśląc początkowo o żadnej publikacji, choć

nie istniało ani też nie było przygotowywane — o ile wiedziałem — żadne wydanie francuskie. Zdawałem sobie sprawę, że w razie publikacji tekst byłby udoskonalany w miarę odkrywania nowych źródeł. Dopiero w listopadzie/grudniu 1988, kiedy tekst znajdował się w całości na komputerze, skontaktowałem się z wydawnictwem Corti, które natychmiast zgodziło się go opublikować.

2. O pani Żółtowskiej usłyszałem po raz pierwszy w grudniu 1988, kiedy to miałem możliwość zapoznać się z *Zeszytami warszawskimi* (*Cahiers de Varsovie*) w Bibliotece Uniwersyteckiej w Lozannie (fakt ten można sprawdzić). Jeśli chodzi o nieopublikowaną pracę doktorską p. Żółtowskiej, to mogłem się z nią zapoznać dopiero w październiku 1989 (czyli długo po ogłoszeniu książki): wtedy dopiero dotarła do mnie sporządzona na moją prośbę fotokopia tej pracy, o czym zaświadcza kwit przesyłki. Gwoli ścisłości dodaję, że oba te tytuły nie figurują w Bibliotece Narodowej w Paryżu pod nazwiskiem Jana Potockiego.

3. Pomysł odtworzenia tekstu na podstawie źródeł nie jest własnością p. Żółtowskiej, jak naiwnie zdaje się sądzić. Pozwolę sobie nawiasem dodać, że sporządziłem już wiele edycji krytycznych, co nie zdaje się być przypadkiem p. Żółtowskiej.

Fakt, że p. Żółtowska uważa wydania Kukulskiego za źródła, podczas gdy są to wydania sporządzone na podstawie rozmaitych wydań, a nawet nieco przez wydawcę zmienione, daje dziwne wyobrażenie o jej metodzie pracy.

4. Rękopiśmienne źródła, na których się oparłem (teksty drukowane należą do domeny publicznej) zostały mi dostarczone, zanim przeczytałem choć jedną linijkę pióra p. Żółtowskiej, przez Bibliotekę Narodową w Warszawie, która skupia wszystkie zbiory publiczne w Polsce.

Rękopis z Pontarlier zasygnalizował mi mój wydawca. Włączyłem go do tekstu na początku 1989 roku.

Sprawdziwszy ponadto katalogi rękopisów w bibliotekach francuskich, rosyjskich, niemieckich, amerykańskich i angielskich, miałem pełne prawo uważać, że o ile mnie wiadomo, inne manuskrypty nie istnieją.

Zwracam uwagę, że nowe wydanie mojej rekonstrukcji tekstu bierze pod uwagę trzy nowe rękopisy, o których istnieniu dowiedziałem się później.

5. Przypisów nie zaczerpnąłem bynajmniej z wydania Kukulskiego (które znałem), lecz sporządziłem i sprawdziłem sam: wystarczy je porównać. Sprawdziłem m.in. wszystkie teksty, do których powieść się odwołuje (Happel, Filostrates, Pliniusz, Jamblich etc.).

P. Żółtowska ma zastrzeżenia do dwóch przypisów (na około trzysta) dotyczących dokładnych dat, odkrytych przez rosyjskiego wydawcę S. Landę, mianowicie daty *imprimatur* wydanego przez petersburski urząd cenzury dla trzynastu *Pierwszych Dni*. Otóż daty te, które znalazłem w artykule p. Żółtowskiej ogłoszonym w *Zeszytach warszawskich* nr 3, już w trakcie publikacji (grudzień 1988 —

styczeń 1989) i włączyłem do niej w ostatniej chwili, mają być podobno błędne, gdyż p. Żółtowska przyznaje, że oparła się na „pogłoskach”, których nie sprawdziła. Dziwny to zarzut nieściśłości!

6. O ile zgadza się z prawdą, że przy fragmentach, które musiałem ponownie tłumaczyć z polskiego, odwoływałem się do dwóch przekładów niemieckich (o czym p. Żółtowska wie zapewne od swego przyjaciela Daniela Beauvois, któremu szczegółowo opisywałem moją metodę pracy), to główną podstawą porównań była dla mnie zawsze wersja Chojeckiego, którą ponadto, jako źródło, porównywałem od A do Z z innymi wariantami tekstu. Moją współpracowniczką, którą p. Żółtowska nazywa „jakąś Polką”, jest uniwersytecką badaczką, podobnie jak ona sama.

Reasumując, przyczynę p. Żółtowskiej do mojego tekstu sprowadza się do dwóch błędnych, gdyż nie sprawdzonych przez nią przypisów. Co do mojej własnej pracy, będę jej zawsze wdzięczny za konkretne zastrzeżenia.

Korzystam z okazji, aby z tą samą prośbą zwrócić się do moich czytelników, i z góry dziękuję za każdą konstruktywną uwagę.

René RADRIZZANI
Lozanna

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 – 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 – 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

KRAJ — BLOK WSCHODNI

31.3.90

Prymas kardynał J. Glemp mianował ks. Tadeusza Pikusa duszpasterzem Polaków na terenie Związku Sowieckiego, z siedzibą w Moskwie.

18.4.90

Ambasadorem ZSSR w Polsce został mianowany Jurij Kaszlew, zawodowy dyplomata, ambasador do specjalnych poruczeń, specjalista w dziedzinie praw człowieka.

20.4.90

Stowarzyszenie „Wspólnota polska” wybrało statutowe władze. Ma ono pracować nad stworzeniem światowej organizacji Polaków i osób polskiego pochodzenia. Prezesem został marszałek Senatu prof. A. Stelmachowski. O ile można się zorientować, władze zostały powołane bez konsultacji z organizacjami emigracyjnymi. Wśród licznych członków władz tego stowarzyszenia zaskakuje nieobecność kardynała Gulbinowicza, który najlepiej chyba zna problem Polaków na Wschodzie, brak bpa Mossola z Opola — najwybitniejszego znawcy problemu śląskiego, bpa Jana Martyniaka z Legnicy — delegowanego przez Prymasa do spraw ukraińskich, senatora R.P. — W. Mokrego, prof. J. Kłoczowskiego, p. Ananiasza — redaktora *Obozu*. Takich nazwisk można by wyliczyć znacznie więcej.

Jesteśmy pesymistami co do przyszłości tej nowej organizacji, gdyż prof. Stelmachowski jest bardzo pechowym negocjatorem (Kościelna Fundacja Rolna, nakłonienie Kornela Morawieckiego do wyjazdu na Zachód, mediacja w strajkującej Nowej Hucie). Działalność prof. Stelmachowskiego została szczegółowo omówiona w felietonie Marka Tabora pt. „Zawód — negocjator”, który ukazał się w nr 19 krakowskiego periodyku *Brulion*.

5.5.90

Zmarł we Wrocławiu w wieku 67 lat Stanisław Afenda, adwokat, wybitny obrońca w procesach politycznych, organizator pomocy dla osób represjonowanych po wprowadzeniu stauu wojennego. ■ Z okazji ukazania się „Najnowszej historii Polski 1918-1980” Andrzeja Alberta, wydanej przez londyńską „Polonię” oraz podziemne wydawnictwa „Krag” i „Pokolenie”, *Przegląd Powszechny* podaje, że pod pseudonimem Andrzej Albert kryje się Wojciech Roszkowski.

9.5.90

Ucibwałą Rady Pracowniczej Huty im. Lenina nadano jej nazwę Huty im. Tadeusza Sendzimira, wybitnego działacza gospodarczego w Stanach Zjednoczonych. W uroczystości zmiany nazwy wzięła udział rodzina Sendzimirów, kardynał Macharski, profesorowie krakowskich uczelni i reprezentanci śląskich hut. Michael Sendzimir, syn Tadeusza, zadeklarował pomoc hucie w znalezieniu rozwiązań technologicznych, kształceniu kadry wyspecjalizowanych pracowników i kontaktach z zachodnim przemysłem metalurgicznym. ■ Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Wałbrzychu zorganizowała wystawę pism Ryszarda Kapuścińskiego wydanych w Polsce i na Zachodzie. Zebrano ponad 200 książek. Niestety spis jest niepełny.

23.5.90

Uniwersytet Łódzki nadał Karłowi Dedeciusowi doktorat *honoris causa* za zasługi w tłumaczeniu literatury polskiej i krzewieniu kontaktów polsko-niemieckich. Dedecius został już w br. udekorowany Nagrodą Pokoju Księgarzy Niemieckich, w roku 1976 doktoratem *honoris causa* uniwersytetu kołńskiego, a w roku 1987 lubelskiego KUL-u.

24.5.90

Francuska grupa *Expansion* zawarła spółkę z *Gazetą bankową*. ■ Ukazało się chińskie wydanie książki M.K. Dziewanowskiego pt. *A History of Soviet Russia*.

25.5.90

Z okazji otwarcia biura Radia Wolna Europa w Warszawie odbył się koktajl na Zamku Królewskim. Dziwna aroczystość i chyba przesada w stosunku do radiostacji amerykańskiej. Prawdopodobnie ta impreza musiała być kosztowna, a miała miejsce w momencie drakońskich redukcji w radiostacji i obniżek honorariów autorskich.

28.5.90

Prymas kard. Glemp wziął udział w pogrzebie kardynała Julijonasa w Estonii. ■ Na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa poświęcona historii politycznej Ukrainy w XX wieku.

3.6.90

Staraniem Biura Wystaw Artystycznych w Szczecinie została otwarta wystawa „Wileńskie środowisko artystyczne 1919-1945” oraz „Troche Wilna” — fotografie Wacława Kapusto.

5.6.90

W Kijowie miał miejsce sobór Ukrainiejskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej z udziałem 7 biskupów i 200 duchownych. Metropolita został wybrany arcybiskup Joan z tytułem metropolity lwowskiego i halickiego. Metropolia została lwowska katedra świętych Apostołów Piotra i Pawła. Władze ZSSR nie pozwoliły przybyć na sobór metropolie Kijowa i całej Ukrainy, Mscysławowi. Sobór wybrał metropolitę Mscysława patriarchą kijowskim i całej Ukrainy. Sobór m.ia. postanowił otworzyć seminaria duchowne w Kijowie, Lwowie i Stanisławowie oraz reaktywować monastery.

8.6.90

Sprawdzono z Londynu prochy zmarłego w 1962 r. gen. Felicjana Sławoj-Składkowskiego. Zostanie pochowany na Powązkach w Warszawie.

9.6.90

W Warszawie odbył się zjazd Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Prezesem Stowarzyszenia został wybrany Andrzej Braun. Przez aklamację wybrano Jana Józefa Szczepańskiego honorowym prezesem SPP.

13.9.90

Premier Tadeusz Mazowiecki udzielił wywiadu moskiewskiej *Literaturnoj Gazecie*. W rozmowie redakcja *Literaturnoj Gazety* wystąpiła z projektem utworzenia polsko-sowieckiego klubu „Zrozumienie”. Zadaniem klubu byłoby zacieśnienie współpracy, prowadzenie dyskusji, wspólne wydawanie książek i

produktowanie filmów oraz likwidacja tzw. hiałych plan. Partnerem *Literaturnej Gazety* ma być warszawski tygodnik *Polityka*. Bp Jerzy Dąbrowski oświadczył, że inkjetywa klubu „Zrozumienie” znajdzie poparcie Kościoła. Jak się okazuje, współpraca polsko-rosyjska jest nadal monopolom komunistów czy byłych komunistów. Nie pomysłało o *Tygodniku Powszechnym*, który od bardzo dawna poświęcał bardzo dużo uwagi stosunkom polsko-rosyjskim i byłby zapewne bardziej reprezentacyjny dla społeczeństwa polskiego niż *Polityka*. Cały wywiad nie wychodził poza bardzo ostrożne banały. Specjalną ostrożność premier Mazowiecki przejawiał na zapytanie o kraje bałtyckie.

ZACHÓD — EMIGRACJA

20.3.90

Zmarła w Stanach Zjednoczonych w wieku 96 lat Adela Łagodzińska, wieloletnia przewodnicząca Związku Polek w Ameryce.

16.5.90

Zmarła w Pforzheim (RFN) w wieku 48 lat Anna Strumińska, malarka.

18.5.90

Z okazji wydania we Francji (Editions R. Laffont) powieści Tadeusza Konwickiego „Bohii” odbyło się spotkanie z autorem w Instytucie Polskim w Paryżu.

20.5.90

Doroczna nagroda *Wiadomości* im. Mieczysława Grydzewskiego została przyznana znanemu publicznie politycznemu Leopoldowi Łabędziowi.

21.5.90

Na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes Krystyna Janda otrzymała nagrodę dla uajlepszej aktorki za rolę w filmie „Przesłuchanie” Ryszarda Bugajskiego.

31.5.90

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się odczyt prof. Pawła Czartoryskiego z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego nt. „Sytuacji młodzieży w dzisiejszej Polsce”.

1.6.90

Aleksander Smolar (Paryż) został doradcą premiera Mazowieckiego do spraw polityki zagranicznej i wewnętrznej. El Londyński kwartalnik *Trybuna*, organ NID-u, podaje, że podobno pp. Soboniewski, Szadkowski, Szczepanik i Wendorff zostali odznaczeni wielką wstęgą z gwiazdą orderu *Polonia Restituta*. Przed wojną wielką wstęgą byli odznaczeni Prezydenci RP, Marszałek Piłsudski i marszałek Rydz-Śmigły. Należy zauważyć, że generał Anders był odznaczony orderem *Polonia Restituta* tylko III klasy.

2.6.90

Zmarł nagle w Londynie w wieku 76 lat Franciszek Wilk, prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego i redaktor miesięcznika *Jutro Polski*. Był prezesem PSL ponad 40 lat.

6.6.90

Prezydent R.P. na Wygnaniu, Ryszard Kaczorowski, nadał Krzyż Kawalerski orderu Odrodzenia Polski Antoniemu Maciarewiczowi, wiceprzewodniczącemu Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego.

8.6.90

Zmarł w Paryżu w wieku 82 lat prof. Jan Marczewski. Przed wojną pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych RP na placówkach w Strasburgu, Bukareszcie i Brukseli. W 1940 roku był w szeregach I Polskiej Dywizji Grenadierów. Po klęsce francuskiej działał w polskim ruchu oporu we Francji. W 1944 r. był deportowany do obozu w Mauthausen. Po wojnie prof. Marczewski stał się jednym z czołowych ekonomistów francuskich. Był dyrektorem naukowym Paryskiego Instytutu Ekonomiki Stosowanej. Był też prezesem francuskiego Towarzystwa Ekonomii Politycznej.

12.6.90

Wysoki rachunek do zapłacenia dla Bonn za wycofanie 380 tys. żołnierzy Armii Czerwonej, stacjonujących w Niemczech. Idzie o zainstalowanie ich w Związku Sowieckim, o problem emerytur etc. Niemcy gotowe są tę kontrybucję zapłacić.

15.6.90

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie przyznał doroczną nagrodę Zofii Kozarynowej za całokształt twórczości. Laureatka ma za sobą wielki dorobek pisarski i publicystyczny, nadal jest bardzo aktywna, a we wrześniu br. kończy 100 lat. Nagroda wynosi 400 funtów.

18.6.90

W Galerie Espace Temps w Paryżu została otwarta wystawa prac malarzkich i rysunków Andrzeja Biernackiego. Zarząd miasta Lourdes organizuje niezmiernie uroczyste zawarcie układu bliźniaczego z Częstochową. Dnia 4, 5 i 6 sierpnia Lech Wałęsa uda się z pielgrzymką do grotty wraz z Polonią francuską.

28.8.90

Jan Kowalik, pisarz, bibliograf i prasoznawca, obchodzi 80-lecie urodzin.

STANOWISKO RZĄDU RP NA UCHODŹSTWIE W SPRAWACH POLSKICH ZIEM WSCHODNICH

W czasie prywatnego pobytu w Londynie minister spraw zagranicznych w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, prof. Krzysztof Skubiszewski, na konferencji prasowej 10 maja br. powiedział, że Polska nie ma żadnych roszczeń do swych dawnych ziem wschodnich.

Rząd RP na Uchodźstwie przypomina, że ziemie te zostały zagarnięte przez Związek Sowiecki napadem zbrojnym na Polskę 17 września 1939 r. w zmwowie z hitlerowskimi Niemcami. W Jałcie w 1945 r. zabór ten został potwierdzony przez aliantów zachodnich bez wiedzy uznawanego Rządu Polskiego w Londynie.

Wypowiedzi na temat integralności terytorialnej państwa nie leżą w kompetencji ministrów, jeśli nie opierają się na odpowiednich uchwałach suwerennych parlamentów. Rząd RP na Uchodźstwie potwierdza niezmiennie stanowisko władz Rzeczypospolitej Polskiej, że wschodnia granica Polski ustalona Traktatem Ryskim z 1921 r. jest legalną granicą między Polską a Związkiem Sowieckim. Wschodnia granica Polski z jej sąsiadami może być zmieniona tylko przez wolne i suwerenne parlamenty tych krajów.

RZĄD RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
na UCHODŹSTWIE

Londyn, 14 maja 1990 r.

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Listy do Redakcji

9 maja 1990

Szanowny Redaktorze,

Chciałbym podzielić się z Panem kilkoma uwagami, po przeczytaniu w kwietniowej *Kulturze* (Nr 4/511), rozliczeniowego artykułu Pani Ireny Lasoty, a dotyczącego kierowanego przez autorkę Instytutu na Rzecz Demokracji w Europie Wschodniej — „Idee”.

Nie należę do systematycznych czytelników polskiej prasy za granicą, ale mam wrażenie, że rozliczenia, jakiego dokonuje Irena Lasota na łamach *Kultury*, należą do rzadkości. W latach, kiedy w Polsce panoszyli się komuniści, na Zachodzie zbierano pieniądze na walkę z nimi. Szczyt tego typu działalności przypada na lata 1980-89. Zajmujących się zbiórkami było wielu. Robiono to indywidualnie albo tworzone w tym celu organizacje. Myślę, że na przestrzeni tamtych lat zebrano i rozdysponowano, w ten czy inny sposób, dziesiątki milionów dolarów USA.

Sam paratem się tym procederem na początku lat osiemdziesiątych. Z własnych obserwacji wiem, że „cukier krzepi, cukier lepi”. Ten cukier to oczywiście twardy pieniądź. Jestem daleki od twierdzenia, że każdy kto zbierał, podkradał sobie co nieco, tak przy okazji. Wydaje mi się jednak, że nastał już czas, aby wszyscy, bez wyjątku, otrzymali szansę rozliczenia się ze swej działalności na tym polu przed krajem, w którego imieniu tę działalność prowadzili. Nie chodzi przy tym o to, aby zorganizować polowanie na złodzieja patriotycznych pieniędzy. Raczej o obronę tych, którzy w/w działalność prowadzili uczciwie, przed uogólnieniami, pojawiającymi się za przykładem jednostek, które po prostu kradły społeczne pieniądze. I to kradły na przeróżne sposoby; prosto do własnej kieszeni, pod przykrywką „kosztów własnych”, przyznawania sobie dyrektorskich pensji, tak że starczało niekiedy tylko na nie...

Proponuję, aby sprawą rozliczeń zajęła się Komisja Zagraniczna Senatu RP. Jako poznaniak, proponuję inicjatywę poznańskim senatorom, Panom RYSZARDOWI GANOWICZOWI i JANUSZOWI ZIÓŁKOWSKIEMU, z których ten ostatni wchodzi w skład w/w komisji senackiej. Proponuję powołanie zespołu, który zajęłby się zorganizowaniem publicznych przesłuchań oraz zebraniem wszelkich rozliczeń oraz oświadczeń składanych przez osoby objęte zakresem działania zespołu. Cały zebrany materiał powinien zostać udostępniony opinii publicznej, przy pomocy odrębnej publikacji.

Realizacja mojego projektu przyczyni się do oczyszczenia atmosfery nieufności, jaka zwykle otacza inicjatywy pieniężne Polaków za granicą. Większy też ofiarność Polonii, gdy znowu zajdzie potrzeba zorganizowanej pomocy pieniężnej dla kraju.

Piotr GUMPER

Szanowny Panie Redaktorze,

W wielu publikacjach powiedzenie *polnische Wirtschaft* przypisuje się pruskim nacjonalistom, co uczynił również Leopolda w marcowym numerze *Kultury* („Nazwać po imieniu”, str. 11 *Kultura* nr 3/90).

Otóż nie jest to powiedzenie pruskie i wcale nie zostało „ukute w celach wyraźnie perswazyjno-obrażliwych”. Jego twórcą był Jerzy Forster, gdańszczanin (nie uważał się za Niemca czy Polaka, ale właśnie za gdańszczanina), naukowiec i podróżnik, pisarz i polityk — jedna z ciekawszych postaci XVIII wieku.

Na zaproszenie Stanisława Augusta objął katedrę tzw. Historii Naturalnej w Uniwersytecie Wileńskim. Wyprawa z Getyngi do Wilna zajęła mu sporo czasu i zdał z niej relację w „Dzienniku podróży po Polsce”. W tymże dzienniku pojawił się termin *polnische Wirtschaft*, określający ówczesny poziom usług dla podróżnych, a także ogólny widok polskich wsi i miasteczek, w których Forster nocował lub którym się przyglądał. A był nadzwyczaj bystrym obserwatorem, bez jakichkolwiek uprzedzeń do Polski czy Polaków.

W jego notatkach z okresu wileńskiego odnalazłem ton podobny, przede wszystkim w opisie nadzwyczaj ubożego wyposażenia uniwersytetu oraz nędżnych warunków mieszkalnych profesorów i studentów. Na ironię zakrawa informacja Forstera o drukarni wileńskiej. Skarżył się, że w Wilnie zakrawa wydrukowanie książki trzeba czekać od 3 do 5 miesięcy, gdy tymczasem w Getyndze książka o tej samej objętości wychodzi w 3 tygodnie. Zdaje się, że nic w tej materii nie uległo zmianie: przy współczesnej technice druku przepaść pomiędzy np. Niemcami a Polską jeszcze się pogłębiła. *Polnische Wirtschaft* egzystuje dalej i obawiam się, że będzie istniało jeszcze długo. Szczególnie, gdy przyjrzyć się polskiej punktualności i poszanowania cudzego czasu, o czym nadmiernie Leopolda.

Z poważaniem

Krzysztof KASRPZYK

Lidingö, 5 czerwca 1990

Szanowny Panie Redaktorze,

W marcowej *Kulturze*, w jednym z listów do redakcji, podpisanym przez Leopolda, znalazłem zdanie: „...zdaje się nie wiedzieć, że przy pomocy 'cyklonu', tj. w komorach gazowych, mordowano jedynie Żydów i Cyganów...”.

To jest niezgodne z prawdą. Otóż latem w 1944 r., w obozie koncentracyjnym Stutthof koło Gdańska, zaczęto używać komory gazowej właśnie do zagazowania „cyklonem” kilkudziesięciu więźniów Polaków.

Jeszcze żyją w Polsce byli więźniowie, mogący podać bliższe dane dotyczące tych ludzi. Sam pamiętam dobrze ten dzień i tę noc. Pracowałem wtedy w tzw. *Effektenkammer*. Otrzymaliśmy rozkaz, aby komorę gazową, której używano do odwszania odzieży, opróżnić z rozłożonych tam a jeszcze nie odwszonych, tzn. zagazowanych ubrań. Zaskoczeni rozkaz wykonaliśmy, ale nie wiedzieliśmy, o co chodzi. Powróciliśmy do obozu na wieczorny apel. Przy bramie wejściowej stała grupa 40-50 osób, „Zugangów”, nowoprzyby-

tych więźniów, bosych, białych, świeżo ostrzyżonych, w niezniszczonym, świeżo otrzymanym odzieniu. Tych zagazowano bez żadnego incydentu. Drugą grupę miano gazować później w nocy. Więźniowie z powiązanymi z tyłu rękoma zaczęli uciekać w czasie marszu do komory gazowej. W czasie wynikłej strzelaniny połowę z nich wybito, resztę doprowadzono do komory gazowej. Kule SS-manów trafiły również w pobliski barak, gdzie było kilku zabitych i rannych. Jednemu ze zranionych więźniów, Niemcowi — kapo, musiano amputować rękę.

Z innych „ciekawostek” Stutthofu mogę przytoczyć fakt, że chorym na gruźlicę z początku roku 1943 r. stemplowano 1/2 na czole, na znak, aby otrzymywali tylko połowę porcji, i tak niedostatecznego pożywienia. Ale to już jedna z innych historii.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku i poważania

Seweryn PALICKI

Wrocław, 31 maja 1990

Wielce Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

W majowym numerze *Kultury* ukazał się wywiad z Józefem Piniorem, którego osnową jest legendarna sprawa „80 milionów”. Jak się tam dowiadujemy, Józef Pinior nie tylko uratował owe miliony dla „Solidarności”. tuż przed stanem wojennym, ale opiekował się nimi do tego stopnia „ekonomicznie”, że w ciągu 8 lat zaoszczędził z nich 50 tysięcy dolarów, które — w sposób spektakularny — przekazał II Walnemu Zebraniu Delegatów Regionu.

W związku z powyższym pozwałam sobie poinformować Pana Redaktora, że dwukrotnie, w oficjalnym piśmie wafbrzyckim *Niezależne Słowo* (w nr 14 w artykule „Takt, taktyka i wierność wartościom” i w nr 19 w artykule „Zjazdowe hokus-pokus”), postawiłem kilka pytań dotyczących tej sprawy, na które do dzisiaj żadna odpowiedź oficjalna nie została udzielona. Milczy również i sam bohater wywiadu, Józef Pinior. Pytania, które się tu nasuwają są następujące: 1. DLACZEGO Józef Pinior nie udostępnił ukrywanych pieniędzy legalnej władzy Związku w regionie, jaką był Regionalny Komitet Strajkowy? Odwrotnie, jak się dowiadujemy z rozliczenia RKS (*Z dnia na dzień* nr 9/524 z 5.04.1990) dysponujący krociami dolarów J. Pinior pożyczył od RKS w r. 1987 kwotę 300 dolarów, z których do marca 1990 zdążył oddać zaledwie 100! 2. KIEDY Józef Pinior *naprawdę* te pieniądze przekazał nowym władzom związku i w jakiej formie? Pytanie to jest jak najbardziej zasadnicze, ponieważ w piśmie *Region* z dnia 9.03.1990, które jest oficjalnym organem Zarządu Regionu, w odpowiedzi na pytanie dziennikarza „Co będziesz robił, kiedy pozhyłeś się już tego balastu”, J. Pinior odpowiedział: „To jest rozliczenie na zewnątrz, ja się z tą kartą rozstałem już dwa lata temu...”?

Inne pytania w tej samej sprawie postawiło pismo *Jednością Silni* w wydaniu specjalnym z dnia 30 marca br. Redaktorzy tego pisma domagają się wyjaśnienia odnośnie szczegółów transakcji wymiennej, w której 80 milionów złotych zamieniono na dolary. Alhowiei nawet w wywiadzie dla *Kultury* Józef Pinior, z dezynwolturą imponującą w ustach fachowego bankowca, mówi: „z pozostałych 46 milionów złotych 10 tysięcy dolarów przekazałem...”!

Być może Panu Redaktorowi powyższe wątpliwości wydadzą się małost-

kowe (coż to w końcu jest 50 tysięcy dolarów?), mnie jednak przeraża perspektywa, że będziemy obecnie rządzeni przez ludzi, którzy uważają, że z pieniędzy publicznych nie potrzeba się wyliczać. Jak Panu wiadomo, II Krajowemu Zjazdowi „Solidarności” za całe rozliczenie starczyło kropidło Księdza Kanonika Jankowskiego, podobnie zresztą jak we Wrocławiu, gdzie również woda święcona zastąpiła sprawozdanie finansowe.

Łączę najlepsze pozdrowienia i wyrazy prawdziwego szacunku

Jerzy PRYZYSTAWA

Stockholm, 19 maja 1990

Szanowny Panie Redaktorze,

Powtarzając się ostatnio w Polsce apele i deklaracje o potrzebie zjednoczenia wysiłków i działań polskiej emigracji na rzecz bliższej więzi i współpracy z Krajem wymagają spełnienia kilku podstawowych warunków ustrojowych, politycznych oraz administracyjnych. Jednym z nich jest konieczność pilnej i pełnej wymiany dotychczasowego personelu dyplomatyczno-konsularnego, nadal rezydującego poza granicami Kraju. Poza nielicznymi wyjątkami, polskie placówki zagraniczne są w dalszym ciągu obsadzone przez ludzi z nomenklatury PZPR, MSW i Służby Bezpieczeństwa ex-PRL. Obecne reformy i zmiany w Polsce zdają się całkowicie omijać ten zewnętrzny, reprezentacyjny obszar Rzeczypospolitej.

Pozostawianie w prawie nienaruszonym stanie dawnych filarów PRL za granicą ma wyraźnie negatywne skutki i stanowi zasadniczą przeszkodę w procesie zbliżenia polskiej emigracji niepodległościowej z Krajem. Indagowani w tej kwestii polscy politycy lub emisariusze oficjalni, przystąpi z Polski dla zbadania tego problemu w krajach naszego osiedlenia, przedstawiają szereg uzasadnień mających wyjaśnić zastanawiający i niepokojący brak wymiany obecnego personelu konsularno-dyplomatycznego. Najczęściej powtarzającym się argumentem jest niedobór odpowiednich kandydatów do służby zagranicznej RP oraz zasłanianie się arbitralnymi decyzjami, lub specjalnym harmonogramem pracy ministra spraw zagranicznych, dotyczącym wymiany kadry dyplomatycznej.

Nie wnikając w zasadność powyższych argumentów — chociaż warto tutaj wskazać przykład nowego szefa czechosłowackiego MSZ, ministra Jiri Dienstbiera, który w ciągu zaledwie kilku dni wymienił ponad 40-tu ambasadorów tego kraju — należy stwierdzić, że tolerowanie przez polskie MSZ obecnego składu personalnego służby zagranicznej wyrządza Polsce więcej szkód, aniżeli pożytku. Ponieważ perspektywa tej sprawy widziana nad Wisłą, o czym przekonałem się w trakcie licznych rozmów z przedstawicielami nowego *establishment*'n w Polsce, zdaje się znacznie odbiegać od opinii polskiej emigracji, warto przedstawić kilka istotnych aspektów tego problemu.

Przede wszystkim jest wysoce wątpliwe, czy dyplomatyczno-konsularni funkcjonariusze odziedziczeni po ostawionej PRL rzeczywiście lub szczerze służą interesom odradzającej się Rzeczypospolitej. Determinuje to ich dawne nastawienie polityczne, specyficzny dobór tych ludzi i nawyki wyniesione z uprzedniej działalności w represyjnym aparacie PRL. Poza zastrzeżeniami natury politycznej, również działalność handlowa, kulturalna, obsługa konsularna a nawet turystyczna, będące w gestii polskich placówek zagranicznych, pozostawiają aktualnie wiele do życzenia.

Szkodliwy i błędny mit rzekomego profesjonalizmu dyplomatów PRL również nie wytrzymuje krytyki. Powszechnie znany jest niski poziom przygotowania do prawdziwej służby zagranicznej, przeważnie słaba znajomość obcych języków, brak inicjatywy lub skuteczności działania obecnych funkcjonariuszy w dziedzinach tradycyjnych dla dyplomacji.

Dla pełnego obrazu należałoby dodać przesadne rozróżenie aparatu placówek zagranicznych, nadmierną ilość personelu, zajmowanych budynków i biur, liczbę samochodów i wewnętrznej sieci zaopatrzenia, co niewspółmiernie podnosi koszty utrzymania tych instytucji. Prowadzenie przez personel tych placówek działalności pozadyplomatycznej, sprzecznej z międzynarodowymi postanowieniami, dodatkowo zwiększa wydatki. Pozostaje to w wyraźnej sprzeczności z obecnym kryzysem gospodarczym w Polsce, co dotychczas nie przeszkadza pomyślanej egzystencji niedawnych konsulatów i ambasad PRL.

Wszystkie wymienione mankamenty służby zagranicznej usiłuje się ukrywać za parawanem pozornie wszechstronnej aktywności, sprowadzającej się w praktyce do organizowania tchnących martwością imprez oraz wydawania kosztownych przyjęć i rautów, najczęściej w wąskim kręgu zwolenników byłego reżymu, którzy wiernie dotrzymywali towarzystwa przedstawicielom PRL w okresie stanu wojennego, a obecnie stroją się w kostiumy niezłomnych opozycjonistów i sympatyków Solidarności. Można się domyślać, że ukoronowaniem rzekomej działalności jest sprawozdawczość placówek, mająca optymistycznie nastroić krajowych zwierzchników resortu, odwołując ich od myśli reformowania zagranicznych placówek. Wysiłki te mają na celu wyłącznie zabezpieczenie dalszego zagranicznego bytu dyplomatom PRL, ostatnio często deklarującym „służbę ojczyźnie bez względu na to, kto jest u władzy”. Z podobnych pohudek odrzuca się lub dezawuuje — dotychczas niestety dość skutecznie — wobec wizytatorów MSZ, wszystkie opinie krytyczne na temat kadry i działalności placówek zagranicznych, jako oszczerstwa wymyślone przez „malkontentów” i dezertów z socjalistycznej ojczyzny”. Jednak mimo heroicznego wysiłków funkcjonariuszy zagranicznych RP, polityczna i społeczna izolacja oraz bezwład placówek dawnej PRL pozostaje smutną rzeczywistością. Powodem tego zjawiska jest obecność dawnej obsady kadrowej PRL oraz kontynuowanie tajnej działalności wywiadowczej, z nadużyciem immunitetu polskich placówek dyplomatycznych. To, że różnej maści służby wywiadowcze polskich placówek prowadzą obecnie swą działalność, zapewne na zlecenie wschodnich mocodawców, nie zmienia niestety faktu, że owa działalność jaskrawo godzi w dobre imię Rzeczypospolitej i ciąży negatywnie na opinii wolnego świata w sprawach polskich. Zarówno społeczeństwa, jak i zachodni politycy oczekują na terenie swoich krajów innych, niż dotychczasowi, reprezentantów Rzeczypospolitej. Tendencja ta narasta w miarę powiększania się kontrastu między pozytywnymi zmianami w Polsce, a dotychczasowymi — i niestety nadal kontynuowanymi — praktykami peerelowskich dyplomatów na Zachodzie.

Nie jest bowiem żadną tajemnicą w zachodnich krajach, że proceder tej, pozagrobowej w stosunku do PRL, formacji godzi w żywotne interesy poszczególnych krajów jej akredytacji. Dowodzą tego doniesienia zachodnich mass-medium, informujące o przypadkach wydalania polskich agentów konsularnych za działalność sprzeczną z normami dyplomatycznymi. Nieprzypadkowo też ostrożna i tolerancyjna prasa szwedzka na łamach trzech dzienników o ogólnokrajowym zasięgu (*Svenska Dagbladet*, *Dagens Nyheter* i *Dagens Industri*) kilkakrotnie w ciągu ostatnich miesięcy informowała, że we wschodnioeuropejskich placówkach dyplomatycznych na terenie Szwecji zidentyfikowano ponad 15 dyplomatów, którzy obecnie prowadzą systematyczną

działalność szpiegowską. Jedynym *novum* jest zmiana profilu tej działalności. Przeważający do niedawna wywiad wojskowy został zdominowany przez szpiegostwo przemysłowe i kradzież najnowszych technologii.

Ponadto w szwedzkiej prasie niedawno ukazały się informacje o dokonywaniu przez polskich funkcjonariuszy służby zagranicznej pospolitych przestępstw kryminalnych z chęci zysku. Powodem tego doniesienia prasowego była afera masowej sprzedaży przez polskich urzędników konsularnych w bliskowschodnich krajach arabskich tysięcy sfałszowanych wiz, umożliwiających mieszkańcom tych krajów nielegalną imigrację do zachodniej Europy, w tym do Szwecji. Te godne pożałowania fakty dowodzą potrzeby zdecydowanej reformy i odnowy polskiej służby zagranicznej oraz zastąpienia całej, bez wyjątku, reżymowej kadry placówek przez uczciwy personel dyplomatyczny, który nie będzie przynosił ujmy ojczystemu krajowi.

Do powstania sytuacji oblężonej twierdzy, w której znalazła się większość polskich placówek zagranicznych, przyczyniły się postawy polityczne i uchylbienia obsady dyplomatycznej, działalność wywiadowcza i dyspozycyjność dotychczasowego personelu wobec nadrzędnych celów sowieckich, trwające wiele dziesiątków lat. Należy także pamiętać, że polska emigracja polityczna nadal konsekwentnie bojkotuje te instytucje, nie tylko ze względu na sprawę niepodległościową, ale również dlatego, że prawie od półwiecza reżymowa kadra tych placówek traktowała polską emigrację niepodległościową jak zdradców i wrogów Polski. Placówki zagraniczne PRL przez dziesięciolecia prowadziły wojnę przeciwko emigracji politycznej, stosując systematyczną i nie przebierającą w środkach akcję inwigilacji, infiltracji i rozbijania polskich środowisk niezależnych w wolnym świecie. Emigracja przeżyła okresy stosowania przez służby zagraniczne PRL metod zastraszania, szantażu a nawet próby fizycznego terroru w stosunku do działaczy niepodległościowych.

Przypominam o tych odrażających praktykach, ażeby uwidocznić źródła ciągle żywego urazu, jaki żywi emigracja niepodległościowa do dyplomatów spod znaku PRL. Trudno doprawdy oczekiwać, że ta rana zasklepi się, gdy w polskich placówkach zagranicznych nadal panoszą się pulkownicy SB grający rolę konsulów generalnych, gdy wysokiego szczebla aparatuicy partyjni piastują urząd ambasadora Rzeczypospolitej, a za progiem konsulatów wariują funkcjonariusze ochrony o wyglądzie i zachowaniu specjalistów od wymuszania zeznań z niezapomnianego okresu stalinowskiego. Wskutek braku odpowiednich decyzji personalnych placówki dyplomatyczne RP stały się obecnie ochronnymi rezerwatami dla członków dawnej nomenklatury partyjnej i rezydentów służb specjalnych PRL. Dopóki polskie ambasady i konsulaty pozostawac będą we władaniu tych samych, skompromitowanych funkcjonariuszy reżymu PRL, dopóty będzie to stanowić zasadniczą przeszkodę dla nawiązywania głębszych i stałych stosunków między elitą emigracyjną i Krajem. Tak długo jak zagraniczna reprezentacja Polski będzie ostatnim matecznikiem przechowującym żywe relikty stanu wojennego, przechowalnią ludzi skierowanych na zagraniczną synekurę w nagrodę za wierną służbę reżymowi PRL, nie można oczekiwać, że nawoływania do zjednoczenia wysiłków emigracji zostaną naprawdę zrealizowane.

Dobro Rzeczypospolitej, polskiej emigracji, społeczeństw wolnego świata, a także wiarygodność nowych władz Rzeczypospolitej wymagają natychmiastowej i radykalnej zmiany stanu rzeczy. Osobistości w Polsce, mające w swojej gestii sprawy resortu służby zagranicznej, poza wykazaniem zrozumienia problemu i deklaracjami, że rozważają rozstrzygnięcie tej sprawy, powinny dołożyć wszystkich możliwych starań ażeby szybko i skutecznie

zmienić na lepsze obecną sytuację w tej ważnej dla Polaków i przyjaciół Polski dziedzinie. Zwlekanie z pozytywnymi decyzjami przynosi korzyści wyłącznie poplecznikom i przedstawicielom dawnego reżymu, zagnieżdżonym w polskich instytucjach i placówkach dyplomatycznych poza granicami Polski.

Niebawem minie rocznica zainstalowania nowego rządu w Polsce. Tymczasem dalszy brak odpowiednich decyzji ministra spraw zagranicznych RP przyczynia się do utrwalenia dotychczasowego monopolu komunistycznej władzy poza granicami Polski, w sposób niezamierzony sankcjonuje kompromitujące, nadal trwające działania reżymowych służb wywiadowczych oraz legitymizuje grupę funkcjonariuszy dawnego PRL wobec rządów państw zachodnich, a także mniej politycznie zorientowanych środowisk polskiej emigracji.

Najwyższy czas, ażeby wyłączyć Polskę z kręgu zimnej wojny i dywersji imperialnej wymierzonych przeciwko wolnemu światu. Czas, aby zagraniczna reprezentacja Rzeczypospolitej znalazła się w rękach uczciwych i godnych przedstawicieli polskiego społeczeństwa, a polskie placówki zagraniczne mogły być uznane za własne przez wszystkich Polaków.

Przesyłam wyrazy uznania i szacunku

Dr Zygmunt STANKIEWICZ

Panie Redaktorze,

Do artykułu Lidii Ciołkoszowej „Kazimierz Sabbat” z nr. 9/504 paryskiej *Kultury* wkraśl się błąd rzeczowy. Chodzi o to, że do powstałej w 1949 r. Rady Politycznej weszło Polskie Stronnictwo Ludowe — Odtam Jedności Narodowej Kazimierza Bagińskiego i Stefana Korbońskiego, a nie — jak błędnie podano — Stronnictwo Ludowe „Wolność” Jerzego Kuncewicza (str. 141). Ta ostatnia partia była członkinią prozamskiej Rady Narodowej.

Andrzej ŚCIGAŁA

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawatu pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

B.O., USA; J.J.T. w Kraju; E.G., Francja; J.Z., RFN; M.P., Kanada; J.S.D., Hiszpania; L.S., RFN; W.T.M., USA; K.B. w Kraju; A.W., RFN; E.W. w Kraju; R.M. — Z wierszy nie skorzystamy.

W.M.-B. w Kraju: — Gdzie w tym reportażu „szarganie świętości”? Dlaczego nazywa go Pan „ponadczasowym”? Drobny epizod bez większego znaczenia.

R.B., Litwa: — Wzruszający jest Pana akt miłości do Wilna i wiary w przyszłość, ale niestety literacko zbyt słaby.

*W.T. w Kraju: — Nie drukujemy „komiksów”. To samo dotyczy innych wydawnictw polskich na Zachodzie, może z wyjątkiem niektórych pism polonijnych. Mrozek mieszka obecnie w Meksyku. W sprawie pręnumeryaty *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* proszę się zwrócić do naszego przedstawiciela w Norwegii (Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk.). Po powrocie z Oslo do Polski oba pisma może Pan bez większego trudu kupić w Warszawie (przedruki krajowe).*

*W.M., RFN: — Tom Pana *Witraż polski* ma niewielką wartość. Oba opowiadania są monotonnym, chwilami wręcz nudnym zapisem rozmaitych czynności wykonywanych przez różnych ludzi, bez żadnego literackiego pomysłu, który nadawałby książce jakąś elementarną choćby kompozycję.*

*J.M.-P. w Kraju: — Aforyzmy i sentencje wydają nam się niezbyt oryginalne. Tekst zatytułowany *Droga ocalenia narodu* nie nadaje się do naszego miesięcznika.*

A.S., USA: — Historia naszego stulecia powinna raczej zniechęcać do idei „Nadczłowieka”.

J.G. w Kraju: — Zarówno poemat jak opowiadania świadczą o Pana talencie, ale bardzo jeszcze niedojrzałym. Musi się Pan, według nas, wystrzeżać przede wszystkim pretensjonalnej sztuczności.

H.E., RFN: — Prosi Pan o ocenę zbioru opowiadań. Są nijakie, ani dobre, ani rażąco złe, właśnie nijakie. Nie czuje się w nich prawdziwej potrzeby opowiedzenia czegokolwiek, brak im wyraźnego punktu zaczepienia dla uwagi czytelnika.

*R.G., Francja: — Pana opowiadanie *Obóz* przesadnie metaforyzuje wypadki z marca 1968 tą historią z orzełkami. Nie do wszystkich tematów i sytuacji można zastosować paraboliczną metodę Kafki.*

M.J., Łódź: — Pan twórczość poetycka jest wypadkową wielu wpływów (Stachura, Keruac, Bursa i in.). Sugestia: zrezygnować z prywatnych kodów, skoro utwory są przeznaczone na użytek publiczny. Ponadto pismo, nawet prywatne, nie polega na drukowaniu wyłącznie samego siebie.

** Bij, Hiszpania: — Nie rozumiemy, dlaczego chce Pan drukować, i to nawet bez honorarium, swoje wiersze w *Kulturze*, skoro pismo tak się Panu teraz nie podoba. Czy to rodzaj przewrotnej kokieterii, czy też wyzwanie? Skłonność Polaków do wyrażania swych emocji wierszem wolnym lub rymowanym zaczyna przybierać rozmiary epidemiczne.*

- M.S. i P.R.*: — Wiersz „Wymowa drutów telegraficznych”, pisany chyba podczas wojny, zawiera takie stężenie patosu i taką ilość wielokropków, że nie należy go przypominać bez załączenia gratis chusteczki każdemu czytelnikowi.
- A.K., Kalifornia*: — Refleksja z podróży na Akropol w formie wiersza świadczy być może o tym, że podróże kształcą, ale nie czynią jeszcze z autora poety.

KRONIKA KULTURALNA

Krzysztof Rutkowski:	<i>Co to jest Artest?</i>	183
—	<i>Nagrody im. K. A. Jeleńskiego dla tłumaczy literatury polskiej</i>	185
KSIĄŻKI		
Renata Gorczyńska:	<i>Nelson Algren, bard slumsów Chicago</i>	187
Teresa Halikowska:	<i>Tłumaczyć siebie: dwa języki, dwa życia</i>	193
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	198
POLEMIKI		
Halina Martinowa:	<i>Z każdym będziemy rozmawiać, ale nie z Jaruzelskim</i>	201
Jan Krawiec, René Radrzyzani:	<i>Listy do Redakcji</i>	204
—	●	
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	210
—	●	
P. Gumper, K. Kasprzyk, S. Palicki, J. Przystawa, Z. Stankiewicz, A. Ściagała:	<i>Listy do Redakcji</i>	215
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	222

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 3^e trimestre 1990.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1990			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 12, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$A. 10,00	\$A. 60,00	\$A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 02 22/93 87 222	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 BL Wissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	F 1h 20,00	F 1h 95,00	F 1h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. JAW 155, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Grsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; «Police Voice Publishing» Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowców»), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$can. 10,00	\$can. 50,00	\$can. 98,00
NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (89) 611-36-57; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 5, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 14,00	DM 85,00	DM 160,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 135,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalkskärgatan 3/IV, 11533 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 4882346	K.S. 47,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
USA: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 New Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Helena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosiuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 9447, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2331, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-3590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,50	\$ US 40,00	\$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 21. Tel.: 75-67-241	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 500; półroczna — F. 260.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 460 — ZBIGNIEW HERBERT

ELEGIA NA ODEJŚCIE

Nowy tom poezji

Str. 48.

Cena F. 50,00.

TOM 461 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘDZIESIĄTY DRUGI

zawiera opracowania: Andrzej Friszke: *Z dziejów Stronnictwa Narodowego na emigracji w latach 1939-1942*; Leszek Brzoza: *Niedoszła konferencja dyplomatów polskich w 1953 r.*; Karolina Lanckorońska: *O powstaniu i organizacji studiów wyższych dla żołnierzy Drugiego Korpusu*; Krystyna Jaworska: *Ośrodki akademickie Drugiego Korpusu na terenie Włoch*; Piotr Wandycz: *Wspomnienie o Henryku Wereszyckim*; Jacek Kubiak, Iwona Kubiak-Burszta: *De Gaulle, Polska i dyplomacja epoki Października (rozmowa z ambasadorem St. Gajewskim)*; Gen. Izydor Modelski: *Wojskowe przyczyiny kłeski wrzesniowej (cz. I)*; Konstanty St. Kamiński: *Polacy w Szwajcarii (1832-1863)*; Bogdan Stachewicz: *O przygotowaniu wojny raz jeszcze*; Dr Marian Woźniak: *W odpowiedzi na „Konspirację poznańską”*; Jerzy Korczak: *Odpowiadam dr. M. Woźniakowi*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*; Janusz Rakowski: *E. Kwiatkowski — OZN — Rydz-Śmigły*; Maksym Boyko: *Ukraińskie wołyniana na emigracji oraz bogaty dział LISTÓW.*

Str. 240.

Cena F. 90,00.

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOSZ

ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególnie dziennik zbliża się do formy autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczery, jest „Rok myśliwego” podaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288.

Cena F. 145,00.

MYŚLFUNDACJA WSPIERANIA EDYTORSTWA
i CZASOPISMIENICTWA w POLSCE